

P. 9786 Arch Chr

nr 7-12

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/526-8/527 1991



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ: **PAŃSTWO WYZNANIOWE?**

B. LEITGEBER: **REFORMACJA W POLSCE
CZYLI BURZA BEZ GRZMOTÓW**

Zb. FLORCZAK:

ORZEŁ BIAŁY NA TLE NERWOWYM

R. GORCZYŃSKA: **RASHOMON**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Państwo wyznaniowe?</i>	3
J.M. Bocheński:	<i>Mój komentarz</i>	11
Bolesław Leitgeber:	<i>Reformacja w Polsce czyli burza bez grzmotów</i>	14
Zbigniew Florczak (Pelikan):	<i>Orzeł biały na tle nerwowym</i>	28
WIERSZE		
Czesław Miłosz:	<i>Fotografia; - Młodość; - Filologija</i> ...	41
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Robert Kaczmarek:	<i>Przyszłość energii nuklearnej</i>	46
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (22)</i>	55
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Imponderabilia i banialuki</i>	60
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	66
Agata Tuszyńska:	<i>Dzieci o religii w szkole</i>	81
SPRAWY I TROSKI		
Krystyna Cywińska:	<i>Dekonfitura w publicystyce</i>	90
CZECHY A POLSKA		
Lee Blackwood:	<i>Polska w oczach czeskich</i>	93
A.M. Pędziwol:	<i>Rozmowa z Ludvikiem Vaculikiem</i> ...	106
Bogusław Bakula:	<i>Wspólnota mniejszości</i>	116
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Encyklika „Centesimus Annus”</i>	125
J.M. Bocheński:	<i>O moralności, etyce i mądrości</i>	131
SĄSIEDZI		
Andrzej Szulczyński:	<i>Zrozumieć Ukraińców (Rozmowa z Andrzejem Vincenzem)</i>	139
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	156
Roch Kowalski:	<i>Kompleks Budrysa</i>	161
KRONIKA KULTURALNA		
Jerzy Jarzębski:	<i>Tożsamość polska w zwierciadle prozy</i>	165
Jagoda Hernik:	<i>Wileńskie środy literackie</i>	169
Ryszard Szwoch:	<i>O Kocieniu bez umniejszeń</i>	179
—	<i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i>	181
CI, CO ODESZLI		
Stefan Kisielewski:	<i>O Władysławie Bieńkowskim</i>	183
Renata Gorczyńska:	<i>Rashomon</i>	191
KSIAŻKI		
Jadwiga Jurkszus- Tomaszewska:	<i>Pisarze dalej nieobecni</i>	203
Adam Czerniawski:	<i>Przeciw godności</i>	207
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	210
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska, norweska i szwedzka</i>	213
J. Garliński, T. Mianowicz, A. Pospieszalski, J.A. Tomaszewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	220

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień – Juillet/Août 1991

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Karol Jabłoński, Toronto, ON, po raz 24-ty — dol. US 10,00	F. 60,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA) po raz 25-ty — dol. US 20,00	F. 120,00
Mieczysław Wiackiewicz, Philadelphia, Pa (USA) — dol. US 26,00	F. 156,00
Societa di Esecutori die pie disposizioni, Rzym legat testamentowy śp. Ireny Zadarnowskiej	F. 170.826,95

DZIĘKUJEMY!

M.A., Perth, W.A. (Australia) — dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejczaka, w czwartą rocznicę jego śmierci na: — Fundację Pomocy Żołnierzom Armii Krajowej im. gen. L. Okulickiego, Warszawa — dol. US 250,00	F. 1.107,50
— pomoc Polakom w Rosji — dol. US 200,00	F. 886,00
— Fundusz Kultury — dol. US 150,00	F. 664,50

Captive Nations Committee of Connecticut (USA) — na internat Liceum Ukraińskiego w Legnicy — dol. US 75,00	F. 420,00
(Kwotę tę nadesłał p. Józef E. Kleszczyński z West Hartford, CT w kwietniu br. Przez niedopatrzenie dar ten nie został odnotowany wcześniej — za co przepraszamy ofiarodawców. Red.)	

PRENUMERATA „KULTURY” W POLSCE

Krajowe wydanie *Kultury* można zamawiać w prenumeracie w

FUNDACJI WSPIERANIA EDYTORSTWA
I CZASOPISMIENICTWA W POLSCE „MYŚL”:

00-873 WARSZAWA
ul. Ogrodowa 51 (IV p.)
tel. 24 39 91 lub 24 91 71

Cena prenumeraty rocznej zł 100.000 (wraz z przesyłką);
cena jednego egzemplarza zł 10.000

Państwo wyznaniowe*?

Śledzę z odległości niektóre wydarzenia w Polsce, zbyt już wrośnięty w Amerykę, żeby myśleć o zmianie stałego miejsca pobytu. Być może pewne moje obserwacje bezstronnego świadka mogą się przydać, choć nie wątpię, że gdybym powstrzymał się od wypowiadania opinii, uniknąłbym wielu przykrych oskarżeń. Po takim wstępie każdy będzie się spodziewać, że mam zamiar mówić o polityce. Otóż nie. Zresztą w moich starciach wręcz z komunizmem polityka też była raczej pozorem i pretekstem, jak wiedzą czytelnicy moich książek napisanych później, po *Zniewolonym umyśle*. Marksizm zawsze ukazywał mi się jako konsekwencja głębokiej erozji, której na kontynencie europejskim, łącznie z Rosją, uległa wyobraźnia religijna człowieka. Rozumiał to Dostojewski, który w *Biesach* przedstawił w proroczym skrócie poczynania rewolucjonistów próbujących nadać sens historii w świecie bez Boga. W tym sensie ruchy totalitarne miały tło metafizyczne ze znakiem minus i należą do przejawów „nihilizmu europejskiego”.

Otóż właśnie to, erozja wyobraźni religijnej, znajduje się moim zdaniem u sedna myśli dwudziestego wieku i nadaje naszym czasom rysy apokaliptyczne. Rozpad ruchów totalitarnych bynajmniej nie oznacza, że nastąpiła w tym względzie zasadnicza zmiana. Dość przyglądać się zamożnej i sytej części ludzkości w krajach Zachodu, żeby stwierdzić, że wyobrażenia religijne ułdzonego kosmosu rozpadają się pod naciskiem samej nauki i techniki, i że jeżeli silna jest u ludzi nadal potrzeba wiary, jest to, zwłaszcza u młodych pokoleń, wiara bezdomna, poszukująca, jednak niekoniecznie zwracająca się ku chrześcijaństwu.

Ale w Polsce kościoły są pełne i oto Polak ukazuje się w świecie jako *unus defensor Mariae*, a polski papież podtrzymuje

* Gazeta Wyborcza z 11.5.1991.

P. 9786 Arch. Chr.

chrześcijańską nadzieję, która chce być wobec świata „znakiem sprzeciwu”. Jednakże, twierdząc, to wyjątkowe miejsce Polski na mapie globu może łatwo prowadzić do wniosków błędnych, które optymistycznie pomina postępujące ujednolicenie cywilizacji przemysłowej jako systemu naczyń połączonych.

Kościół zyskał w Polsce niezwykle wysoką pozycję moralną i podczas wojny, i następnie w ciągu 45-ciu lat rządów ateistycznych, które starały się zatrzeć granicę pomiędzy dobrem i złem poprzez wprowadzanie zamętu do języka. Kościół przypominał stale o podstawowych wartościach i chronił w ten sposób najprostsze a zawsze prawdziwe rozróżnienia. Zaspokajał dzięki temu potrzebę autorytetu opartego nie na sile, ale na powadze urzędu nauczycielskiego. Toteż Polska stała się krajem dwóch hierarchii, tej pozornej, komunistycznego aparatu, i prawdziwej, na której czele stał Kardynał Wyszyński, niejako regent niewidzialnej monarchii. Miał on szczęście dożyć chwili, kiedy przekazał władzę w ręce króla, którym okazał się jeden z jego biskupów, Karol Wojtyła, wyniesiony na tron papieski jako pierwszy w historii papież Słowianin. Ten niezwykle, paradygmatyczny moralitet, odegrany przez samą historię, zapadł głęboko w świadomość Polaków i przyczynia się do zachowania Polski jako wyspy wierności wobec Kościoła wśród mocno zdechrystianizowanych krajów zarówno na zachód, jak i na wschód od jej granic.

Z pewnością religia nie oznacza tylko tęsknoty duszy ludzkiej do sakralizacji istnienia i do wewnętrznego ładu wobec rzeczy ostatecznych. Jest ona także liturgią i masowym udziałem w obrzędach, kiedy bycie razem, z innymi myślącymi i czującymi podobnie ma swój własny walor, i identyfikacji z bliźnim, i wzajemnego utwierdzania się w wierze. Tych dwóch aspektów w religii nie da się rozdzielić, jakkolwiek zdają się one odpowiadać dwóm różnym rodzajom religijności: wertykalnej i horyzontalnej. Erozja wyobraźni religijnej dotyka zwłaszcza tej pierwszej, o czym łatwo się przekonać poświęciwszy chwilę uwagi wielkiemu przewrotowi nowoczesnej ery, polegającemu na oddzieleniu się literatury i sztuki od tradycyjnego światopoglądu wypracowanego przez wieki chrześcijaństwa. A cóż lepiej świadczy o tym, co dzieje się w głowie człowieka, niż wytwory jego umysłu i ręki? Z kolei te wytwory otaczają nas, przemawiają do nas, i już nie tylko nauka i technika nas od wewnątrz zmienia, również z nich pośrednio zrodzone dzieła literackie i artystyczne. Jednak te wewnętrzne przemiany, mające za skutek trudność wierzenia, pozostają ukryte, niejako pod powierzchnią, podczas kiedy religijność horyzontalna trwa nienaruszona i może nawet święcić triumfy. Wydaje mi się, że ostatnie kilka dziesięcioleci przyniosły przyspieszenie tego procesu, rozdzielania się dwóch nurtów.

Do jego licznych następstw zaliczam wzmożoną aktywność społeczną kościołów chrześcijańskich i udział w ich działaniach, które dotychczas były zostawione zawodowcom polityki. Stanisław Ignacy Witkiewicz przepowiadał, że „etyka pożre metafizykę” i być może odbywa się to dzisiaj również w łonie chrześcijaństwa.

Nie jestem powołany do tego, żeby wypowiadać się o Kościele. Z pewnością jednak kwestie wiary głęboko mnie obchodzą, a one niekoniecznie mogą być mierzone triumfem zewnętrznym Kościoła i ilością wiernych uczestniczących w nabożeństwach. Niewykluczone, że aby uzyskać prawdziwszy obraz tego, co dzieje się w głowach i sercach ludzkich, trzeba wyjść poza krąg słownictwa używanego przez kler w różnych jego wystąpieniach. Co uderza w Polskę dzisiejszej, to ponowne pojawienie się dwóch języków, tyle że miejsce marksistowskiego zajął język katolicki. Można tylko życzyć księżom, żeby tak powszechnie wyrażana zgoda na wiodącą rolę katolicyzmu jako religii całego narodu nie przesłoniła im prawdy nieco innej, ujawnianej w rozmowach, które milkną w ich obecności. Bo, powiedzmy sobie szczerze, ludzie w Polsce zaczęli się księży bać, co nie jest dobrym znakiem. Ponieważ sam mam za sobą doświadczenia z międzywojennego dwudziestolecia, kiedy ksiądz prefekt, czyli katecheta w szkole, miał, na zasadzie Konkordatu, tak dużą władzę, że ani nauczyciele, ani uczniowie nie ośmielali się z nim zadzierać, taki strach jest dla mnie zrozumiały. Iluż na przykład posłów, iluż senatorów odważy się na wypowiedzi, które mogłyby ich narazić na zarzut, że ich poglądy nie są poglądami prawowiernych katolików?

I oto dochodzimy do starego sporu o środki bogate, czyli do pytania, czy Kościół powinien dążyć do użycia państwa jako swego narzędzia tam, gdzie w grę wchodzi najwyższe wartości etyczne.

Zdawałoby się, że skoro człowiek jest istotą słabą i ułomną, odwoływanie się do jego sumienia da zawsze gorsze wyniki niż prawem obwarowane zakazy, które przynajmniej zmuszą go do unikania zła. Czy skoro jest pewien, że jego nauka o tym, jak człowiek ma żyć, jest prawdziwa, Kościół nie ma obowiązku narzucić jej ludziom i starać się tak zorganizować społeczeństwo, żeby jak najmniej oddalało się od religijnych przykazań? Z pozoru wygląda to logicznie, jednak szkody, które niesie twierdząca odpowiedź na to pytanie, znacznie przewyższają korzyści. Rozumieli to dobrze ojcowie-założyciele demokracji amerykańskiej, opartej na zasadzie rozdziału Kościoła od państwa. Thomas Jefferson w swoim projekcie konstytucji stanu Wirginia wyraźnie oddzielił prawa obywatelskie od przynależności obywateli

do takiego czy innego wyznania i konstytucja ta stała się modelem dla konstytucji Stanów Zjednoczonych. Głównym jego argumentem jest stwierdzenie, że „nasze prawa obywatelskie nie są zależne od naszych religijnych opinii, nie bardziej niż od naszych opinii w dziedzinie fizyki i geometrii: i dlatego piętnując jakiegos obywatela jako nie zasługującego na publiczne zaufanie, jeżeli nie opowiada się za tą czy inną religijną opinią, względnie przeciwko niej, pozbawia się go bezprawnie tych przywilejów i pożytków, do których, wraz ze swoimi współobywatelami, ma naturalne prawo; że zasady samej tej religii, którą miano umocnić, zostają poderwane, kiedy przekupuje się monopolem światowych zaszczytów i dochodów ludzi skłonnych udawać, że ją przyjmują i stosują się do jej wskazań; że choć ci, którzy nie umieją oprzeć się takiej pokusie, są występnymi, nie są bez winy ci, którzy na ich drodze kładą taką przynętę”.

Rozdział Kościoła od państwa, ściśle przestrzegany w Stanach Zjednoczonych, nie przeszkodził religii w rozszerzaniu jej wpływów, i dzisiaj, porównując Stany z zachodnią Europą, wypada stwierdzić, że są one znacznie mniej zdechrystianizowane. Ogromna większość obywateli określa siebie jako przynależnych do jednego z wyznań chrześcijańskich, tak że na inne wyznania i na bezwyznaniowych przypada dość nikły procent. Choć statystyki w tym względzie są zawodne, znajdują potwierdzenie w liczbie wiernych chodzących do kościoła. Tym niemniej religia w Ameryce od dawna ma charakter raczej horyzontalny, więzi społecznej łączącej członków danej lokalnej wspólnoty, i ten charakter dzisiaj silnie się zaznacza, co znajduje wyraz we wzmożonym zainteresowaniu służbą „sprawie” — czy będzie nią pokój światowy, czy sprawiedliwość dla ekonomicznie upośledzonych, czy prawo azylu. Zarazem stosunek amerykańskich katolików do etycznych nauk Watykanu jest o wiele bardziej czynny niż u zachodnich Europejczyków, to znaczy ci pierwsi starają się usunąć dystans pomiędzy tym, co się głośno uznaje, i tym, co się robi, podczas gdy ci drudzy zdają się zadowalać permanentnym podziałem na podniosłą, ale „nieżyjącą” doktrynę i wymuszoną przez samo życie praktykę. Przykładem jest stanowisko wobec zakazu używania środków antykoncepcyjnych, zakazu w Ameryce odrzuconego jawnie.

Debaty o stosunkach pomiędzy państwem i Kościołem nie da się w Polsce uniknąć, jednak żeby mogła się odbyć, uczestniczący w niej powinni przemawiać bez obawy. Dlatego korzystam ze swego przywileju, jako że nie ubiegam się o żaden urząd publiczny, a więc nie muszę być ostrożny, i wypowiadam kilka opinii, które na pewno są przez wiele osób wypowiadane po cichu, w gronie zaufanych.

Wyniosłem i zachowałem tak dużo z lekcji religii w szkole średniej, zwłaszcza z historii Kościoła, dogmatyki i apologetyki, że nie byłbym w porządku, gdybym lekceważył zalety wychowania katolickiego. Jednakże, skoro tak dobrze rozwinął się system katechezy poza budynkiem szkoły, muszę przyznać, że bardziej trafiały mi do przekonania argumenty przeciwników zmiany i wydali mi się oni bardziej dalekowzroczni. Wszelka oficjalność i wszelki przymus szkodzą religijnej wierze i należy ich, jeżeli można, unikać. Udział w lekcjach jest dobrowolny, ale sytuacja jest inna w krajach, gdzie większość rodziców jest bezreligijna (na przykład w Czechach) albo należy, mniej więcej równomiernie, do kilku wyznań. Tam, gdzie przeważająca katolicka większość odnosi się do wyznaniowej mniejszości niechętnie, jako pozbawionej cech „dobrego Polaka”, grozi nacisk przewidziany przez Thomasa Jeffersona. Spora liczba rodziców i dzieci będzie się opierać takiemu naciskowi w imię wolności sumienia, ale wtedy te dzieci żadnego przygotowania religijnego nie otrzymają. Oczywiście, dużo zależy od poziomu umysłowego i zdolności pedagogicznych księży katechetów; jeżeli ktoś mnie zapewni, że wszystko tutaj przedstawia się dobrze, wycofam moje podejrzenia co do szkoły jako wylęgarni antyklerykalizmu. Przyznaję się do niewiedzy i pozostawiam margines wątpliwości. Niepokoiło mnie jedynie to, że powrót religii do szkół dokonał się nagle i nie był poprzedzony debatą, tak że robił wrażenie lekkiej zależności sfer rządowych od hierarchii kościelnej.

A również nie wygląda na to, żeby obsesyjne zajmowanie się kleru sprawami moralności seksualnej mogło być w Polsce swobodnie dyskutowane. Zmiany w kościele spowodowane przez Vaticanum II spowodowały na Zachodzie znane zjawisko kłaniania się katolików nowoczesnemu światu i wkupywanie się w jego łaski, a że nowoczesne społeczeństwa techniczno-przemysłowe są przyzwalające, wielu wiernych, również księży, licytowało się w przyzwalaniu. Na tym tle opór ze strony hierarchii kościelnej w niektórych krajach nabiera szczególnej wymowy, czynienia wszystkiego dokładnie na opak. Zważmy jednak, że kraje te, wśród nich Polska, znalazły się w sytuacji innej niż zachodnia część Europy i północna Ameryka. Światowy rekord aborcji należy albo do katolickiej Polski, albo do bezwyznaniowego Związku Sowieckiego, nie będę przesądzać, komu tutaj należy się pierwszeństwo. Spędzanie płodu jest, nazwijmy to po imieniu, ciężkim grzechem i zbrodnią, ale stosowane jest masowo tam, gdzie brak jest środków zapobiegających ciąży, i doszło do tego, że kobiety traktują lekkomyślnie ten zabieg jako środek zastępczy. Zjawisko aborcji ma więc w Polsce inne wymiary niż na Zachodzie, gdzie środki antykoncepcyjne są względnie łatwo dostępne.

Nie bez pożytku chyba będzie, jeżeli przytoczę zdanie pewnego amerykańskiego księdza, z którym rozmawiałem na te tematy. Nie jest on skłonny do demonstracyjnych aktów nieposłuszeństwa wobec hierarchii jak niektórzy z jego kolegów, w swoich sądach nie odbiega jednak od dość powszechnie przyjętych opinii. Według niego dziedzina obyczajowości seksualnej jest tak szczególna i tak przy tym zależna od historycznych uwarunkowań, że z trudem poddaje się niezmiennym regułom narzucanym z zewnątrz, z czego zdają sobie sprawę kościoły protestanckie, zostawiające te problemy sumieniu wiernych. Kościół katolicki, wprowadzając, wbrew orzeczeniu swojej komisji ekspertów, zakaz używania środków antykoncepcyjnych, dokonał tego, co nazywa się „strzelaniem sobie w stopę” i odtąd nie może wywikłać się ze sprzeczności. Zakaz ten nie jest przestrzegany, co być może jest następstwem przemian w świadomości wiernych po Vaticanum II, kiedy to historyczność poszczególnych ustaleń i instytucji, jak zdawało się dotychczas, niezmiennych, została uznana, co doprowadziło do zarzucenia potrydenckiego kanonu mszy św., usunięcia łaciny, zniesienia postów. Stąd też tendencja do uważania wypowiedzi Kościoła o moralności seksualnej za obowiązujące chwilowo, skazane na zniesienie wcześniej czy później. Zresztą, mówi mój ksiądz, rozmaicie z tym bywało w dziejach chrześcijaństwa i nie należy zanadto sugerować się obyczajami ostatnich stuleci. Bardzo długo na przykład małżeństwo było instytucją cywilną, nie sakramentem i tylko stopniowo udział duchownego przy ślubie został usankcjonowany przez uznanie w XIII wieku małżeństwa za sakrament.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu, przypomina mój rozmówca, większość rodzących się dzieci umierała w dzieciństwie, a dzieje się tak nadal w Trzecim Świecie, wskutek chorób i niedożywienia. Czyżbyśmy mogli być za tak niewątpliwie naturalną kontrolą urodzin i mieć za złe medycynie, że starała się i stara temu zapobiec? Zajmując stanowczo negatywne stanowisko wobec spędzania płodu, nie można równocześnie dzielić środków przeciwko ciąży na naturalne i wymyślone przez naukę, zakazując tych ostatnich. Zresztą Kościół ma nie tylko prawo do nauczania kobiet, jak wielkim złem jest aborcja, ma również wobec nich obowiązki. Kobieta, która zajdzie w ciążę, a zwłaszcza młoda dziewczyna niezamężna, powinna czuć się otoczona chrześcijańską opieką, móc liczyć na zrozumienie i pomoc, zarówno ze strony instytucji kościelnych, jak bliźnich.

Poglądy tego księdza są chyba bardziej ludzkie niż tych duchownych, którzy z powodu drzew nie widzą lasu i zamiast Ewangelii głoszą religię zakazów. Wynikiem tego jest uważanie za moralnego potwora każdego obywatela, który opowiada się

za prawem ustawodawców do swobodnej debaty, kiedy przychodzi na przykład do ustawy o aborcji. W tak zawilej i delikatnej materii, z mnóstwem prawnych i społecznych konsekwencji domagających się rozważenia, raczej nie dzieli się wyraźnie na czarne i białe, toteż lepiej, jeżeli się założy, że przeciwnik ma szlachetne intencje, nawet gdyby się mylił.

Dotknąłem tych zagadnień nie dlatego, że roszczę pretensje do miarodajności, po prostu gdybym je pominął, nie mógłbym przystąpić do rzeczy dla mnie znacznie bardziej ważnych.

Triumf Kościoła w zakresie religijności, jak to nazwałem, horyzontalnej, niezupełnie mnie cieszy, bo przypominają się niektóre dawne jej formy — a więc zarówno religijność sarmacka, jak ta sprzed pół wieku, kraju lat międzywojennych. W obu wypadkach religijność wertykalna, a na niej mi przede wszystkim zależy, niezbyt dobrze na tym wychodziła. Przed wojną klerykalizm polityczny, sprzymierzony z prawicą, napotykał opór ze strony dość płytkiego antyklerykalizmu intelektualistów i ten podział na dwa obozy zwężał pole działania nielicznych jednostek naprawdę przejmujących się myślą religijną.

W latach powojennych nastąpiła w tym względzie niezwykła zmiana, której rozmiary można ogarnąć jedynie porównawczo: oto powstało katolickie środowisko intelektualne, zaledwie istniejące w międzywojennym dwudziestolecu, z rzadkimi wyjątkami, na przykład grupa wokół pisma *Verbum*, a przy tym liczniejsze i żywsze niż chyba w jakimkolwiek innym kraju o przewadze ludności katolickiej. Nie znaczy to, że nie było w tamtej Polsce wybitnych myślicieli o orientacji religijnej, jak na przykład Marian Zdziechowski czy Karol Ludwik Koniński. Jednakże środowisko to co innego niż izolowane osobowości. Po wojnie jego wzmacnianie się i rozwój można mierzyć ilością książek pisanych przez należących do tego kręgu autorów albo tłumaczonych przez nich z innych języków. W żadnym bodaj kraju opanowanym przez komunistów nie wytworzono tak silnej przeciwwagi oficjalnym bełkotom jak w Polsce, gdzie działały i katolickie domy wydawnicze, i pisma na wysokim poziomie, tudzież uniwersytet katolicki.

Powstały w ten sposób warunki dla nowego układu przymierzy. Nie jest dla nikogo sekretem, że przed wojną inteligencja, zwłaszcza tzw. inteligencja twórcza, boczyła się na kościelny „ciemnogród” i że przymiotnik „katolicki” oznaczał dla niej „obskurancki”. Dopuszczono wyjątki, przyjmowane jednak jako rodzaj egzotycznych zwierząt. I dopiero w ciągu ostatnich dziesięcioleci religia w oczach tej inteligencji stała się czymś zupełnie innym, nierozdzielnie związanym z rozmyślaniem nad kondycją ludzką, a zasługa przypada tutaj energicznym działaniom świat-

łych umysłów zarówno wśród (niekiedy) księży, jak laikatu. Mówię to opierając się na własnym doświadczeniu, na mojej współpracy z wyjątkowym pod wieloma względami księdzem śp. Józefem Sadzikim, dyrektorem Editions du Dialogue w Paryżu.

Było to za piękne, żeby mogło trwać. Całe to środowisko katolickich intelektualistów zawdzięczało swoją atrakcyjność w znacznym stopniu państwu szerzącemu religię dialektycznego materializmu. Opór wobec płaskiej i suchej doktryny zyskiwał inny, głębszy niż polityka wymiar, kiedy odwoływano się i do Pisma Świętego i do całego bogactwa dzieł myśli i sztuki z jego natchnień poczętych, czyli do tradycji Europy chrześcijańskiej. W istocie to właśnie środowisko utrzymywało najlepiej łączność z myślą i twórczością Zachodu, zarówno w ich religijnej, jak i niereligijnej odmianie. Ale z chwilą kiedy znikło państwo ateistyczne i konieczność oporu przeciwko niemu, dawny układ powrócił ze zdumiewającą siłą, jakby społeczeństwa ludzkie były poddane zasadzie homeostatu: katolickie środowisko intelektualne zostało uznane przez katolicki ogół za „Żydów i masonów”.

Religia wyrasta z tak mocnych potrzeb człowieka, że nie można do jej losów stosować miary dziesiątków lat, raczej potrzebne są tu stulecia. Przejście od starożytności pogańskiej do chrześcijaństwa w imperium rzymskim było długotrwałym procesem. W jakim momencie pochrześcijańskiej cywilizacji naukowo-technicznej jesteśmy, odgadnąć trudno, bo skoro przebywamy wewnątrz niej, brak nam perspektywy. Tym niemniej z obserwacji takich krajów, jak Anglia czy Francja, ze spadku liczby kandydatów do stanu duchownego, z teologii „śmierci Boga” i teologii *Deus otiosus*, czyli Boga bezczynnego, wyłania się obraz daleko posuniętego odpływu wiary.

Religijność horyzontalna na kontynencie amerykańskim korzysta z zaangażowania społecznego, z teologii wyzwolenia na przykład. Natomiast w naszej części Europy jest sprężyną z gwałtownością uczuć narodowych, tak że polskość czy słowackość są utożsamiane z katolicyzmem rzymskim, ukraińskość z katolicyzmem greckiego obrządku, rosyjskość z prawosławiem itd. To sprężynienie może działać przez czas dłuższy, osobiście jestem jednak sceptyczny. Może się tak zdarzyć, że kler będzie celebrować obrzęd narodowy, kropiąc, święcąc, egzorcyzmując, ośmieszając się zarazem swoim tępieniem seksu, a tymczasem będzie postępowo wydrążało się religii od wewnątrz i za parę dziesiątków lat Polska stanie się krajem równie mało chrześcijańskim jak Anglia czy Francja, z dodatkiem antyklerykalizmu, którego zaciekłość będzie proporcjonalna do władzy kleru i jego programu państwa wyznaniowego.

A tymczasem stawka jest większa i gdzie indziej ulokowana. Stało się coś złego z religią wskutek zwycięstwa nauki, zwłaszcza w dziewiętnastym wieku, i nie jest wykluczone, że dotychczas mamy do czynienia ze zjawiskiem opóźnionej świadomości, tzn. nasze wyobrażenia o wszechświecie i świecie ludzkim zatrzymały się na tamtym, dziewiętnastowiecznym poziomie i że nie umiemy zdobyć się na nowe ujęcia, bliższe temu, co odtąd zdarzyło się w myśli naukowej. Nie umiemy przede wszystkim z braku odpowiedniego języka, o czym zresztą przekonuje dzisiaj zarówno nieprzetłumaczalność niektórych zasad intuicji nauki poeinsteińskiej, jak nieporadność teologii. A przecież wiele się odbywa równolegle z przejawami rozpadu i dekadencji, „idzie nowe”, czego świadomi są ludzie śledzący znaki, zapowiedzi w dziedzinie poezji, malarstwa czy muzyki, czy też, co może ściślej, w dziedzinie, którą da się określić tylko w przybliżeniu.

Mój artykuł podyktowała troska o zachowanie gotowości, otwarcia, tak żeby zapobiegać zastygnięciu w strukturach odziedziczonych, które mogą sprawić, że wymiar religijny stanie się dla ludzi w Polsce niedostępny i nawet wstrętny z powodu błędów triumfalizmu.

Czesław MIŁOSZ

MÓJ KOMENTARZ

Przeczytałem z zainteresowaniem artykuł Czesława Miłosza (*Gazeta*, 11 maja 1991) pt. „Państwo wyznaniowe?”. Ten artykuł wydaje mi się ważny nie dlatego, że autor zajmuje w nim stanowisko w sprawie spędzania płodu, ale dlatego, że stawia problem samej religijności polskiej i słusznie zwraca uwagę na fakt, że Polska zajmuje dziś w tej sprawie, m.in. ze względu na osobę papieża, stanowisko centralne. Rzecz nasunęła mi parę refleksji, które chciałbym tutaj sformułować.

1. Religia — każda wielka religia — ma zawsze dwa składniki, indywidualny i społeczny (Miłosz nazywa je „wertikalnym” i „horyzontalnym”). Jest z jednej strony „tym, co człowiek robi ze swojej samotności” (Whitehead), z drugiej sprężyną — być może nawet podstawową sprężyną — życia społecznego, a więc sprawą w najwyższym stopniu społeczną (Durckheim, który n.b. był agnostykiem). Aspołeczna wielka religia może być pomyślana, ale zdaje się że jej nie ma i nigdy nie było w przyrodzie.

2. Stąd nie wynika oczywiście, by każda religia musiała domagać się państwa wyznaniowego. W dziejach chrześcijaństwa spotykamy dwie różne postawy w tej sprawie, starożytną i średniowieczną. W starożytności chrześci-

anie uważali państwo za neutralny dach, pod którym mogli współżyć z poganami. Natomiast chrześcijaństwo średniowieczne (podobnie jak współczesny islam) pielegnowało ideał państwa chrześcijańskiego, wyznaniowego. Warto przypomnieć, że ten ideał niekoniecznie wyklucza tolerancję innowierców — domaga się tylko uznania przez państwo najważniejszych wartości religijnych i moralnych danej religii.

3. To jest więc pierwszy problem: chcemy mieć chrześcijaństwo typu starożytnego czy średniowiecznego? Miłosz zdaje się sugerować, że państwo wyznaniowe a z nim średniowieczny typ chrześcijaństwa należy do przeszłości. Ja myślę, że się myli. Państwa wyznaniowego domaga się np. jedynym głosem miliard współczesnych mahometan i wielu innych. Nie wyciągałbym zbyt pospiesznych wniosków ze zwycięstwa gen. Schwarzkopfa nad Husejnem. Nie należę też do tych, którzy zachwycają się Fujijamą, autorem amerykanochwalczej tezy. Jutro, obawiam się, może być całkiem inaczej. W każdym razie dziś bodaj przytłaczająca większość religijnych ludzi świata domaga się państwa wyznaniowego. Problem jest więc realny.

4. Miłosz uznaje jego istnienie, skoro wysuwa pewien argument przeciw koncepcji średniowiecznej. „Wszelka oficjalność — pisze — i wszelki przymus szkodzi religijnej wierze”. To zdanie spod pióra Miłosza mocno mnie zdziwiło. Bo jeśli rzeczywiście czasem tak bywa, jak on pisze (i jak wierzy motoch) to na ogół było w dziejach wręcz odwrotnie, czy to się komu podoba czy nie. Tak, aby przytoczyć skrajny przykład, XVI wiek, a więc okres największego nasilenia Inkwizycji w Hiszpanii, jest równocześnie wiekiem rozkwitu mistyki hiszpańskiej, wiekiem św. Teresy z Awilli, św. Jana od Krzyża, św. Ignacego Lojoli i tylu innych. Miłoszowa tak dziś popularna teza jest gruntownie sfalsyfikowana przez dzieje.

5. Ale zagadnienie wyboru między tymi dwiema tradycjami jest tylko jednym z wielkich problemów dla myślących katolików polskich. Obok niego mamy, niemniej palącą dzisiaj, sprawę narodowego odcienia katolicyzmu. Kościół katolicki — ileż razy trzeba to przypominać? — nie jest jednolitą partią totalitarną i być katolikiem nie znaczy koniecznie być katolikiem typu francuskiego, choć wielu naszym intelektualistom tak się wydaje. Polacy nie gęsi, mają nie tylko własną mowę, ale i własne rozumienie chrześcijaństwa. Katolicyzm polski istnieje, znowu czy on się komuś podoba czy nie. Pytanie, czy chcemy w Polsce mieć ten polski odcień katolicyzmu, czy raczej inny, powiedzmy hiszpański, jest drugim ważnym dla nas problemem.

6. O ile Miłosza rozumiem, polski rodzaj chrześcijaństwa (nazywa go „wiarą sarmacką”) jest, powiedzmy, niesympatyczny. Na dobrą sprawę odnoszę wrażenie, że on ma dla niego pogardę. W każdym razie niedługo polski intelektualista pogardza nim stanowczo. Niedawno czytałem np. w *Studium Papers*, że religijność polska to kilka tabu i zabobonów, że więc nie jest w ogóle religią. Otóż wolno oczywiście każdemu dany odcień naszej wiary lubić albo nie lubić. Ale ci panowie nigdy nie spowiadali w Polsce i nie modlili się z polskimi robotnikami, a mimo to stanowczo potępiają wszystko co polskie w religii. Można i tak. Najłatwiej pisać o rzeczach, których się nie zna. *Mój brat nie czyta całkiem, a przecież jest marszałkiem*, nie?

7. Otóż katolicyzm polski przyznaje się do tradycji średniowiecznej, a nie do antycznej. Przyznaje się też do autentycznej wiary w Boga, a nie w ja-

kiegoś umarłego bałwana, jak tylu teologów w innych krajach. Nic więc dziwnego, że tacy książęta Kościoła jak kard. Ratzinger (Niemiec) i kard. Gnatin (Murzyn) są przez wielu cudzoziemskich katolików uważani za „Polaków”, bo współpracują z papieżem wiernym polskiej tradycji. Jakkolwiek by z tym było, mamy połączenie obu problematyk: 1) jakiego chrześcijaństwa chcemy, typu starożytnego czy średniowiecznego i 2) czy chcemy zachować nasze polskie rozumienie katolicyzmu, czy przyjąć jakieś inne?

Wydaje mi się, że tak mniej więcej należałoby stawiać i dyskutować zagadnienie.

Widzę niestety z przykrością, że współczesna dyskusja w Polsce wygląda często raczej na wymianę potajonek niż na kulturalną dyskusję. Sam Miłosz sprawił mi niemałą przykrość. Sugeruje, że stanowisko duchowieństwa w sprawach seksualnych należy przypisać obsesji księży. Otóż być może, że ten czy inny ksiądz polski ulega rzeczywiście takiej obsesji, ale nauka którą głosi nie jest przecież jego wynalazkiem, lecz dziełem starych papieży. Będąc sam stary mogę Miłosza zapewnić, że w tym wieku żadne obsesje tego rodzaju człowieka, jak to mówią, nie grzeją. A niezależnie od tego, grzebanie w mniej lub więcej erotycznej podświadomości przeciwnika nie jest moim skromnym zdaniem ładnym zabiegiem polemicznym. Co prawda w czasach Oświecenia przyjęło się, że przeciw katolickiemu klesze wolno wszystko. Ale żeby to znaleźć u Miłosza, który jest dla nas wszystkich tak wielkim autorytetem kulturalnym! *Ot przykrość w ta pora.*

J.M. BOCHEŃSKI

Reformacja w Polsce czyli burza bez grzmotów

Mijało pół millenium od wejścia Polski w krąg rodziny chrześcijańskiej za pierwszych Piastów, gdy nowe pół millenium Europy rozpoczynało się powszechnym żądaniem reform wewnątrz Kościoła. Żądanie to niebawem nabrało znamion potężnego ruchu, zwanego reformacją. Mogło się zrodzić pytanie, czy Polska pozostanie wierna tradycji pięciuset lat udziału w życiu duchowo-religijnym Zachodu i czy potwierdzi na nowo swą obecność w tak ważnym momencie dziejów po stronie nowych prądów.

Dla odpowiedzi potrzeba porównań. Każdy z głównych aktorów dzieła reform — Niemcy, Francja, Anglia — inaczej podchodził do problemu, zależnie od właściwości społeczeństwa i swoich cech indywidualnych. Jak mówi współczesny historyk angielski, „indywidualizm i sąd osobisty są kamieniem węgielnym reformacji”.

U Marcina Lutra czuje się jego formację monastyczną. Wdrożona mu dyscyplina zakonu augustynianów kierowała od początku jego sumieniem, tak iż nie było mowy o tym, żeby podkopywać cokolwiek z dogmatów macierzystego Kościoła. Jego krytyka stosunków wewnętrznych macierzy, które poznał sam gdy był w Rzymie, szła na karb kurii, nie papieża. Wyraził to w liście do Leona X słowami: „Odnoszę się pokornie do Waszej Świątobliwości, ale czuję obrzydzenie do Waszego rzymskiego dworu, który wydaje mi się bardziej zepsuty niż były ongiś Babilon i Sodomia”. Na co Ojciec Święty miał żartobliwie odeprzeć w gronie bliskich: „Brat Marcin ma zdolne pióro, ale jego słowa są zwykłą mniszą paplaniną”. Tymczasem brat Mar-

cin już pracował w swej celi w Wittenberdze nad tłumaczeniem Ewangelii na język niemiecki, z intencją „powrotu chrześcijaństwa do jego prawdziwych źródeł”. Takie bowiem było założenie reform: oczyścić źródła wiary Chrystusowej od późniejszych naleciałości. W Rzymie to bagatelizowano. Nad mnichem z Saksonii przechodzono do porządku dziennego.

Jan Kalwin posiadał francuski intelekt i był przeciwnikiem saskiej metodyczności i monastycznej pedanterii Lutra. Obyty w akademickich kołach Paryża, Bazylei i Genewy, teolog z wykształcenia, był nastawiony na spekulacje o atrybutach boskich i ich wadze dla człowieka. Tkwiący w nim moralista wiodł go do idei predestynacji, czyli znaczenia łaski boskiej w grzesznym życiu jednostki. Odżywała tu teza z czasu dawnych Ojców Kościoła (oraz kontrowersji św. Augustyna z Pelagiuszem), która przechodziła etapy wahań dogmatycznych, raz aprobowana przez hierarchię, innym razem dezawuowana. Problem wciąż jest żywy, choć w innym związku. Kwestia dziedziczności dobrych czy złych skłonności jest na nowo pełna aktualności dla XX-wiecznych badaczy genów w laboratoriach Europy i Ameryki. Za czasów Kalwina Watykan wołał umywać ręce od wnikliwości religijno-filozoficznych francuskiego reformatora. Ale że ten nie tylko rezonował, ale też działał, promieniując z Genewy na całą zachodnią Europę, nie było innej rady jak obwołać go heretykiem.

Kalwinizm szedł przez kraje języka francuskiego siłą rewolucji moralnej. Ogarniał uniwersytety, miasta, arystokrację, wśród zwolenników liczył nawet króla Henryka IV, znanego ze swego szerokokodusznego edyktu nantejskiego, który zrobił z niego jednego z najbardziej światłych monarchów, jakich Francja wydała. Fala dotarła również do Polski (o czym później). Rozgrzała w Niderlandach ludność do zrzucenia znienawidzonego jarzma hiszpańskich Habsburgów. Później, gdy tysiące kalwinów francuskich, zwanych hugenotami, musiały opuszczać swoją ojczyznę z powodu odwołania edyktu nantejskiego przez Ludwika XIV, zaczęli oni zaszczeptać wraz z kalwinizmem kulturę francuską w krajach, które ich przygarniały, głównie Szkocji, Holandii i Prusach.

Postęp reformacji objął i Anglię. Atoli w porównaniu z odstępstwem od Rzymu innych krajów w Europie, zwłaszcza religijno-filozoficznego podkładu czołowych prowodyrów w reformacji gdzie indziej, wprowadzenie protestantyzmu do Anglii musi być traktowane jako specyficzny epizod historyczny monarchii tego kraju, mający mało wspólnego z potrzebami psychologicznymi ludności. Wychodząc z motywów osobistych króla Henryka VIII, epizod ten był królewskim kaprysem, mieszaną brutalności autokraty i wyspiarskiego prowincjonalizmu i

1. F. Gontard, *Die Päpste*, str. 384, Monachium 1959.

mógłby być zbyty jako taki, gdyby nie fakt, że skutki antypapieskiego nastawienia króla Anglii miały się rozleść szerokim promieniem na świat, krótko mówiąc zaszczipiając opór przeciwko Rzymowi w rodzących się zamorskich koloniach Wielkiej Brytanii aż po Amerykę i Australię.

W tych warunkach, porównując motywy i środki, trudno stawiać nowożytny anglikanizm na równi z głębszymi aspiracjami protestantyzmu kontynentalnego i jego teologią. Redukuje się on do pewnego lokalnego odprysku od Rzymu pokażnej części rodziny chrześcijańskiej, na pewno dynamicznej, ale też posiadającej swe granice duchowe. Znajduje to wyraz w zachowanych przez anglikanów niektórych formach skrajnej fasady rzymskiej, zwłaszcza w liturgii. Ponieważ jednak nie każdą jednostkę zadowolić mogą zewnętrzne formy jako wyraz religii, więc znalazł się sposób zaspokojenia drżących w duszy angielskiej głębszych potrzeb petyzmu i chrześcijańskiej miłości bliźniego w sektach i organizacjach charytatywnych, jak kwakrowie, i metodyści.

Nie jest zapewne przypadkiem, że prowadzony dziś przez Watykan dialog ekumeniczny z niektórymi Kościołami chrześcijańskimi znajduje w pewnych kołach kurii szczególną preferencję dla rozmów z anglikanami. Są oni „najbliższymi” pośród protestantów, heretykami jak inni, ale może nie całkowicie „nienawracalnymi”.

Po krótkim wyliczeniu głównych animatorów reformacji w Europie, czytelnik może szuka nadaremnie głosu z Polski. Dlatego jest to moment, żeby wymienić jedno wybitne nazwisko polskie — Mikołaja Kopernika. Nie należy on wprost do rzędu reformatorów religijnych (oficjalnie był kanonikiem na Warmii), ale łączy go z reformacją wewnętrzną spoidło ducha, ponieważ wprowadził ludzkość w nową erę. Przyjaciół wielu osobistości z europejskiej elity intelektualnej, Kopernik był też rówieśnikiem wielu aktorów przewrotu tego wieku. Dążył ich śmierci następowały krótko po sobie: Kopernika 1543, Lutera 1546, Henryka VIII 1547, Kalwina 1564. W 99 lat po Koperniku umierał Galileo Galilei, wielki interpretator naszego astronoma, ofiara w słynnym procesie Świętej Inkwizycji. Ta potężna ręka Kościoła opierała się temu, ażeby kopernikowskie dzieło „*De revolutionibus orbium coelestium*” zrewolucjonizowało myśl ludzką. Życie dowiodło, że trud był daremny. Na razie przeszkody ciemnoty działały i dzieło Kopernika znalazło się na indeksie. Gdy profesor Setelle pisał podręcznik o astronomii na uniwersytecie rzymskim, musiał staczać walkę z cenzurą watykańską, nie dającą się przekonać, że Ziemia obraca się dookoła Słońca. Rok był 1822².

2. Jeremi Wasiutyński, *Kopernik*, str. 517, Warszawa 1938.

Sytuację jaka istniała w momencie przełomu myśli europejskiej na progu czasów nowożytnych, jeden z czołowych polskich historyków doby przedwojennej ocenia następująco: „Reformacja stanowiła prąd dziejowy, który do głębi wstrząsnął narodem, wyrwał go z bezczynności, wielkie a trudne zadania mu postawił i ku osiągnięciu tych zadań zapalił i popchnął. Wielkie sobory wieku XV były dowodem, że w ramach systemu scholastycznego i jego środkami nie tylko dalszy postęp ludzkości, ale nawet konieczna reforma Kościoła nie dała się skutecznie, a sobór laterański, zwołany w r. 1512, w chwili najwyższego rozkwitu humanizmu, zupełną swą bezsilność w sprawie reformy ujawnił”. Autor kończy konkluzją, że „za długo ludzkość czekała na reformę legalną, wychodzącą z góry, więc zniecierpliwiona posunęła się do niej sama i porwała zuchwale. Ten ruch (reformacji) był zjawiskiem dziejowym, powszechnym w łonie społeczeństw wychowanych w cywilizacji Kościoła rzymskiego a humanizmem dotkniętych, był dążeniem tym większym, że celu swego dopiął”.

O soborze laterańskim (1512-17) można krótko powiedzieć, że miał łączyć dziury, ale tego nie zrobił. Sędziwy Juliusz II, czując już koniec pontyfikatu, nawet nie miał siły wysłuchać mowy otwarcia generała augustynianów z Viterbo, świeżo poruszonego poczynaniami swego brata-augustynianina z Wittenberga. Ojciec święty był jeszcze myślami na wojnie z włoskimi nieprzyjaciółmi papieża, więc nie miał czasu myśleć o wrogach Kościoła *intra muros*. Gdy niebawem umarł, sobór stracił i kierownictwo i słuchaczy, aż następca w osobie Leona X-go formalnie go zamknął. Tymczasem orędzie reformacji szło dalej i bullę papieską palono na stosie razem z Summą Teologii Tomasza z Akwinu. We Francji podnosił głowę „gallikanizm” w coraz bardziej hardych manifestacjach przeciwko Rzymowi. Ruch ten zarysował się już w Bourges w króla Karola VII „sankcji pragmatycznej” (1438), a teraz domagał się jeszcze głośniejszego rozluźnienia nadzoru papieskiego nad życiem religijnym Francji i jej ludności. Wyraziło się to jeszcze silniej na ostatnim soborze narodowym biskupów francuskich w Tours. Gallikanizm wchodził widocznie w krew całego kleru na prowincji i zapowiadał się jako stałe zjawisko w stosunkach Francji z Rzymem, co wielce niepokoiło Watykan.

Z Polski zaczynały przesiąkać odgłosy natury pokrewnej, jakkolwiek ich kontury były mniej jednolite od francuskich, niekoniecznie dorównujące ostrości galickiej retoryki stylu. Wiele prowincji polskich miało ludność etnicznie mieszaną. Nowatorskie prądy zza granicy trafiały na podatniejszy grunt tam, gdzie język był podobny. I tak luteranizm znajdował łatwo wstęp do Gdańska z jego przeważnie niemiecką ludnością. Podobnie działo

3. Michał Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, t. II, str. 51-52.

się w miastach Prus Królewskich, Kujaw i Wielkopolski, gdzie element mieszczański był również częściowo niemiecki, więc podatny na import idei zza pobliskiej granicy, czy to od strony Brandenburgii, czy Śląska. Co jednak mogło dziwić, to szybkość ekspansji luteranńskiej. Reformacja niebawem zdobyła sobie duże oazy w całej zachodniej połaci państwa, zaczynając od brzegów Bałtyku na północy aż po pogranicze czesko-morawsko-słowackie na południu. Tu na południu „nowinki” luteranские nie były całkowitą nowością, bo miały precedensy. Husytyzm szerzył się tu ze źródeł czeskich od chwili spalenia jego twórcy na stosie soborowym, a teraz jego kaznodzieje znajdowali w Polsce schronienie, gdy uchodzić musieli z Czech nie tylko dla swej wiary, ale również przed rosnącą pod Habsburgami falą germanizacji. Był to więc ruch tylko częściowo religijny, bo również polityczny, nacjonalistyczny, antyrzymski i antyklerykalny. Ta nuta trafiała teraz w ucho polskie. Gdy chodziło o polską wieś, kolcem w oku były wielkie posiadłości ziemskie Kościoła. W Wielkopolsce Kościół rozporządzał jedną dziesiątą wszystkich ziem uprawnych, to jest nieco więcej aniżeli stan posiadania Korony (9%). Odsetek dla innych części Polski wyglądał jeszcze bardziej rażąco: na Mazowszu do Kościoła należało około 25% wszystkich ziem, a do Korony tylko 5%. Na sejmikach szlachty, a nawet w sejmie dochodziło do ostrych wybuchów. Padały wtedy gorzkie słowa i wypominano jednym tchem „rzymskie prawa”, „rzymską kurie” itp. w tonie niekoniecznie antyreligijnym, ale na pewno w duchu ksenofobii.

Atmosferę pogarszały nie zawsze dobre stosunki wysokiej hierarchii katolickiej w Polsce z kurią rzymską, zadające kłam sielankowemu obrazowi tradycyjnej uległości synowskiej polskiego Kościoła autorytetowi Stolicy Apostolskiej. Nie poprawiała sytuacji istniejąca metoda obsadzania biskupstw. Biskupów w Polsce mianowała Korona, z tym że Ojciec święty dawał aprobatę — źródło częstych dysonansów. W r. 1530 papież Klemens VII wystąpił z gwałtowną reprimendą przeciwko arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Janowi Łaskiemu za jego świeckie poglądy na ówczesny dyplomatyczny *status quo* w politycznym układzie Europy. Watykan popierał Habsburgów, a polski „Archidiabolus” (jak naszego arcybiskupa-prymasa nazwał w liście pełnym pasji Ojciec święty) żywił sympatie pro-ottomańskie. Watykan żądał od króla Zygmunta poparcia w ekskomunie prymasa i tylko dzięki temu, że kancelaria królewska zignorowała te wymagania, sprawa nie miała dalszych następstw. W atmosferze podobnych drażniących incydentów reformacja znajdowała sprzymierzeńców w różnych sferach społeczeństwa, monarchia nie musiała koniecznie przykładąć ręki do jej sukcesu. Dla myślących jednostek stawało się jasne, że należy rozróżnić

sprawy religii od spraw kleru i było wiele przykładów podczas zjazdów politycznych i w publicystyce, że świadomość ta wzrastała w narodzie jak nigdy dotąd. Wśród zanotowanych epizodów anegdotycznych figuruje raport sekretarza jednego z nuncjuszów papieskich z sejmiku szlachty mazowieckiej. Na wokandzie był szereg różnych spraw. Dopóki dyskusja dotyczyła tematów konfesyjnych i liturgicznych, sejmik trzymał się wiernie tezy katolickiej. Ale gdy obrady weszły na tor przywilejów dla kleru, plenum katolickie zaczęło się kruszyć i wychodziły z niektórych uczestników „rogi” heretyckie. Wreszcie, gdy sejmik przeszedł do kwestii ulg podatkowych dla Kościoła, całe forum jak jeden mąż przeszło na wojowniczy kalwinizm⁴. Kanclerz koronny Jan Tarnowski był zdania, że w wielu sprawach spornych, gdzie strony reprezentują odmienne wyznania, „nie chodzi wcale o religię, lecz o kwestię swobody obywatelskiej”. Dla wielu ludzi w Polsce reformacja była ruchem klasowym, który posłużył się tą okazją dla emancypacji społecznej grup czekających takiego czy innego wyzwolenia — od władzy monarszej, od pańszczyzny, od przewagi Kościoła w życiu człowieka itd. Zadanie reformacji można było interpretować rozmaicie, ale też w tej różnorodności mogły się kryć zarodki słabości.

Wiadomości nadchodzące z Polski nie musiały na razie niepokoić Stolicy Apostolskiej. Dopóki postęp reformacji zdawał się nie wychodzić poza orbitę polskich swobód obywatelskich, był on częścią rzeczywistości politycznej kraju, zwłaszcza że ta rzeczywistość stanowiła kamień węgielny struktury społecznej Polski w danej chwili. Dla Rzymu, tak jak dla większości widzów za granicą, reformacja w Polsce miała charakter zjawiska wewnętrznego, nawet prowincjonalnego. Była wyrazem cech narodowych polskich, cenionego w narodzie uczucia niezawisłości osobistej, nawet niesforności i braku dyscypliny. Zostawała więc w kręgu urządzeń ustrojowych i obyczajowych, daleko od chęci burzenia gmachu tradycji, związanych z katolicyzmem i Kościołem. „Religia była zawsze dla Polaków rzeczą doniosłą”, pisze współczesny historyk polski w dziele przeznaczonym na użytek czytelnika cudzoziemskiego. „Polacy — kontynuuje — zwykli używać religii dla zdefiniowania swojej tożsamości i ustalenia narodowej mitologii. Było też w tym rzucenie na ekran świata wizji narodu zespolonego ze swoją religią silniej niż inne narody⁵. To wszystko więc mogło działać na Rzym uspokajająco. Burza w Polsce zdawała się przebiegać bez grzmotów.

4. Adam Zamoyski, *The Polish Way*, str. 84, Londyn 1987.

5. Adam Zamoyski, *l.c.*, str. 75.

Ale pamiętajmy, kto wtedy rządził Kościołem w Rzymie. W momencie gdy dokonywał się w Niemczech dramat pierwszej z kolejnych detonacji luteranckich, od Witenbergi przez Wormację do Augsburga, tron Piotrowy zajmował nie kto inny jak znany nam już Leon X, istota jak najmniej kwalifikowana do obrony Kościoła przed czekającymi go wstrząsami. Sobór laterański był w impasie. Gdy Leon X umierał w grudniu 1520 r., pozostawiał spadek wielu spraw niedociągniętych lub niezakończonych. Wisiała w powietrzu troska Stolicy Apostolskiej o przyszłość jej posiadłości we Włoszech, z konfliktem między Francją a cesarstwem w pełnym toku. Nie chodziło tylko o wpływy obu mocarstw w Rzymie, ale o ogólną rolę dwóch rodzących się potęg politycznych nowego rządu w nowej koncepcji państwa narodowego. Ich planem było odebranie Stolicy Piotrowej raz na zawsze pozycji naczelnego arbitra w rodzinie chrześcijańskiej i zredukowanie papieża do rządu instancji drugoplanowej w polityce europejskiej. O co szła gra, tego Leon X zapewne w pełni nie rozumiał. Nie był z natury psychologiem. Był przyziemnego gatunku hedonistą, więc u osobnika jak on, żyjącego więcej dla uciech dnia codziennego niż dla myśli o wieczności, spekulacje wychodzące poza teraźniejszość nie znajdowały miejsca.

Sytuacja nie wyglądała też ponętnie dla następców. Rozdźwięki odbiły się od razu w Świętym Kolegium. Wśród 39 członków tego ciała, z których 36 było Włochami, mniej więcej po połowie znajdowali się zwolennicy Franciszka I francuskiego i cesarza Karola V, a każdy z Włochów miał ponadto powiązania rodowe i regionalne. W końcu wybór padł na holenderskiego kardynała Hadriana z Utrechtu (ostatniego z niewłoskich papieży przez następne cztery i pół wieku, aż do wyboru Karola Wojtyły w roku 1978). Jego pontyfikat zakończyła rychła śmierć, w pełni nawiedzającego Wieczne Miasto pomoru. Gmatwanina polityczna nie ustała i przy nowym wyborze, tym razem Medyceusza Klemensa VII. Widocznie było coś we krwi rodowej (którą już miał jego krewniak Leon o dekadę wcześniej), co pchało nowego papieża do wyżywiania się w intrygach politycznych. „Jego całkowite pochłonięcie polityką i wojnami — pisze historyk papieża naszego stulecia — uniemożliwiało mu zajmowanie się problemami religii i schizmy czyli, mówiąc otwarcie, czyniło go zupełnie niezdolnym do stawienia czoła postępującemu podziałowi chrześcijaństwa⁶.”

Ten pontyfikat łamanych aliansów i militarnej niekompetencji znalazł tragiczne ukoronowanie w sławnym *Sacco di Roma*. Przez większość lata fatalnego roku 1527 motłoch międzynarodo-

wego żołdactwa pod dowództwem jednego z Burbonów hulał po Wiecznym Mieście paląc i mordując, gdy tymczasem zamknięty w Zamku Anioła papież patrzył bezsilnie na to, co się dzieje. Dodatkowym upokorzeniem był widok jednego z kardynałów, stronnika napastników (noszącego nazwisko jednego z najznakomitszych rodów rzymskich Colonna) który rabował apartamenty watykańskie przy pomocy najemników luteranckich.

Ówczesny spłot wzajemnie się zażebiających spraw religii i polityki, stanowiący klucz do zrozumienia procesu przechylenia się sił reformacji na korzyść nowoczesnego konceptu państwa narodowego, przedstawia w następujących słowach jeden z czołowych badaczy cywilizacji na Zachodzie:

„Jeśli chodzi o proces przelewania dotychczasowej władzy hierokratycznej papieża na protestanckie państwo narodowe, to prowadził on do wytworzenia się osobliwej doktryny 'boskiego posłannictwa królów', doktryny, która występuje jeszcze dzisiaj w postaci traktowania państwa narodowego jako bożyszcza. Dalszą konsekwencją tej doktryny były narodziny pewnej nowej formuły w stosunkach wewnętrznych państw, która weszła w użycie pod mianem *cuius regio eius religio*. Jej wynikiem było zastąpienie autorytetu rzymskiego Kościoła uniwersalnego przez wielorakość Kościołów narodowych w krajach europejskich, gdzie każdy z tych Kościołów podlegał absolutnej władzy monarszej danego państwa, a zarazem był wyłącznie dla tegoż państwa mieszkańców. Trudno sobie wyobrazić — konkluduje uczony — większą kontradycję między sakralnym charakterem dotychczasowej głowy rodziny chrześcijańskiej, a tymi produktami narodowego ekskluzywizmu, świeżo się wyłaniającego, a mającego zająć na dłuższy czas tak wybitne miejsce w historii Europy”.

Obecność Polski w postępach reformacji w Europie miała swój odcień własny, kontrastujący z poczynaniami gdzie indziej, różnymi mniej w formie, niż w treści. O ile w większości innych krajów akcent położony był na zagadnienia teologiczno-filozoficzne, to na tym polu głos polski był mniej wyraźny. Na czoło zainteresowań wysuwała się u nas kwestia ogólnej niezawisłości kleru i Kościoła od dyrektyw idących z góry, zarazem sprawa przyszłego oblicza tego, co zaczynało się wyłaniać jako samodzielny Kościół narodowy. Na początek było to raczej tylko hasło. Tymczasem za granicą zarysowywały się już jaśniejsze kontury tych samej tendencji do wolności od kontroli Rzymu, tendencji coraz bardziej radykalnych, a nawet widoczne były już

6. Nicolas Cheetham, *Keepers of the Key, The pope in History*, str. 200.

7. Arnold Toynbee, *Study of History*, t. IV, str. 221-222.

postępy w realizacji nowych struktur Kościołów narodowych. Odrębność form polskich w porównaniu z obcymi miała oczywiście swoje powody. Formy polskie, domorośłe, wynikały z odmiennych źródeł politycznego myślenia kierującej w państwie klasy szlacheckiej, wychowanej w tradycji przywilejów klasowych oraz opozycji wobec wszelkich zabiegów monarchii, aby ograniczyć jej swobody w interesie wyższych potrzeb państwowych. Na odwrót, w pozostałych częściach Europy fala przyływu szła przeważnie na korzyść rosnącej roli monarchii, czyli absolutyzmu i centralizmu. W Niemczech, na przykład, kierunek i ton reformacji nadawali już książęta i pierwsze zręby Kościołów narodowych w krajach takich jak Saksonia, Hesja, Frankonia stawały się nie tylko ogniskami idei religijnych, ale też lokalnego, antyrzymskiego nacjonalizmu. Właściwości fundamentów państwowości wieloetnicznej Rzeczypospolitej były inne, stąd rodziły się różnice w koncepcji Kościoła narodowego. Cele mogły być podobne, ale drogi wiodące do celu różne.

W Europie elektor saski był pierwszym ogniwem łańcucha. Będąc gospodarzem kraju, w którym nastąpił wybuch, rozporządzał on ogniskiem akcji co prawda prowincjonalnym, ale centralnie położonym, którego przykład mógł łatwo działać na posiadłości innych książąt niemieckich, ich miasta i ziemie. Okazja do jeszcze szerszej konfrontacji miała się nadarzyć wkrótce: z panującym fermentem religijnym zbiegła się śmierć starego cesarza Maksymiliana. Rzeszę czekała nowa elekcja. We Frankfurcie nad Menem, przy dźwięku dzwonów i Te Deum, witano nowowybranego Karola V Habsburga. Przed młodym, ledwo 20-letnim Karolem zarysowywał się w całym ogromie ciężar spadku: Austria, Hiszpania, Burgundia, Niderlandy, Neapol, Sycylia oraz świeżo odkryte posiadłości korony hiszpańskiej w Ameryce, czyli większość świata chrześcijańskiego. Samo ich wyliczenie mogło spowodować zawrót głowy — zaiste „imperium, w którym słońce nie zachodziło”.

W tym potężnym patrymonium Niemcy były główną areną, wulkanem w czasie wybuchu. Stąd doniosła waga niemieckich suwerenów świeckich i duchownych jako aktorów i spektatorów widowiska. Tutaj, wśród elektorów, biskupów, przedstawicieli księstw i ziem, wolnych miast i cesarskich municypalności tlił się od czasu ostatnich soborów w Pizie, Konstancji i Bazylei załazek reform, więc trzeba było tylko iskry, aby w każdym ognisku domowym tego olbrzymiego obszaru zapalił się ogień nadziei. Reformacja przyrzekała ich spełnienie. Angażowała lojalności narodowe. Zebranie książąt w Wormacji zarysowało więc prędko granice podziału Rzeszy na starą katolicką i nową protestancką. Ta dwoistość rodziny chrześcijańskiej stawała się faktem też gdzie indziej, choć z rozmaity siłą — od Anglii przez Francję, Flandrię, Holandię, Szwajcarię, Czechy aż po sam próg Pol-

ski. Nikogo nie mogło zdziwić, że ten próg zostanie prędko przekroczony.

Czy Polska stanie się protestantką, jak większość jej sąsiadów? Oto pytanie, które mógł stawiać sobie naród, ale także król. Oczywiście były zwrócone na monarchię. Jej autorytetu nie zdołały umniejszyć powtarzające się błędy polityki zagranicznej ani nawet niepopularność rodziny, zwłaszcza królowej Bony.

Król często zmieniał zdanie i znany był z wahań. Może pokusa reformacji mogłaby Polskę ominąć? Wieści z północnych rubieży kraju, od strony dolnej Wisły, mogły rodzić niepewność. By rozstrzygnąć wątpliwości, ogłoszony został w Toruniu edykt królewski (1524), określający łączenie się z herezją jako obrazę majestatu. Ale dokument pozostał martwą literą, nie był aktem izby sejmowej, a władza wykonawcza była słaba. Naród właściwie nie wiedział, jakie są myśli króla, bo już w rok później monarcha odbiera na rynku krakowskim hold od Albrechta Hohenzollerna jako Wielkiego Mistrza krzyżackiego (w znanej scenie pędzla Matejki). Ale krótko potem druga ręka królewska daje temuż samemu Albrechtowi swobodę do sekularyzacji Zakonu — decyzja niezmiernie wagi religijno-politycznej nie tylko dla Polski, ale dla całej Europy północnej⁸. Jak wiadomo, był to kamień węgielny przyszłej potęgi Prus, a zarazem gwóźdź do trumny Rzeczypospolitej. Kardynał Hozjusz (sam Gdańszczanin z urodzenia) określił ślepotę polityczną monarchy jako „szaleństwo”.

Luteranizm mógł teraz iść pełną parą naprzód w Prusach, już nie tylko jako siła duchowa, ale i polityczna. Nabierał też wyraźnego charakteru religii narodowej, podczas gdy stolica Prus, Królewiec, nabierała ważnej roli propagatora reformacji na pobliskich ziemiach Polski i Litwy. Królewieckie drukarnie pracowały pełną parą. Wysyłano na rynek polski specjalnie produkowane w języku polskim biblie luterskie, śpiewniki, kalendarze i pewien raport brzmi, że „Eustachy Trepka woził druki z Królewca do korony całymi wozami”. Z tego oficjalnego ośrodka protestantyzmu nad Bałtykiem miała teraz rozchodzić się i reformacja i niemieczyzna dalej na wschód, idąc śladem dawnej ekspansji kantorów handlowych Hanzy na Rygę i Rewel, czyniąc z Bałtyku „morze luterskie”. Tutaj miał się skończyć raz na zawsze zasięg Rzymu.

Jak gdyby te niebezpieczne dla Polski perspektywy zaczęły trafiać do głów w Krakowie, w roku następnym, po hołdzie

8. Albrecht był siostrzeńcem Zygmunta Starego, synem Zofii Jagiellonki, siostry Zygmunta, zamężnej za Fryderykiem z domu Hohenzollern-Anspach. Jest tu pole do spekulacji, jak dalece ta koligacja ułatwiała gościowi krzyżackiemu postępowanie w Krakowie.

na rynku krakowskim, król Zygmunt we własnej osobie wiódł zbrojny kontyngent na Gdańsk z widomym celem odrobienia błędu grożącej utraty miasta dla wiary katolickiej. Ta próba okazała się fiaskiem. („Była gorzej niż zbrodnią — błędem”, powiedziałby Talleyrand, gdyby żył). Legły głowy 13 przywódców luteranizmu, ścięte mieczem kata, i pozostał w umysłach miejscowych zły osad po królewskiej interwencji.

Rola dyplomacji polskiej w procesie wiodącym do separacji Prus książęcych od Rzymu (jakiegokolwiek mogły być jej motywy, lub ich brak) nie odbyła się bez pewnej apologii ze strony Polski, skierowanej do opinii międzynarodowej, która mogła być zaskoczona wypadkami. Podjął się tego biskup Krzycki w głosnym pamflecie na ten temat, przedstawiającym antecedence, które doprowadziły do układu krakowskiego z r. 1525. Autor wychodzi z założenia, że traktat zawarty w Toruniu w r. 1466 między Polską a Krzyżakami, który miał zamknąć erę wojen i uregulować raz na zawsze stosunki terytorialne z Zakonem, nie uzyskał nigdy aprobaty Stolicy Apostolskiej. Co więcej, Rzym nie tylko znany był z popierania polityki Zakonu, ale też nie zdobył się na skuteczne środki, żeby powstrzymać Zakon od herezji protestanckiej. Czyż król polski — pyta autor — miał żądać od luteranów czegoś więcej niż przysięgi wierności, jaką odbierał od poddanych prawosławnych Rusinów, Ormian, Żydów i Tatarów? Był to argument natury wyznaniowo-etnicznej, „bowiem Polska nie знаła nigdy jedności religijnej” — dodaje komentarz uczonego francuskiego, poddającego analizie wypadki z r. 1525⁹.

Wielowyznaniowość Polski nie mogła pozostać bez wpływu na kształtowanie się pojęcia, czym ma być „polski Kościół narodowy”. W kraju, w którym ludność wyznania katolickiego szacowano na nie więcej jak 52 % ogółu mieszkańców, wysoki odsetek obywateli innych wyznań musiał znaleźć uwzględnienie. Faktycznie było tak już od dawna, bowiem odrębność etniczno-językowa zbiegała się zazwyczaj z kryterium wyznaniowym; odrębności narodowe oznaczały jednocześnie religię. Dla odłamów narodowościowych „religia narodowa” już była niejako zrealizowana.

Co więc pozostawało jeszcze jako materiał dla polskiego Kościoła narodowego? Oczywiście ów przeważający liczbowo rezerwuuar chrześcijaństwa obrządku rzymskiego. Był to poten-

cjał, który musiał interesować reformację. Ale nie reformację typu obcego, wierną wspomnianej już formule zachodniego absolutyzmu monarszego *cuius regio eius religio*. Chodziło o formułę tolerancji w ramach polskiej mozaiki wyznaniowej i etnicznej.

Na ile monarchia nasza umiała stosować skutki wielości wyznań w praktyce, są tego przykłady u króla Zygmunta. „Wolny od fanatyzmu” (używając słów pewnego przybysza zza granicy) król zamianował na wysokie stanowisko w skarbie Księstwa Litewskiego niejakiemu Abrahamowi Ezołowiczowi, izraelicie, co prawda przy tej okazji ochrzczonego. Innym razem powołał na wojewodę trockiego wyznawcę obrządku prawosławnego, kniazia Konstantego Ostrogskiego, zwycięzcę w bitwie pod Orszą przeciw Moskwie. „Dobry gospodarz hoduje inwentarz różnego gatunku”, pouczał król nuncjusza papieskiego, gdy ten zarzucał monarsze tolerancję dla niewiernych. Wiele dobrych i złych właściwości Zygmunta przeszło na syna. Zygmunt August przedstawiał postać więcej z romansu, niż ze świata realnego. Produkt matki zimnej jak lombardzki kalkulator i ojca miękiego jak litewski wosk był osobliwą mieszaniną uporu i braku kości paierzowego, dla otoczenia często enigmatyczną i niezrozumiałą. Może byłby stosownym dzierżycielem tronu w którymś z mniejszych księstw Italii, on, wyraziciel świetności dworu renesansowego. Do kierowania statkiem o tak złożonym aglomeracie problemów, jakim było państwo polskie w dobie wstrząsów religijnych i ustrojowych, był mniej zdatny. Przez szczególny układ polityczny z sejmem Zygmunt August dzielił z Zygmuntem Starym koronę królewską przez osiemnaście lat — swoisty wypadek w historii polskiej dualizmu głowy państwa. Dwugłos korony nie mógł być bez skutków praktycznych w rządach. Tyczyło to zwłaszcza spraw obchodzących Kościół narodowy i wyznania. Bo chociaż oboje, ojciec i syn, pilnowali pozorów dobrych stosunków ze Stolicą Apostolską, istniały u każdego odcienie przy ocenie religii w państwie. Zygmunt August umiał obdarzać nowego nuncjusza dworskimi komplementami, ale innym razem, następnemu nuncjuszowi, ukazywał surowe oblicze monarchy popierającego reformację. Nie wahał się przyjmować otwarcie dedykowanych mu dzieł religijnych od Lutra i Kalwina. Jako bibliofil wysłał swego kapelana do Genewy po zakup kalwińskich nowości wydawniczych. Był zamknięty w sobie, mało mówny i wyrobił sobie epitet kogoś, „kto woli słuchać niż mówić”. To mogło predestynować go na Salomona w konfliktach religijnych wieku. Niestety brakło mu czy odwagi, czy ochoty, gdy przyszło do rzeczy. Było to fatalne w momentach decyzji takich, jak kwestia Kościoła narodowego. Ta sprawa zdawała się być pomyślnie postawiona wśród większości sejmowej.

9. Ambroise Jobert, *Tolerancja religijna w Polsce w wieku XVI (Poland in Christian Civilization)*, str. 311.

Dopiero niedawno sejm ograniczył specjalnym aktem jurysdykcję trybunałów kościelnych. Głośna była sprawa o profanację hostii przez pewnego ariana, już nie w sądzie kapitułowym, lecz na forum sejmu, gdzie jako obrońca wystąpił Mikołaj Rej i swoją dosadną i dowcipną retoryką wygrał sprawę dla oskarżonego i ośmieszył kler. Wreszcie sprawa niezawisłości Kościoła polskiego od Rzymu nie mogła pozostawać dłużej na porządku dziennym. Gdy więc sejm dalej nalegał na zdanie królewskie, Zygmunt August z właściwą sobie rozdwójoną naturą, zamiast przystąpić do akcji konstytucyjnej, zwrócił się o radę do Rzymu. Niefortunny wysłannik królewski zmuszony był słuchać reprimendy z ust samego papieża, jak sztubak besztany przez bakalarza.

W tej grze w szachy króla i papieża, w której Zygmunt August ponosił porażkę, Rzym niekoniecznie był zwycięzcą. Oprócz monarchy istniał w Polsce naród, obejmujący „wszystko co było zacne, inteligentne i przystępne religijnemu uczuciu”, jak to wyraża polski historyk¹⁰. „Ogół — ciągnie dalej — przyzwyczaił się od dawna uważać Stolicę Apostolską za obcą i uciążliwą i żądał teraz niezawisłości dla Kościoła polskiego i rad był widzieć sobór kościelny polski pod prezydencją króla za najwyższą w państwie władzę kościelną. Zniknąć miały różnice rzymskiego i wschodniego obrządku, a środkiem prowadzącym do celu było zniesienie celibatu księży, komunია pod obiema postaciami i zaprowadzenie języka polskiego w całej liturgii polskiego narodowego Kościoła”. To był program konkretny, którego żądania nie wydawały się sprzeczne z wiarą katolicką, jakkolwiek Watykan mógł być odmiennego zdania. Sejm w r. 1555 większością głosów oświadczył gotowość utworzenia w Polsce niezawisłego Kościoła narodowego.

Mimo że większość Europy pochłaniały różne plany reorganizacji religii przy pogłębianiu się reformacji w Niemczech, Skandynawii, większości Europy zachodniej, w krajach alpejskich i w Anglii, Rzym jakby leżał pogrążony w apatii, bo nikt w Kurii nie śmiał dotykać rozpalonego żelaza reform. Nad Tybrem nie miano nawet dokładnych wiadomości, co się dzieje, i interpretowano wydarzenia zagraniczne często w osobliwy sposób. Wśród nowin z wysp brytyjskich słyszano o krnąbrnym królu Henryku, że raz pewnego dworował sobie z niemieckich nowinek luteranckich. To wystarczyło, żeby udekorować jego Królewską Mość wysokim tytułem papieskim „Obrońcy Wiary”. Wyróżnienie to weszło wkrótce do regaliów korony angielskiej. Jest ono otąd w użyciu, tak iż watykański predykat *Defensor Fidei* zdobi głowę heretyckiego Kościoła angikańskiego i figuruje

10. Michał Bobrzyński, *l.c.*, t. II, str. 66 sq.

we wszystkich ozdobach korony Zjednoczonego Królestwa. Ignorancja Rzymu na temat Europy była w dużej mierze natury psychologicznej. Wyphywała po prostu z pustki duchowej. Pamiętny szturm na Rzym mieszaniny okupantów zza Alp, kiedy jedna trzecia ludności Wiecznego Miasta padła ofiarą, jak również jedna czwarta budynków publicznych, uznany został oficjalnie za „dopust boży”. Gdy po niefortunnym Klemensie VII wybór konklawe padł na Pawła III z domu Farnese, ożyły nadzieje. Wydawało się, że ktoś z tak świetnego rodu potrafi opanować złego ducha. Był to przedwczesny optymizm. Ledwo arcypasterz zasiadł na tronie, okazał się podobny do innych Medyceuszy i pierwszą rzeczą pontyfikatu było nadanie dwum papieskim synom, chłopcom lat 14 i 16, kapeluszy kardynalskich. Jak gdyby słowo „reformacja” nie doszło jeszcze do uszu papieskich.

Za obu Pawłów na tronie, III-go i VI-go, Stolica Apostolska szukała pocieszenia, jeśli już nie duchowego, to przynajmniej *in publicis*. Chodziło o to, by znaleźć pociechę za straty w uszczuplonym kapitale ludzkim katolicyzmu, po masowych dezercjach do obozu reformacji większości krajów europejskich. Ale gdzie należało szukać zastępców, by zajęli miejsce odstępców? Istnym darem z nieba były nowe zdobycze za morzami, dokonywane właśnie przez główne mocarstwa żeglarskie. Pierwszym przykładem był ład Ameryki. Minął zaledwie rok od przybycia Kolumba do brzegów tego kontynentu, jak w Watykanie zrobił się ruch i Aleksander VI już siedział nad mapami mórz, obmyślając strategię działania. Niebawem wydał werdykt. Pociągnął w poprzek globu linię demarkacyjną, żeby rozgraniczyć między czołowymi nacjami morskimi katolickiej Europy, czyli Hiszpanią i Portugalią ich nowe zdobycze na amerykańskiej półkuli globu. Uczynił to w trzech kolejnych bullach tego samego roku 1493, do czego doszły jeszcze pewne rewizje tych postanowień w roku 1529. Apetyty zaborcze wspomnianych mocarstw miały być ujęte w papieskie karby.

Tu leżały teraz perspektywy nowych zdobyczy dla Kościoła. W geście papieskim kryło się błogosławieństwo apostolskie dla misji katolickich, zwróconych do tubylców nowych ziem. Gdy Cortés w roku 1519 postawił nogę w kraju Azteków, oznaczało to jednocześnie dla Stolicy Piotrowej rozciąganie ręki na podbitych pogan. Liczba nowych dusz dla chrześcijaństwa mogła teraz rosnąć w miliony i statystycy watykańscy mogli zacierać ręce. Co Kościół tracił w Europie, znajdował za morzami. Nie rozstrzygało to jednak pytania, czy *multa* jest to samo co *multum*.

Bolesław LEITGEBER

Orzeł biały na tle nerwowym

Słyszałem w Montrealu kawał, rzekomo przywieziony przez jednego z ministrów Mazowieckiego. Ktoś wizytuje piekło... Dyżurny diabeł oprowadza wzdłuż kadzi z wrzącą smołą, gdzie tłoczą się, uczepieni krawędzi, skazańcy różnych narodowości. Diabli posługując się trójzębami spychają ich do wrzątku. — Oto Szkoci, tam Niemcy, a tam Moskale — objaśnia dyżurny. Zbliżyli się do kotła, gdzie nie widać ekipy z trójzębami, choć nad kadzią zamieszanie nie mniejsze. — Tych tutaj nikt nie spycha? — pyta odwiedzający. — Nie, to Polacy. Oni sami siebie spychają.

Zagęszcza się wrzawa głosów dowodzących, że w Polsce dzieje się samo zło, zamiast rozumu rządzi głupota, a hucpa zamiast patriotyzmu. Nikt nie jest na swoim miejscu, każdego można podejrzewać, jeżeli nie o brak kompetencji, to o złą wolę albo o debilizm. Katastrofa, recesja, bezrobocie, wszędzie brak środków, i straszna dziura w budżecie. Na tym żeruje nomenklatura i Tymińscy, których będzie przybywać. Ani jedno z twierdzeń nie jest urojeniem, jednak sumują się one w zwid infernalny, według surrealistycznej estetyki. Ale nie zatykam oczu i uszu.

Odwrotnie, wsłuchuję się w głębokie echo tych oskarżeń i rozróżniam w nich, prócz troski, zapiekłą złość, jakiś akt zemsty (na kim i na czym?), czego już pojąć nie można. Coś z autodestrukcji. Prawdopodobnie, myślę, wiele osób sądzi, że nowoczesny patriotyzm musi mieć czarne podniebienie, aby go czasem nie wzięto za naiwność i sentymentalizm. Przyjmuję to z pochylonym karkiem, jako jeszcze jedno nieprzewidywalne doświadczenie — w polskiej sytuacji, która nie zna precedensów. Mazowiecki pewnie słyszał przypowieść o naszej samoobłudzie przy smole, bo swego czasu ostrzegał przed „polskim piekłem”

— chyba nie w porę wymawiając to słowo. Próbuję sobie udowodnić, że tak, jak nie ma wolności poza kontekstem ekonomicznym, podobnie nie ma jej bez odpowiedzialności w publicystyce. Chcę się odciąć od chóru. Swego czasu przesyłałem do Maisons-Laffitte sporo bibuły niosącej długie żalów chryły, jak się wyraził Norwid. W tamtych dekadach były one na miejscu, za to dziś nie są na miejscu, więc nie będę tego uprawiać dla samego fasonu.

Ograniczę się do świata *Kultury*, która jest w dużym stopniu organizmem odrębnym, polską bezcenną przydawką, a przydawka określa sam rzeczownik — nie jest więc nikomu obojętne, jakie tam panują klimaty. Przed rokiem, był to lipiec 1990, w liście Jerzego Giedroycia znalazł się dopisek, który mną wstrząsnął: — te klótnie personalne, kompletny brak wyobraźni ze strony rządu napędlają mnie głębokim pesymizmem. Tego pesymizmu nie rozwiła rozmowa z Mazowieckim. — Jednak, w nr. 1/2 *Kultury* Giedroyc ogłosił zwarty logicznie tekst pt. „W poszukiwaniu dróg wyjścia z kryzysu”, zawierający tezy, które przemawiały do każdego — więc sądziłem, że pesymizm Redaktora tego pisma został teraz ujęty w konstruktywne łożysko. Zgoda i na głęboki pesymizm, jeżeli toruje drogi. Strach powtórnie szarpnął za włosy, gdy przeczytałem informację końcową, o tym, że Radio „Wolna Europa” odmówiło nadania tekstu, że odmówiły także, pod różnymi pretekstami, redakcje *Życia Warszawy* i *Rzeczypospolitej*. Artykuł ukazał się po niewczacie, w wielkanocnych numerach pisma krakowskiego i pisma gdańskiego. — Istnieje nadal cenzura i autocenzura — konkludował Giedroyc i miał do tego prawo. Odrażające nowiny ze świeżo upieczonej ojczyzny.

Gorycz zawodu, jak się zdaje, będzie coraz częściej zachodzić drogę i grubiaństwo, jak głupstwo wierutne — które na jakiś czas przyginają do ziemi.

Jednak próbuję dalej pisać, nisko do niej przygięty, myśleć dalej — z poziomu ziemi. Fernand Braudel uważał, że z tego poziomu najlepiej widać prawdę: — *Le rez-de-chaussée d'une civilisation c'est souvent son plan de vérité*. Cywilizacja jest zbyt obszernym słowem na określenie tych form myślenia, dyskusji i zachowań, jakie się ustaliły w środowiskach KOR-u i Solidarności w latach, gdy społeczeństwo, niby baron Münchhausen z trzęsawiska, samo siebie wydzierало za włosy z poprzedniej skorupy. Ale te skrzynki, kontakty, kolportaż, drukarnie, wykłady, cała technika bycia wbrew ustrojowi, odrębne słownictwo i nawet rytuał gestów (naśladowanie dwoma palcami opornika elektrycznego) były przecież zaczątkiem jeżeli nie cywi-

lizacji, to kultury. Doszły do tego starania o kodyfikację tej kultury, co się nie udało. I właśnie jej rozpad, tąpnięcie jak w geologii, tak teraz ludzi przeraża, wydzierając im z gardła słowa próżnego protestu. Nikt, do tego trzeba się przyznać, z takim obrotem sprawy się nie liczył: była Solidarność i już jej nie ma! Kiedy bowiem taki kapitał energii w narodowej służbie redukuje się do norm związku zawodowego, sprawia to wrażenie degrengolady. Rozumniej byłoby to nazwać naturalną ewolucją, powrotem do pierwotnej wyjściowej roli. Podzielałam zdanie publicystów (np. Józefa Kuśmierka), którzy uważają, że źle zanalizowano charakter i zadania tej legendarnej organizacji, nie dopuszczając do siebie prostej myśli, że w normalnym toku życia legendy przestają funkcjonować. Nowe elity winny były przygotować się myślowo i praktycznie do tej fazy, czego nie zdążono uczynić. Żyjemy od zaskoczenia do zaskoczenia, jakby poruszani mechanizmem odrzutowym. W każdym razie cała opozycja z całym swoim nimbem znalazła się na kolejnym etapie, na jakimś stoku. Jest on z drugiej strony, gdy na to odpowiednio spojrzeć, podejściem pod górę. Pytanie pod adresem naszej witalności: czy mamy podchodzić, czy zsuwać się?

Kultura w swojej rzetelnej różnorodności zachowuje, takie jest moje wrażenie, równowagę sądu. Najboleśniej interpretuje Polskę SMECZ (i najefektowniej, bo to pisarz błyskotliwy). Z jego ostatnich, niezmiennie sardonicznych kronik wynosi się sensacje tak jednoznaczne, że niemal monotonne, mimo wyjątkowej werwy tego stylu. Wszystko, co w kraju się dzieje jest — w swoim głupstwie integralnym — do tego stopnia groźne, że tylko kpina można się przed tym zasłonić. Uprawia ją SMECZ koncertowo, z talentem literackim, więc czytanie go byłoby prawdziwą przyjemnością, gdyby można go było obojętnie czytywać. Aby się nie pogubić w cytatach, zróbmy z tego jakiś uczciwie związany blok, *pot-pourri* jego spostrzeżeń, dbając o lojalność.

...Frustracja otepiła najenergiczniejszych dawniej ludzi i wszystko dokoła zastyga. Autor spotyka X, którego wciąż lubi, co konstatuje z radosnym zdumieniem, bo tak niewiele zostało z wielkiego wzajemnego lubienia się w naszym środowisku. X pracuje, ale jest smutny — na tle smutnego kraju. Wałęsa to cwaniaczek dobry do prowadzenia gospodarstwa, gdzie trzeba coś dosypać, dopilnować, by krowie wymiona przed jedzeniem wymyło, i każdego zapędzić do roboty. Wobec innych zadań Wałęsa jest mały. I nie bójcie się, żadnej dyktatury nie będzie, będzie bałagan, ewentualnie bałaganiarska dyktaturka.

SMECZ bez pasji rozważa, kto w TV miał rację, Drawicz czy Terlecki — bo co innego widzi na przedpolu: rację może

mieć ten wielki trzeci — nasza niemożność. Pełzająca polska rewolucja przybiera kształt apatii. I to powszechne znękanie nagle odzyskaną wolnością — jakby nam wszystkim nagle wyciągnięto dywan spod nogi. W starej kronice filmowej z epoki Gierka spostrzegł w pierwszym szeregu pochodzącego parę twarzy spośród dzisiejszej elity, ale nazwisk nie zdradzi, o nie! W auli Politechniki wybierano kandydatów i facet pewien, którego nie było na liście, rzucił się na trybunę walczyć o miejsce dla siebie, po czym zaczął się strasznie pocić! Ten zapach potu kronikarz zawsze będzie pamiętać. Teraz ów osobnik już się zabrał właściwym pociąganiem i jest, gdzie pragnął — tylko ta twarz obrzękła władzą! Obrzęk tego rodzaju zarezerwowany był kiedyś dla komuny, nagle się okazuje, że każdą twarz może zdobić. Nasze dzieci albo wyemigrują, albo wyjdą na ulicę domagając się dachu nad głową. Ale także można czegoś innego się spodziewać, jeżeli przyszłość znajduje się w rękach człowieka, którego wnętrze głowy zdaje się być ofiarą poważnej katastrofy — niemal wcielony scenariusz filmu według opowieści Kosińskiego „Wystarczy być” — rzecz o kretyńcu, który zostaje prezydentem USA. Smutek i niekompetencja. Nasz świat obrócił się o kilka stopni, ale wszyscy młodzi znajomi zostali w dawnych bezradnych pozach, a zarzewiającą osią tego ruchu są — smutek i niekompetencja. Społeczeństwo na katku.

Synteza bez reszty przygnębiająca. Tym silniej SMECZ przeciw sobie mobilizuje, że jego orientacje wewnątrz naszego Hadesu są mi sympatyczne, zgaduję, że są po prostu takie same. W tym, co pisze, łatwo rozpoznać jego etykę i estetykę — a obie są podobne do moich, wraz z poczuciem przynależności do zawiedzionej inteligencji głoszącej na Mazowieckiego. „Myślałem, że nasze polityczne bagno nie zostawi na mnie jednej suchej nitki metafizycznej” (ale znajduje to ostatnie włókienko w pewnym szarym widoku na schodach). Kwietniowe „Z ukosa” — szczerść jego wydaje się autentyczna — ma zakończenie rozbrajająco konfidenckie, zakończenie właśnie jakby metafizyczne, które bardziej zbliża do SMECZA, niż jego czar-nowidztwa i rozmaite kategorie:

Jestem pesymistą, a depresyjna rzeka podmywa moje brzegi. Nie należy mi więc ufać, bo widzę ciemno. Sam sobą zmęczony szukam światła u tych, którzy je noszą. Ale co spotkam znanego z dawnych lat nosiciela światła, widzę z przerażeniem, że on już nie świeci. Przeraża mnie to, ale zarazem krzepi, bo w kupie męczyć się raźniej, a poza tym któż lubi błędzić i wieść innych na manowce — przeraża, bo gdzieś na dnie cały czas jak uparta mysz skrobie nadzieja, że a nuż nie jest tak źle, jak to widzę.

Nie pcham się na kandydata do udzielania światłości, noszę w sobie raczej coś w rodzaju migacza mroków-półmroków: ale

co do nadziei, to ją mam. Trzymam palcami wymacując jej dziwną formę. Bo nie jest to banalna nadzieja, według wzorca „jakoś to w końcu będzie”, tylko coś trudnego i niepełnego, ułomny kształt antropomorficzny, to oczekiwanie moje przystaje do wymiarów człowieka. Za Gomułki i za Gierka drukowałem w *Kulturze* swoje potępięcze zeznania, rodzaj skowytu spod podłogi: ale wtedy wszystko było szczerze zabetonowane rozpaczą. Nikt wtedy nie przewidywał, że rzeczywistość obróci się drugą stroną. Teraz tamtej fazy nie powtórzę — bo jej nie ma. To nie kwestia wiary, sprawa jest namacalna, mianowicie można ją wytyczyć słowami. Taki świetny i nerwowy stylista, jak SMECZ pewnie zrozumie, co mam na myśli: gdy się wypuszcza z siebie uważny tok wyrazów, w szyku dyskursu, w szyku dialogu (samotne myślenie też jest dialogiem), to widnokraj się klaruje odsłaniając swoją perspektywę. Perspektywy nie zostały nam odejęte.

Publicysta ostro zagrywa przy siatce, kierując piłkę pod nogi przeciwnika. A kto jest przeciwnikiem? Nie sama reforma przecież, tylko każdy, kto o niej złego słowa nie pozwala wyrzec. Jednocześnie SMECZ dostarcza wielkiej materii umożliwiającej mi zajęcie odwrotnego stanowiska, może i nie odwrotnego, tylko komplementarnego. Przez jakiś niedługi kawałek drogi mógłbym mu nawet sekundować, dorzucając co nieco do jego arcykrytycznego rejestru.

Na przykład. Od miesięcy trwa blokada ustawowa, sejm nie jest w stanie uchwalić ustaw pierwszorzędnej wagi dla gospodarki i polityki, między innymi kluczowej ustawy o spółkach z udziałem zagranicznego kapitału, na co narzekają potencjalni inwestorzy w różnych krajach, a jednocześnie prezydent rozjeżdża po świecie agitując za nakładami w Polsce. Mimo tej zapaści legislacyjnej, jak się wyraził z rozgoryczeniem premier, znaleziono jednak szmat czasu — miesiące! — i energię na pełną nieumiarkowanych namiętności i wyzwick debatę nad ustawą antyaborcyjną, z natury swej niesłychanie trudną i wymagającą ogólnonarodowego namysłu. Przeraża wybuch katolickiej ksenofobii, której widownią stał się Przemyśl, gdzie kołtuństwo wystąpiło z pianą i imieniem najświętszej paniutki na ustach.

Nie pojmuję też ciszy otaczającej barbarzyńską sprawę zniszczeń ekologicznych dokonanych przez wojska okupanta sowieckiego: mówi się o stratach wysokości trzech miliardów złotych. Względne milczenie w tej kwestii (tylko w *Gazecie Wyborczej* znalazłem dość obojętny, drobny artykuł) powinno zmienić się w hałas wszystkich publikatorów i to nieznośny nawet dla tak tępych uszu, jak sowieckie. Bić się z Rosjanami nie można, bo nie podołamy, ale tym głośniejszemu trzeba się oburzać. Polityka zawsze

się posługiwała tzw. opinią publiczną. Polska dyskrekcja czyni wrażenie potulności, władze siedzą jak trusia.

Chcę wreszcie rozwieść się szerzej nad jedną z istotnych stron naszego życia, nad polskim środowiskiem językowym. To rozumiem lepiej, niż tamte problemy. Straszny ten język, jakim współczesna Polska ze sobą rozmawia. Wydrenowany od środka i z grzbietem przetrąconym, bo śladu wiary w sens i piękno mowy ojczystej. („Żeby była jasność w tym temacie, mówię od razu, że do soboty się nie wyrobię”. Kto takie dziwolągi i z czego ulepił?) Kośćcem każdego języka, strukturą, jest składnia. Polacy żyją w stanie wojny ze składnią. Przemówienia, rozmowy są stłoczoną magmą syntaksy. Przykład idzie od elit politycznych, od prezydenta chlubiącego się swoim slangiem, od ministrów i parlamentarzystów. To nie jest nadużycie języka, jakby mogło się wydawać, tylko jego rozbicie, rozstrzelanie. Sprawilo to gazeciarsstwo — w znaczeniu i samego zawodu i postawy językowej — oraz nowe siły demograficzne, które nie wniosły żadnej tradycji, bo już pierwotnego środowiska nie pamiętają. Ogólne zubożenie mowy ulega przyśpieszeniu wskutek zaniku słowa pisanego. Sztukę pisaną listów zastąpił telefon, pracę pisarską wyręczył magnetofon, tak jak kiedyś maszyna wyrugowała rondówkę i atrament. I znowu znaleźliśmy się w obrębie języka mówionego, jak przed wynalazkiem Gutenberga. Czy młodzi pisują jeszcze do siebie listy miłosne? Rozmowa była dawniej praktykowana na wielu poziomach, dziś tym samym językiem rozprawia grono koleżków, tym samym wydaje się lekcję przed profesorem i nie zmienia się języka w wywiadzie przez mikrofonem. Skurczyła się klawiatura mowy. Mimetyzm językowy zastąpił ideał stylu, w warstwy dialogu i oracji wtargnął banał i standard — w znacznej mierze za sprawą antykultury zawartej w żargonie partyjnym, który rozlegał się po kraju przez czterdzieści parę lat. Partia sromotnie przegrywała ze społeczeństwem na polu idei, za to odnosiła zwycięstwa w dziedzinie porozumiewania się a, raczej komunikowania i informacji. Nie jest to kwestia tylko estetyki, kiedy język ulega tak wszechstronnemu zepsuciu: dotyczy to istoty tożsamości, której znaczna cząstka mieści się w języku, jego psychologii i sprawności logicznej.

Wspaniale zauważył Orwell: język współczesny staje się szpetny i nieścisły, ponieważ nasze myśli są niemądre. Jednak trzeba pamiętać o pewnego rodzaju sprzężeniu zwrotnym: to właśnie językowe niechlujstwo ułatwia nam snucie bezwartościowych myśli. — Dodaje jednak, że na szczęście proces ten jest odwracalny... U nas główną machiną, która te plewy jak wialnia rozdmuchuje na ludzi, jest telewizja, zatkana od środka jakąś magiczną indolencją i pełna nieudaczników, gdzie, jak mówią,

nie Terlecki rządzi, tylko mąż pewien o twarzy nie do pokazywania — co tym bardziej złości mnie i martwi, że nosi on to samo nazwisko, co moja rodzina po kądzieli, dobra, mała szlachta litewska, chodząca kiedyś dzierżawami.

Byłoby wbrew naturze i etosowi tego zawodu namawiać literata, aby złagodził ton krytyczny i zaczął haftować ku pokrzepieniu serc. Do diabła z pokrzepianiem. Trzeba nam prawdy, tak jak dolarów, jak ochoty do pracy. Prowadzi do niej droga logiki. O ile przyszłość jest zagadkowa i przepowiedzieć jej nie sposób, to należy zauważyć, że uwarunkowania tej niepewności są te same, to znaczy obiektywne, co uwarunkowanie samego kryzysu. Jeżeli zakładamy, że idzie tu o kryzys całej reformy, słowem — Polski, w czym potencjalnie mieści się śmierć, w takim razie tylko wola życia (nie przetrwania!) i odrzucenie śmierci winny nas oświecać w przewidywaniu przyszłości. Analiza w kategoriach życia stwarza sama z siebie problematykę powrotu do zdrowia. Kryzys jest i z tym słowem na ustach można rozniecić pożar strachu. Jest kryzys, bo wszystko się zmienia, a wszystko się zmienia, bo jest kryzys. W końcu to słowo, nadużywane, staje się porządkiem rzeczy. Czy o to chodzi?

„Mazowiecki otoczony ludźmi, którymi głęboko pogardzam... Wałęsa, nasz Marchołat, coraz mniejszy i mniejszy... A w tle roztrzaskane środowiska, z których cieknie posoka...” Na nucie lamentu, na nucie szyderstwa SMECZ — i nie on jeden — zapędził się mimowoli w rejony nieprawdy. Zrekonstruował przed nami nieciekawą zamtuz trzeciej sorty. Najistotniejsze, że polskiemu szamotaniu się odmawia niezwyklego diapazonu. Pod ciężarem tego zasadniczego błędu trzeszczy cała jego depresyjna akcja. Chętnie bym SMECZOWI wtórował w odsłanianiu przestępstwa i głupoty, ale nie zgadzamy się co do wysokości tonu — byłoby to partnerstwo dysonansów.

W ryzykownej, fatalistycznej sytuacji polskiej właśnie tego przede wszystkim nie wolno przeoczyć: jej patosu. Stanowi jej cechę rdzenną, znak rodzimym. Wydaje się czasem, że w polskiej historii i w samej naturze tego społeczeństwa nagromadził się mechanicznie taki zapas patosu, że nawet małość poszczególnych jednostek nie jest w stanie tego umniejszyć. To zapewne niebezpieczne złudzenie, jednak trwam pod jego urokiem: tego charakterystycznego rysu nie zatrze nawet śmieszność i trywialność, gesto tu zasadzone, bo i one wynikają naturalnie z całokształtu położenia. Sprężenie jest potężne, nierozzerwalne. Marchołat Wałęsa, o plebejskiej mowie i gestykulacji, ze swoim średniowiecznym katolicyzmem — w tym szeregu form nie znalazł się przypadkiem, jest ich inkarnacją, wykwittem, żeby nie

powiedzieć: przeznaczeniem. Część samej logiki ruchu solidarnościowego wyziera z faktu, że na stanowisko prezydenta wyniesiony został stocznioowy elektryk. Wolelibyśmy, a jakże!, żeby i u nas najważniejsze miejsce zajął jakiś polski Havel, intelektualistów tu nie brakło. Jednak Havel wydaje się właśnie bardzo charakterystycznym wybrańcem w Czecho-Słowacji, gdzie masowej opozycji nie było, wszystko zmieściło się w Karcie 77. Nawet w najgorszych momentach obrzydliwej kampanii wyborczej, gdy byliśmy porażeni jej treścią i stylem, nie można się było oprzeć nie od razu jasnemu wrażeniu, że wybór Wałęsy to kwestia głębszej konsekwencji, po prostu fatalność — wynikająca z całego ciągu i bloku wydarzeń od 1980 r. Czy ta fatalność okaże się dla Polski niebezpieczna — na to jeden Pan B. (jak się mówi w kabarecie Olgi Lipińskiej) mógłby odpowiedzieć. Właściwe Wałęsie cechy trybuna robotniczego nie mają zastosowania na urządzie prezydenta. Ale tego człowieka cechuje również upór i chłopski rozum oraz zupełny brak zależności od wyrazów i ich semantyki. Nie wierzę w to, że w polityce trzeba być finezyjnym — chyba finezyjnym draniem. W każdym razie polityka to gruba lepka robota i krnąbrni a kancjaści radzą sobie tam najlepiej.

Za niezmiernie ważne, wręcz niezbędne uważam baczne dostrzeganie napięć i pulsowań różnych sił, w tym także złych, co znamionuje każde przesilenie. Społeczeństwo znajduje się w początkowym stadium z dawną oczekiwaną rekonwalescencji. Narażone na wszystkie obelgi nielitościwej kuracji, obnażanie i obmacywanie miejsc intymnych, z sondą w przełyku i kaczka pod łóżkiem. Zaskakujący fakt, że ogromna część ludzi odczuwa nagle odzyskanie wolności jako coś dotkliwego, jak „wyciągnięcie dywana spod nóg” — wedle doskonałej przenośni SMECZA — nie może wywoływać złośliwości. Odwrotnie, zaskakujące jest w tym okrucieństwo paradoksu — ale także to jest odbiciem metamorfozy, jaka się dokonała. Przemiana jest już faktem, ale tragedia nie chce odejść, szczęk nie rozwiera. Byle to ogarniać i sprzyjać temu. Bez czujnego spojrzenia, bez staranności i delikatności w stosunku do tych spraw — właściwie wszystko nadaje się na drwinę.

Jakże charakterystyczne jest w polskim paradygmacie, że nikt nie zna wielkości, którymi się szermuje, zbyt często w intencji zdyskredytowania naszej walki o życie. Zaczynając od pojmwania i traktowania czasu, z czym się wiąże lekkomyślne miary cierpliwości. Miary i proporcje można poznać tylko przez porównania i ustalenie skali, ale skąd je wziąć, do czego to równać — jeżeli to, co u nas nastąpiło i staje się, nie ma żadnego precedensu. W tych warunkach zakrawa na uzurpację

wypowiadanie się o naszej niemożności. Szydzenie z bałaganu (skąd wiadomo, czy nie są to — w wykresie entropii — chwile przesilenia, po czym w niezbędnym terminie — kiedy? — wykres zacznie spadać?), dworowanie z Wałęsy (jaką podziałką zmierzyć jego rzekomą małość, w stosunku do kogo?) i sumaryczne charakteryzowanie naszego położenia w wyjątkowo dotkliwych słowach, jak smutek, niekompetencja, generalny katz. Nigdy przecież nie będzie wiadomo, jakie były obiektywne proporcje zjawisk, którym dziś stawia się po belfersku noty. Czy można wysuwać kryterium niekompetencji w sytuacji społeczeństwa, którego głową jest elektromonter? To coś znacznie istotniejszego, niż niekompetencja, coś w ogóle z innego tonu: po prostu ryzyko, nawet może śmiertelne, a na pewno bezprzykładne jako wyzwanie. Konspiracja nie uformowała kadr państwowców ani doktryny i pragmatyki, to państwo jest budowane przez amatorów, niemal w dokładnym znaczeniu terminu. Ale to nie hańba. Próba (każdy to czuje) nie musi skończyć się fiaskiem. Jeżeli nie przy tym, to przy następnym podejściu.

Nie powołuję się na gazeciarskie statystyki, noszę w sobie własny barometr, sprawdzam go w rodzinie, u dziesiątków znajomych, w oczach ludzi na mieście. Nie widać przymierania, tylko niecierpliwość. Fenomenem jest (myślę o SMECZU), że obaj w tym samym czasie po tym samym mieście chodzimy i jakoś inaczej nam się idzie, inne widoki stają każdemu z nas przed oczyma.

Powinien dziś obowiązywać mądry stosunek do czasu. Bronisław Wojciech Linke, wybitny artysta i człowiek pełen niespodziewanych wibracji, którego zdążyłem poznać niedługo przed jego śmiercią, w 1962, spytał raz, czy wiem na pewno jaki jest herb Polski — i nie czekając poinformował: orzeł biały na tle nerwowym. Prześladuje mnie idea o polskiej niedojrzałości w stawianiu czoła czasowi, o przeżywaniu czasu w prymitywny sposób, bez wycucia jego skali, pasyjnymi skurczami niecierpliwości. Jest to opowiedzenie się za wariantem Chronosa pożerającego własne dzieci. Byłoby odważniej wybrać Mnemozynę, która jest pasem transmisyjnym wydarzeń, jest pamięcią. Jak dochodzi do tego, że pisarz, więc człowiek o inteligencji przestrzennej, kilkanaście miesięcy jakie upłynęły w nowych warunkach bierze za podstawę do poniżających uogólnień, podważających kwalifikacje tego narodu do państwowości. Rok i parę miesięcy to zapewne wieczność w egzystencji kolibra, ale nie człowieka, ale nie wielomilionowej masy ludzkiej, z właściwą dla niej grą inercji i dynamiki.

Masy — wykonującej karkołomny manewr na zakręcie. Czy obce oczy są naiwne, czy może mają jakieś niezrozumiałe cele w

ocenianiu polskich spraw inaczej, niż my sami? W pierwszej dekadzie maja *Financial Times*, piórem Martina Wolfa, surowo oceniwszy całość reformy, wskazywał na wielką szansę stojącą przed Polakami i winał im determinacji. Dlaczego z naszej strony to spojrzenie jest tak różne, dostrzega tylko niewydarzony organizm w dekompozycji? Nikt nie zna wielkości, jakimi się pochopnie operuje, ale można poszukać odpowiedniej skali we własnych niedawnych dziejach — po pierwszej wojnie światowej.

Zachęcam do przekartkowania rozmaitych pamiętników, Grabskiego, Witosa, Rataja i innych. Ten dopiero co usamodzielniony naród był w położeniu strasliwym, innego słowa nie ma. Dokoła pożogi wojen o granice, machinacje plebiscytowe, głód, straty materialne w ogromnych wymiarach, paskarstwo, agitacja, porozbiorowe rozbieżności struktur; nawet zarazy nie zabrakło, epidemia grypy hiszpanki omal nie zabrała Piłsudskiego. Namawiam do otworzenia w odpowiednim miejscu wspomnień Andrzeja Wierzbickiego (tego od Lewiatana), który opisuje stan kraju na podstawie dokumentów sejmowych i nieocenionego *Przeglądu Gospodarczego*, ukazującego się od 1 kwietnia 1920 jako organ Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów (ogarniającego także zagadnienia rolnictwa). Wynurza się z tego niewiarygodna panorama zniszczeń, przepadłości, ubytków w każdej dziedzinie — ale i sił, które mierzono wtedy na zamiary. Czy gatunek człowieka był wtedy może moralnie zdrowszy i lepszy?

Jak zwykle, najtrafniejsze okazuje się słowo literackie, obraz zarysowany ręką pisarza — a nie musiałem poza *Kulturę* nr 3/1991 wychodzić, żeby znaleźć, co trzeba. W „Liście z Londynu” Józef Garliński, kierowany tą samą troską, zastanawiając się nad przyszłością, wynotował z „Dzienników” Marii Dąbrowskiej zapis pod datą 21 lipca 1921:

„U nas nikt nie liczy i nikt nie przewiduje. Żyjemy nie ryzykiem, bo ryzyko to jest właśnie próba, czy nie zawiodą nas przewidywane obliczenia, żyjemy na oślep po prostu. W dobie, gdy wszystko z niepomiaralną szybkością obraca się na przeraźliwie dokładnym rachunku. W ogóle zbyt dużo najzłośliwszych bajek La Fontaine'a i Kryłowa może mieć do nas zastosowanie. Jesteśmy narodem nie z baśni, tylko z bajki, żywy to temat do satyry, i to jest miejsce, z którego może się zacząć szerzyć śmierć na cały organizm. Naród tragicomiczny, groteskowy i patetyczny, naród bez prostoty”.

Co? Więc przyszła autorka „Nocy i dni” patrzyła na współczesnych z tym samym rozczerowaniem, co my dzisiaj: wcale nie byli lepsi i dzielniejsi, niż teraz modele SMECZA i innych chętnych do dzieła karykaturzystów. „Naród bez prostoty” — ależ to niezastąpione słowa na scharakteryzowanie

całego legionu naszych hałaśliwych bohaterów z bitew w parlamencie i z pól strajkowych, z łamów prasy! Całe pokolenie zasługuje na ten epitet. Równocześnie uświadamiamy sobie: jednak tamci ludzie bez prostoty dokonali dzieła, w które nie chce się wierzyć! Oto dubeltowa, jak to starożytni nazywali, aporia — czyli pozornie niewytłumaczalna sprzeczność. Z przepastnego chaosu i krańcowej mizerności, bez środków, naród tak marnego pokroju wybił się, w pierwszych latach 1920-tych, na niepodległe państwo, krzepnące z każdym rokiem. Czy równie marnego pokroju tłum dzisiejszy (świadectwo SMECZA równa się dawnemu świadectwu Dąbrowskiej), w warunkach bynajmniej nie gorszych też zdoła to samo uczynić?

Gdy kończę to pisać, wskutek strajku odpowiednich służb miejskich śmiecie zalegają stołeczne miasto Warszawę i władze ogłosiły stan klęski ekologicznej, a groźny leader „Mazowsza”, Jankowski, człowiek, jak by się wyraziła Maria Dąbrowska, kompletnie pozbawiony prostoty (odwrotnie: pelen pretensji do władzy trybuna!) zorganizował wielką hecę w postaci demonstracji Solidarności przeciw rządowi wyłonionemu z tejże Solidarności.

Za to przed kilkoma dniami, 13 maja, literaci owacyjnie witali w PEN Clubie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Z lokalu zbyt kosztownego, w okazałej rotundzie w Pałacu Kultury i Nauki, dawno już Klub zrezygnował i przeniósł się skromnie do arki Noego, którą jest Dom Literatury na rogu placu Zamkowego. Tu dziś mijają się na schodach ludzie skądinąd, Szczypiorski przechodzi koło Żukrowskiego, bo rezyduje tu i tzw. Zlep i Stowarzyszenie Pisarzy i Pen. Tego dnia zwarta ciżba wypełniła nie tylko salę odczytową, ale również całą przestrzeń dookoła, łącznie z podestami schodów. Zjawiwszy się przezornie o całą godzinę wcześniej, zająłem doskonale miejsce w fotelach. Ale gdy przyszło dotrzeć do Herlinga, który zatrzymał się na górze, w pokojach PEN Clubu, to musiałem tę gęstwą otwierać jak ścianę buszu i przedostawać się po poręczach krzeseł. Na spotkaniu tym Herling czytał swoje opowiadania, odpowiadał na pytania, ktoś o nim raczej nudno mówił. Zwykły przebieg tego rodzaju zebrań. Za to odmienny był ten ścisły kontakt z pisarzem, którego prawie nikt z obecnych przedtem nigdy na oczy nie widział, to spontaniczne zbliżenie do niego, obłężenie go powszechną żarliwością. Tak się nie zachowuje przymierające społeczeństwo. Ktoś, wręczając pisarzowi bukiet bzu, opowiadał: Zaczepiła mnie w autobusie jakaś pani: — Domyślam się, że pan jedzie na spotkanie z Herlingiem, ja nie mam tego szczęścia. Proszę dać panu Herlingowi te kwiaty z mojej działki! — Nie jest obezwładniona apatią Warszawa umiejająca witać swego

pisarza w takim stylu. Słuchałem Herlinga i patrzyłem z satysfakcją na zebraną wokół publiczność. Literaci to rodzaj osobników o nieświeżym sercu i nadpsutym podniebieniu. Tym razem te twarze były obmyte ze zwykłego zblazowania, błyszcząły w stronę stolika, gdzie siedział pisarz po niedawnym zawale, uosabiający wierność i wytrwałość.

Do naszej sytuacji lepiej i ściślej niż epitety „groźna” i „straszna” (oba prawdziwe) przylega jeden nade wszystko przymiotnik: inna. Zupełnie nowa. Wszelkie, liczne jej zagrożenia, głównie ekonomiczne, ale i te wynikające z psychiki, z marniej ludzkiej natury, są jednocześnie oznakami normalności, a raczej powrotu do normalności, co zresztą wlecz się w irytującym tempie. Powrotu życia. Życie z samej definicji swojej jest trudnością, złożonością i tragedią. Komu tu się marzy ucieczka od tragiczności!? Tylko stan niby-bytu był nieskomplikowany, prawie sielankowy. Ubezwłasnowolnione w ciągu kilku dekad społeczeństwo miało odpowiednio zminimalizowane problemy, adekwatne do pryncypialnej szarości, która jest założeniem społeczeństwa. Małe kłopoty, małe satysfakcje, spłaszczona godność, uśpiona ciekawość i niemrawa inteligencja. Quasi-całkowita nullifikacja. Oczywiście, trzeba pamiętać o zamierzonym schematyzmie tego uogólnienia — jak każdego innego uogólnienia. Ale dlatego pokazujemy to w tej zaokrąglonej postaci, żeby na tym tle inny model, życia pełnego, co musi znaczyć: życia tragicznego — odciął się niedwuznacznie. To anoda i katoda. Wraz z życiem powraca irracjonalna zagadkowość i udręka zbiorowego istnienia. Budzą się zmysły i ciekawość (pierwszy stopień do polskiego piekła), równocześnie otwiera się pole do wszelkich możliwych egoizmów indywidualnych i zbiorowych. Godność odyskuje postawę pionową, ale obok jak echo odzywają się próżność, pycha i sarmackich siedem grzechów głównych. To nie żarty — żyć! Bestiarium wyrzyguje z siebie immanentne niegodziwości życia, w całej gamie uwydatniają się sprzeczności i konflikty, za czym idą pomyłki, fatalne nieporozumienia, klęski. Z jedną różnicą kapitalną: że już nie będzie ani jednej klęski, która miałaby ten sam skład chemiczny, co dawniej, od 1939 do 1989. To już będzie inna kombinacja, inny rebus, nie mniej dręczący, ale inaczej — odtąd jego składniki i logika funkcjonowania mieszczą się w naszej własnej oczywistości i pragmatyce. Akceptuję ją, tę oczywistość, jak ból w organizmie, bo to mój organizm, nie poddający się śmierci. Najgorsza rzecz jaka teraz może się przytrafić naszej publicystyce, jaka się może zdarzyć Polakowi — to utrata zmysłu wyczuwania zmiany w naszym losie. Byłby to zanik błędniaka, głuchota wewnętrzna i strzeż nas od tego, Panie B., bo dopiero z tym łatwo się wyrwać na dobre.

Koszmar polski (jeżeli się w ogóle potwierdzi, że to był koszmar, a nie doświadczenie nie do ominięcia) jest zagadnieniem egzystencjalnym i byłoby ciekawe zanalizować je według tych odważniejszych probierzy. Tę rasę stać na niebywałą odwagę w chwilach zewnętrznego niebezpieczeństwa. Niestety, zabrakło nam dziś dostatecznie widocznego przeciwnika. Ale można nań wskazać, bo jest, choć nie w fizycznej postaci. Nieprzyjacielem jest dla nas odrętwienie wyobraźni, której właściwego użycia domagał się Jerzy Giedroyc pisząc w swoim liście o braku wyobraźni ze strony rządu. Zgadzam się z diagnozą, ale proponuję rozciągnięcie jej wszecz i wzwyż, na wszystkie podmioty świadomości, na rządzących, ale i na rządzonych, nie wyłączając z tego publicystów, bo niby z jakiego tytułu.

Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)

Jedyna w Bawarii POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty,
odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne
prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

Wiersze

Czesław MIŁOSZ

FOTOGRAFIA

Nic trudniejszego
Niż napisać traktat
O człowieku wpatrującym się
W starą fotografię.

Dlaczego to robi
Pozostaje niezrozumiałe
I jego uczuć
Nie da się wytłumaczyć.

Niby to proste:
Jego dawna miłość.
Ale tu właśnie
Zaczyna się pytanie.

Jeżeli dotykalna,
Tak silnie obecna
W swojej skórze i sukni,
Paznokciach i włosach,

To czy była jak obłok
Albo fala rzeki
I powróciła
Do nieistnienia?

Czy też przeciwnie
Jest nadal substancją
To znaczy ma trwanie
Osobne i wieczne?

Uczą nas w szkołach
O jedności życia
Pierwotniaków i roślin,
Owadów i ludzi,

Które bez ustanku
Odnawia się i ginie
W pospólnej dla nas
Ojczyźnie — otchłani.

Stąd współcierpienie
Ze wszystkim co żywe,
Nie rozdzielane:
Ludzkie-zwierzęce.

Jakże zachowamy
Wysoki przywilej
Nam tylko danej
Nieśmiertelności?

Już powiadają
Teologowie:
„Byt nam się rozpada,
substancja, wymyka”.

Rozpamiętując
Jej fotografię
Powtarza słowa
Poety Zen:

„Czymże jest Ja?
Krótkotrwałą kulą
Z ziemi i wody,
Ognia i wiatru”.

I, niepojęte:
Zwraca się do niej
Zupełnie pewny,
Że ona słyszy:

„Służebnico pańska,
Moja obiecana,
Z którą mieliśmy mieć
Dwanaścioro dzieci,

Uproś dla mnie łaskę
Twojej mocnej wiary,
Żywi są za słabi
Bez waszej opieki.

Jesteś teraz dla mnie
Tajemnicą czasu
To jest ciągle innej
Tej samej osoby,

Która biega w ogrodzie
Pachnącym po deszczu
Z kokardą we włosach
I mieszka w zaświatach.

Widzisz jak się staram
Dotrzeć słowami
Tego co najważniejsze
I jak przegrywam.

Choć może ta chwila
Kiedy jesteś blisko
To właśnie twoja pomoc
I przebaczenie”.

MŁODOŚĆ

Twoja nieszczęśliwa i głupia młodość.
Twoje przybycie z prowincji do miasta.
Zapotniałe szyby tramwajów, ruchliwa nędza w tłumie.
Przerażenie kiedy wszedłeś do lokalu, który dla ciebie za drogi.
Ale wszystko za drogie. Za wysokie.
Ci tutaj muszą spostrzec twoje nieobycie
I niemodne ubranie i niezgrabność.

Nie było nikogo, kto by przy tobie stanął i powiedział:

— Jesteś ładnym chłopcem,
Jesteś silny i zdrowy,
Twoje nieszczęścia są urojone.

Nie zazdrościłbyś tenorowi w palcie z wielbłądziej wełny
Gdybyś znał jego strach i wiedział jak zginie.

Ruda z powodu której przeżywasz męki
Tak wydaje ci się piękna, jest lalką w ogniu,
Nie rozumiesz co krzyczy ustami pajaca.

Kształt kapeluszy, krój sukien, twarze w lustrach
Będiesz pamiętać niejasno, jak coś co było dawno
Albo zostaje ze snu.

Dom do którego zbliżasz się z drżeniem,
Apartament, który ciebie olśniewa,
Patrz, na tym miejscu dźwigi uprzatają gruz.

Ty z kolei będziesz mieć, posiadać, zabezpieczać,
Mogąc wreszcie być dumny, kiedy nie ma z czego.

Spełnią się twoje życzenia, obrócisz się wtedy
Ku czasowi utkanemu z dymu i mgły,

Ku mieniącej się tkaninie jednodniowych żywotów,
Która faluje, wznosi się i opada jak niezmiennie morze.

Książki, które czytałeś nie będą więcej potrzebne,
Szukałeś odpowiedzi, żyłeś bez odpowiedzi.

Będziesz iść ulicami jarzących się stolic południa
Przywrócony twoim początkom, widząc w zachwyceniu
Biel ogrodu kiedy w nocy spadł pierwszy śnieg.

FILOLOGIJA

*Pamięci Konstantego Szyrwidy, S.J.,
profesora Akademii Jezuitów w Wilnie i
litewskiego kaznodziei, który w r. 1612
wydał pierwszy słownik litewsko-
łaciński-polski.*

Biegnie, z lekka unosząc połą zimowego płaszcz.
Kostki jego w pończochach, śnieg i wrony.
Schwył i ma. Trzyma w ustach. Słowo,
Które usłyszał dzieckiem nad rodzinną rzeką,
Gdzie czółna w sitowiu, kładki, leszczyny,

I ostre dachy drewnianych chat.
Wzdłuż arkad alumnatu do swojej celi
Biegnie żeby gęsim piórem zapisać w rejester
Obok słów łacińskich. Kaszle. Drwa w kominie
Dymią. I Academia Societatis Jesu
Szybuję nad ulicami i anioły
Wcielają się w gips i kamień, modą Barocco.
Z plamami potu pod pachą, ileż koszul,
I spódnic, w których śniade brzuchy cieniste,
I gaci, pokolenia gaci, kaftanów,
Pludrów, kierei, siermiąg na gołej skórze!
Dudy i skrzypce, tańczyli na murawach.
Zmawiania się, dotykania, gry w zielone.
A wszyscy oni znali te same słowa,
Które są, dalej trwają, choć dawno umarli,
Jakby nie z ziemi, nie z nocy, nie z ciała,
Przybyły, ale z górnych eterycznych włości,
Nawiedzając jego, ja, starca, dziecko,
Swemu prawu poddane, genetivu, dativu,
Pokłonne od wiek wieków przyimkowi.
Otwieram słownik jakbym przywoływał dusze
Zakłęte w nieme dźwięki na stronicach
I próbuję zobaczyć jego, miłośnika,
Żeby mniej przynębiała mnie moja śmiertelność.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Przyszłość energii nuklearnej

Konieczność rozwoju technik nuklearnych wynika przede wszystkim z ogólnego bilansu energetycznego. Specjaliści oceniają, że w połowie przyszłego wieku w skali planety zacznie brakować energii, nawet jeśli zostanie utrzymany dość dynamiczny rozwój nowoczesnych technologii jej pozyskiwania.

PRZECIW TECHNICIE NUKLEARNEJ

Czynniki przeciwstawiające się dziś rozwojowi elektrowni nuklearnych mają głównie charakter krótkoterminowy. Wchodzą tu w grę przede wszystkim relacje monetarne. Niska cena ropy, oscylująca wokół 20 dolarów za baryłkę, nie nakłania do różnicowania źródeł energii. Cena ta nie powinna zasadniczo wzrosnąć, liczne bowiem kraje stref roponośnych, odczuwając dotkliwe potrzeby finansowe, nie mają interesu w ograniczaniu wydobycia. Między innymi Irak, Kuwejt i Związek Sowiecki starać się będą o zwiększenie podaży własnej ropy na rynku światowym i sytuacja ta potrwa przez wiele lat, odpowiednio do stopnia ruiny, jaki osiągnęła gospodarka tych krajów. Dalej, opłacalność importu ropy związana jest z niskim poziomem dolara. Ta okoliczność także nie ma charakteru przejściowego w związku z głębokimi zakłóceniami gospodarki Stanów Zjednoczonych. Dla odzyskania zdrowia muszą one trwale zwiększyć konkurencyjność własnych towarów na rynkach zagranicznych. Podniesienie kursu dolara, prowadzące do względnego wzrostu cen produktów amerykańskich, byłoby sprzeczne z tym celem.

Rozwojowi przemysłu nuklearnego nie sprzyja również stan energetycznego komfortu u inwestorów wypłacalnych, którymi w dzisiejszych czasach są wyłącznie kraje zamożne. Reszta świata boryka się z ciężarem zadłużenia, rozwiązywanego na różne spo-

soby, ale rzadko poprzez klasyczny mechanizm spłacania długów. Ci, co byliby skłonni rozwijać energetykę nuklearną, nie mają na to pieniędzy, ci zaś, którzy dysponują gotówką, nie odczuwają braku energii.

Kolejnym czynnikiem hamującym rozwój jest wydłużenie okresów budowy reaktorów. Działają tutaj złożone mechanizmy gry politycznej i oceny norm bezpieczeństwa, wskutek czego liczne konstrukcje tkwią w zaawansowanym, lecz stale nieukończonym stanie, wyczekując na wyniki sporu polityków i technologów.

Najsilniejszym hamulcem rozwoju inwestycji nuklearnych jest nacisk opinii publicznej, często nieprzekonanej do bezwzględnej wartości zabezpieczeń technicznych.

ZA TECHNIKĄ NUKLEARNĄ

Czynniki sprzyjające technologii nuklearnej mają charakter długoterminowy. Chodzi tu przede wszystkim o potrzeby energetyczne w skali całego globu. Kryzys gospodarczy krajów ubogich ulegnie ostremu wzmocnieniu w następstwie eksplozji demograficznej, beznadziejnie pogłębiającej niedostatek spożycia, w tym także i energii. Na Zachodzie z kolei należy liczyć się z wyczerpywaniem się zasobów naturalnych, co może spowodować uzależnienie go od innych regionów, zwłaszcza bliskowschodniego i sowieckiego. Żaden z nich nie przedstawia gwarancji płynnej współpracy, zgodnej z gospodarczą logiką zachodniej hemisfery. Logika ta, jak dotąd dominująca w świecie, przynosi korzyść jedynie Zachodowi, nie przyczyniając się w niczym do rozwiązania problemów właściwych regionom surowcowym, w tym sowieckiemu. Bezradność społeczeństw zamieszkujących te regiony, zapalne konflikty lokalne i archaiczne obyczaje elit politycznych nakazują liczyć się tam z serią głębokich paroksyzmów w pierwszej połowie przyszłego stulecia. W tej sytuacji Zachód albo będzie załatwiał sprawy przez karne ekspedycje podobne do wojny irackiej, albo rozwinie nowe technologie dla zwiększenia własnej niezależności energetycznej. Drugie z tych rozwiązań zdaje się handlowo znacznie korzystniejsze, a z pewnością stanie się takim za kilkadziesiąt lat, po wykorzystaniu taniej ropy bliskowschodniej i rozpowszechnieniu samochodowych silników elektrycznych. Długoterminowe czynniki handlowe i polityczne już teraz wywierają wpływ na strategie energetyczne, poprzez promocję nowych technologii, a zwłaszcza techniki nuklearnej. Wreszcie w nadchodzących dziesięcioleciach stopniowo uwidocznić się powinien słynny już, choć jeszcze nie mobilizujący opinii publicznej, efekt cieplarniany, czyli stopniowe podnoszenie się

temperatury na Ziemi w związku z powiększaniem się otuliny gazów szklarniowych w atmosferze. Wszystko to prowadzi do wniosku, że rok 2000 będzie datą ważnych decyzji, które nadadzą technologiom nuklearnym decydujący impuls.

GEOGRAFIA NUKLEARNA

W roku 1991 jest w świecie czynnych 320 reaktorów, dalších 83 znajduje się w budowie. Blisko jedna trzecia światowej mocy zainstalowana jest w Stanach Zjednoczonych, prawie jedna szósta — we Francji. Z grubsza określić można cztery obszary objęte tą technologią: Ameryka północna, zachodnia Europa, Azja południowo-wschodnia oraz obóz sowiecki. Udział energetyki nuklearnej w produkcji elektryczności przedstawia się bardzo różnie: 75% we Francji, 61% w Belgii, 55% w Korei Południowej, 50% na Węgrzech, 45% w Szwecji, 41% w Szwajcarii, 38% w Niemczech zachodnich, 38% w Hiszpanii, 35% w Finlandii, 30% na Tajwanie, poniżej 20% w USA.

Wyjątkowa sytuacja we Francji jest następstwem spłotu sprzyjających okoliczności: politycznej woli V Republiki osiągnięcia niezależności zarówno gospodarczej jak i wojskowej oraz szczelnej struktury państwowego monopolu elektrycznego EdF, dysponującego dużą swobodą finansową i organizacyjną. Głębokie przywiązanie Francuzów do niepodległości w połączeniu ze swoistą aprobatą państwa umożliwiły kolejnym rządów prowadzenie spójnej polityki nuklearnej, dzięki czemu Francja osiągnęła wszystkie swe cele: atomowa *force de frappe* wzmacnia jej rolę jako średniego mocarstwa o sporym przebiegu międzynarodowym, bilans energetyczny kraju wykazuje stałe nadwyżki, umożliwiające eksport elektryczności i central, a skażenie środowiska, zdaniem dyrektorów EdF, zmniejszyło się w ostatnich dziesięcioleciach o 30% w następstwie ograniczenia spalania surowców organicznych.

W odróżnieniu od Francji Stany Zjednoczone nie prowadzą żadnej polityki energetycznej. Energia jest tam zwykłym przedmiotem konsumpcji i podlega mechanizmom właściwym dla ojczyzny liberalizmu i pierwszej potęgi świata. Są to mechanizmy bardzo złożone i trudne do ujęcia w porządkujący schemat jednej ideologii, na przykład ochrony środowiska, niezależności energetycznej czy planetarnego ładu: a przecież to właśnie Stany byłyby jedyną siłą zdolną do integralnych poczynań w każdej z tych dziedzin. Jak dotąd liczy się jedynie zysk, którego maksymalizację zapewniają sobie Amerykanie poprzez zdominowany przez siebie światowy układ finansowy oraz własną potęgę zbrojną. Spójna polityka ochrony środowiska nie istnieje, zastą-

piona przez swoiste pojęte mechanizmy rynkowe: nowa elektrownia może emitować pyły do woli, pod warunkiem wykupienia odpowiedniej części lokalnego zanieczyszczenia od innej wytwórni. Interesy przemysłu amerykańskiego jak dotąd nie wymagają zwracania uwagi na globalne zanieczyszczenie, skąd kolejne administracje waszyngtońskie czerpały głębokie przekonanie o braku naukowych podstaw do niepokoju o stan atmosfery. Ostatnio rząd prezydenta Busha wydaje się zmieniać zdanie w tej sprawie, ale do świadomej polityki ekologicznej w Stanach Zjednoczonych jeszcze bardzo daleko. Z kolei niezależność energetyczna nie stanowi tam żadnego priorytetu, wobec skuteczności amerykańskiej techniki wojennej. Co więcej, logika światowego układu finansowego, wzmocniona amerykańską koniunkturą polityczną, w skali globalnej, prowadzi do nieograniczonego wykorzystywania przez USA surowców importowanych, z zachowaniem własnych zasobów na lepsze czasy. Tym sposobem oszczędzane są amerykańskie złoża ropoposne, których użytkowanie zacznie się opłacać dopiero gdy cena baryłki przekroczy z nawiązką 30 dolarów, czego w nadchodzących latach oczekiwać nie należy. Wreszcie zasoby, jakimi Amerykanie dysponują u siebie i na zewnątrz, wydają się tak niezmiernie, że oszczędność spożycia energii nie wchodzi w zakres obyczajów społecznych. Na głowę mieszkańca Amerykanie spożywają dwa razy więcej energii, niż mieszkańcy Europy zachodniej, przy porównywalnych warunkach klimatycznych oraz podobnym dochodzie przeciętnym. Wszystko to nie stanowi motywacji rozwojowych dla energetyki nuklearnej w Stanach Zjednoczonych.

Stany to oczywiście planetarna potęga w technologii nuklearnej. Czynne tam park cywilny i wojskowy są najpotężniejsze na świecie. Od połowy lat siedemdziesiątych mamy jednak do czynienia w USA z praktycznym zamrożeniem inwestycji, co interpretowane bywa jako zasadniczy odwrót Stanów Zjednoczonych od niebezpiecznej techniki. Rzeczywistość jest jednak bardziej zniuansowana. Jak wykazaliśmy powyżej, obfitość i tani dostęp do tradycyjnych zasobów energetycznych nie stwarzają w USA silnych bodźców do natychmiastowej konwersji struktur technologicznych. Amerykanie rozwijają technikę nuklearną bez zbytniego pośpiechu, bo to leży w ich interesie. Wiele ukończonych już instalacji boryka się z lokalnym oporem i długotrwałością prawnych procedur, dotyczących zatwierdzenia zabezpieczeń, w związku z czym kilkunastoletnie opóźnienia są na porządku dziennym. Ogromnie podnosi to koszty budowy i obniża konkurencyjność uzyskiwanej później energii. W Stanach Zjednoczonych niemal cała energetyka jest w rękach prywatnych. Jeśli więc przez kilkanaście lat z rządu odpowiedzialny członek rady nadzorczej stale informuje, że znowu nie będzie dywidend, bo

elektrownia nie uzyskała wszystkich koniecznych pozwoleń rozruchowych, wówczas łatwo sobie wyobrazić los zarówno odpowiedzialnego członka, jak i planów inwestycyjnych dalszych elektrowni nuklearnych.

Jest to przykład trudnej sytuacji rozwiązywanej środkami całkowicie pragmatycznymi. Ujawnia się w niej cały geniusz inwencji amerykańskiej. Europejska idea narodowego referendum, narzucającego wszystkim ideologiczne rozwiązanie w drodze demokratycznego przymusu, jest tam nie do pomyślenia. Konstytucja, chroniąca obywatela przed państwem oraz prawo, zapewniające mu obronę przed grupami nacisku stanowią skuteczny instrument hamujący inwestycje tak długo, aż nastąpi całkowita zbieżność parametrów urządzeń z prawnymi normami bezpieczeństwa. Ponieważ zaś nic Amerykanów nie nakłania do pośpiechu, więc rozwój odpowiedniego ustawodawstwa odbywa się powoli. W tych warunkach doszło do zamrożenia większości inwestycji nuklearnych, wszelako bez zasadniczej blokady energetyki nuklearnej.

Wobec zerwania jej ciągłości technologicznej na rynku amerykańskim tamtejszy przemysł zdecydował się opracować całkowicie nowe koncepcje zabezpieczeń, co w nadchodzących latach przynieść powinno przyspieszenie dynamiki rozwoju tej dziedziny na całym świecie — nie tylko w następstwie hipotetycznej rewolucji technologicznej za Atlantykiem, ale także przez reakcję europejskiego przemysłu nuklearnego, który ze swej strony skoncentrował wielkie środki dla ochrony własnych, klasycznych rozwiązań.

Europejska technika nuklearna bowiem bynajmniej nie ustępuje, mimo silnego nacisku polityki, stymulowanej społecznym oporem. W Szwecji, w początkach lat osiemdziesiątych, podjęto decyzję o likwidacji całego parku nuklearnego do roku 1995. Wkrótce zaczęły się ujawniać ujemne skutki tego planu, wpływające na poziom krajowej produkcji i spożycia. Przemysł nuklearny przyciąga inwestycje i sprzyja rozwojowi wielu nowoczesnych technologii: jego stopniowa eliminacja przyspieszyła niepokojącą tendencję do ucieczki szwedzkich kapitałów i delokalizacji fabryk za granicę. Z drugiej strony zabezpieczenia szwedzkich elektrowni atomowych osiągnęły zadowalający poziom. W rezultacie Szwedzi po dziesięciu latach zmienili decyzję. Proces likwidacji przemysłu nuklearnego uległ zamrożeniu do roku 2010, a w tym czasie przemysł rozwija energiczne wysiłki dla dalszego podniesienia jakości zabezpieczeń oraz nawiązania międzynarodowych sojuszków — między innymi poprzez kontakty — jak dotąd bezowocne — z Polakami.

W Niemczech Zachodnich kampania antynuklearna była wyjątkowo silna, co wynika ze szczególnych czynników społecz-

nych w kraju, gdzie lęk przed katastrofą ma mocne podłoże historyczne i geopolityczne. Czarnobyl z wielokrotnością to zjawisko tak dalece, że obserwowano w RFN migracje kobiet na południe i masowe akty przerywania ciąży w obawie przed radioaktywną chmurą ze Wschodu. Do tego dołączył silny nacisk *lobby* węglowego, zarówno właścicieli kopalń, jak związków zawodowych, zainteresowanych utrzymaniem stanowisk pracy w rozbudowanych zagłębiach węglowych. W rezultacie odwrót od elektrowni atomowych przeprowadzany jest bardzo energicznie — tylko w ubiegłym roku zamknięto w Niemczech zachodnich pięć central nuklearnych. Z punktu widzenia gospodarczego oznacza to politykę popierania krajowego węgla, dzięki czemu kilowat niemiecki ma najwyższą cenę w Europie zachodniej: 56 francuskich centymów, w stosunku do 42 w USA, 35 we Francji czy 30 w Kanadzie (rok 1990, dane *Electricité de France*). Do niedawna Niemcy zachodni mogli sobie pozwolić na subwencjonowanie węgla, obecnie jednak rachunek za zjednoczenie kraju wchłania całe nadwyżki budżetowe i zmusza do rygoru. Ponadto zachodniemiecki węgiel kamienny nie pokryje całkowicie krajowych niedoborów energetycznych, dodatkowo pogłębianych zamknięciem niektórych kopalń węgla brunatnego na terenie byłej NRD. Na krótką metę braku uzupełni import taniej energii, także z Polski. W perspektywie przyszłego stulecia jednak zmienić się musi sama struktura niemieckiej energetyki. Zachodnioeuropejski węgiel stopniowo wykańczany będzie przez konkurencję bardzo wydajnych złóż amerykańskich, australijskich i południowoafrykańskich, a w pewnym stopniu także polskich, zwłaszcza jeśli zdewaluowana zostanie złotówka. Cena światowego węgla — 43 dolary za tonę — jest dwa razy niższa od kosztów wydobycia węgla niemieckiego, francuskiego czy angielskiego, co wyklucza jakikolwiek rozsądny rachunek ekonomiczny. We Francji ostatnia kopalnia zniknie do roku 2005 i trudno sobie wyobrazić Niemcy jako skansen technologii XIX wieku.

Osobliwa sytuacja panuje we Włoszech. Ludność nie chce elektrowni nuklearnych, ale przeciwna jest także spalaniu węgla. W drodze referendum wstrzymano tam centralne plany nuklearne, odsyłając szczegółowe decyzje w teren, gdzie lokalne wspólnoty władne są przyjąć lub odrzucić każdy projekt. Jeśli jednak przez przypadek gmina zgłasza za inwestycją nuklearną, nie przyniesie jej to żadnej korzyści, natomiast sprowadzi wszystkie niedogodności związane z lokalizacją wielkiej centrali. Niefrasobliwość ustawodawcza i brak dalekosiężnej woli politycznej utrwalają na półwyspie prowizorkę energetyczną. Włochy importują energię elektryczną w wysokości jednej czwartej swego zapotrzebowania — z Francji, Szwajcarii, ZSSR, a nawet z Turcji. Do obrazu tego dodać trzeba pełną zależność kraju od importowa-

nej ropy. Taki stan nie może trwać wiecznie, innymi słowy Włochy stoją wobec konieczności sformułowania realnej polityki energetycznej, która wobec braku własnego potencjału surowcowego jest nie do pomyślenia bez opcji nuklearnej.

Hiszpania produkuje blisko 40% elektryczności w centralach atomowych. Okres przedwyborczy, przypadający na rok 1991, nie sprzyja zasadniczemu przyspieszeniu inwestycji. W przededniu wyborów lokalnych rząd ugiął się przed żądaniem partii socjalistycznej, zdecydowanie przeciwnej energii nuklearnej, wprowadzając moratorium na dalsze centrale nuklearne do roku 2000. Dotknie ono w szczególności dwie elektrownie w kraju Basków, gdzie stale grożą zamachy terrorystów ETA. Jednocześnie minister przemysłu podpisał umowy na budowę gazociągów z Maroka i Algerii. Gaz zabezpieczy część zwiększonego zapotrzebowania na energię, związanego z dynamicznym rozwojem gospodarki, ale nie rozwiąże problemu w całości. Polityczna blokada dla energii nuklearnej nie powinna potrwać długo: warto zwrócić uwagę na fakt, że to właśnie rząd socjalistyczny rozwinął istniejący park, długo opierając się naciskom własnej partii.

Japonia nie posiada żadnych surowców energetycznych i jej zależność od importowanej ropy w każdej chwili grozić może destabilizacją ogromnej maszyny przemysłowej kraju. Decyzje, jakie podjęto w tym kraju, z powodzeniem zmierzają do przezwyciężenia tego fatalizmu: wybrany został mianowicie niskoenergetyczny model gospodarki, nastawionej na produkcję o dużej wartości dodanej, a małej materiałochłonności oraz zdecydowano rozwinąć technologię nuklearną. Z oczywistych powodów ten ostatni wybór nie był sprawą łatwą w społeczeństwie, które jako jedyne w świecie zna horror bomby atomowej. Dziś moc zainstalowanych central nuklearnych w Japonii przekracza 30 gigawatów, co stanowi dwie trzecie potencjału sowieckiego, a do roku 2000 oczekuje się podwojenia tego parku. Tylko w Stanach elektrownie atomowe wytwarzać będą więcej elektryczności. Podkreślić warto szczególną, bardzo japońską w charakterze zgodę polityków, społeczeństwa i przedsiębiorców. W Japonii cała energia elektryczna wytwarzana jest w centralach prywatnych i bez wspomnianego konsensusu, opartego o rzeczowe plany i głęboko umotywowaną wolę wszystkich środowisk, niepowstrzymany rozwój technologii nuklearnych byłby nie do pomyślenia.

Podobną determinację dostrzec można w innych krajach Azji południowo-wschodniej. Korea Południowa wytwarza ponad połowę swojej elektryczności w elektrowniach atomowych, do roku 2000 powiększy swój potencjał nuklearny o 40%. W tym samym czasie na Tajwanie moc atomowych central zwiększy się z 5 do 7 gigawatów. Indonezja ma zamiar postawić dwanaście reaktorów. Indie powiększą swój stan z półtora gigawata do 6-ciu.

Powyższe dane mogą ulec zmianie tylko w związku ze wskazaniami wzrostu gospodarczego, z którymi rozwój energetyki jest ściśle związany. Nie należy tam natomiast oczekiwać zakwestionowania programów nuklearnych przez jakiś rodzaj sprzeciwu ideologicznego.

Sytuacja kształtuje się inaczej w krajach obozu wschodniego, gdzie związek między potrzebami gospodarki i planami nuklearnymi na ogół został zerwany. Poza Węgry, gdzie rząd dąży do uniezależnienia się od sowieckich dostaw energii elektrycznej, Czechosłowacją, zdecydowaną zastąpić węgiel przez energię nuklearną i gaz oraz poza Chinami, gdzie niewzruszoną wolą mandarynów jest fasadowe naśladowanie technologicznych mutacji azjatyckich smoków gospodarczych — w pozostałych krajach komunistycznego Wschodu słabość elit politycznych uniemożliwia podjęcie decyzji o rozwoju sektora nuklearnego. Główną przyczynę upatruje się zwykle w niechętnym nastawieniu ludności do technologii tradycyjnie sowieckiej, nieodwracalnie tkniętej piętnem Czarnobyla. Wydaje się jednak, że nie sposób pominąć nieudolności nowych polityków, którzy wykazują bezradność na wszystkich polach: dialogu z własnym społeczeństwem, rozumienia *dossier* technologicznego, nawiązywania sojuszków z międzynarodowymi grupami przemysłowymi, dostosowywania projektów gospodarczych do światowych tendencji i strategii nuklearnych. W niektórych krajach — na przykład w Polsce — politycy usprawiedliwiają brak zdecydowania niejasnym stanem istniejących zabezpieczeń, co miałoby stanowić racjonalną podstawę dla zawieszenia strategii nuklearnych do czasu, gdy powstaną całkowicie pewne systemy. Jest to podwójnie niedorzeczne stanowisko. Po pierwsze, zachodnie zabezpieczenia zdają egzamin eksploatacyjny, a przy tym całkowicie pewne zabezpieczenia nie powstaną nigdy. Po drugie rezygnacja z nowoczesnej technologii nie jest dobrym środkiem do jej przyszłego opanowania, nawet jeśli tylko w charakterze użytkownika. Innym argumentem hamującym handlowe inicjatywy nuklearne jest niewypłacalność byłych krajów sowieckich. Jest to prawda bardzo względna, nie biorąca pod uwagę możliwości kredytowania, gwarantowanego produkcją i obrotem towarowym w regionie lokalizacji nowych central. Blokada rozwojowa nowoczesnych technologii energetycznych w pełni odpowiada marazmowi gospodarki jako całości, nie można sobie bowiem wyobrazić powstania sieci elektrowni atomowych na terenie, gdzie w gruncie rzeczy nic nie ulega zmianie w przemysłowym złomowisku odziedziczonym po rządach komunistów.

NIEUNIKNIONY WYBÓR

Technologia nuklearna weszła w stadium, które w pełni zasługuje na miano dojrzałego. Pełni ważną rolę w wielu systemach gospodarczych, stanie się zaś jednym z niezbędnych czynników światowej równowagi przyszłego tysiąclecia. Będąc przy tym zjawiskiem względnie nowym, budzi naturalne obawy, nie odbiegające swoim charakterem od XIX-wiecznych reakcji na sypiącą iskrami lokomobilę Stevensona czy ploszącą konie automobilę Gottlieba Daimlera. Pionierzy nowej techniki zwykle głoszą pojawienie się panaceum na wszelkie dolegliwości cywilizacji, przeciwnicy zaś — że rodzi się bomba z opóźnionym zapłonem. Tak na przykład Ford utrzymywał, że samochód oszczędzi miliony istnień ludzkich, zapobiegając wojnom jako katalizator nowej cywilizacji konsumpcyjnej. Ford nie przewidział, że samochód zabije tyleż samo istnień, co hipotetycznie mógłby oszczędzić. Znaczenie podobnych sporów leży w uwypukleniu złożonego charakteru ludzkich inwencji, albo głębiej: samej istoty postępu, gdzie rozwiązanie problemu jest źródłem nowych problemów. Od tego fatalizmu technologia nuklearna nie jest i nie będzie nigdy wolna, podobnie, jak wszystkie innowacje o dużym zasięgu. Jak staraliśmy się wykazać, losy energetyki nuklearnej w poszczególnych krajach związane są z bieżącym interesem gospodarki. Argumenty ochrony środowiska, formułowane w sposób cząstkowy, a niekiedy wręcz nieuczciwy, służą na ogół konkretnemu celowi politycznemu. Niemcy z hukiem zamykają kopalnie w NRD, natomiast subwencjonują zagłębia w zachodniej części kraju. Czy eneradowski węgiel dostarcza więcej pyłów i kwaśnych deszczów, niż ten z zagłębia Ruhry? Oczywiście, nie: to rachunek ekonomiczny narzuca takie rozwiązanie na bliską metę, podobnie jak na daleką doprowadzi do rozwoju własnej energetyki nuklearnej. Rachunek ekonomiczny wyhamował gorliwość Szwedów przywiązanych przez jakiś czas do wizji sfery bezatomowej w Skandynawii. Rachunek ekonomiczny wiąże ręce amerykańskim inwestorom nuklearnym i uspokaja sumienie kongresmenów w stosunku do gigantycznego marnotrawstwa planetarnych zasobów surowcowych i atmosferycznych. Rachunek ekonomiczny wreszcie nakłania coraz liczniejsze kraje Azji południowo-wschodniej, ongiś znacznie uboższe od Polski, do rozwoju energetyki nuklearnej.

W Polsce sytuacja jest złożona. Rezerwy węgla oblicza się u nas na 32 miliardy ton, co przy dzisiejszym wydobyciu wystarczyłoby na blisko dwa wieki. Praktycznie oznacza to pewien komfort wydobywczy na okres kilkudziesięciu lat. O ile sporo kopalń — zwłaszcza dolnośląskich — wymaga po prostu

zamknięcia, to wiele innych — przede wszystkim na Górnym Śląsku i w Lubelskim — mogłoby dostosować się do wymogów rynku i rentowności. Nie można bowiem ignorować narodowego bogactwa; Polska ma dużo węgla i powinna z niego korzystać. Wielkość jego spożycia musi jednak ulec zasadniczemu obniżeniu, ustępując po części energii nuklearnej, ropie i paliwu gazowemu. Utrzymywanie dotychczasowego poziomu wydobycia węgla prowadzi do nieodwracalnych strat w majątku narodowym, zarówno z powodów środowiskowych, jak i wynikających z utrwalania nieekonomicznej struktury cieplnej i przemysłowej Polski. Warto przy tym zwrócić uwagę, że pominięcie opcji nuklearnej w planach nowej struktury energetycznej kraju wcześniej czy później doprowadzi do zakwestionowania dzisiejszych wyborów, tak jak ma to miejsce w innych krajach, uzależnionych od dostaw ropy i gazu. Innymi słowy, potrzebna jest polityka energetyczna, której kwestia nuklearna stanowiłaby już dziś integralną część.

Paryż, 28.05.91

Robert KACZMAREK

List z Londynu (22)

Dalsze ściganie hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, które należy do kontrowersyjnych problemów w szeregu europejskich krajów, doprowadziło tutaj do parlamentarnego kryzysu. Nie jest on groźny, ale wywołał szeroką i gorącą dyskusję i przypomniat założenia, na jakich opiera się tutejsza demokracja.

Parlament składa się z dwóch izb: niższej, Izby Gmin, z 635 wybieranymi posłami, i wyższej, Izby Lordów, w której żaden z uczestników nie pochodzi z wyboru. 26 to biskupi, około 800 to lordowie dziedziczni i około 200 tacy, którzy otrzymali tytuł za zasługi i którzy dzierżą go dożywotnio, bez dziedziczenia. Lordów jest więc ponad 1000, ale z dziedzicznych tylko niewielu przychodzi na obrady. Przeważnie Izba obraduje w składzie 200-250 lordów.

Krajem kieruje rząd wyłoniony przez partię, która ma większość w Izbie Gmin (w wypadku braku większości powstaje koalicja), o to walczone przez stulecia, krajem rządzi niższa izba, ale lordowie mają jednak możliwości wpływania na losy państwa. Jedną z prerogatyw Izby Lordów jest odrzucenie uchwały Izby Gmin, która w wypadku zaakceptowania stałaby się prawem. Odrzu-

cenie powoduje powrót do niższej izby i konieczność ponownego jej uchwalenia, a gdy to się stanie, wraca ona po raz drugi i ostatni pod obrady Lordów. Jeżeli po raz drugi ją odrzuca, rząd staje przed ostateczną decyzją pokazania, kto rządzi krajem. Musi wtedy skorzystać ze specjalnego aktu Parlamentu, uchwalonego w roku 1911 na wniosek Lloyd George'a, ówczesnego premiera z partii liberałów. Rząd zwraca się do Królowej, która, zupełnie wyjątkowo, wydaje dekret, decyzja Izby Lordów traci swoją moc i uchwała Izby Gmin staje się prawem, ale dopiero po roku. Przez wiele lat okres ten trwał dwa lata, ale w roku 1949 zmienił to parlament na jeden rok na wniosek socjalistycznego premiera, Clementa Attlee.

Od 79-ciu lat tylko trzy razy rząd korzystał z takiego rozwiązania i teraz stanie się to po raz czwarty, a całej sprawie dodaje smaku fakt, że musi to zrobić rząd konserwatystów, a Izba Lordów jest tradycyjnie przez nich opanowana. Te dwa akty z 1911 i z 1949 weszły w życie dzięki akcji liberałów i socjalistów, którzy w ten sposób ograniczyli prawa wyższej Izby.

Tak się złożyło, że na decyzję Izby Lordów miałem pewien wpływ. Moja książka, *Fighting Auschwitz*, o ruchu podziemnym w oświęcimskim obozie rozeszła się szeroko, kilkakrotnie brałem udział w telewizyjnych programach o niemieckich obozach koncentracyjnych i masowej eksterminacji ofiar nazizmu, wielkie dzienniki drukowały moje wypowiedzi na ten temat, więc przed debatą byłem zapytywany przez kilku członków Izby Lordów o moją opinię. Wzmacnia ją fakt, że przeszedłem przez Oświęcim i inne niemieckie obozy.

Opinia moja jest krótka: skończyć pościg za nazistami, którym przypisuje się wojenne zbrodnie. Po pierwsze poznanie kogoś, kogo widziało się ponad 40 lat temu, jest praktycznie niemożliwe, a po drugie musimy wreszcie dokończyć rozpoczęte już dzieło i doprowadzić do zjednoczonej Europy, tymczasem tylko zachodniej. Niemcy są w samym środku tego systemu, odgrywają w nim czołową rolę, musimy mieć w nich dobrych Europejczyków, innego rozwiązania nie ma. Ciągłe powracanie do widm ubiegłej wojny niczego już nie załatwia.

Jeżeli ktoś z obecnych miał jeszcze wątpliwości, czy literatura polska jest jedna, otrząsnął się z nich w chwili, gdy tak jak wszyscy, nie mógł pohamować łez w popołudniowych godzinach spotkania pisarzy polskich z Kraju i z całego świata. Aleksander Jurewicz odczytał kilka strof ze swej małej książeczki, *Lida*, właśnie wyróżnionej nagrodą Czesława Miłosza. Był małym dzieckiem, gdy w roku 1957 jego rodzice skorzystali z możliwości repatriacji do Polski a on, kochający Lidę swym dziecinnyim sercem, bronił się przed wyjazdem wbrew wszystkiemu: *ja nie chacz u Polszu, ja nie chaczu, ja nie chaczu!* Mała, cudowna książeczka powstała jednak

w naszym języku. Bo jedność literatury to właśnie język. Jego potęgą stwarza, że na dalszy plan odchodzą odległości, dalekie światy i granice.

Spotkanie, o którym można było marzyć jeszcze dwa lata temu, wymagało odzyskania wolności. Nie mogli przyjechać wszyscy, zabrakło kilku najważniejszych, z Czesławem Miłoszem i Redaktorem paryskiej *Kultury* na czele, ale ponad 100 uczestników, w tym 33 zza granicy, to cyfra poważna. Stworzono dla nich ramy spotkania, które przekroczyły granice stolicy i sięgnięto do innych miast. Wielu z nas wyjechało do nich na dwa dni, dla innych zorganizowano w siedzibie Stowarzyszenia wspólny wieczór autorski.

W ciągu zaledwie kilku dni, wprost spontanicznie, połączyły nas więzy przyjaźni, bez trudu zapomnieliśmy, że prawie przez pół wieku dzieliły nas przestrzenie, granice i kłamstwa obcej propagandy.

Ten akcent dźwięczał w mym powitalnym przemówieniu, powróciłem doń na zakończenie spotkania, gdy żegnaliśmy się w Obozach. Konieczność współpracy i szukania wspólnych form działania była dla mnie oczywista. Pisarze należą do elity społeczeństwa, na nich są zwrócone oczy narodu. Musimy dążyć do przekreślenia wieoletnich różnic, musimy dążyć do jedności z odrzuceniem tylko najjaskrawszych negatywnych jednostek. Takiego postępowania kraj, rozdarty sporami i różnicami, najbardziej teraz oczekuje.

Ta bezsporna dla mnie prawda, tak jasna, że aż banalna, została skontrolowana argumentem, że dążenie do jedności, poza niebezpiecznym aspektem ideowym, może zatrzeć różnice w wartościach, w duchowych rodowodach, osłabić pisarską wenę. Z różnic może wyrosnąć wielka literatura.

Największym banałem jest obawa powiedzenia czegoś banalnego, powyższa opinia banałem nie jest, ale jej słuszność? W tym samym domu na Krakowskim Przedmieściu mieści się Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, które zorganizowało nasze spotkanie, i dawniejszy komunistyczny Związek Literatów. Obydwie organizacje mają spełniać tę samą rolę, wydawać pieniądze, których w Polsce nie ma, na te same cele, konkurować ze sobą w sprawach organizacyjnych. Według bardzo niebanalnej powyższej opinii ma to wzbogacić polską literaturę. Jest to argument z kategorii tych, według których czym więcej będzie w Polsce partii politycznych, tym bogatsza i lepsza będzie nasza demokracja.

Przez kilka miesięcy po pozbyciu się pani Thatcher konserwatyści cieszyli się pozornym powodzeniem, przegonili nawet Partię Pracy w sondażach opinii publicznej, ale ten miódowy miesiąc prędko się skończył. Wygasła wojna na Bliskim Wschodzie, na pierwsze miejsce wysunęły się sprawy wewnętrzne, przyszła klęska w wyborach samorządowych, przegrano dwukrotnie, uzupełniające wy-

bory do parlamentu i konserwatyści znowu znaleźli się za socjalistami i to aż o 8 punktów.

Przekreśliło to rządowe plany ogłoszenia wyborów już w tym roku, a wyraźnie się na to zanosilo, bo zdołano pohamować inflację i z 10 % prawie obniżyć do 6-ciu. Drugą wyraźną zapowiedzią powszechnego głosowania było czterokrotne obniżenie procentów od pożyczek, głównie na nieruchomości.

Rząd wycofał się z katastrofalnego podatku komunalnego, ale Partia Pracy znalazła inny słaby punkt, łatwy do ataku i otwierający rozległe pole do taniej demagogii. Jest nim energicznie forsowana przez konserwatystów reforma państwowej Służby Zdrowia.

W największym skrócie chodzi o zmniejszenie biurokracji i o usprawnienie działalności szpitali, głównie na odcinku zaległych operacji, które nie są pilne. Szpitale, które zdecydują się na rządową sugestię, otrzymają samodzielność, będą mogły tworzyć trusty i same decydować, jak i kiedy wydawać otrzymywane od państwa pieniądze. Te szpitale, które szybciej będą redukować listę czekających na operacje pacjentów, skorzystają z dodatkowych bonusów.

Plan jest logiczny i dobry, już kilka szpitali wprowadzało go z korzystnymi wynikami w życie, ale przeciętny człowiek nie bardzo to wszystko rozumie, a jest podatny na kłamliwą i jak najprostszą propagandę. Socjaliści podnieśli wrzawę, że szpitale będą masowo opuszczać Służbę Zdrowia i w ten sposób pozbawiać ludzi ich lokalnego oparcia. Ta właśnie propaganda spowodowała, że konserwatyści znaleźli się za Partią Pracy.

A jednak, nawet bez reformy, tutejsza Służba Zdrowia działa znakomicie, o czym mogłem się przekonać na przestrzeni kilku lat, w czasie okrutnej i śmiertelnej choroby mojej żony. Kilkakrotnie musiała spędzić szereg dni w szpitalu i za każdym razem opieka lekarska i pielęgniarska stały na najwyższym poziomie.

Specjalnie mocno zaznaczyło się to w małym mieście koło Londynu, gdzie na lokalnym lotnisku lądują charterowe samoloty. Wracaliśmy w marcu z Hiszpanii, żona nie miała sił, by wysiąść z samolotu, była godzina pierwsza w nocy. W ciągu kilku minut zjawił się ambulans, lotniskowy punkt sanitarny udzielił wszelkiej pomocy, załatwił nasze formalności paszportowe, odebrał walizki, umieścił żonę w lokalnym szpitalu, znalazł dla mnie hotel. Wszystko to załatwiono z przyjaznym uśmiechem, szybko, sprawnie i fachowo.

W czasie ostatniego pobytu w szpitalu dano nam do dyspozycji osobny pokój z dwoma łózkami, bym mógł być z żoną dzień i noc, do ostatniej godziny. Kilkakrotnie zbierało się konsylium siedmiu lekarzy, serdeczność pielęgniarek była wzruszająca.

Tak się złożyło, że dwa ostatnie pobytu w szpitalu wypadły w okresie strajku ambulansów. Raz zabierali żonę z domu policjanci, drugi raz młodzi żołnierze.

Te sprawy nie są związane z polityką, w takich okolicznościach poznaje się kraj i społeczeństwo, które go zamieszkuje. Na którym etapie drogi do odbudowy jesteś w tych sprawach, nasz kraju?

Obok kontaktów uniwersyteckich przyjąłem zaproszenie od wiceministra B. Komorowskiego z Ministerstwa Obrony Narodowej i miałem dlań szereg wykładów. W Rembertowie, w Wyższej Akademii Wojskowej, spotkałem się ze specjalistami, w Warszawie, w Dęblinie i we Wrocławiu miałem po kilkuset słuchaczy, od pułkowników do podchorążych a nawet prostych żołnierzy. Byłem przygotowany do popularnych wykładów o drugiej wojnie światowej, przeszono jednak prawie za każdym razem, bym mówił o obecnej sytuacji w Europie, o Wspólnym Rynku, o jednoczącym się Zachodzie i o naszych szansach włączenia się do tego procesu. Starałem się unikać drażniącej często dydaktyki, dążyłem do wywołania dyskusji i jak największego udziału słuchających.

Zawsze się to udawało, pytania były ciekawe, wypowiedzi nie odbiegające od tematu, reakcja sali bardzo żywa. Zetknąłem się także z Ministerstwem Obrony, gdy w dniu 3 maja odbywała się na Placu Marszałka Piłsudskiego wspaniała wojskowa rewia. Punktualność, sprawność, postawa żołnierzy — wszystko na najwyższym poziomie.

Akurat teraz, gdy rząd walczy o powstrzymanie wzrostu uposażeń, by obniżyć inflację i opanować recesję gospodarczą, Gubernator Bank of England otrzymał 17-procentową podwyżkę. Wywołało to powszechną krytykę, nawet wśród konserwatystów, a tymczasem dziennikarze odkryli, że tenże gubernator otrzyma od rządu dalsze 60.000 funtów rocznie. Za co? Za to, że na swej fermie, która obejmuje 2.200 akrów urodzajnej ziemi, nie dokona żadnych zasiewów. Tak! Europejski Wspólny Rynek posiada takie nadwyżki żywności, że kosztowne magazynowanie zupełnie się nie kalkuluje. Farmerom płaci się za to, że swoją ziemię trzymają odłogiem.

Londyn, 28 maja 1991 r.

Józef GARLIŃSKI

Kraj

Imponderabilia i banialuki

1. Październikowe wybory parlamentarne w Polsce — jeśli się odbędą — mogą mieć trojaki rezultat.

Po pierwsze, większość mandatów może w nich uzyskać jakaś koalicja aktualnych Wielkich Reformatorów — jeszcze przedwyborcza, względnie wynegocjowana dopiero po policzeniu mandatów. Drugorzędną w takim przypadku sprawą byłby szczegółowy skład zwycięskiej koalicji; nie tylko, ilu ich tam będzie z Unii Demokratycznej, a ilu z Porozumienia Centrum, ale nawet, aż strach powiedzieć, ilu na przykład Fiszbachów, czy Oleksych, a ilu Niesiołowskich. Sprawa drugorzędna nie musi być, oczywiście, ani w ogóle, ani pod każdym względem nieważna. Wszystkie te ugrupowania stoczą najpewniej wielkie batalie wyborcze, odgrzebuując przy okazji zeszłoroczny slogan o przełomie przeciw kontynuacji. Zresztą tym razem „przełom” nie musiałby się ograniczać do wymiany ludzi i zmiany stylu. Jest trochę kwestii, które pasjonują wielu ludzi, a których rozstrzygnięcie zależałoby właśnie od rozkładu kart w nowej koalicji: na przykład ustawa antyaborcyjna czy nawet wyznaniowość państwa. Ale w sprawie najistotniejszej dla ogółu wyborców, kierunku, tempa i zasadniczej strategii reformy, taki czy inny skład tej koalicji niewiele będzie znaczył. Nie tylko dlatego, że formacje te w obecnym parlamencie w tej sprawie głosują razem i zgodnie, choć przedtem „opyskowują” Balcerowicza ile wlezie, ale dlatego zwłaszcza, że nawet idąc do wyborów w bardzo podobny sposób uprawiają, poprawiają i przyozdabiają swoją retorykę reformatorską, czego nieodpartym dowodem była debata parlamentarna w końcu maja, uwieńczona odrzuceniem wniosku PSL o votum nieufności dla rządu. Wszystkim chodziło raz jeszcze tylko o Polskę, stale i ciurkiem. Wszyscy, również ekskomuniści, cieszyli się nieustannie, że wyszli z komunizmu. Natomiast raczej unikano odpowiedzi na pytania wyborców, ukry-

te za rosnącym niepokojem, nieufnością i beznadzieją sondaży: dokąd właściwie zmierzamy, jak długo potrwa droga, kto i ile zapłaci za przeprowadzenie.

Zwycięstwo koalicji Wielkich Reformatorów nie musi zresztą oznaczać stabilizacji kursu. Mogłoby się nawet okazać, że straciwszy nadzieję na korekty odgórne, najbardziej zagrożone i najlepiej zorganizowane grupy społeczne sięgną po broń aktywnego protestu.

Drugi możliwy wynik wyborów październikowych byłby niejako odwróceniem pierwszego — klęską reformatorów. Większość mandatów uzyskałyby formacje przypisane do jakichś specyficznych haseł wyborczych, głównie o charakterze obronnym (np. ochrona rolnictwa) albo bardziej „nastrojowych” („partia bólu”). Ale byłyby tam również hasła niekoniecznie ekonomiczne i niekoniecznie związane z rozleglejszymi konstrukcjami ideowymi. To nie musiałby być aż parlament Tymińskich i Bartoszczy, żeby się mimo wszystko okazać niezdolnym do wyłonienia trwałego rządu z jako tako spójnym programem. O ile wynik pierwszy nie gwarantowałby stabilizacji, drugi zapewniłby destabilizację. Prawdopodobnym jego skutkiem byłoby pogrzebanie parlamentarnej demokracji w Polsce na czas nieokreślony. Ale kontynuowanie Wielkiej Reformy bez parlamentarnego utrudnienia stałoby się szybko jej pozorowaniem.

Trzecią wreszcie możliwością byłoby powstanie parlamentu, w którym prореformatorska większość miałaby szansę krystalizacji niejako dwubiegunowej, wokół nie jednego, jak teraz, ale dwóch alternatywnych programów przebudowy (powiedzmy, liberalnego i socjaldemokratycznego). Niechby nawet, na początku, jeden z tych biegunów był wyraźnie słabszy; ważne, by oba były wiarygodne. Już sam fakt takiej dwoistej wiarygodności sprawiłby, że wśród adherentów drugiego, większościowego biegunu nastąpiłaby żywiołowa selekcja: koronny argument Jacka Kuronia, że nie może być socjaldemokratą, choć chciałby, nim jeszcze kapitalizm nie jest ukończony, straciłby sens...

Pierwszy wynik jest, jak sędzę, najprawdopodobniejszy, trzeci wydawał się do niedawna nieprawdopodobieństwem, a i dziś nie ma zbyt wielkich szans mimo godnego uwagi tempa rozwoju Solidarności Pracy. Wszyscy rzecznicy pierwszego rezultatu będą mu przeciwdziałać, z instynktu bądź świadomie, już to ośmieszając „utopię”, już to utożsamiając ową alternatywność z populizmem drugiego wariantu, którym się skądinąd lubią nawzajem straszyć i szantażować.

2. Kiedy Balcerowicz startował, chętnie podawał, że po pół roku kuracji wstrząsowej, około marca-kwietnia 1990, Polska

zacznie wychodzić z recesji. W maju 1990 jeden z doradców (i wielbicieli) wicepremiera, Stanisław Gomułka z London School of Economics, przesunął nieco, ale też ubarwił prorocstwo na konferencji w Wildzie: wzrost produkcji w 1991 miał wynieść 5%, potem, do końca „pięciolatki”, po 8-9% rocznie, a jeszcze później równo 6% rocznie. Eldorado. Budżet 1991 układano przy założeniu 4% wzrostu. Jeszcze w marcu 1991 Balcerowicz obstawał przy realności tej prognozy. Teraz, w połowie roku, budżet się wali, a recesja pogłębia. Nadchodzi fala upadłości. Jacek Kuroń, który właśnie dlatego, że jest socjałem szczerym i żywiołowym, będzie, raz zwariowany przez Balcerowicza, szedł w zaparte — nie próbował już nawet (w dyskusji z Andrzejem Urbańskim na łamach *Tygodnika Solidarność* z 24 maja) udawać, że posługuje się kalendarzem. W jednym miejscu: „...potrzebujemy z pięć lat na porządkowanie i drugie tyle na jakie takie doganianie świata”. W innym: „ale to („wielka kapitalistyczna przemiana” w terminologii Urbańskiego) jest droga trzech, pięciu, siedmiu lat...”.

Na początku swej kariery polityka Leszek Balcerowicz lubował się w zwrocie: „nikt odpowiedzialny nie będzie prorokował...”. Potem jednak — jak widzieliśmy — zrozumiał, że wprawdzie odpowiedzialny profesor ekonomii rzeczywiście nie czaruje studentów prorocstwami, ale za to odpowiedzialny polityk zawsze winien jest dać swym wyborcom jakąś dobrze określoną w czasie obietnicę; wystawia im przecież weksel na swoją politykę i to na ich własnej skórze. Teraz, kiedy weksel idzie do protestu, wystawcy w sposób charakterystyczny manipulują terminami. Reforma traci w ogóle kontury czasowe. Przedtem były etapy — walki z inflacją, wyjścia z recesji, głębokiej prywatyzacji etc.; teraz wszystko się rozmazuje: w generalnej ucieczce do przodu artyleria galopuje przed piechotą, a tabory nawiewają pierwsze. Ponieważ strategia makromonetarnego dławika, skuteczna w fazie początkowej, uderzeniowo antyinflacyjnej, okazała się bezsilna i nawet kontrproduktywna w następnej, antyrecesyjnej, rząd Bieleckiego-Balcerowicza funduje gospodarcze przyspieszenie na własną modłę: prywatyzację 1800 przedsiębiorstw przed końcem roku, w tym sprzedaż 800 małych i średnich i 300 dużych oraz tzw. komercjalizację, czyli przekształcenie w spółki skarbu państwa, 700 dużych jako wstęp do rychłej pełnej prywatyzacji. Będzie to tzw. komercjalizacja odgórna, bez pytania o zdanie załóg. Status spółki oznacza m.in. likwidację rad pracowniczych.

Według pierwotnych koncepcji prywatyzacja należeć miała do fazy restrukturyzacji całej gospodarki, jej unowocześniania działowego, branżowego i technicznego, a zatem wiązała się z wydatnym podniesieniem nakładów, możliwym tylko w fazie gos-

podarczego wzrostu. Teraz następuje odwrócenie: to prywatyzacja ma się okazać panaceum na recesję, ma ponoć wymusić na przedsiębiorstwach odpowiednie zachowanie propodażowe, przystosowanie rynkowe.

W rzeczy samej strategia przyspieszonej prywatyzacji obliczona jest na większe uniezależnienie zarządów przedsiębiorstw od ich załóg, na zerwanie z płacochłonnością zakładów — i choć może to istotnie sprzyjać swobodzie ruchu menadżerów (i właścicieli) może również, poprzez zerwanie pokoju przemysłowego i polityczne reperkusje takiego zerwania, przyczynić się do utopienia całej reformy. Ale jest też druga wątpliwość, mianowicie wszystko dziś wskazuje, że brak reakcji propodażowej i antyrecesyjnej nie jest wcale w przedsiębiorstwach funkcją struktur własności, lecz głównie braku środków: fiskus pochłania w tym roku ponad 90% zysków. Otóż prywatyzacja niczego w tej sprawie nie zmieni, ponieważ pieniądze ze sprzedaży pójdą na ratowanie budżetu, a będzie ich stosunkowo niewiele, gdyż masowa sprzedaż przedsiębiorstw w warunkach głębokiej recesji nie może być wyprzedzą za bezcen (żeby już pominąć bardzo czułą sprawę uczciwości wyceny robionej na patataj, bez właściwych zabezpieczeń). Znamienną operacją jest z tego punktu widzenia nabycie piaseczyńskiego Polkoloru przez Thomsona: wkładem Francuzów w kapitał nowej spółki, w której uzyskują 51% akcji i całość zarządzania, jest tylko obietnica zainwestowania w ciągu trzech lat ok. 35 mln dolarów i wypłacanie przez nową firmę rocznych odpraw zwalnianym pracownikom. Mimo buńczucznej autoreklamy wokół kontraktu, nie podano do wiadomości publicznej żadnych bliższych informacji. Z moich rozmów ze stroną francuską wiem jednak, że zatrudnienie w nowej spółce nie przekroczy na początek 500 osób. Obecnie Polkolor zatrudnia 4000 ludzi, ale potencjał produkcyjny wykorzystuje w 35%, ta nowoczesna, ukończona w 1975 fabryka jest od wielu lat w kryzysie, przed podpisaniem kontraktu z Thomsonem znalazła się w stanie upadłości...

Fakt, że nie wiadomo, kiedy reforma da owoce sprawia, że coraz częściej nie wiadomo też, czy to, z czym mamy do czynienia na co dzień, jest już ostatecznie ofertą nowego porządku czy tylko przejściową — ale na ile przejściową? — uciążliwością. Krótko mówiąc, z obu możliwych percepcji rzeczywistości, jako stabilnej choć nie najszcześniejszej i jako niepewnej, lecz obfitującej w szanse, zdecydowana większość ludności zbiera gorzką serwatkę: ani dobrze, ani bezpiecznie. Komu zaś płynie śmietanka?

3. O nowej klasie średniej wiadomo niewiele. Niejeden podejrzewa, że chodzi raczej o kolejny mit socjologiczny. Sądzę

jednak, choć nie dałbym słowa honoru, że nowa klasa średnia powstaje rzeczywiście. To prawda, że w tej pierwszej fazie swej historii, jest to grupa równie labilna jak łóżka polowe i zdezelowane furgonetki, na których rozkłada swój towar: składa się zresztą z wychodźców z najrozmaitszych innych warstw, nie była do swych nowych ról ani wychowana, ani przygotowana, jeśli nie liczyć jedynego masowego kursu, tzn. wyjazdów na saksy w latach osiemdziesiątych. Ale nie w tym rozchwianiu i niedookreśleniu tkwi główny powód, dla którego stworzenie nowej klasy średniej nie jest jeszcze i chyba nieprędko będzie stabilizatorem dla polityki reform. Rzecz raczej w tym, że temu procesowi kreacji towarzyszy destrukcja innej klasy średniej, tej mianowicie, którą wytworzył realny socjalizm i która w ruchu Solidarności stała się jego grabarzem. Bo wprawdzie w rozległym planie narodowym Solidarność była owocem sojuszu intelektualistów i wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, ale wypada się zgodzić z tymi socjologami, którzy wskazywali, że o możliwości takiego sojuszu decydowała pośrednicząca obecność właśnie owej socrealnej klasy średniej, wyrosłej z tego, co w dziejach PRL było, mimo wszystko, osiągnięciem pozytywnym: z urbanizacji, z masowej oświaty, z awansu kulturalnego. Otóż aktualne reformy stawiają pod znakiem nieuchronne miejsce społeczne, a nawet sens istnienia tej warstwy. Jest to nieuchronne wobec programowej redukcji roli państwa i wobec racjonalizacji zatrudnienia w przemyśle. Ale ta konieczność staje się katastrofą socjalną, gdy racjonalizacja polega na likwidacji całych branż, a redukcja roli państwa wyraża się gruźliczymi dziurami budżetowymi. Figlarny tytuł w *Gazecie Wyborczej*: „Szkolna kasa oszczędności” (27 maja) z informacją w pierwszym zdaniu, że „zamiast planowanych 50 bilionów złotych oświata otrzyma w tym roku z budżetu tylko 30 bilionów...” — niech wystarczy za ilustrację.

Niezależnie od tego, czy nowa klasa średnia rekrutuje się bezpośrednio z uciekinierów ze starej, czy też raczej, jak przypuszczam, tamtych rozbitków nie stać już na ogół na ponowny dynamizm i nowi średniacy awansują częściej skądinąd i od zera — mamy do czynienia nie z przyrostem środka, lecz z jego podmianą. To jednak znaczy, że procesowi nowego uśredniania brak, obok wielu innych, niezwykle istotnego składnika: poczucia długotrwałej kumulacji i dziedziczenia. Pominę oczywistości, wśród nich zaś również taką, że degrengolada Solidarności ma, poza politycznymi, przyczyny socjalne: dawna baza ruchu kurczy się i już się z nim nie identyfikuje.

„Obserwowane od pewnego czasu pogarszanie się nastrojów społecznych, którego skutkiem będzie najprawdopodobniej m.in.

wysoka absencja wyborcza, nie wynika jedynie czy nawet głównie z obniżenia się poziomu życia, choć czynnika tego nie wolno, rzecz jasna, lekceważyć.

Znacznie ważniejsze wydaje się uświadamianie sobie przez ludzi pracy najemnej (proszę mi wybaczyć użycie tego niemodnego terminu) stanowiących większość społeczeństwa, że w gruncie rzeczy niczego dobrego nie mogą się spodziewać. To oni zrobili antykomunistyczną rewolucję, ale nie im dane jest z jej dobrodziejstw korzystać. Jeżeli czegoś dla siebie chcą (nie są to zresztą pragnienia szczególnie wygórowane), okazują się po prostu przeszkodą na drodze do kolejnej świetlanej przyszłości — ciemną, zdemoralizowaną przez komunizm masą.

Nie jestem skłonny do idealizowania owych ludzi pracy. Nie, nie są oni i nie będą solą ziemi. Są jednak większością społeczeństwa, no i dlatego na fiasko skazany jest każdy program, który nie dostarcza im sposobu na życie...”

Tymi słowami w ankiecie *Gazety Wyborczej* z 4 czerwca prof. Jerzy Szacki uratował honor polskiej socjologii.

Tyle o imponderabiliach.

W kontekście sformułowanego wyżej postulatu programowego raczej wewnętrzną sprawą i grą naszej klasy politycznej są „pakty dla Polski”, proponowane np. przez Unię Demokratyczną. Apele, jak Nowaka-Jeziorańskiego (warszawska TV z 1 czerwca), który podchwytuje ten pomysł i wzywa do powtórzenia 4 czerwca 1989 — koalicja wyborcza wszystkich sił, które wyszły z Solidarności, wspólna lista kandydatów pod patronatem Wałęsy — dodają sprawie dramatyzmu, ale tym samym podkreślają tylko nierealistyczny charakter takiego myślenia.

Wspomniany na wstępie pierwszy wariant wyborczego wyniku uznałem na najprawdopodobniejszy. Teraz uzupełniam prognozę: reformatoryzy wygrają tym pewniej, im niższa będzie frekwencja, im większa absencja zniechęconych. Smutne.

Tyle więc o banialukach.

Warszawa, 8 czerwca 1991

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

*„Jadą do Polski
deski i szyny
wapno i cement
szkła i maszyny (...)*

*Dźwiga się śmiało
i szybko wzrasta
jak kwiat kamienny
na klombie miasta. (...)*

*Wspaniały pomnik
radzieckiej sławy,
symbol przyjaźni
w sercu Warszawy”.*

Tak pisali poeci, gdy rósł w sercu Warszawy kamienny kwiat, odmiana stalinowska wyhodowana w Moskwie. Ta zdumiewająca roślina, którą nazwano Pałacem Kultury i Nauki, budziła u niektórych miłość, u innych żywą nienawiść. Miłość i nienawiść tworzą symbole, więc z Pałacu Kultury zrobił się symbol. To nadal najbardziej charakterystyczna bryła w Warszawie, która o dziwo dzisiaj na tle nowych mongoidalnych dzielnic wyprodukowanych przez fabryki, zdaje się nawet mieć coś w rodzaju duszy. Teraz Pałac Kultury staje się widocznym znakiem kapitalistycznych zmian w Polsce. Nowe zdobyło już nawet okolice iglicy Pałacu, gdzie triumfuje reklamowy napis „Digital”. Ten alpinistyczny wyczyn świadczy, że triumf kapitalizmu w Polsce jest ostateczny. A w dole, gdzie rozłożyły się niezwykle szerokie biodra budynku, przypominające odziane w koronki biodra pochodzącej z ludu kobiety rosyjskiej, rozgościł się magazyn imitujący zachodnie sklepy. Strażnik stojący przy tej bramie zachodniego raju poucza właścicieli toreb, że mają je zostawić w szatni. Jest to więc Zachód, ale kontrolowany. W dole kłębi się wielkie handlowe koczowisko. Rosną kłęby gazet zdobnych w cyrylicę, wystają z nich stragany, ale używane są też maski samochodów i kocyki. Oto ludzie radzieccy ruszyli na podbój świata, a zaczynają od Polski. Nieśmiało, lękliwie i amatorsko. Pomyśleć, że dwadzieścia lat temu nasze karawany ruszały na podbój Berlina, Stambułu, Aten, Indii, Tajlandii i Singapuru. Dzisiaj ci, którym się powiodło, zakładają sklepy. Ich agenci cho-

dzą po targowisku i skupują od handlujących rosyjskich amatorów towary, które potem będą sprzedane po wyższej cenie.

Są tam handlujące gęby, ale znajdziesz i twarze, są baby okutane w chusty a tak okutane, że gdyby się odkutały, to aż strach pomyśleć, co by człowiek zobaczył. Zdarzają się inteligentne okulary na handlowych nosach, a ruskie przekomarzanki mieszają się z polszczyzną Litwinów, tak miękką, że można by się nią otulić jak puchową koldrą. Mrużą skośne oczy Mongołowie odziani w skórzane kurtki. Handlowe zagony tatarskie wyróżniają się ruchliwością i działaniami zespołowymi. Jest wielu pijanych z obu zresztą nacji, niektórzy ślinią się objęci braterskim uściskiem, inni w samotności przemierzają zamglone labirynty słowiańskiej duszy. Zdarzają się konflikty, nawet na skalę międzynarodową. I co za nowość, siły są wyrównane, a nawet mamy przewagę, jak to bywało w XVII wieku. Oto widzę i słyszę, jak w twierdzy swojego straganu siedzi polska handlowa białogłowa i pomstuje na krzywdy, jakich doznała od rosyjskiej nieuczciwości. Widzę, jak potężny brodacznik biegnie wzdłuż polskich straganów roznosząc wici, że gwałt na naszych jest czyniony. Polacy są na tym targowisku w znacznej mniejszości, ale własny teren daje im siłę. Gromadzi się polski oddział dowodzony przez brodacza o niezwykle szerokich ramionach i brzuchu, który może służyć za tarczę również dla otoczenia. Zaczyna się potyczka na przekleństwo, oj nie wiem czy w tej broni damy im radę. Ale Rosjanie z dala od Moskwy tracą swoje imperialne moce, nawet ich przekleństwa stają się obłe, za to grubas dąży do fizycznej konfrontacji. W samym centrum zawirowania jeden z osaczonych ludzi radzieckich oddał mocz i, jak się wydaje, ugasił płomienie konfliktu.

A z tego całego bałaganu jak świątynia Majów z dżungli zapomnienia wystaje trybuna, na której ołtarzu stali ojcowie Polski Ludowej, błogosławiąc swojemu ludowi. To miejsce pochodów i defilad. I widzę pyszczek Gomułki, to jego gorliwe gaworzenie, jakby wcinął kaszankę. „Możemy z ufnością patrzeć w przyszłość, bo przewodzi nam nieśmiertelna idea socjalizmu”. A więc jeszcze jedna nieśmiertelność co umarła młodo. Ten niegdyś święty teren dzisiaj jest nadal częściowo chroniony w postaci napisów wykonanych po polsku, i co za wzruszenie, cyrylicą: „Niet stojanki i torgowli”. Wspinam się po schodkach na ołtarz PRL-u, by osiągnąć miejsce, gdzie stały socjalistyczne podeszwy Bieruta, Gomułki i kolejnych Gierków... to stąd ogarniali czułym okiem płynące dołem rzeki wiwatujących obywateli.

Raz osobiście płynąłem tym korytem pokory, tylko raz, z klasą ze szkoły podstawowej, i do dziś po tym nie mogę się domyć. A miliony nurzały się w tych odchodach własnego konformizmu i smutnych konieczności, corocznie, do wczoraj — cze-

mu więc teraz tak krzyczą, że oni są czysti, tylko tamci brudni. I oto na wewnętrznym kamiennym obramowaniu trybuny, dokładnie *vis à vis* miejsca, gdzie wisiały dostojne brzuchy, w których gromadziły się radosne drżenia — „naród nas kocha, towarzysze radzieccy będą z nas zadowoleni” — widnieje napis: „Now open — Pewex”.

Od małego radzieckiego *rebionka* kupuję szczyrych za złotych 8 tysięcy, a od młodziana z Moskwy, co sobie wpiął w piersi znaczek „Solidarność”, nabywam budzik. Chciał 50 tysięcy, ale spotkawszy moje zimne spojrzenie, począł błagać, abym się z nim zaczął targować i sprzedał budzik za 25 tysięcy. (Teraz za każdym razem kiedy dzwoni, pytam, komu bije ten dzwon? Ten dzwon bije Związkowi Radzieckiemu).

Wracałem z tego targowiska z łupami jak Batory spod Pskowa, i z myślą — tośmy im dali łupnia, dzisiaj my górą, ale co będzie jutro?

Spotkania z ludźmi kierującymi losami naszej kultury, to spotkania z ludźmi bezradnymi. Można oczywiście pisać elaboraty na temat stanu rzeczy, apokaliptyczne wizje snują nasi znani intelektualiści. To płacze nad umierającym, a czasami już nawet nad grobem. Niechętnie zbliżam się do tego tematu, nie tylko dlatego, że muszę przejść boso przez kolce i płomienie słów Słowackiego „Nie czas żałować róż gdy płoną lasy”. Tak, sytuacja naszej kultury to sytuacja kultury kraju, który znajduje się w stanie wojny, a wówczas niemal wstyd być ministrem kultury. Ale nie mogę się pogodzić z pustynnieniem naszego kulturalnego krajobrazu, gdzie bronią się jeszcze ostatnie oazy, ale gdzie już ledwie żyje to, czym najbardziej imponujemy światu, a co odróżniało naszą kulturę od zachodniej komercji. Nie ma takiego skalpela, który oddzieli, co żyło dzięki... a co wbrew mecenatowi totalitarnego państwa. Nie uwierzę, że rozwolnienie kilkunastu programów telewizji satelitarnej jest bardziej normalne i zdrowe, niż literackie pisma i wielkie nakłady tomików poezji. To był u nas nie tylko znak szczególnego życia pod parasolem absurdałnego systemu, i cały zespół rekompensat, to nasz szczególnie stosunek do sztuki i do zawodu artysty, tradycja ukształtowana przez wiek XIX. Może to dziecko musi być teraz wylewane z kąpielą, ale kto ma oczy i serce widzi, że to jednak zwłoki.

Pewien wybitny polski pisarz pytany o sytuację naszej sztuki wymigał się od oceny, najwyraźniej za ważniejsze uważając co innego. Zwrócił więc uwagę, że musimy zacząć od wychodków. Teoria publicznego wychodka jako jednego z mierzników kultury w kraju jest mi bliska.

Nasze publiczne wychodki zdają się być również w samym oku cyklonu reformy. Ta konieczność bez użycia papieru toaletowego kosztuje złotych 300. Babcie klozetowe przetrwały stalinizm, Gierka, Jaruzelskiego i w niezmienionej postaci doczekały odrodzenia kapitalizmu. Babcie klozetowe, okutane kocykiem, z łakomą miseczką, kiedyś na monety, teraz na banknoty, i zawsze w zadumie nad ludzką potrzebą, w nadziei, że będzie duża a nie mała. Skrawki papieru toaletowego leżą starannie ułożone w powabnych pozach, jak konchy pełne poziomek. A babcia powabnym gestem zachęca, by z tej pokusy skorzystać. Nawet w niezłych restauracjach toalety są złe, bure i zatęchłe. Cudzoziemcy, których jestem przewodnikiem po naszym Hadesie, wychodzą stamtąd wewnętrznie poruszeni jak od ginekologa. Gdyby zapytać, co najbardziej podróżowało w Polsce od czasu gdy zapanowała wolność, kto wie czy nie należałoby odpowiedzieć — korzystanie z publicznych wychodków.

Jeżeli już jesteśmy przy wychodkach, to one tradycyjnie u nas kojarzą się z najgorszym, a przecież nie muszą. Młody Piłsudski tak motywował nieuchronność swojego buntu. „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę”. Zwyciężył, ale z jego ostatnich wypowiedzi wynika, że atmosferę w kraju nadal uważał za wychodkową. Tak... te piękne lata między dwiema wojnami, czas naszych młodzieńczych westchnień. A oto jak podsumował ten czas w swym testamentie „Pamiętniku” Janusz Korczak: „Podłe haniebne lata — rozkładowe, nikczemne. Przedwojenne, kłamliwe, zakłamanie. Przekłętę. Nie chciało się żyć. Błoto, cuchnące błoto”. Jeżeli ktoś nie wierzy Korczakowi i Piłsudskiemu, to niech posłucha trzykrotnego premiera Kazimierza Bartla (rok 1938): „Nieodwołalnie toniemy i to nie w wodzie, tylko w gnójce. Życie w tych warunkach jest przekleństwem, męką i udręką”.

Zanurzając się w świadectwach lat 1918–1939 czuję, jak przyska mit tych lat, złudzenia, które moje pokolenie hodowało z przekory wobec chamskiej komunistycznej propagandy.

To był ciężko chory kraj, budujący gorzką wolność w ruinach i ruinach. Ale zarazem jest pewne, że gdyby nie przeklęta wojna i sowiecka okupacja, Polska byłaby dzisiaj częścią zachodnioeuropejskiej rodziny.

Znam już dwóch naszych polityków, którzy mając nieszczęście posiadać publiczne twarze zostali zaatakowani przez przechodnia jako nosiciele wirusa choroby Balcerowicza. Dla jednych Balcerowicz jest nadzieją przyszłości, dla drugich wcielonym diabłem. Dobrym tego przykładem jest oskarżenie przez prof. Kurowskiego kierownictwa telewizji, że zmiana na stanowisku szefa programów

informacyjnych jest wynikiem spisku Balcerowicza. Badania opinii publicznej wskazują na gwałtowne załamanie wiary społeczeństwa w plan naszej reformy i nic nie pomaga wielki dobry cień Zachodu, który pochyła się czule i szepce: „jesteście dzielni, jesteście pierwsi, tylko wy poszłicie tak daleko”.

Znany polityk Y. ma długą szyję, dzięki niej zagląda na samą górę, a czy widzi dobrze z tak bliska, to inna sprawa. Opowiada, że takie zagłębienie napawa go skrajnym przerażeniem, bo dopiero wtedy traci się ostatecznie nadzieję, że ktośkolwiek w tym kraju panuje nad sytuacją. Jedynym stałym punktem jest Balcerowicz i on właśnie, wedle Y., jest bliski by wstać i oświadczyć: „Przykro mi, ale omyliłem się. Teoria była dobra, ale w praktyce to jest niewykonalne”. Jakby na potwierdzenie tego groźnego obrazu słychać głos ministra Lewandowskiego: „Usiedliśmy na rządowych stołkach. I zobaczyliśmy czelustę, która otworzyła się przed Polską”. W tej czelustce rośnie gwałtownie deficyt w budżecie narodowym. Prywatyzacja wlecze się i nie daje ułamka kapitału, na który liczono. Nie maleje lęk zachodnich inwestorów przed Polską. Gwałtownie tyje zwierzę bezrobocia, jego pierwsze gniewne pomruki, no i ta nieszczęsna ludzka materia, która stawia opór większy niż spodziewano się i w zaskakujących miejscach — to na razie tylko znaki zbliżającej się burzy. Y. twierdzi, że z tej chmury już w czerwcu spadnie grad wielki jak kurze jajka. A lud mówi o dwugłowych cielakach i krwawych przepowiedniach. Do tego już widać, że u sąsiadów katastrofa jest nieunikniona, można tylko spekulować nad jej kształtem, i co nam spadnie na głowę, a co na nogi.

Ordynacja wyborcza zdaje się być robiona tak przemyślnie, by przez igielne ucho nie przecisnął się jakiś obcy. Polowano na Tymińskiego, a przy okazji ustrzelono Najdera. Ta ordynacja jest podobno tak skomplikowana, że i profesor uniwersytetu, szczególnie humanista, nie zrozumie. W trakcie prac nad debatującymi stał cały czas cień „partii X”, ale rezerwuary zagadek i znaków zapytania nie wyczerpują się na tej ciemnej niewiadomej.

Chłopi traktują miasto tradycyjnie jak pana, ale ten nowy się zbiesił. Za komunistów było przynajmniej wiadomo, jak kombinować. Uszy puchną, jak się posłucha chłopów. Po przekleństwach i machaniu ręką pada z głębin zadumy myśl metafizyczna: jest tera tak, że za sześć litrów mleka, które wyduszę z krowy, można kupić jedno piwo”; inni potwierdzają, a ktoś doda, że „jedno za osiem litrów”; inni kiwają głowami i wzdychają nad przepaścią swego losu.

A w miastach i miasteczkach wędzące zgodnie z planem fabryki produkują taśmowo bezrobotnych.

W tej sytuacji doprawdy byle demagog ma dzisiaj nieograniczone możliwości. A skład przyszłego Sejmu może spowodować, że będziemy tęsknić za składem dzisiejszym, łącznie z posłami postkomunistycznymi, którzy często, o zgrozo, zdają się rozsądniejsi niż nasze cietrzewie.

Po programie telewizyjnym, gdzie dawne komuchy starty się z KPN-em, słyszałem przerażone szepty — postkomuniści wypadli lepiej.

Rwanie się tradycji było przekleństwem naszych ostatnich dwóch stuleci. Czterdzieści pięć lat sowsocjalizmu cięło na oślep gdzie popadnie siekierą. Po kryjomu wiązaliśmy w szczelinach zerwane nici. I w końcu cały ten system był pełen dziur i szczelin, żyliśmy w nich. Teraz potężny walec wielkiej zmiany wszystko miażdży, czasami słychać żalosne „pyk”. Widzę, jak zewsząd odchodzą lub są odchodzeni fachowcy, iluż takich spotkałem na progu radia i wydawnictw. Przetrwali stan wojenny, korzystając ze szczelin, robili swoje, nie dzięki systemowi, wbrew niemu. Dzisiaj kurz po wybuchu wolności wykurza ich z kryjówek. Odchodzą do prymitywnych prac, które dadzą pieniądze, ich plecy jeszcze przez chwilę zwlekają, czekają aż ktoś powie im dziękuję. Ale tego słowa nie zna nowy czas.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze... już się nie wstydzimy mówić... pieniądze. Plany robienia pieniędzy snują ludzie, którzy jeszcze wczoraj dostawali wysypki po dotknięciu banknotu. Dzisiaj mówią o tym równie apetycznie jak więźniowie opowiadają o jedzeniu i kobietach. Ileż ja się nasłuchałem o planach biznesu i to od kogo! Kombinuje kolega socjolog, a nawet kolega filozof. I nagle idąc ulicą sam nie wiem, kiedy łapię to jak infekcję i myślę, jak robić pieniądze? Może z powietrza, skoro to jest w powietrzu...

Dzwonię do mojego przyjaciela, był kiedyś zdolnym naukowcem, ale wziął udział w handlowej wyprawie do Azji i złapał bakcyła. Naukę diabli wzięli. Dzisiaj z grupą straganiarzy oraz właścicielem upadłego zakładu samochodowego tworzą firmę. Zarabia dużo, ale codziennie wymiotuje z obrzydzenia do siebie. „Nie wyobrażasz sobie, jak okropni to są ludzie, kim ja sam się staję, jak żwawo poruszamy się na granicy prawa i jak gibko ją przekraczamy”.

Brak zrozumiałych reguł gry w trakcie wielkiej przemiany czyni spustoszenie w naszej już spustoszonej społecznej moralności. Wiadomo natomiast, że brak skrupułów jest niezbędnym elementem tej gry. Jak się wydaje, nawet na gorze zaakceptowano, że klasa średnia ma się tworzyć dzięki lukom podatkowym, błodom celników i łapówkom. Nasza klasa średnia wypelza

więc ze szczelin. O tak, widać ich oraz słyszeć coraz wyraźniej. I teraz całe to towarzystwo ma wyłonić swoich Wallenbergów i Kennedych oraz ma być mecenasami dogorywającej polskiej kultury. Na razie widać najhałaśliwszych, czyli Wilczka i Józka z Pragi, widać ich w roześmianych Mercedesach z kurwą na ustach i za szkłem restauracji, na które zwykły obywatel patrzy jak w ekran telewizora.

Przeskakiwanie etapów historycznych, przerabianie w skrócie tego co trwało stulecia, przypomina historię z pomiętej i zamazanej uczniowskiej ściągawki. A my jesteśmy w środku, mięci przez dłoń znerwicowanego uczniaka. Tak oto budujemy karykaturę nowoczesnego współczesnego państwa, ale doprawdy nie wiem, czy jest jakaś inna droga.

Marginalizacja naszego życia politycznego. Ucieczka od instytucji, być na swoim, jak najdalej od jakiegokolwiek struktury. Wstręt do polityki przybiera postać epidemii. Puste miejsca będą więc zajmować kreatury, miernoty albo ludzie, którzy mogą dzięki nabyciu funkcji pchnąć do przodu jakiś swój wózek. Pisałem kiedyś, że mechanizm selekcji negatywnej był jedynym sprawnym mechanizmem w PRL-u. Jaki mechanizm rodzi się teraz?

Nasze urzędy centralne są zdumiewającą hybrydą starego, gdzie nowe jest kolorowym dodatkiem. Stary chory słoń z kokardkami na trąbie i uszach, a na kokardkach napisy „wolność, demokracja”. Nogi jednak chore na słoniowaciznę. O tym problemie, który zaczyna mieć dramatyczny wymiar, bo jak się wydaje nie mamy dzisiaj ośrodka władzy zdolnego do kierowania i rządzenia krajem, pisze celnie Sławek Bielecki. (Tekst ukazał się w *Tygodniku Solidarność*, który pod nowym kierownictwem zaczyna, jak się zdaje, wracać do zdrowia po ostrej psychozie. Gdyby jeszcze Wierzbickiego przenieść z ostatniej strony w środek, gdzie powstałby gabinet osobliwości...), Bielecki pisze: „Nieumiejętność znalezienia praktycznego sposobu wprowadzenia wielkich zmian spowodowała, że w ciągu półtorarocznych rządów ekipy Mazowieckiego zrezygnowano w ogóle z zasadniczej reformy administracji państwowej i samorządowej. Uwierzono, że zmiana wierzchołka góry nonsensu nada jej sens. A i obecna ekipa premiera Bieleckiego szybko przeszła od przyspieszenia do kontynuacji”.

Problem, że jak zwykle w takich tekstach najłabszą stroną są dobre rady.

Ze zdziwieniem odkryłem, że nie ma takiego pisma w kraju, w którym miałbym ochotę opublikować tekst. Publikowanie w miesięcznikach to jak czytanie wierszy leżącym w sali reanima-

cyjnej. Tygodniki sięgają bruku. Pisma codzienne denerwujące jak *Gazeta Wyborcza* — niezwykle ciekawa felietonowo-emocjonalna hybryda. Albo są nudne jak flaki z olejem plus szczypta narodowej przyprawy, albo podobne do kanału ściekowego, nie zejdziesz bez mocnej perfumy. Brak prasy przekazującej informację, po prostu informację, jest garbem naszej niemówiącej wolności słowa. Rosnąca popularność pośmiertnego triumfu Urbana, pisma *Nie*, to nie tylko dowód na brak cenzury i że ludzka bezczelność nie zna granic. Dla dobra sprawy nasze *mass media* wzięły środki na zaparcie krytycznego spojrzenia wobec rzeczywistości. Dlatego niezaspokojeni ludzie kupują *Nie*, jak pornografię, ze wstydem i zgrzytając zębami, a potem zamykają się w toaletach, i dalej... z wypiekami na twarzy.

Telewizja sypie się na oczach milionów. Terlecki narobił wielkiego hałasu — podłożył dynamit, zapalił lont — wszyscy wstrzymali oddech, ale jak długo można nie oddychać? Nic nie wybuchło, wyrzucono tylko niezależny program informacyjny „Obserwator” pod zarzutem, że amatorski, a w międzyczasie „Wiadomości” popadły w pełną amatorszczyznę. W telewizji niewiele da się ukryć, bo wszystko od razu wycieknie ekranem. Po trzech miesiącach urzędowania szef programów informacyjnych Lech Dymarski wyleciał z kierowania „Wiadomościami”, ale zdążył w tym czasie zostać odsądzony od czci i wiary jako gwałciciel wolności słowa, o którą to wolność całe dorosłe życie walczył. Jego miejsce zajął były członek partii. (To w ramach wymiatania dawnej nomenklatury z telewizji). Dla wiadomości ironii historii należy dodać, że Jolanta Pilipczak, czołowa muza stanu wojennego, nadal pracuje w „Wiadomościach”, zaś słynny Samitowski jest właśnie wylewany, ale czy da się go wylać do końca? Pamiętam czas, gdy ci ludzie wydawali się olbrzymami, rzygali kłamstwa w nasze usta otwarte z oburzenia i grozy. Te dawne olbrzymy kłamstwa pełzają teraz na brzuchach pod fotele nowych szefów. Płaczą i kają się: „Ta praca jest dla mnie wszystkim. Mam kłopoty małżeńskie. Wtedy byliśmy przyparci do ściany. Nawet nie wiecie, jaka to była wielka ściana, a my tacy mali. Mimo ściany robiliśmy co możliwe, żeby coś ocalić. A teraz... jesteśmy dobrymi fachowcami”. Tę mokrą robotę powinien był oczywiście wykonać Drawicz, ale chyba nowa ekipa już rozumie, czemu jej nie wykonał. A dzisiaj to rzeczywiście robi się niesmaczne, jakby zwolnionego z szafotu skazańca, któremu nawet w drodze łaski pozwolono dla nas pracować, znowu ciągnąć na ścięgno.

Tematem, który uparcie nie chce się zestarzeć, są telefony, które dzwonią do „Wiadomości”, dzwonią jak dzwoniły niegdyś, ale teraz dzwonią nasi. „Za mało... Dlaczego było krytycznie...

Nie tak". Dzwonią wszystkie ośrodki nowej władzy, a nawet „Solidarność” rolników. Dzwoniono za I-szych sekretarzy, dzwoniono za Mazowieckiego, dzwoni się też dzisiaj, bo nas zarazili nasi wrogowie magicznym myśleniem, że jeżeli będziemy o sobie mówić dobrze, to obywatele nas polubią i nam uwierzą. W rzeczywistości najprędzej uwierzą, jeżeli będziemy sami się krytykować.

Mój znajomy psychoterapeuta, podkreślam człowiek wybitny, był jeszcze kilka miesięcy temu optymistą. Mówił o koniecznym okresie dezintegracji, po którym następować zaczęnie integracja. Dzisiaj przestał już dostrzegać czas scalenia. Powziął decyzję, zamierza wyjechać, zostawi mieszkanie, będzie tu wracał, ale na chwilę. Dłuższe przebywanie pod takim codziennym ciśnieniem może być szkodliwe dla dzieci. Przez jego ręce przeszło w ostatnich latach setki Polaków, wywlekali swoje dusze pełne różności jak kieszenie na drugą stronę. Co tam było szczególnego? Za naszą specyfikę uważa brak wyraźnych granic w kontaktach z ludźmi i postrzeganie świata w kategoriach czarno-białych. Ale najważniejsze... to chorobliwa postać naszego katolicyzmu. Niszcząca rola polskich matek, „Matek Polek”, i szczególna rola Matki Boskiej. Ona, podobnie jak nasze matki, nie uchroniła nas od historycznych nieszczęść. Ich miłość chora, bo głęboko uzależniająca, a podszyta niepokojem. To tworzenie ciepłarni dla dzieci, ale na czynnym wulkanie. A więc miłość najgroźniejsza, bo miłość przerażająca.

Wedle wyników badania opinii publicznej — którym jak wiadomo nie wolno wierzyć — spada popularność Kościoła, zaś na pierwsze miejsce jako autorytet wysunęło się wojsko. Rzecz bardzo osobliwa, bo miejsce ostatnie zajmują komuniści. A nigdzie nie było tylu komunistów (i tylu durniów) co w wojsku. Lepiej tu nie szukać logiki, bo zamiast niej można znaleźć coś innego.

Lęk przed zagadką, która czai się w odmętach naszego społeczeństwa. To społeczeństwo ma szczegóły i zakamarki, których jak niegdyś dawna władza, tak teraz nowa nie potrafi objąć ramieniem i wzrokiem. To, że udało nam się rozpalic do czerwoności znikome resztki naszych mniejszości narodowych, to sztuka prawie tak wielka jak zapalic ostatnią zapałkę na sztorowym wietrze. Teraz już wiadomo, że oni będą głosować na wszystko, co tylko nie kojarzy się z nowym. Bo nowe to poczucie zagrożenia. To okupacja kościoła w Przemyśle przez naszych dzielnych katolików, by nie mogli go przejąć obcy. (Nawet prośby Papieża nic nie pomogły). Nowe, to nieustanne gadanie o polskim narodzie, o jednej religii i jak wspaniale były

czasy przedwojenne. Ale kto wie, czy nie największą mniejszością, która doprawdy szybko rośnie, staje się nasza młodzież. Coraz bardziej z boku i spode łba. Coraz dalej od państwa.

Jak złota chmura zbliża się wizyta Papieża. Ale Papież już nie przybywa jak dobry duch zstępujący na rydwanie w krainę zła, by dobro uczynić. On wjedzie we wrota Kościoła triumfującego, ale triumfującego w powszechnym zwątpieniu w przyszłość ojczyzny, i w wielkie moralne pomieszanie, którego nie uporządkują żadne święte słowa.

Wysłannik Kościoła, który przybył jako delegat w pustynię krainę kultury, zażądał od ubogich zatrważającej sumy na spotkanie Papieża z Twórcami. A potem oświadczył, że zaszczyt zblizeniem do Ojca świętego mogą być tylko twórcy praktykujący. Ciekawe, jak będzie sprawdzany ten napletek praktyki. Okazało się, że nawet skrzypkowie wirtuozi, co mają przygrywać wizycie, też winni posiadać przepustki wiary w postaci świadectwa chrztu i kościelnego ślubu.

Zachodzę do kościoła, który tak niewiele się zmienił od czasów mojego dzieciństwa. Zawsze mokra muszla kropielnicy, i jak wtedy zaglądam, czy nie pływają w niej kolorowe rybki. Krata konfesjonatu i wspomnienie pierwszej spowiedzi, do dziś żywe przerażenie, bo zgubiłem karteczkę, gdzie zapisałem swoje grzechy, natężenie struchlałej pamięci, która w końcu wydusza — powiedziałem brzydkie słowo — jakie słowo — pyta wielkie owłosione ucho — cholera — odpowiadam, a ucho jest zmartwione, co to będzie, niepokoję się.

Teraz też się martwię, ale inaczej, bo oto jadąc autobusem widzę, jak zmierza przed Belweder kruczata antyaborcyjna, pochód małych dzieci prowadzony przez księży, dzieci niosą fotografie płodów nadziane na piki. Podobno wyświetlany jest w szkołach film bardzo krwawy o aborcji, po którym spać nie mogli nawet dorośli. I wszystkim obywatelom kraju poczta przynosi gruby plik lektury. Na żółtym papierze nasz Papież, główki naszych polskich dzieci, słowa Ojca Świętego w obronie dziecka nienarodzonego. Ale jest i czerwony papier, a na nim okrutny Stalin, z którego wąsów kapie informacja: „Ustawę o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży przegłosowali w dniu 27 V 1956 r., w warunkach stalinowskiego terroru, 'posłowie' mianowani do Sejmu I kadencji z polecenia największego w dziejach ludzkości ludobójcy, obok Adolfa Hitlera, śmiertelnego wroga Polski Józefa Stalina”. Dalej zachwala się rodzenie dzieci uszkodzonych genetycznie i poczętych z gwałtu.

Ton i treść tych propagandówek przeszkadzają zdrowo myślącemu człowiekowi zastanowić się nad całym rzeczywistym spo-

tem pytania o przerywanie ciąży. Rozpoczęto wojnę, a na wojnie, wiadomo, wykonuje się rozkazy i strzela. Świątynie stają się miejscem powszechnej mobilizacji, zbierane są podpisy i siły, głównie od osób, dla których zajście w ciążę byłoby cudem na miarę niepokalanego poczęcia. Kampania na całego jest prowadzona w dzień i w nocy. Ludzie już nie śpią spokojnie w małżeńskich łóżach, bo co się poruszają, to budzą księdza.

Nowy akt dramatu czy komedii, jeszcze nie wiadomo, dopisał Sejm, gdzie posłowie znowu się wzięli za czuby z powodu ustawy antyaborcyjnej. Zataczano się w zaciętrzewieniu i to na samym progu zapaści ekonomicznej i politycznej. Oczywiście, głosy posłów narodowo-katolickich najbardziej osobliwe. Można by sypnąć w oczy garścią cytatów, ale szkoda naszych oczu. Rzucę tylko jeden, o tak dla przykładu, ale radzę już mrużyć powieki. Oto poseł Stanisław Stróżik, nasz poseł a jakże, puszcza wodze fantazji i opowiada, ilu by nas było, gdyby nie masowe aborcje czyli mordy. „Polacy zabili 17 milionów nienarodzonych jeśli nie więcej”. Potem wylicza wszystkie zawody, jakie mogły się znaleźć wśród tych ofiar. Ofiary w oczach posła w miarę przemawiania stają się ofiarami wojny. „Pytam gdzie są zbiorowe mogiły żołnierzy z tych 17 milionów zabitych i nienarodzonych Polaków, którzy chcieli wiernie służyć Polsce, strzec jej granic, aby Polska była Polską, aby Polska nie zginęła. Proszę mi nie mówić, o ohydo, że mogiłami tymi są szamba, muszle klozetowe gabinetów ginekologicznych i śmietniki. To piwo nawarzone przez ustawę z 56 r., trwającą przez trzy i pół dekady lat, to piwo intensywnie czerwone od niewinnej krwi dzieci polskich musi wypić w swej ekspiacji dziś cały naród, a rolnictwo polskie w szczególności”.

Posłowie Niesiołowski, Jurek i Łopuszański podnieśli poziom dyskusji o jedno piętro, ale nie wyżej. Lecz i głosy zwolenników aborcji na ogół historyczne i wątpliwe. Panuje wśród przedstawicieli życia politycznego wielki konformizm i strach (jeżeli ktoś chce, może to nazwać polityką), by nie narazić się Kościołowi. Dlatego nawet przeciwnicy ustawy są za nią, ale w łagodniejszej postaci. Pocieszać się możemy, że takie dyskusje są żalosne i schodzą poniżej pasa również w krajach czystych toalet i gdzie nie rwie się publicznie zębami prezerwatyw. Widocznie ten temat zarezerwowany dla Pana Boga, a od biedy dla Leszka Kołakowskiego. Faktem jest jednak, że tam się nie otwiera równoległe frontu przeciw antykoncepcji. Ja też, chociaż kundelek (patrz niżej), jestem przeciwny, by aborcja była środkiem antykoncepcyjnym.

Inna sprawa, że słuchając wielu głosów miałem wrażenie, że to dyskusja w podwójnym znaczeniu zastępcza. Głównie zamiast rozsuptywania piekielnego węzła ekonomicznego. Drugie dno jest

starannie ukryte, a może nawet nieświadome. Dyskusje tyczą zygoty, a powinny zająć się samym źródłem kłopotu, czyli seksualnym pociąganiem. Jest to niewątpliwie choroba, która da się leczyć.

Odłożenie głosowania na potem... to niekoniecznie triumf zdrowego rozsądku, to znak, jakby powiedzieli posłowie narodowi — Wielkiego Umywania Rąk.

A w tym czasie wiceminister zdrowia głosi publicznie, że jest wrogiem prezerwatyw i homoseksualistów. Premier, który go zwalnia, ma kłopoty. Nawet Prymas staje w obronie zdymisjonowanego wiceministra zdrowia i zapytuje: „Czyż największym źródłem zakażenia wirusem AIDS nie jest grzech? Czy u urzędnika państwowego obowiązuje maska ideologiczna? (...) Kościół nie może odpowiadać na ujadania podwórkowych kundelków”. Nie wiem, czy premier został zakwalifikowany do kundli czy do rasowych, ale oparł się świętej sile i ministra zwolnił. Mężnie nam premier z miesiąca na miesiąc. Ale co z tego, gdy na jego barki zsuwać się poczyna ciężar nie do udźwignięcia.

Fala strajków nagle przerywa tamę. Doprawdy, nieźle trzeba było się napracować, by nie dojrzeć, co gromadziło się za plecami. Chłopi jak nie blokują traktorami dróg, to próbują, na razie bezskutecznie, obalić rząd w Sejmie. Słowo „katastrofa”, zarezerwowane dla innych czasów oraz innych miejsc na świecie, nagle uzyskuje prawo obywatelstwa w naszych gazetach. Ale najchętniej używa się pojęcia „chaos”, jest coś szlachetnego w tym słowie, niemal biblijnego. Najgłośniej bije na alarm *Gazeta Wyborcza*, uzbrojona jak zwykle w atomowe tytuły, ale i poważna, szeroka w biodrach *Rzeczpospolita* przyspiesza oddech, pisząc o strajku komunikacji. „Sądny dzień na warszawskich ulicach”. Na tej samej stronie pod nawisem tytułu „Balcerowicz ostrzega” zasępione oblicza naszego rządu, rzeczywiście, co minister, to sęp. *Gazeta Wyborcza* z 21 maja krzyczy: „Generalny strajk MZK”, „Strajk żołnierzy w Lublinie”, „Bójka w Medyce” (o bójce między polskimi turystami i sowieckimi milicjantami na przejściu granicznym) i „Na własnych śmieciach” (o Warszawie, która dusi się w śmieciach z powodu strajku śmieciarzy). Jeżeli do tego dorzuci się od miesiąca tłący się strajk strażaków i szykujący się strajk policji, to strajk generalny ogłoszony przez „Solidarność” jest już tylko pieprzem wrzuconym do ostrej potrawy. Warszawski Plac Trzech Krzyży, co już niejedno widział, zobaczył oto demonstrację „Solidarności”, gdzie fruwały ulotki z napisami „Precz z komuną”, „Precz z Targowicą”, „Precz z Wałęsą”. Nad tłumem powiewały flagi „Żądamy zaprzestania niszczenia polskiego przemysłu i rolnictwa”, „Fabryki robotnikom — ziemia chłopom”. Plac Trzech Krzyży nie po-

trafi się dziwić, gorzej, że my chyba już też. A jeżeli nastawić ucho, słyhać, jak mecenas Siła-Nowicki lamentuje, i to gdzie, na łamach *Polityki*: Dokąd idziesz, Polsko, Ojczyzno moja?

Dzwonią dzwony i dzwonki na alarm. Nie wiadomo tylko, kogo budzić i po co. A w tle tych hałasów Wałęsa wędruje w pokutnej mycie po izraelskich kibucach i kłania się, przeprasza za rok 68 i za to, co mu się osobiście wymknęło z powodu przemęczenia, kłania się i prosi o wybaczenie.

Partie polityczne oraz ich przywódcy wydają oświadczenia, a co głos to człowiek już wie, że gdyby ONI mieli władzę, to już by wiedzieli co zrobić, by naród ocalić. Np. „Porozumienie Centrum” oświadcza, że Polsce grozi chaos, a „Obecny stan... jest wynikiem ugrzęźnięcia w przejściu od komunizmu do demokracji i gospodarki rynkowej”. Jako lekarstwo Porozumienie przepisuje: „Zgnieść komunistyczne struktury. Wymienić kadry”. Co radzą inni? Jako że nie znalazłem niczego, co by nie stało przed nosem w naszej zaśmieconej politycznej kuchni, dajmy spokój wyliczaniu. Dołem płynie narodowa rzeka, pełna codziennej krzątany i szeptów — przetrwać, zarobić, gdy na coraz wyższych brzegach biegają malutkie partie polityczne i kłają się w pośladki. Te harce odbywają wśród przedmiotów, które były gwarancją sukcesu operacji przeszczepu kapitalizmu na nasz jałowy grunt, a teraz są eksponatami w muzeum historii ruchów antykomunistycznych. Jest Okrągły Stół, na nim jego zwiędła Filozofia w suchym wazonie, Gruba Kreska porąbana siekierą uśmiecha się ironicznie, bo chociaż porąbana, jest taka sama. Autorytet Kościoła stoi przykryty zakurzoną sutanną. I jak zwalone przez podmuch wolności drzewo leży Mit Solidarności, to po nim suchą nogą przechodzi na drugi brzeg Pielgrzymka Wojewodów, którzy idą modlić się na Jasną Górę. Małe dzieci wrzucają kamienie w przepaść między Interesem Państwa a interesami politycznych partyjek i grup, nasłuchują, ale nic nie słyhać. A te palce co wystają z wody? Pokazują strzyżone golone. Strzyżone — winien Wałęsa i Kaczyński. Golone — winien dawny rząd i Mazowiecki.

Nagle odkrycie, że komunizmu nie zmywa się wodą, nie wyciera pumeksem, nie wycina piłą, nie wyrывa zębami ani obcęgami. Potrzeba czasu, cierpliwości, mądrości, przebiegłości, szczęścia i jeszcze kilku rzeczy, których nie mamy. Nasi politycy ciężko zatruci polityką gaszą powoli wszystkie światła i zataczają się po omacku, nawet nie wiadomo czy do przodu.

I chyba już widać, że podjęto się czegoś, co jest niemożliwe bez płacenia ceny, której społeczeństwo zapłacić nie potrafi i nie chce. Demokracja niszczy reformę, ale demokracja ją urodziła i karmi swoją niedojrzałą wychudłą pierśią. Tak oto w naj-

lepszych intencjach skonstruowaliśmy biologiczne monstrum, które samo się pożera, widzą to jego przerażone bezradne oczy. Ale ta prawda objawia się jedynie z zewnątrz bądź z dala. Wtedy obraz jest wyraźny i groźny, ale czy wierny? Bo życie jednak posuwa się do przodu. (Teraz, i potem, wbrew wszystkiemu, wyduszę z siebie optymizm). Bo błyszczą pierwsze nosy samochodów za szybami pierwszych salonów i nawet o północy kipi piwo w o dziwo trzeźwych piwiarniach, a w środku twarze nie gębomordy. Tworzone są przykłady jak może być, jak być powinno. Brak jakichkolwiek wzorców, powszechność naszego świerzb zabierały jakąkolwiek nadzieję. Teraz nadal jest ciemno i duszno, ale otwarte są wszystkie okna.

Gładkie twarze towarzyszących mi ludzi, ludzi z kraju, który nie pamięta wojny, ich delikatne ręce, które dotykają ostrożnie tutejszych przedmiotów, jakby bały się pobrudzić lub sparzyć. Niektórzy są przerażeni, bo nasz świat wygląda, jakby spadł z wysokiego piętra, połamali się, ktoś go potem złożył, ale niefachowo i tak zostawił. Inni są zafascynowani rozbiciem materii — chodnik, którym idziemy, jego niezwykle nierówności wzbogacają nas o nieustanną pamięć o własnych nogach, a dziury ujawniają tajemnice ukryte pod płytą.

W Lublinie o wiele mniej niż w stolicy budynków, gdzie wiją gniazda jaskółki kapitalizmu. Jakby gdzieś daleko rozbiła się fala, która zostawiła tu kilka kolorowych kropel. Częścią lokalnego krajobrazu, jak już wszędzie w Polsce, jest garstka rodzin rumuńskich zaprzątynych gwałtownym żebractwem. Dziwne, że jeszcze nie wiedzą, że to najgorszy kraj dla tej formy zebrania — tu się nie wybacza biedzie, jeżeli jest natrętna.

Bardzo piękne stare miasto, częściowo odnawiane. Odwiedzając kilka mieszkań, czuję nosem pracę na pokolenia, bo zaniedbanie dotyczy tak fasady domu, jego korzenia jak i samych mieszkań. Ulicami przemieszczają się młodzi księża, powiewają wesoło sukienkami. Parujące głowy pijaków zmiekczały krajobraz. Bazar lubelski skromniejszy niż warszawski, ale podobny, tylko, że tu skrzyżowanie Azji i Europy wydaje się mieć piaszczyste drogi, tu Rosjanie bardziej rosyjscy, a Litwini bardziej polscy i więcej naszej starej wsi, baby sprzedają warzywa, bób, pestki i orzechy, a ich twarze wydają się być częścią tego asortymentu.

Pojawia się nagle wycieczka z dalekiego świata, ich poznaje się nie tyle po ubraniu, co po twarzach bez supłów. Gdy zbliżają się, widać, że to przede wszystkim młodzież, brązowe twarze i mycki na głowach. A więc wycieczka z Izraela. Tłum rozstępuje się pełen milkliwej ciekawości, ale cinkciarze z pęczkami rubli i dolarów w garściach już są obok, już szepczą, już syczą.

Cały bazar nastroszył się, czując dobrego klienta. A oni speszeni orientalnością tego świata, gdzie pewnie kiedyś handlowali ich przodkowie. Ci chłopcy i te dziewczęta zdają się nosić na ramionach odciski od pasków karabinów i już nie rozumieją języka ulicznego handlu na skrzyżowaniu Azji i Europy.

Jeżeli stanąć na palcach, zobaczyć można wzgórze. Tam nowy mur i brama, która wymaga klucza. To żydowski cmentarz, czy raczej jego szczątki. Głębokie leje zarosłe trawą, ślady celności sowieckiej artylerii, Niemcy bronili się tu, a więc bronili żydowskiego cmentarza. Miasto w dole lizane słońcem zachodu, jaśnieje zamek, gdzie w czasie okupacji więziono kilkadziesiąt tysięcy ludzi, potem były tam ubeckie kazamaty. Dalej, tylko nieco dalej, stoją drewniane wieże Majdanka, przejeżdżając obok nich poprzedniej nocy, czułem oddech miliona zamordowanych, wilgotny chłodny oddech...

Kraj zmaltretowany, kraj nieszczęsny, teraz w gwałtownym skurczu wolności. Oglądając się, czy nikt mnie nie słyszy, staję na brzegu wzgórza i rzucając wzrok na Zachód, krzyczę — jesteśmy wolni... A przestrzeń przyjmuje mój okrzyk w pełnym blasku jego oczywistości.

Zaskoczył nas wszystkich wybuch wiosny, jak wybuch dobrotliwej bomby nuklearnej, promieniowanie, które nawet ze starych ludzi wyciska młode soki. Wszystko co brzydkie pokazuje swoje piękne zakamarki, a banał nie wstydzi się siebie. Nawet mój chorobliwy pesymizm wypuścił niespodziewanie liście.

Sowiecki socjalizm kazał nam płynąć pod prąd, a teraz, chociaż chorzy i na wpół sparaliżowani, płyniemy w końcu z prądem. Wiosna mówi, że natura nam pomoże, tylko potrzebna jest szczypta czasu i liczne cysterny (uwaga, łatwopalne) cierpliwości.

SMECZ

Dzieci o religii w szkole

LEKCJA JAK INNE?

Czy wolno naruszać neutralność religijną świeckiej szkoły? Czy tędy prowadzi droga do Kościoła? Czy wiara powinna stać się przedmiotem obowiązkowej edukacji? Czy nauczanie religii jest narzucaniem wiary? Czy wprowadzanie religii do szkół to istotnie powrót do czasów przedkomunistycznych? A może rzeczywiście wykład uniwersalnych wartości chrześcijańskich nikomu nie zaszkodzi? Tak dyskutowali dorośli.

Od września 1990 roku religia katolicka została wprowadzona do polskich szkół jako przedmiot nadobowiązkowy. W specjalnej instrukcji wydanej przez podkomisję Komisji Wspólnej przedstawicieli rządu i Episkopatu określone są warunki jej nauczania. Udział w lekcjach jest dobrowolny, oceny nie mają wpływu na promowanie do następnej klasy, szczególny nacisk kładziony jest na „dążenie do kształtowania atmosfery tolerancji” wśród uczniów.

A jak to wygląda w praktyce?

Czy uzasadnione są niepokoje przeciwników owej — jak ją nazywają — demagogicznej demokracji? Czy istnieje realne niebezpieczeństwo ostracyzmu i dyskryminacji dzieci innych, nie uczestniczących w religijnej wspólnotcie? Czy wytykanie palcami, naznaczanie gwiazdą Dawida, niechętny stosunek kolegów i nauczycieli stają się kolorytem nowej polskiej szkoły? Jak samosąd w Czaplinku, jak namawianie do wspólnego palenia książek świadków Jehowy. Czy bez powodu rodzice decydują się na zapisanie dzieci na religię wbrew własnym przekonaniom? Czy mogą narażać swoje dziecko na przykrości broniąc własnego światopoglądu, pytają matki. Jak wielki jest procent uczestniczących w lekcjach religii z takich właśnie powodów? I czego wówczas się uczą?

A co myślą same dzieci o lekcjach religii?

W grudniu minionego roku zadałam w czterech warszawskich szkołach podstawowych — na Woli, Ochocie, Saskiej Kępie i Grochowie — trzy pytania:

1. Czy lubisz lekcje religii i dlaczego?
2. Jakie znaczenie mają dla Ciebie lekcje religii? Co Ci one dają?
3. Czy zadowolony jesteś z tego, że lekcje religii są w szkole i dlaczego?

Ankietowani mieli od 10 do 14 lat, byli uczniami V, VI, VII i VIII klasy.

Na 321 osób zdecydowanie negatywnie odniosło się do lekcji religii w ogóle jedynie 46. Inni odpowiedzieli pozytywnie na pierwsze pytanie. 84 podało w wątpliwość celowość przeniesienia nauki z sal katechetycznych, gdzie lekcje miały inną atmosferę i były swego rodzaju świętem, do sal bez krzyża, między fizykę a geografię. Ci sami zauważali niestosowność tej decyzji wobec dzieci innych wyznań. Reszta, tj. więcej niż połowa, podkreślała wyłącznie udogodnienia płynące ze zmiany a polegające głównie na ułatwieniach komunikacyjnych i znacznej oszczędności czasu. Dotychczasowe chodzenie na religię do kościoła jawi się w świetle tych wypowiedzi jako kłopotliwy obowiązek, a możliwość jego uniknięcia jako koronny argument za reformą. Ów element praktyczny przybiera często formy skrajne („Jestem zadowolona, bo nie trzeba już chodzić do kościoła...”, „bo nie muszę pść sobie popołudnia”..., „marnować czasu...”).

W większości lekcje religii są lubiane. Najczęściej określane są mianem „fajne”. Uczący starają się wyraźnie zachęcić do swego przedmiotu, próbują go uatrakcyjnić, wymagają mniej niż inni. Dzieci charakteryzują te lekcje przymiotnikami „luźne”, „relaksowe”, „zabawowe”, czasem piszą „można na nich odpocząć”, albo wręcz „nie trzeba na nich myśleć”. Zawsze znajduje się okazja, by „pośmiać się, pożartować”.

Ten nastrój — zabawy z jednej strony i łagodnej wyrozumiałości z drugiej — większości odpowiada. Głosy krytyczne dotyczące owego sztucznego nieco sfraternizowania są rzadsze, ale pojawiają się, szczególnie w klasach starszych. Tam także słychać protesty wobec nieodpowiedniego nastroju tych lekcji — właśnie rozluźnionego, nieskupionego, szkolnego — „jedni śpiewają, inni gadają, jeszcze inni się śmieją”. Bardzo trudno w takich warunkach „usłyszeć głos Boga”. Między rosyjskim a matematyką takie spotkanie staje się rutyną, niewiele ma wspólnego z prawdziwym kontaktem z tym, „kto jest lokatorem nieba i Kościoła”. Dzieci przyznają, że tak jest wygodniej, ale wiele z nich zadziwiająco jasno widzi wszelkie płynące stąd zagrożenia, tak dotyczące ich samych, uczestniczących w religijnym wtajemniczeniu, jak tych którzy są obok, poza kręgiem.

Dla większości religia w szkole staje się lekcją jak inne. Dla niewielu zachowa smak tajemnicy. Są i tacy, których naznaczy obcością.

7 stycznia 1991

Agata TUSZYŃSKA

Lubię lekcje religii, ponieważ jest bardzo fajna pani.

Lekcje religii dają mi to, że po nich staję się lekki.

Alik, V klasa, Wola

Lubię lekcje religii, bo nie są one spięte. Uczymy się wielu ładnych piosenek.

Lekcje religii dają mi wiele dobra. Uczą jak pomagać ludziom, jak być wrażliwym na zło, które jest coraz większe.

bez podpisu, V klasa, Ochota

Nie jestem zadowolona z tego, że religia jest w szkole. Ja nie chodzę na te lekcje, a one odbywają się pomiędzy innymi. Nie ma co ze sobą zrobić, bo biblioteka właśnie w te dni jest zamknięta, a na dworze jest teraz zimno, albo pada deszcz.

ZB, V klasa, Wola

Nie lubię lekcji religii w szkole ponieważ odbywa się w sali języka polskiego i nie ma żadnego nastroju religijnego.

Lekcji religii w szkole uczy nas jakaś katechetka, która przeczytała Biblię i chociaż sama chodzi do kościoła, nas nie informuje o żadnej mszy. Na przykład nic żeśmy nie wiedzieli o różańcu.

bez podpisu, V klasa, Wola

Bardzo lubię lekcje religii, dlatego bo są ciekawe. Rozmawiamy o różnych sprawach, to znaczy o Bogu, Jezusie, o piekle, o niebie i co się tam dzieje.

Na religii rozmawiamy o bardzo ciekawych sprawach. Dają mi one jakby bliższe spotkanie ze światem zmarłych, z Bogiem i z czyszcem, tam też są ludzie.

Cieszę się z religii w szkole, dlatego, że nie muszę jeździć do kościoła, a na przykład zimą jest ciemno i zimno.

Michał, V klasa, Ochota

Lubię lekcje religii ponieważ pani katechetka ujawnia nam po kolei prawdy Boże, opowiada nam niektóre historie ze Starego i Nowego Testamentu, odpowiada na zadawane jej pytania, dyskutuje z nami, stara się wyjaśnić nam nasze problemy.

Lekcje religii mają dla mnie wielkie znaczenie, bo z tych lekcji dowiadujemy się o Bogu. Możemy wywnioskować jakie postępowanie jest dobre, a jakie złe. Możemy brać przykład z ludzi, którzy dobrze robili na świecie. Po tych lekcjach możemy być lepsi.

Jestem zadowolona, że te lekcje są w szkole, ponieważ nie musimy w czasie tygodnia chodzić do kościoła, ale gdyby były w kościele, a nie w szkole, pogodziłabym się z tym.

Julita, V klasa, Wola

Lubię bardzo lekcje religii ponieważ można się na nich zwierzyć Bogu z wielu zmartwień, z których nie zwierzę się ludziom. Poza tym siostra jest bardzo sympatyczna i wie, że niektórzy uczniowie są jeszcze nieokrzesani, a inni bardziej poważni i jest bardziej miła niż inni nauczyciele.

Lekcje religii uczą mnie jak stać się lepszym i co to znaczy „dobro” i „zło”.

Jestem zadowolona, że religia jest w szkole, bo nie trzeba chodzić do domu katechetycznego i ma się więcej czasu po lekcjach.

Kpala, V klasa, Ochota

Nie lubię lekcji religii w szkole, ponieważ jest to jakby narzucanie wiary tym osobom, które posiadają inną wiarę, bądź nie wierzą w ogóle. Moim zdaniem kościół nie powinien mieszać się do szkoły, tylko zostać w salach katechetycznych.

Lekcje religii nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Jestem chrześcijaninem, ale wierzę w Boga na swój sposób.

bez podpisu, VI klasa, Grochów

Lekcje religii w szkole nie podobają mi się. Uważam, że w szkole nie ma odpowiedniej atmosfery do tych zajęć. Od lekcji religii są kościoły. A wszyscy są zmuszeni chodzić na te lekcje w szkole, gdyż boją się drwin kolegów. Ja jestem osobą niewierzącą, ale chodzę na religię, by ją poznać.

bez podpisu, VI klasa, Grochów

Lubię lekcje religii, bo nie trzeba na nich ciągle myśleć, jak na innych lekcjach.

Te lekcje prawie nic nie dają, bo ja już wszystko wiem. Nie wszyscy w ogóle tego słuchają i nic nie piszą.

Jestem zadowolona z lekcji religii w szkole, bo nie ma takiego rygoru jak w kościele. Nie trzeba się tak dużo uczyć, nie ma się czego bać i nic nie zadają do domu.

Katrin, VI klasa, Wola

Lekcje religii mają dla mnie wielkie znaczenie, ponieważ staram się wierzyć silnie i pogłębiać swoją wiarę. Dają mi one regulację wiary, która czasami jest zagrożona.

Niestety nie jestem zadowolony z lekcji religii w szkole, ponieważ nie chciałbym, aby szkoła i kościół miały te same wspólne cechy. Wolałem wieczorem chodzić do sal katechetycznych. Było to dla mnie wyrwanie się ze świata szkolnych stresów i niepokoju.

bez podpisu, VI klasa, Grochów

Lubię lekcje religii, ponieważ są one inne od wszystkich lekcji. Na początku i na końcu lekcji modlimy się, ksiądz bardzo fajnie uczy.

Lekcje religii odzwyczajają nas od bicia się, nadużywania alkoholu itd. Lekcja religii uczy nas w coś wierzyć. Uczy nas powstawania świata po chrześcijańsku.

Jestem zadowolony z lekcji religii w szkole, ponieważ wszyscy zachowują się inaczej, mniej jest chuligaństwa.

bez podpisu, VI klasa, Grochów

Religia daje mi to, że bardziej zachęca do chodzenia do kościoła, uczy nas o naszym Bogu i naszej Maryji. Uważam, że religia powinna być w kościele, bo kościół jest od tego, a szkoła jest szkołą. Bez sensu

jest mieszać kościół ze szkołą. Religia jest lekcją raczej luźną, której nikt nie traktuje w szkole jako ważny przedmiot, na przykład tak jak matematykę.

Zdzisia-Mysia, VI klasa, Wola

Nie lubię religii, ponieważ nie jest przedmiotem ścisłym i uczy nas o tym, co my wiemy. Na tych lekcjach nastawia się uczniów.

Lekcje religii nie mają dla mnie żadnego znaczenia, bo nie uczą o niczym ważnym. To co tam mówią, sami wiemy i przez to te lekcje nie mi nie dają.

Nie jestem zadowolony, że te lekcje są w szkole, bo są nudne, zajmują czas, i przez to, że nie są ostatnie — później wychodzimy ze szkoły.

Koliber, VI klasa, Wola

Pomimo wszystko religia powinna wrócić do kościoła. Tam jest jej miejsce i tam powinna zostać. A Sejm, który to wszystko uchwała, powinien bardziej zająć się sprawami Polski, a nie kościołem. Bo jeśli dalej będą chcieli ulepszać kościół, to kiedy ulepszą Polskę? Sądzę, że mają inne sprawy niż wtrącanie się do kościoła.

Zawsze lubiłam chodzić na religię, było to dla mnie bardzo ciekawe i zajmujące, a teraz nagle to wszystko się skończyło, urwało. Teraz religia jest normalnym przedmiotem, tylko prowadzonym przez księdza. Czy tak to powinno wyglądać? Sądzę, że nie. Nie powinno się uszkalać religii i jeśli bym mogła, to bym była za religią w kościele.

Do widzenia, Zosia, VI klasa, Saska Kępa

Lubię lekcje religii dlatego, że pozwalają wyrażać uczucia do Boga.

Lekcje religii mają dla mnie takie znaczenie, że w czasie jakiejś trudnej sytuacji mogę sobie przypomnieć nauki tam dawane i wiem jak mam postąpić.

Nie jestem zadowolona, że lekcje religii są w szkole, bo przyzwyczaiłam się do kościelnej atmosfery. W kościele jak coś powiedziałam na religii źle, to nie śmieli się ze mnie, tak jak to jest w szkole.

bez podpisu, VI klasa, Wola

Lekcje religii weszły do programu szkolnego w tym roku. Myślę, że są one potrzebne, ponieważ dają człowiekowi świadomość katolicką. Myślę, że dzięki lekcjom religii stałem się lepszym kolegą i uczniem. Dzięki tym lekcjom zrozumiałem, że nie warto palić, kłąć, co wcześniej robiłem. Od tego roku wszystko się zmieniło, nie opuszczam religii, chodzę do kościoła, co przedtem też robiłem, ale jak byłem w kościele to o czymś innym myślałem. Chodziłem tam dlatego, bo rodzice mi kazali. Od tego roku chodzę chętnie do kościoła, na religię, jestem lepszy w domu, a rodzice mają ze mnie pożytek.

Tadek, VII klasa, Saska Kępa

Lekcja religii daje mi tylko tyle, że mogę na niej odpocząć po lekcji biologii.

bez podpisu, VII klasa, Ochota

Nie lubię lekcji religii, ponieważ mówią o jakimś Bogu, który nie istnieje.

Paulina, VII klasa, Wola

Lubię lekcje religii w szkole, bo nie trzeba ganiać do kościoła po nocach. Wolałem jednak religię w kościele, bo w szkole jest na niej straszne rozrabianie.

Tomek, VII klasa, Saska Kępa

Moim zdaniem lekcje religii w szkole są niepotrzebne, ponieważ w szkole wszyscy robią z tego jakąś rozrywkę czy jakąś zabawę. Jakby lekcje były w kościele, każdy by się na pewno nauczył i nie robiłby z modlitwy zabawy.

Banan, VII klasa, Saska Kępa

Jestem bardzo zadowolony, że lekcje religii są w szkole, gdyż:

- nie muszę po południu chodzić do kościoła
- są inne niż pozostałe lekcje
- ksiądz pozwala na rozmowę
- lekcja nie jest taka, że trzeba być cicho, grzecznie.

Chciałbym aby było więcej godzin religii w szkole.

FBI, VII klasa, Saska Kępa

Na początku byłam bardzo zadowolona, że lekcje religii odbywają się w szkole. Teraz zaczynam dopiero rozumieć, że to był błąd. Odbywają się one w sali III, w której są także i inne lekcje, jak rosyjski, polski, matematyka. Pani dyrektor obiecała księdzu, że w tej sali będzie krzyż. Rozumiem, że do godła nie można się modlić, ale do tej sali na lekcje przychodzą także osoby, które wyznają inną wiarę.

Figa, VII klasa, Saska Kępa

Lekcje religii w szkole są bez sensu. Niektórzy uważają te lekcje za czas podczas którego można odrabiać zadania, przepisać coś od kolegów, porozmawiać sobie.

bez podpisu, VII klasa, Ochota

Jestem niezadowolona z tego, że religia jest w szkole, bo może być podział uczniów. Na przykład gdy niektórzy są ateistami lub wyznają inną wiarę, to chrześcijanie ich wyzywają, że nie wierzą w Boga i są niedowiarkami. A tak gdy będzie religia w kościele, to nie będzie podziału tej młodzieży.

Teresa, VII klasa, Saska Kępa

Lubię lekcje religii z naszym księdzem, ponieważ porusza on tematy gnębiące nasze społeczeństwo (aborcja), a także ciekawostki (praca księży, seks, reinkarnacja). Na tych lekcjach nie powinno się pytać na stopnie, robić klasówek. One kształcą mnie pod względem życia duchowego i seksu.

Marcin, VII klasa, Saska Kępa

Religia w szkole jest dla mnie przedmiotem, takim jak i inne, pozostałe lekcje. Przychodzę na nie jak zadzwoni dzwonek i wychodzę.

Lekcje religii, gdy były w domu katechetycznym, miały swój odpowiedni

nastrój i było to dla mnie zawsze pewne przeżycie. Chodząc na religię do kościoła byłam pewna, że idę na spotkanie z Bogiem, a gdy jest w szkole nie odczuwam tego.

Lekcje religii w szkole są z jednej strony korzystne dla nas, gdyż jest to połączone z innymi lekcjami, ale z drugiej strony nie jest to dobre duchowo dla nas. Na lekcjach religii w szkole rzadko można się skupić nawet nad modlitwą. W szkole jest trudno wyciszyć się i usłyszeć głos Boga.

bez podpisu, VII klasa, Ochota

Osobiście lubię religię. Panuje na niej atmosfera zupełnie inna niż na pozostałych lekcjach. Jestem na tych lekcjach rozluźniona, nie boję się że zaraz zostanę wywołana do tablicy.

Wolałabym, aby lekcje religii odbywały się w kościele. Nie przeszkadza mi to, że muszę dojeżdżać, zawsze mogłam pójść do kościoła i pomodlić się. Ale dla ogółu życia kościelnego jest lepiej, że lekcje religii odbywają się w szkole. Wiem to z własnego doświadczenia. Teraz więcej moich kolegów i koleżanek chodzi na religię, niż wtedy, gdy lekcje odbywały się przy kościele.

Czesia, VII klasa, Saska Kępa

Lekcje religii (przynajmniej w naszej klasie) to lekcje na których omawiamy życiowe sprawy. Ale nie podoba mi się podejście kościoła na przykład do usuwania ciąży, małżeństwa, posiadania dzieci itp. Lekcje te w szkole są mało wartościowe.

Cieszę się, że religia jest w szkole, bo przynajmniej nie muszę tracić czasu na dojeżdżanie do kościoła. Tylko to jest dobre w tym, że lekcje religii odbywają się w szkole.

bez podpisu, VII klasa, Ochota

Religia, niby tylko 1 lub 2 godziny lekcyjne więcej, a ile przez to kłopotów i zamieszania. Czasami klasy mają aż 8 lekcji w jednym dniu!

Katechizacja traci swą atmosferę w klasie szkolnej, bo ksiądz musi się trzymać materiału i rzadko można rozmawiać o rzeczach nas interesujących.

Obserwuję też dyskryminację dzieci nie uczęszczających na religię lub innego wyznania, szczególnie w klasach młodszych i w małych skupiskach ludności. Zdarzały się przypadki, że dzieci na siłę zaciągali kolegów na religię. A najgorsze jest to, że rodzice są zadowoleni, że ich dzieci „nakłaniają” innych do chodzenia na religię.

Dziwi mnie, że gdy na przykład przyjedzie gość z Ameryki i będzie innego wyznania lub będzie ateistą, to nikt nie będzie miał nic przeciw niemu. A gdy Polak jest niewierzący, wszyscy będą przeciw niemu. Nie rozumiem tej dyskryminacji.

Amira, VII klasa, Saska Kępa

Lubię lekcje religii, ponieważ uczę się na nich naszej wiary. Poprzez lekcje religii mam kontakt z Bogiem. Bardzo dobrze się czuję na tych lekcjach, ponieważ panuje na nich przyjemna atmosfera. Żałuję jedynie, że w sali, w której się odbywają, nie ma krzyża. Modląc się przed lekcją nie mamy na co zwrócić wzroku. Uważam, że krzyż ma duże znaczenie dla tych lekcji i naszego samopoczucia duchowego.

ZEZ, VII klasa, Saska Kępa

Lekcje religii powinny być przy kościele a nie w szkole. Po pierwsze, nie wszyscy na te lekcje chodzą i są nieraz kłótnie, bójki o to, że on nie chodzi na religię, że on jest Żydem, albo ma inne wyznanie niż chrześcijańskie. Dzieci rysują mu krzyżyki na zeszytach, przyczepiają do pleców gwiazdę, rozповідаją o tym po całej szkole i poza szkołą. A po drugie, to taki, kto nie chodzi na religię nie ma zbyt wielu kolegów, niektórzy panie nauczycielki nawet więcej wymagają od niego niż od innych.

Lekcje religii dają wiarę w Boga i jest trochę łatwiej, gdy się pomyśli że tam, w górze będzie lepiej.

Ja, VII klasa, Saska Kępa

Lubię lekcje religii, bo mogę na nich trochę odpocząć po męczących lekcjach z innych przedmiotów.

Uważam, że lekcje religii w szkole to ogromnie ważna rzecz. Ciągłe dojazdy na lekcje religii do kościoła są bardzo męczące, traci się przy tym i czas i pieniądze, gdyż bilety autobusowe dosyć drogo kosztują. Dojazd do kościoła uważam za bezsensowny. Nie rozumiem ludzi, którzy chcą, aby religia była przy kościele. To wspaniale, że jest w szkole, uzyskałem w ten sposób sporo dodatkowego wolnego czasu, który tak jest potrzebny w siódmej klasie.

Jasio, VII klasa, Saska Kępa

Lekcje religii w szkole straciły już tę atmosferę, jaką miały w kościele. Trudniej jest skupić w gronie 34 gadających osób. Z pewnością podczas lekcji religii możemy się wiele dowiedzieć o wierze i życiu moralnym. Mamy okazję do porozmawiania z księdzem, jednak nie są to rozmowy tak naprawdę szczere. Mnóstwo osób dogaduje i niemalże lekceważą osobę księdza. Z chwilą wprowadzenia religii do szkoły stała się ona zwykłą lekcją w zwykłej sali (byłby pracowni języka rosyjskiego). Religia wiele w ten sposób straciła.

Jestem bardzo niezadowolona z wprowadzenia religii do szkoły. Zmieniło to bardzo dużo. Przede wszystkim nasz stosunek do księdza (nauczyciel) oraz do samej religii, która weszła do planu jako ósma godzina lekcyjna. Jesteśmy już bardzo zmęczeni, są zbyt duże grupy, no i połączenie chłopców z dziewczynami — to chyba główne minusy. Na lekcji religii wiele osób zachowuje się jak na zajęciach praktyczno-technicznych czy plastyce. Nie przypomina mi ta religia dawnych, przyjemnych 45 minut spędzanych na rozmowach z siostrą. Naprawdę wolałam dojeżdżać do kościoła i uczyć się tam w innej atmosferze.

Mysz, VII klasa, Saska Kępa

Lekcje religii pokazują mi, jak żył Bóg. Dają mi wiedzę. Ale mam żal do księdza za to, że sprawdza w dzienniku czy ktoś był w kościele czy nie. Jest to złe, dlatego że my chodzimy do kościoła po to, żeby ksiądz odznaczył w dzienniku i boimy się, że jak nie pójdziemy, będziemy mieli to odznaczone.

bez podpisu, VIII klasa, Grochów

Nie lubię religii. Zagadnienia związane z tą nauką mnie nie interesują. Religia mnie nudzi.

Nie chodzę na religię, ponieważ nie proponuje mi ona czegoś, co by mnie interesowało.

Nie podoba mi się, że lekcje religii są w szkole. Nie chodzę na religię i raz w tygodniu muszę czekać godzinę w środku lekcji. Wolałbym, aby lekcje były prowadzone w kościele. Wszyscy, którzy by chcieli chodzić, chodziliby. A w szkole spotykam się z nietolerancją. Powstają zatargi. Znam na przykład klasę, która podzieliła się na tych co chodzą na religię i na tych co nie chodzą.

KOBRA, VIII klasa, Wola

Lekcje religii nie powinny być w szkole, nie wszyscy są tego samego wyznania i na pewno część klasy ma inne zdanie na temat chrześcijaństwa, tylko nie przyzna się do tego, bo wie, że będzie obgadywana.

Chociaż wierzę w Boga, to lekcje religii nie mają dla mnie większego znaczenia. Tego, że wierzę, nie muszę nikomu oznajmiać.

bez podpisu, VIII klasa, Grochów

Nie jestem zadowolona z tego, że religię wprowadzono do szkół, dlatego, że kościół i tak za bardzo miesza się w nasze życie (chodzi tu zarówno o politykę, jak i o życie prywatne). A poza tym uważam, że szkoła to nie jest odpowiednie miejsce do prowadzenia tego typu zajęć. Szkoła moim zdaniem nie jest do tego przeznaczona. Gdyby jeszcze można było coś zmienić, to jestem za zniesieniem religii w szkołach.

Większość uczniów robi sobie z lekcji religii zabawę. Niektórzy nawet głośno mówią, że świetnie się bawili. Więc po co chodzić na te lekcje? Nie lepiej po prostu wyjść na boisko?

Krzyżak, VIII klasa, Wola

Lubię lekcje religii, ponieważ są to lekcje odmienne od zwykłych, można na nich porozmawiać o rzeczach ciekawych, innych, dających do myślenia. Oczywiście zależy to od prowadzącego i uczniów.

Lekcje religii (niestety, zazwyczaj nie te szkolne) dają mi wiele. Bardzo ważne jest dla mnie to, żeby np. po ciężkim dniu w szkole móc porozmawiać o Bogu.

Nie jestem zadowolona ze szkolnych religii, bo uważam, że wielu nie dorosło jeszcze do tego. W naszej klasie te lekcje są zaprzeczeniem prawie wszystkiego, czego uczono mnie wcześniej. Po prostu do kościoła na religię chodzili zazwyczaj ci, którym choć trochę na niej zależało, a teraz — różnie. Można powiedzieć, że ilość przeszła w jakość.

Chodzę teraz na dodatkową lekcję w kościele z ks. proboszczem i tam atmosfera jest zupełnie inna. W porównaniu ze szkolnymi, tamte lekcje religii, to prawdziwa przyjemność.

TRAN, VIII klasa, Wola

(Wybór Agaty Tuszyńskiej)

Sprawy i troski

Dekonfitura w publicystyce

„Rola prasy, polegająca na czujności, węszeniu i wywlekaniu na wierzch prawdy, jest szczególnie ważna jako czynnik obrony społeczeństwa”. Taką sentencję przeczytałam na ścianie redakcji jednego z dzienników brytyjskich. Obok wisiał napis *Truth will out*, czyli prawda zawsze na wierzch wypływa. Kłopot w tym, że często wypływa po niewczasie. To zapewne miał na uwadze p. Szymon Zaremba (i liczne rzesze emigracyjne) domagając się w liście do *Dziennika* (24.5.91) „prawdy, całej prawdy i tylko prawdy o finansowym i towarzyskim życiu emigracji”. Pan S. Zaremba chciałby wiedzieć, po co, na co i za co rozliczne, choć nieliczne „delegacje emigracji” wyjeżdżają z wizytami do Warszawy. Niezdrowa taka ciekawość. Zadając takie pytania, można by się dopytać wpisania na czarną listę. Pan S. Zaremba pisze, że *Dziennik* nie należy do „jakiegoś polskiego Maxwella” ale jest własnością społeczeństwa, które za niego pośrednio i bezpośrednio płaci. I zapewne mogłoby żądać tej prawdy. Społeczeństwo wie, że płaci (szczególnie za nekrologi), ale nie wiedziało, że *Dziennik* jest jego własnością. Nic na to — szczególnie w ostatnich latach — nie wskazywało. Wiele natomiast, szczególnie w tych ostatnich latach, wskazywało, że *Dziennik* jest ograny organem emigracyjnych władz.

Próby pisania prawdy, nawet nie całej, albo lądowały w koszu, albo kończyły się wyrażaniem przez redakcję głębokiego ubolewania. Mniejsza o czytelników żadnych informacji. Wystarczą im ogólniki. Czytelnik, jak często zresztą twierdziły emigracyjne władze, wszystko przełknie. *Dziennika* w jego monopolistycznej sytuacji nic z posad nie ruszy (nie mylić z posadami w redakcji). Okazało się jednak inaczej. Czytelnik, przez lata zrosnięty ze swoim organem, zaczął się od niego odcinać. Liczba czytelników podobno maleje, pisze p. S. Zaremba. Przyczyną jest nie tylko wymieranie starych prenumeratorów. Znaleźliby się nowi. Przyczyną spadku nakładów pism jest przeważnie spadek ich popularności. A przyczyną spadku popularności jest przeważnie spadek poziomu. Przez poziom w dziennikarstwie można rozumieć zaspokajanie różnych czytelniczych potrzeb.

Czytelnik emigracyjny jest łatwy. Chce wiedzieć, co się dzieje na jego gumnie i „latyfundiach”. To go głównie podnieca. Nie będzie pisma kupował dla mglistych wspomnień o przeżyciach wo-

jennych, ciągniętych za uszy licznych stron, ani dla drugorzędnych wiadomości bieżących czy trzeciorzędnych opisów oplatka w okolicy Wielkanocy. (Na przykład: „na oplatek karpacki tłumnie stawili się dostojni goście z żonami, a pan X z żoną”. Jeden katolik a reszta muzułmanie? — *Dziennik* z marca b.r.) Czytelnik będzie pismo kupował i czytał, dla nas istotne rozróżnienie, jeśli w tym piśmie znajdzie rzetelne informacje na czasie. Będzie je cenił za publikowanie faktów, bez względu na to, czy się jakaś „dostojna osoba” poczuje z tego powodu dotknięta. W warunkach emigracyjnych, zdawałoby się, marzenie ściętej głowy.

Ostatnio jednak redakcja *Dziennika* i *Tygodnia* głowę wychyliła. Opublikowała nie tylko „kontrowersyjne” artykuły, ale i szereg listów do redakcji. Najnowszym tego przykładem jest nie tylko list p. Szymona Zaremby opublikowany w *Dzienniku*, ale i list p. A. Chudzyńskiego, opublikowany w *Tygodniu*. Pan A. Chudzyński uprzejmie koryguje informacje podane w artykule byłego premiera londyńskiego, prof. E. Szczepanika. Wielu z nas przeczytało w tym artykule z niedowierzaniem, że hotel Victoria stoi na miejscu dawnej Zachęty. Ale wielu z nas się wydawało, że nikt się nie odważy korygować byłego premiera. Okazało się jednak, że znalazł się taki śmiałek, a redakcja wyraźnie się rozczuchwiała. Egzemplarz *Tygodnia* z listem pana A. Chudzyńskiego czytelnicy wyrwali sobie z rąk. Oby redakcja nie musiała sobie z tego powodu wrywać włosów z głowy.

Prof. E. Szczepanik lepiej by na tym wyszedł, gdyby idąc za wzorem większości zachodnich polityków, pozwolił dziennikarzom na opisanie w gazecie, jak uroczyste podejmowano Go w Warszawie. I wilk byłby syty i owca cała. Solidny dziennikarz dwa razy sprawdzi zanim napisze, na co były premier nie miał widocznie „głowy”, bo ją stracił po wysłuchaniu, jak pisze, „podniosłego przemówienia prezydenta Wałęsy, który dokonał uroczystego odsłonięcia tablicy pamiątkowej” i po oszołamiających przyjęciach na Zamku i w sejmie z udziałem notabli polskiego życia politycznego i towarzyskiego. Kto by od tego nie stracił głowy? P. Antoni Chudzyński pisze też, że za swój pobyt w zeszłym roku w hotelu Victoria w Warszawie płacił z własnej kieszeni. Bo nie jest VIP. I słusznie przypuszcza, że za pobyt emigracyjnych VIPs w tymże hotelu, w czasie uroczystości 3-ciomajowych, zapłacono „ze skarbku państwa biednej Polski”.

Gdyby *Dziennik* stosował się do wymogów p. S. Zaremby i pisał całą prawdę, musiałby i o tym napisać, że „delegacja emigracji” której skład był *nota bene* kwestionowany przez tak zwane „masy”, bawiła w Polsce na koszt jej podatników. „Delegacja” została zresztą po wylądowaniu podzielona na dwie grupy. Ważniejszą grupę, przywiezioną też na koszt państwa, zakwaterowano w hotelu Victoria. Mniej ważną, przywiezioną nie na koszt państwa, zakwaterowano w Pułtusk w domu Wspólnoty Polskiej. W budżecie kraju, nawet tak robiącego bokami jak Polska, są to na pewno sumy bez znaczenia. Ale emigracja, latami zbierająca na pomoc dla kraju, może sądzić, że jest to przelewanie z pustego w próżne.

Komisja Likwidacyjna (porządowej spuścizny), jak stwierdza p. J.J. Ostojko-Koźniewski, rzecznik spraw finansowych Komisji, w liście z 21.3.91 napisanym w odpowiedzi na pytanie radnego A. Kołodzieja, przeznaczyła ze Skarbu Narodowego 19.250 funtów dla siedmiu komisarzy do końca br. Przeznaczyła też w sumie 2.400 funtów dla dwóch przedstawicieli prezydenta L. Wałęsy w Komisji Likwidacyjnej. Przedstawiciele ci otrzymają po 50 funtów dziennie za sześć wizyt w Londynie po cztery dni każda. Poza tym Komisja przeznaczyła w sumie 5.500 funtów na odprawy dla trzech „długoletnich pracowników rządu i Skarbu Narodowego” oraz redaktora *Rzeczypospolitej* (świetnie zresztą zredagowany jej ostatni numer). Przy globalnej sumie 56.960 funtów, jak stwierdza p. J.J. Ostojko-Koźniewski, na potrzeby Komisji do czasu aż się sama zlikwiduje (suma jak się twierdzi „zawyżona” na wszelki wypadek) można było chyba wykroić z funduszy na reprezentację (pozycja osobna), pieniądze na koszty wyjazdu i pobytu w Warszawie londyńskich VIPs. Przypuszczalnie Rada Narodowa, emigracyjny *watchdog*, nie miałaby nic przeciwko temu, żeby zatwierdzona przez nią delegacja pojechała na koszt emigracji, a nie na koszt kraju. Ale Rada Narodowa, przy całej jej dobrej woli, jest tylko ciałem doradczym. Orzeka, nie decyduje. Decyzje zapadają na osi Belweder — londyński „zamek”, przy którym, jak celnie napisała S. Kossowska (*Dziennik* 16.5.91) wydaje się być akredytowana ambasada RP.

Że by było, gdyby *Dziennik* i *Tydzień* stały się organem tej osi. A można by było tak przypuszczać po opublikowaniu w *Tygodniu* artykułu ambasadorowej J. de Virion, podnoszącej zalety ducha i umysłu p. Danuty Wałęsowej. *Cui bono*? Nawet królowa brytyjska, nie mówiąc o b. premierze Margaret Thatcher, nie doczekała się takiego panegiriku. Pani J. de Virion, podobnie jak prof. E. Szczepanik, lepiej by zrobiła, gdyby panegiryki na cześć prezydentowej zostawiła skłonnym do tego dziennikarzom. A jest ich sporo (etykieta dyplomatyczna podobno wymaga od ambasadorowych tylko umiejętności reprezentowania męża, co p. J. de Virion robi z wrodzonym jej wdziękiem).

Dziennik z sobotnim *Tygodniem* mógłby stać się pismem czytelnym nawet w kraju, gdzie piśmiennictwo przeżywa albo niecenzuralne wstrząsy, albo wstrząsy mogące ulec cenzurze. *Dziennik* dysponuje odpowiednią do tego bazą w mieście słynącym z rzetelnej prasy. Ale *Dziennik* musiałby najpierw wypowiedzieć wojnę własnej cenzurze, stać się pismem niezależnym, otwartym na poglądy wszystkich Polaków w kraju i za granicą, nie bojącym się władzy świeckiej i kościelnej. Jeżeli *Dziennik*, najdłużej, nieprzerwanie wychodzące pismo w polskim piśmiennictwie (ponad 50 lat) nie przejdzie przez taką metamorfozę, zginie wkrótce na uwięź starczy, pospołu z innymi emigracyjnymi instytucjami. Posługiwanie się piórem — napisał Voltaire — oznacza wypowiadanie wojny. Ale do tego potrzebna jest odwaga.

Krystyna CYWIŃSKA

Czechy a Polska

Polska w oczach czeskich

LEE BLACKWOOD: — *Jakie znaczenie ma dziś, po obaleniu komunizmu w Czechosłowacji i Polsce, dziedzictwo nieudanego sąsiedztwa — spór o Cieszyn, wzajemna obojętność w obliczu wspólnego zagrożenia niemieckiego w latach 30-tych, polski udział w „bratniej pomocy”, udzielonej Czechosłowacji w sierpniu 68-go roku? Czy uda się przejść do porządku dziennego nad tym dziedzictwem? Czy obecna sytuacja w ogóle przypomina przeszłość?*

ZDENEK SLADEK: — W stosunkach między Czechosłowacją i Polską widać naturalnie pewną ciągłość. Myślę jednak, że kwestia Cieszyna nie mogłaby już odgrywać zasadniczej roli w stosunkach między tymi dwoma państwami. Poważniejsza jest kwestia niemiecka, rozumiana w sensie politycznym i gospodarczym — tu interesy obu państw były i są zbieżne.

JAROSLAV VALENTA: — Dodam, że wraz z upadkiem komunizmu powracamy do dawnych koncepcji politycznych. Pytanie tylko, do jakich. Takie powroty zawsze grożą myśleniem i działaniem niehistorycznym. Widać to w historiografii, chociaż w naszej to jeszcze nie nastąpiło: pół roku to za krótko na napisanie i wydanie historycznych książek. W Polsce ten okres trwa dłużej, więc próba rehabilitacji Drugiej Rzeczypospolitej jest wyraźnie widoczna. Ta rehabilitacja ma swoje cele — cele to słowo podstępne, powiedzmy, że ma swoje racje. Druga Rzeczypospolita pomimo wszystkich swych niedostatków — tak samo zresztą jak nasza Pierwsza Republika — na pewno nie zasługuje na potępienie w czambuł. Z drugiej strony jednak dla nas, przynajmniej dla historyków — bo szersza publiczność niczego jeszcze nie wie o takich dyskusjach — pełna rehabilitacja Becka wraz z jego polityką wobec nas u schyłku lat 30-tych jest nie do przyjęcia. Całkowita rehabilitacja tej postaci oznaczałaby,

że znowu stanęlibyśmy na bazie tzw. absolutnego nacjonalizmu, który stanowi, że cokolwiek służy mnie albo moim narodowym — choćby jak najbardziej doraźnym — interesom jest święte, a interesy kogokolwiek innego po prostu nie są warte wzięcia pod uwagę. Tego rodzaju nawroty już się zdarzają. Jest to nieuniknione — jako po prostu odchylenie w drugą stronę — ale na dłuższą metę pozostaje nie do przyjęcia. Poza tym takie myślenie nie jest niebezpieczne, bo znów — zwłaszcza w stosunkach między Polakami a Czechami — umacnia stare pretensje, które naprawdę można by zostawić w spokoju po ponad pół wieku, a nawet siedemdziesięciu latach.

L. BLACKWOOD: — *Te konkretne problemy, które cechowały stosunki polsko-czeskie w okresie międzywojennym, już nie występują, względnie nie mają takich wymiarów jak ongiś?*

J. VALENTA: — Nie, nie istnieją, bo na przykład wówczas były zasadnicze problemy orientacji politycznej, jakiejś samodzielnej polityki. Pod tym względem sędzę, że dziś nie ma problemu, przede wszystkim dlatego że Polska i my jesteśmy dopiero w fazie formułowania własnej polityki, szukania dróg, szukania możliwości. Kto z ministrów wie naprawdę, jak będzie się układać sytuacja w Środkowej Europie za pół roku czy za rok? Można się spodziewać różnych wariantów, z tym że jeżeli chodzi na przykład o rewindykację tzw. Zaolzia, czechosłowackiej części Śląska Cieszyńskiego, to sędzę, że nawet wśród Polaków na tych terenach jest to dziś sprawa martwa. Tutaj czynione są dość daleko idące koncesje, żeby zaspokoić ich dążenia. Skargi, które można niekiedy słyszeć, są dość nie na czasie. Trzeba przy tym sobie zdawać sprawę z faktu, że Czechom i Słowakom jako większości narodowej także nie wolno było zakładać własnych wolnych stowarzyszeń itd. Prasa nasza nie była głosem opinii publicznej, lecz rządzącej partii. Więc nic dziwnego, że *Głos Ludu* nie był głosem Polaków w Czechosłowacji, lecz głosem komitetu wojewódzkiego partii. Oczywiście to jest sprawa przygotowania przyszłej konstytucji, czyli sprawa, która zdecyduje się w ciągu najbliższych dwóch lat — sprawa praw mniejszościowych. Teraz Polacy tutaj mogą w wyborach do lokalnych władz znów wystawić swoich kandydatów. Zależy więc od nich, na ile będą reprezentowani, to znaczy na ile czynnik narodowościowy — to znaczy głosowanie na polskiego kandydata — będzie miał u nich pierwszeństwo przed innymi względami. Bo może się też zdarzyć, że będą głosować na wybitnego piłkarza albo działacza sportowego. Zresztą mają posła w Czeskiej Radzie Narodowej, w czeskim parlamencie, który zajmuje

się tymi sprawami bardzo szczegółowo. Ponadto jest w przygotowaniu projekt, który — jak sędzę — powinien być dość ważny dla Polaków, dla ich samorealizacji. Mianowicie ma powstać w Czeskim Cieszyńsku placówka naukowo-badawcza, na początku mała, która zajmowałaby się problematyką mniejszości polskiej, jej historią, etnografią, zagadnieniami językowymi, formowaniem się dzisiejszej gwary cieszyńskiej, która jest pod wpływem języka czeskiego i słowackiego. Polacy nie są izolowani, choć problemy z prasą polską są bardzo bolesne — nie z powodu cenzury, tylko z powodu horrendalnych cen. Ale tam się ogląda polską telewizję, prawda? Więc nie ma mowy o odcieciu informacyjnym.

JIRI VYKOUKAL: — Chciałbym dodać do tego, że stosunki czechosłowacko-polskie znajdują się dziś w nowej sytuacji. Minione czterdzieści lat oznaczało właściwie puste miejsce. Polityka zagraniczna była podporządkowana ideologii. Stosunek do mniejszości wynikał z tzw. leninowskiego sposobu rozwiązywania kwestii narodowościowej. Teraz stosunki międzypaństwowe i narodowościowe dadzą się rozwiązać w normalny sposób. Myślę, że podstawą normalnych stosunków między oboma państwami powinien być demokratyczny rozwój wewnętrzny, który pozwoli rozwiązać kwestie narodowościowe. Jest to dzisiaj jedyna możliwa droga do postawienia tych stosunków na słusznej i solidnej bazie, tak, żeby nas nie oddalały.

Z. SLADEK: — Myślę, że istnieją trzy elementy ciągłości. Pierwszy to więzi oficjalne. Drugi to stosunki dysydenckie, które istniały i nawet odegrały pewną rolę w naszych listopadowych wydarzeniach. Niektóre myśli i pomysły przychodziły do nas z Polski i w jakiś sposób tutaj się sprawdziły. Komitety obywatelskie — pomysł polski — odegrały rolę u niektórych naszych przodujących dysydentów. Trzecim elementem ciągłości jest odżywająca pamięć wspólnej przeszłości. W historiografii po obu stronach pojawiły się reminiscencje dawnych lat. Zgadzałem się z Valentą, że to jest już martwa litera, ale pozostaje faktem, że ciągłość jest wyczuwalna i odegrała pewną rolę.

J. VYKOUKAL: — Chciałbym przypomnieć, że tuż po drugiej wojnie światowej odezwał się w Polsce dość ważny głos historyka, który zajmował się problematyką stosunków polsko-czechosłowackich. Tym historykiem był Olgierd Gorka, który w pracy na temat historycznego rewizjonizmu w polskich dziejach określił stosunki polsko-czechosłowackie terminem *danse macabre*. Po prostu stwierdził, że te narody tylko czyhały na to, żeby sobie nawzajem skoczyć do gardła. Oczywiście zawsze śmiał się trzeci

— Niemcy albo Rosja. Gorka uważał, że te dwa narody muszą zrozumieć, że ich obopólne interesy w żadnym przypadku nie są funkcją ich stosunku do Niemiec, lecz powinny być postawione przynajmniej na równi z ich stosunkiem do Niemiec i Rosji. Właśnie dlatego, że na zachodzie leżą Niemcy, a na wschodzie Rosja; środkowa Europa jest po prostu obszarem, który z punktu widzenia mocarstwowego i polityki zagranicznej znajduje się między tymi dwoma gigantami.

J. VALENTA: — Chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Znam czołowych aktywistów polskiej mniejszości w Cieszynie. Myślę, że jedna rzecz odróżnia obecną sytuację od przedwojennej, mianowicie brak klasycznej irredenty, która pragnie zmiany granic — przesunięcia polskich granic gdzieś dalej. To jest, rzecz jasna, ważny warunek, aby czeska opinia publiczna mogła traktować tę sprawę spokojnie i lojalnie, ponieważ wzajemna lojalność jest zawsze zasadniczym warunkiem właściwego działania. Paderewski, podpisując decyzję o podziale Śląska Cieszyńskiego, napisał, że to stworzy „bezbrzeżną przepaść” pomiędzy obydwoma narodami. To jest retoryka i nic poza tym. On był mistrzem retoryki. Zresztą był artystą i miał do tego prawo. Chodzi o co innego. Zaryzykuję stwierdzenie, które prawdopodobnie w Polsce będzie słyszane niechętnie... W całej sprawie Śląska Cieszyńskiego chodziło o kilkadziesiąt tysięcy Polaków — powiedzmy 60.000 — 70.000, bo wyższe liczby są naprawdę urojeniem — którzy pozostali poza polską granicą. Jak wiadomo, mniejszości polskie pozostały poza granicami Drugiej Rzeczypospolitej nie tylko w Czechosłowacji, ale też na Bukowinie, nie mówiąc już o Niemczech, Litwie, Łotwie, no i oczywiście milionowej na terenie Związku Sowieckiego. W latach trzydziestych przypominano w gruncie rzeczy — i w celach wyraźnie politycznych — tylko mniejszość w Czechosłowacji, przy czym Czechosłowacja była naprawdę demokratycznym państwem, które aż do dni monachijskich zapewniało bardzo zadowalający poziom praw obywatelskich. Nie twierdzę, że na poziomie lokalnym, powiatowym, nie mogło dochodzić — i niewątpliwie dochodziło — do różnych szykan Polaków. Pytanie jednak, czy stosunki międzypaństwowe mają się kształtować na podstawie uczuciowych, emocjonalnych rozgoryczeń w skali powiatowej. To jest pierwszy absurd. Jak wiadomo, na wiosnę 1938 Benes wysłał jednego z dobrych znawców Polski — redaktora *Fiale* — na rozmowy z polską opozycją. Nawet od nich słyszał, a byli to przecież ludzie, dla których racją istnienia politycznego była walka z beckowskim reżymem sanacyjnym, że niezbędnym i wstępnym warunkiem jakiegokolwiek poprawy stosunków polsko-czechosłowackich jest oddanie Śląska Cieszyńskiego Polsce. Co z

tego wynika? Moim zdaniem — to jest właśnie niepopularne — przejawia się w tym zwykła niezdolność polskiej opinii publicznej do tego, by przyjąć do wiadomości kompromis, tzn. nie-stuprocentową realizację dezyderatów samookreślenia, choćby najbardziej usprawiedliwionych pod względem narodowościowym. Sądzę, iż niezdolność ta dotyczyła szczególnie sąsiada, w dodatku mniejszego i słabszego. Bezkrzytyczne widzenie tylko własnego interesu narodowego doprowadziło do tego, że akcja na jesieni 1938 r., bezsprzecznie naprawdę zgrana z Berlinem, interpretowana jest tylko jako „naprawienie bezprawia z 1920 r.” Nikt nie miał w zasadzie pretensji o to, że na Opolszczyźnie zostały setki tysięcy naprawdę autochtonicznych Polaków, prawda? Ale fakt, że tutaj została o wiele mniejsza liczba Polaków, z których wielka część była elementem napływowym z ostatnich dziesięcioleci, był uważany za krzywdę zupełnie biblijnych rozmiarów, wymagającą stałego pamiętania, itd. Z tego powodu doszło tutaj do obiektywnego starcia dwóch programów terytorialnych nowo stwarzających się państw. Można przecież argumentować, że Polska też nie wszędzie wytyczała swoje granice na podstawie tylko etnograficznej. W takim przypadku wyglądałaby zupełnie inaczej. Czesi, którzy w ogóle nie zaprzeczali, że tam są Polacy, wysuwali argument ekonomiczny, bardzo ważny, i jeszcze ważniejszy, zupełnie życiowej wagi, argument komunikacyjny. To była wówczas jedyna kolej łącząca Czechy ze Słowacją, która była obiektywnie zagrożona rewizjonizmem węgierskim, co pokazało się po raz pierwszy wiosną 1919 r. w walkach z węgierskimi bolszewikami.

L. BLACKWOOD: — *Jakie znaczenie mają wydarzenia 1968 roku dla stosunków polsko-czechosłowackich dzisiaj?*

J. VALENTA: — Tego u nas nikt nie ma Polakom za złe.

Z. SLADEK: — Polski udział w interwencji był wymuszony. Spotkałem ludzi, którzy mieli kontakt z polskimi jednostkami, które tutaj przybyły. Faktem jest, że ludzie patrzyli na Polaków wtedy nie jako na decydujący czy aktywny element. W zasadzie to było uważane za wymuszony obowiązek. Wydano im po prostu rozkazy.

J. VYKOUKAL: — Ciekawe jest tylko to, że kiedy rozmawiałem z ludźmi z Polski, to spotkałem się ze zdaniem, że Polacy nigdy nikogo nie skrzywdzili, nigdy nikomu niczego złego nie zrobili. Była to rozmowa ze studentami, z młodą inteligencją. Po dalszej dyskusji stwierdziłem po prostu, że nie mają pojęcia ani o polskiej polityce i wojskowej akcji w Cieszynie po Mona-

chium, ani o tym, że polski kontyngent w 1968 r. był największym po sowieckim. Oczywiście protestowałem. Przytoczyłem właśnie te dwa przykłady. Spotkałem się z wielkim zdumieniem. Nie znaczy to oczywiście, że wszyscy Polacy tak myślą, ale jest to symptom, który świadczy o specyficznym stanowisku wobec Czechów i czeskiej problematyki, a także o pewnej specyfice polskiej mentalności.

L. BLACKWOOD: — *Jak wyglądał dawniej i jak wygląda dziś czeski stereotyp Polaka? Czy istnieje jakieś iunctim między obrazem przedwojennej Polski, kraju społecznie i politycznie obcego, a strachem przed powojennymi konfliktami społeczno-politycznymi w Polsce i potem przed zarazą „solidarnościową”? Jak wpływa na ten obraz fakt, że oba społeczeństwa idą teraz podobnymi drogami?*

Z. SLADEK: — Wyobrażenie Polaka o nas to dość skomplikowana sprawa. Z dawniejszej literatury i wspomnień wynika, że zaangażowana politycznie warstwa czeskiego społeczeństwa patrzyła na Polaków z pewnym podziwem, ponieważ wciąż się buntowali, a ich duma narodowa była znacznie silniejsza i intensywniejsza niż Czechów. Wydawało się, że znacznie usilniej niż Czesi walczą o swoją tożsamość narodową. Taki obraz Polaka utrwalił się w pamięci, ale to tylko jedna strona medalu. W okresie międzywojennym na ten stereotyp wpłynęły konflikty polityczne, które zabarwiły uczucia wobec Polski. Polska występowała wtedy jako rywal i budziła poczucie zagrożenia. Jeżeli spojrzymy na to dzisiaj, to w ludowej świadomości Polacy uchodzą za cinkciarzy i taki obraz był w pewnym sensie oficjalnie propagowany i podkreślany. Na przykład strajki 80-go i 81-go roku: „Polacy strajkują, bo nie chce im się pracować”. To powiedzenie było bardzo silne w czeskiej świadomości, tym bardziej że oficjalnie podsycane. Czeska inteligencja patrzyła trochę inaczej: polski ruch dysydencki był dla niej wzorem. Nazwiska czołowych polskich opozycjonistów cieszyły się poszanowaniem. To utrzymuje się do dzisiaj. Jednocześnie powiedziałbym, że wśród inteligencji żywe są polska literatura i kultura, a polskie życie intelektualne jest o wiele intensywniejsze niż nasze. Myślę, że stoi na wyższym poziomie niż u nas. Tym ubliżyłbym chyba wielu Czechom, ale taki jest mój pogląd.

J. VYKOUKAL: — W latach 80-tych ten ludowy stereotyp był dla oficjalnej propagandy czechosłowackiej orężem w walce przeciwko własnym demokratycznym procesom. Mówiło się, że to co się dzieje w Polsce nie jest drogą do demokracji, ale widzi-

cie — Polacy nie są zdolni do pracy, a ta cała fala strajków i protestów przeciwko reżymowi, to jest w zasadzie negatywne. Jeżeli chcecie demokracji, to chcecie tego, co tam jest: strajków, biedy i innych ujemnych zjawisk. Myślę, że oficjalna propaganda była niestety skuteczna, a jej pozostałości pokutują w naszym stosunku do Polaków dzisiaj. Co się tyczy okresu międzywojennego, to rozważałbym to z odwrotnej strony — to znaczy jak Polacy widzą Czechów. Bardzo ciekawym przykładem jest odbiór Szwejka w Polsce. Kiedy Hulka-Lasowski przełożył „Przygody dobrego wojaka Szwejka”, powieść ta utwierdziła pewien obraz Czechów. U nas toczyły się i nadal się toczą zażarte polemiki wokół Szwejka — czy był to człowiek arcyinteligentny, który z konieczności robił z siebie głupka, czy odwrotnie, klasyczny, mały czeski chytrusek, który potrafi ciągnąć zyski i wyśliznąć się z każdej sytuacji. Niestety w świadomości Polaków zakorzenił się ten drugi, negatywny obraz Szwejka. Z tym jest związany dalszy problem, też zawarty w „Szwejku”, mianowicie stosunek Czechów i Polaków do Austrii i Rosji. Polacy nie rozumieli oporu Czechów wobec Austrii, bo austriacki zabór był dla Polaków najliberalniejszy ze wszystkich trzech. Polacy mieli tu autonomię od 1867 r. Z politycznego punktu widzenia Galicja była najlepszym krajem ze wszystkich polskich ziem dla polskiego elementu politycznego. Na odwrót zabór rosyjski i wpływy rosyjskie zawsze stanowiły w oczach Polaków to, co najgorsze. Dlatego Polacy po prostu nie pojęli, dlaczego Czesi burzą się przeciwko austriackiemu zwierzchnictwu.

J. VALENTA: — Wywiad z uczniami warszawskiego liceum, zamieszczony w 12-tym numerze *Res Publici*, numerze czechosłowackim, jest najlepszym dowodem, że obraz Czechów u Polaka, szczególnie młodego, jest w praktyce żaden. Bo opinie, że celnicy są gburami, można odnieść do wszystkich celników. Poza tym przeczytałem, że Czech lubi dobrze zjeść i wypić. Zapytuję uprzejmie, czy to jest specyfika czeska. Ta znikoma wiedza oparta jest zresztą najczęściej nie na własnej znajomości, tylko na cudzych opowiadaniach albo na kilkugodzinnej podróży pociągiem przez Czechy w drodze do Austrii albo na Węgry. Po ponad czterdziestu latach wzajemnej izolacji nie ma właściwie solidnego wzajemnego obrazu, bo nie ma go na czym oprzeć.

J. VYKOUKAL: — Wniósłbym do tego dwie korekty, dotyczące młodej generacji Polaków. Pokolenie Solidarności miało do czeskiej kultury — przeważnie dysydenckiej albo emigracyjnej — nieco inny stosunek. Musimy sobie uświadomić, że duża grupa czeskich emigracyjnych i dysydenckich pisarzy tworzyła wzory dla młodej generacji lat 80-tych. Wymienię tylko jedno nazwisko

— Kundera. Każdy młody Polak lat 80-tych musiał właściwie znać Kunderę. Druga korekta — mimo że Polacy uważają Czechów za naród, który lubi piwo i w ogóle dobrobyt, to z drugiej strony zalety wyższego poziomu życia u nas niewątpliwie oddziałują na Polaków. Przy złej sytuacji społecznej w Polsce spotkałem się z tym, że cała grupa młodych Polaków pod tym względem odnosiła się do Czechów bardzo pozytywnie. Powiedziano mi nawet: „My jesteśmy narodem, który w krytycznych sytuacjach potrafi dać z siebie wszystko, walczyć do ostatniej kropli krwi, ale najwyraźniej nie jesteśmy zdolni do tego, by w normalnych czasach normalnie żyć. Wy, Czesi, jesteście narodem kompromisowym, ale w normalnych czasach umiecie żyć, pracować i urządzić sobie życie lepiej niż my”. Nie twierdzę, że jest to pogląd wszystkich Polaków, bo musimy zawsze podchodzić ostrożnie do rzekomego poglądu narodowego i obrazu narodowego; nie wolno ferować jednoznacznych i ryczałtowych sądów.

L. BLACKWOOD: — *Czy federacja wschodnioeuropejska lub sformalizowana współpraca między obu krajami stanowi realny cel? Co historia ma do powiedzenia na ten temat?*

J. VALENTA: — Wszelkie plany federacji czy konfederacji Polski i Czechosłowacji to mrzonki, pozbawione dziś wszelkich podstaw. Z wielu względów: międzynarodowych, wewnętrznych itd. Polska np. w ogóle nie brała pod uwagę faktu, że musimy dopiero stworzyć nowy ustrój konstytucyjny dla naszej republiki. Przeważa teraz pogląd, że najważniejsza jest suwerenność republik czeskiej i słowackiej. Dopiero teraz z tego skonstruuje się wtórnie jakaś suwerenność federalna. Czy będzie to federacja albo konfederacja, na razie nie wiadomo. Ostatnio na Słowacji przeważają — może nie przeważają, ale bardzo głośno krzyczą — ci, którzy twierdzą że konfederacja jest jedynym możliwym modelem. Nie brak tam oczywiście głosów, że konfederacja to dla nich minimum — to jest źle sformułowane, ponieważ jeżeli coś jest minimum, to istnieje jakieś optimum, o czym ci ludzie na razie milczą. Ale jest to pytanie z innej beczki.

Z. SLADEK: — Oczywiście, że to jest w tym momencie cel dosyć iluzoryczny. Z drugiej strony myślę, że cel pozostaje ważny niezależnie od chwilowej sytuacji, że te małe środkowo-wschodnie europejskie narody muszą się same wydostać z nędzy. Koniec końców zarówno z politycznych jak i gospodarczych powodów współpraca byłaby bardzo pożądanym i po prostu idealnym rozwiązaniem. To nie zależy od tego, jak sytuacja przedstawia się dzisiaj. Zawsze coś przemawiało przeciwko niej i

zawsze rozbiła się o jakieś przeszkody. Wszystkie narody i państwa przyczyniały się do tego. Zgadzałem się z tym, że chwilowo rzeczywiście trudno jest się tego podejmować, ale że cel jest pożyteczny i dobry — o tym nie wątpię.

J. VALENTA: — Ja ogłosiłem w bardzo poważnym tygodniku *Přítomnost* artykuł pod tytułem „Nasz północny sąsiad” gdzie wskazuję na to, że przede wszystkim należy pogłębiać realną — nie formalną — praktyczną współpracę gospodarczą, bowiem jest to znów mrzonka, że jakiś rynek belgijski czy włoski czeka na czeskie towary. Za to nawyki konsumpcyjne Polaków są bardzo zbliżone do naszych, więc prawie 40 milionów Polaków stanowi dla nas rynek, którego nie wolno pod żadnym względem lekceważyć. Od tego należy zacząć, a nie od wielkich projektów, planów konstytucyjnych albo dyskusji o godłach i siedzibie prezydenta — czy będzie przenośna czy nie, czy będzie spędzał pół roku w Krakowie, a pół w Pradze albo Bratysławie. Ale od tych praktycznych podstaw. Do tego można z czasem dojść — i nie jest to wykluczone, ponieważ nie wierzę w zjednoczoną Europę aniołów. Jeżeli, to my z Polakami będziemy bardzo obdartymi aniołkami bez piórek. Może będzie dla nas rozsądne i wygodne połączyć się, choćby bez związkowego prezydenta. To nie najważniejsze. Ważna jest realna współpraca. Zaczniemy od ekonomicznej, do politycznej możemy dojść stopniowo. I tak do tej „zjednoczonej Europy” będziemy wchodzić jako lokatorzy zapewne biedniejsi.

J. VYKOUKAL: — Pozwolę sobie raz jeszcze przypomnieć, że w Europie istnieją dwa zasadnicze mocarstwa — Niemcy i Związek Sowiecki. Musimy sobie uświadomić, że jakkolwiek próba ze strony jednego państwa czy grupy państw, by izolować albo odtrącić niektóre inne państwa środkowoeuropejskiego obszaru, nigdy nie będzie użyteczna, bo to izolowane, odtrącone państwo będzie musiało szukać wtedy swego miejsca na podstawie znowu określonego stosunku do Niemiec i Związku Sowieckiego. I z tego musi znowu powstać sytuacja, która będzie całą sprawę zbyt komplikować. Nie twierdzę, że środkowoeuropejski obszar miałby istnieć w postaci federacji czy konfederacji, ale tenże obszar zdecydowanie winien istnieć wspólnie jako pośredni albo buforowy region między dwoma mocarstwami.

L. BLACKWOOD: — *Jak oceniacie stosunek Czechów do kwestii niemieckiej? Czy jest to punkt raczej zbieżności czy rozbieżności z Polską?*

J. VALENTA: — Stosunek do Niemców jest sprawą specyficzną i oczywiście drażliwą. Szereg posunięć nawet czynników oficjalnych ze strony czeskiej, które miały miejsce od początku bieżącego roku, nie znalazł zrozumienia po polskiej stronie. Pod tym względem ja pobratymców w Polsce doskonale rozumiem. Oczywiście jestem zdania, że należy powiedzieć przepraszam za zupełnie zbędne akty gwałtu, do których doszło podczas wysiedlania Niemców z Czechosłowacji itd., z tym że nie patrzyłbym na to moralizatorsko, ale naprawdę z pewną wyrozumiałością — nawet na przestępstwa, do których być może doszło. Jako historyk wychodzę z założenia, że nie można wydarzeń z 1945, czyli kilku tygodni czy miesięcy po sześciolletniej okupacji z całym jej barbarzyństwem, mierzyć tylko miarą i oczyma roku 1990, w zupełnie innej sytuacji. Po drugie: zdecydowanie uważam za niesłuszną interpretację wysiedleń jako zastosowanie kategorii zbiorowej winy wobec Niemców. Należy użyć innego pojęcia, np. że był to akt zbiorowej prewencyjnej obrony narodowej ze strony narodu czeskiego, który nie miał najmniejszej ochoty zaryzykować, że to co się hitlerowcom nie udało w okresie 1939-1945 — zresztą tylko dlatego, że odkładali ostateczne rozwiązanie „kwestii czeskiej” aż po zakończenie zwycięskiej wojny — uda się Niemcom w przyszłości. Dawać im okazję, aby mogli to powtórzyć jeszcze raz? Proszę bardzo, taka drastyczna ekspansja nie musi mieć zawsze cech faszystowskich. Akurat Polacy doskonale wiedzą, że np. kaiserowskie Niemcy potrafiły być dość brutalne, właśnie ze względu na swoje poczucie bezmiernej siły. A jak to było z rozstrzelaniem zakładników w Belgii w 1914 r.? Nikt wówczas nie słyszał o Hitlerze czy o faszyzmie. To wszystko po prostu było wyrazem skrajnego nacjonalizmu, patriotyzmu w zniekształconym wydaniu.

J. VYKOUKAL: — Zgadzam się z tym, że polska strona dzisiaj ma prawo skarżyć się na niektóre postawy Czechosłowacji wobec kwestii niemieckiej. Polskie reakcje są formułowane różnie: od grzecznych zarzutów — „czy nie przesadzacie” — aż po pogląd, że Czechosłowacja sprzedała Polskę Niemcom. Myślę, że trzeba uważać i poruszać się bardzo ostrożnie w tej kwestii. Skrajne poglądy po jednej i drugiej stronie nie są użyteczne, w pierwszym rzędzie dlatego, że kwestia niemiecka jest kwestią europejską. Jest kwestią niezmiernie drażliwą, nie tylko z punktu widzenia Polski czy Czechosłowacji, ale i drażliwą w stosunku do Niemiec jako przyszłego gospodarczego mocarstwa. Nie chcę przez to powiedzieć, że mielibyśmy zachowywać się posłusznie wobec Niemców, tego oczywiście nikt nie chce, bo stosunki muszą być absolutnie równe. Ale myślę, że i polska i

czechosłowacka strona powinny powstrzymać się od stwierdzeń i sądów, które mają tylko emocjonalny wydźwięk, nie są oparte na faktach i w zasadzie tylko dolewają oliwy do ognia.

Z. SLADEK: — Zarówno Polska jak Czechosłowacja mają wiele powodów, aby iść ręką w rękę wobec Niemiec, ponieważ jakakolwiek rozbieżność w postępowaniu jest bardzo niebezpieczna. Dzisiaj Niemcy wyglądają tak, ale jak będą wyglądały jutro albo za dziesięć lat, tego nikt nie wie. Interesy obu państw są po prostu zbieżne.

L. BLACKWOOD: — *Czy jest coś w polskiej drodze, czego brak tutaj? Czy Polska stanowi dla Was pod jakimś względem wzór?*

J. VYKOUKAL: — Jedną polską cechą niewątpliwie nas inspirowała. Mam na myśli zdolność całego narodu do solidarności i poświęcenia się w imię reform. Myślę, że wytrzymałość Polaków na trudności także wynika z pewnych rysów narodowej mentalności. Działo to nawet wtedy, gdy rzeczywistość — mam na myśli np. lata 80-te — nie dawała Polakom żadnej szansy. Bardzo pozytywnie oceniam fakt, że Polacy jako naród są zdolni do ofiar, aby rozwój kraju postępował w pozytywniejszym kierunku. Ta zdolność do poświęceń jest co najmniej problematyczna w Czechosłowacji.

Z. SLADEK: — W Polsce podoba mi się fakt, że w stosunku do komunizmu dla Polaków w zasadzie nie istniała i nie istnieje możliwość lawirowania czy odwrotu. Taka jednoznaczna postawa jest dla nas przykładem.

J. VALENTA: — Jednolita kiedyś Solidarność rozpadła się na dwa stronnictwa. To powinno być dla nas nauczka, bo i nas to czeka. *Občanské Forum* jest podobne do Solidarności, tzn. skupia wszystkich, od katolików do trockistów. Światopoglądy są bardzo rozbieżne. Sądzę, że powinniśmy nauczyć się od Polaków i dokonać przyszłego podziału trochę mniej dramatycznie i teatralnie, aniżeli to się stało między „dworem gdańskim” i „zamkiem warszawskim”.

L. BLACKWOOD: — *Czy wyjście z totalitaryzmu może stanowić bazę dla zbliżenia Polski i Czechosłowacji?*

J. VALENTA: — W tym sęk, że nikt nie wie, jak wychodzić z totalitaryzmu. Postępujemy metodą prób. Czy są to próby

udane, zobaczymy dopiero po pewnym czasie i poniesionych kosztach. Jeżeli chodzi o kulturę, to oczywiście dzisiaj nie wiadomo, czy w ogóle będą mogły wychodzić książki naukowe, bo sytuacja na rynku wydawniczym jest u nas równie ciężka jak w Polsce, z tym że jesteśmy o kilka miesięcy opóźnieni. Wydawnictwa nie przyjmują nowych rękopisów, bo nie zdążyły sprzedać tego, co zostało wydane. Brak funduszy to chyba największa wspólna bolączka.

Z. SLADEK: — W nowych warunkach gospodarczych kultura będzie oczywiście traktowana jak piąte koło u wozu i liczyć może tylko na jałmużnę. Upatruję jednak nadzieję we wzajemnych stosunkach między Czechami a Polakami. Polska kultura literacka i filmowa stanowi pewną wartość, która chyba z czasem ożyje. W Czechosłowacji ważny jest jeszcze jeden czynnik — fakt, że kultura dysydencka miała wielką koniunkturę. W tej chwili opozycyjny ładunek wyczerpuje się, a kiedy przeważą czyśto estetyczne kryteria, zobaczymy, co będziemy mieli sobie do powiedzenia.

J. VYKOUKAL: — Postawy wobec komunizmu opierały się na czystej negacji. Wydawało się więc, że wystarczy obalić komunizm, a zacznie się raj. Dziś okazuje się, że jest to o wiele trudniejsze i że sam upadek reżymu nie zapewnia demokracji ani dobrobytu. Jednak w dziedzinie kultury dziedzictwo komunizmu nie wydaje mi się wyłącznie negatywne. Literatura dysydencka i emigracyjna umiała jednak wyrażać zasadnicze egzystencjalne problemy, do czego oficjalna literatura nie była zdolna.

L. BLACKWOOD: — *Co powinni wiedzieć o wielonarodowej Czechosłowacji Polacy?*

J. VALENTA: — Przed wojną i Polska i Czechosłowacja były państwami wielonarodowymi. Polska jest dziś państwem jedno-narodowym, ale Czechosłowację nadal tworzą Czechi i Słowacy. Ten czynnik utrudnia kształtowanie czechosłowackiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Polska powinna brać to pod uwagę, aczkolwiek trudno ocenić, na ile odśrodkowe dążenia Słowacji są realne. Istnieje tam tzw. Słowackie Stronnictwo Narodowe, które stawia sobie za cel niepodległość Słowacji, czyli rozbięcie obecnej republiki na dwa oddzielne państwa. W słowackiej chadecji też istnieją podobne tendencje, o których sile trudno coś powiedzieć. Teoretycznie oba państwa mogłyby istnieć samodzielnie, chociaż nadal byłyby powiązane mnóstwem wzajemnych więzów, przede wszystkim gospodarczych. Ale podział Czechosłowacji spowodowałby dla obu narodów poważne problemy.

L. BLACKWOOD: — *Jak ocenia się możliwość polskiego oddziaływania na Słowaków?*

J. VALENTA: — Zależy od tego, co się rozumie przez „oddziaływanie”. Wpływy kulturalne są pod każdym względem pożądane. Na szczęście dotąd nie widać, by polska polityka jak przed wojną podjudzała słowacką opozycję i jej separatystyczne dążenia wobec Pragi. Dzisiaj problem nowego ukształtowania Czechosłowacji jako federacji albo konfederacji dwóch republik narodowych jest problemem wewnętrznym. Wielu Polaków jednak nie rozumie faktu, że jesteśmy państwem dwunarodowym.

Z. SLADEK: — Dodam jeszcze jedno: czescy historycy, na przykład, są przyzwyczajeni do tego, że w Polsce nie istnieje centralna pracownia historyczna. Pod tym względem Polska jest dosyć zdecentralizowana. Taka decentralizacja wychodzi historiografii na korzyść. Polacy powinni uświadomić sobie, że czechosłowacka historiografia też stoi na gruncie dualizmu. Słowacka historiografia ma znakomitych przedstawicieli i trzeba z nią współpracować, bo ona również pracuje w dziedzinie czechosłowackiej historii jako całości.

J. VYKOUKAL: — Kwestia słowacka jest ważną sprawą, ale może nie tak jak sprawa mniejszych, ale społecznie i politycznie znacznie bardziej doniosłych mniejszości. Myślę o Cyganach, w Polsce o jakże nielicznych Żydach. Jeśli nasze dwa państwa miałyby się nawzajem inspirować, to właśnie tolerancyjnym, sprawiedliwym i demokratycznym stosunkiem do tych nikłych mniejszości. Zagadnienie Słowacji nie może przemawiać do jednonarodowej Polski, natomiast stosunek do Cyganów i w ogóle obcych — owszem.

Praga, 28.VIII.1990

Rozmawiał Lee BLACKWOOD

Przełożyli z czeskiego Izabela Kalinowska-Blackwood i Lee Blackwood.

Dr Zdenek SLADEK — urodzony 23.III.1926. Po ukończeniu Wydziału Filozoficznego UK pracował w historycznym oddziale Czechosłowackiej Akademii Nauk. Zajmował się sowietologią i problemami gospodarczych stosunków Czechosłowacji z krajami Europy wschodniej w okresie międzywojennym. Po roku 1969 zwolniony z pracy. Kontynuował pracę i publikował w wydawnictwach zagranicznych, polskich oraz drugiego obiegu. Obecnie pracuje w Instytucie Historii Wschodniej Europy i zajmuje się gospodarczymi problemami krajów środkowoeuropejskich i tematyką sowieto-

logiczną. Oprócz tego poświęca się badaniom dziejów czechosłowackiej narodowej demokracji w okresie międzywojennym.

Jaroslav VALENTA — ur. 1930, historyk, do roku 1969 w Instytucie Historii Wschodniej Europy. W latach 1970-1989 między innymi inżynier i tłumacz techniczny; w tym okresie publikował tylko w drugim obiegu i w Polsce. Od 1990 znowu w Instytucie Historii Wschodniej Europy Czechosłowackiej Akademii Nauk. Zajmuje się najnowszymi dziejami środkowej i wschodniej Europy (zwłaszcza Polski), stosunkami międzynarodowymi, mniejszościami narodowymi.

Jiri VYKOUKAL — ur. 9.II.1961. W latach 1980-1985 student Filozoficznego Wydziału UK (studium historii). Po zakończeniu studiów w 1986 zaczął pracować w Instytucie Historii Europy Wschodniej. Zajmuje się najnowszymi dziejami Polski, specjalizując się w historiografii, myśli społecznej i politycznej oraz w problemach kryzysu społeczno-gospodarczego w powojennych polskich dziejach.

Rozmowa z Ludvikiem Vaculikiem

AURELIUSZ M. PĘDZIWIOL: — *Jak Czechosłowacja wygląda dziś, w ponad rok od „aksamitnej rewolucji”? Co się zmieniło w ludziach? Jak Pan to widzi?*

LUDVIK VACULIK: — Ja to widzę dobrze. Nic z tego, co się dzieje, z tego całego bałaganu ani mnie nie zaskakuje, ani zbyt nie deprymuje. Właściwie byłoby głupotą wyobrażać sobie, że wraz z upadkiem starego reżymu Czechosłowacja wróci do normalnego układu stosunków i do tej kultury politycznej, jaka panowała w czasach Pierwszej Republiki. Po pożarze już się nie pali, ale wszędzie pełno brudu i ruin. Tak i tutaj nie brak moralnych i politycznych ruin. Brudów też.

Mnie to wcale nie dziwi, ale ludzie niekiedy dziwią się temu, że tak pięknie, gładko i kulturalnie przebiegła ta rewolucja, że aż mówiło się o niej „aksamitna”. Ja tego słowa zresztą nie lubię, to głupota, mnie się ono nie podoba. No i teraz nagle pełno takich komplikacji i konfliktów. A przecież to bardzo łatwo wytłumaczyć. Otóż ta tak zwana rewolucja była zrobiona rękami i głowami ludzi, którzy byli do niej dobrze przygotowani, których ten miniony reżym właściwie wyszukał. Takich lepszych ludzi, którzy mieli czas i wolę, i charakter, aby coś zdzia-

łać, przeforsować, wziąć sprawy w swoje ręce i je realizować. Ale to, co realizowali, było otwieraniem drogi dla wszystkich. No i teraz wszyscy się na tę drogę wybrali i już nią idą. A są tacy, jacy są. I nad tym nie panuje już ani pan prezydent Havel, ani pan Pithart, ani inni... Oni mogą powiedzieć tylko tyle, co wszyscy pozostali, a są zagłuszani, głośno przekrzykiwani...

Ale ja to widzę jako taki proces oczyszczający, który jakiś czas będzie trwać.

A.M.P.: — *Nie podoba się Panu słowo „aksamitna”... Czy chce Pan powiedzieć, że to nie tylko zasługa tych, którzy tę rewolucję robili, że była ona „aksamitna”?*

L.V.: — Naturalnie tak. To ciekawe, jest pan pierwszym, który to mówi. O sposobie przewrotu nie tyle decyduje ten, kto go organizuje, co ten, kto stawia oópr. Oni byli do tego swojego upadku doskonale przygotowani, po prostu wiedzieli, że każdy opór jest bezsensowny. Gdyby nie byli dość rozumni, to na pewno uczyniliby coś, co by poprowadziło ku „rumuńskiej drodze”.

Przygotowani byli wydarzeniami wokół, poczynając naturalnie od Polski i Węgier. A ostatnią raną dla nich było zburzenie muru berlińskiego. Od tej pory stało się jasne, że jakkolwiek próba powstrzymania rozwoju wypadków byłaby samobójstwem.

Podobnie jak w fizyce wektory sił są rezultatem kilku składowych, tak i w polityce każdy proces jest rezultatem co najmniej dwóch składowych. Myślę, że trzeba to umieć właściwie wywartościować.

A.M.P.: — *Po czerwcowych wyborach parlamentarnych zdawało się, że tym państwem kierują i kierować będą ci ludzie, którzy dokonali rewolucji. Nie tak jak w NRD, nie tak jak w Rumunii czy Bułgarii. Teraz jednak coś zaczyna się zmieniać. Najlepszy przykład, to los Forum Obywatelskiego. Czyżby i w Czechosłowacji nadszedł czas, kiedy ci, którzy tak długo o nią walczyli, zostaną odsunięci?*

L.V.: — Może się stać, że zostaną odsunięci, jeśli nie uda im się obronić swych poglądów. Może się okazać, że są inni ludzie, inne osobistości, bo tych, o których pan mówi, nie ma wielu. Ich nie było dość, żeby dokonać wszystkiego. Tak że i to byłoby czymś całkiem naturalnym.

A.M.P.: — *Niedawno był tu, w Wiedniu, Adam Michnik. Miał odczyt w Ratuszu, a mówił między innymi i o tym, że wszystkie*

zmiany przebiegały dokładnie odwrotnie, niż to sobie ludzie demokratycznej opozycji wyobrażali. Najpierw miał być rynek i ten wolny rynek miał rozbić totalitarne struktury, a to w końcu przyniosłoby wolność. Tymczasem najpierw „przyszła” wolność, a teraz okazuje się, że wprowadzenie rynku jest największym problemem...

L.V.: — Te wyobrażenia zdają mi się dość naiwne. To by tak mogło przebiec, gdyby oni, ci co tak to sobie wyobrażali, wzięli wszystko w autokratyczny sposób w swoje ręce i przeprowadzili reformę z góry. Ale kiedy chce pan pociśnąć kogoś, na przykład tę starą policję, to musi już pan wezwać tak zwaną „ulicę”, napęlić place, alarmować dziennikarzy. Czyli w oka mgnieniu otworzyć tę wolność. Ale kiedy pan tę wolność otworzy, to już nigdy nie zamknie jej pan z powrotem, już w ogóle nie będzie miał pan wpływu na to, w jakim kierunku ona pójdzie. To są żywiołowe procesy, w których nie decyduje to, co ktoś w danej chwili uczyni, o ile nie zrobi jakiegoś wielkiego błędu.

Najpożyteczniejsze byłoby zastanowienie się, co będzie dalej. Trzeba mieć przygotowane wyobrażenia i plany, ludzi i siły. Niech się dzieje cokolwiek — przecież będą dalsze wybory. I to, co dziś poznaliśmy jako błąd, brak, da się naprawić, gdy znajdzie się dość odpowiednich kandydatów, którzy dostaną się do przyszłych parlamentów.

A.M.P.: — Rozumiem więc, że mimo iż sam początek tego, co się dziś dzieje w Czechosłowacji, był dla Pana zaskoczeniem — chyba się nie mylę...

L.V.: — Tak, nie oczekiwałem, że to się zmieni.

A.M.P.: — ...to fakt, że to tak przebiega, jak przebiega, zaskoczeniem już nie jest.

L.V.: — Nie, nie! Mógłbym odszukać w swych felietonach taki, w którym pisałem, że aż się boję tej wolności. Bo gdy przyjdzie wolność, to najgłośniejsze i najmocniejsze chwyci się jej ta głupota, ten targ, komercja, konsumpcja... A najgorsze będzie, że przeciw temu nie da się nijak walczyć — bo to właśnie będzie wolność.

A.M.P.: — Powiedział Pan: „głupota”. Co miał Pan na myśli?

L.V.: — Bardzo powierzchowne, bardzo prymitywne, krótkowzroczne postępowanie ludzi, którzy w ogóle nie zastanawiają się nad sprawami wychodzącymi poza nich samych, czy też poza

dzień dzisiejszy. To oni na przykład mówią, że rząd podwyższa ceny żywności. A to oczywiście głupota, bo rząd pokazuje jedynie, jak drogą produkcję żywności wprowadzili komuniści. Mam też na myśli tendencje rasistowskie, przeciw Cyganom... konflikty między Czechami i Słowakami... To jest po prostu krótkowzroczne myślenie, bezmyślność i prymitywizm.

A.M.P.: — *A ma to krótkowzroczne myślenie przyszłość w Czechosłowacji?*

L.V.: — Ma. Gdyby doszło do kryzysu pewnego stopnia i jakimś obrotom demagogowi udało się zgromadzić dostatecznie wielki tłum na jakimś placu i gdyby dał on tym ludziom rozkaz, aby poszli i wyłamali bramę Pałacu Zimowego, to tak by się mogło też stać.

A.M.P.: — *Czy fenomen Tymińskiego — Pańskim zdaniem — to wcale nie polska specjalność?*

L.V.: — Nie. Myślę, że to jest po prostu ludzkie. To jest wszędzie.

A.M.P.: — *Pan nie jest tym człowiekiem, z którym należałoby mówić o rynku, ale jest Pan jak najbardziej odpowiednim partnerem do rozmowy o kulturze. Ale to właśnie rynek będzie dyktować warunki kulturze. Jak Pan sądzi, czy w tej nowej sytuacji kultura ma szansę, w Czechosłowacji, we Wschodniej Europie?*

L.V.: — Ma takie szanse, jakie sama sobie stworzy i jakie jej stworzą ludzie. Najpierw trzeba wytworzyć w systemie prawnym warunki takie, które będą się z kulturą liczyć. Gdyśmy tylko przyjęli, że kultura nie ma być rządzona przez państwo, że ma zostać oswobodzona od państwowego nadzoru, to nie możemy jednocześnie chcieć, by jej państwo płaciło. Na pewno więc dojdzie do redukcji tych wszystkich poczynań. Nie będzie tylu teatrów, niektóre znikną. Nie będzie tylu gazet i czasopism, niektóre znikną. Ale silny przetrwa. On nie musi być ekonomicznie silny. Moralnie silny i mądry. Ten, który znajdzie sposób, jak to robić, jak się przebić. Myślę, że skoro powiodło się to w innych krajach tak zwanego wolnego rynku, to uda się i u nas.

A.M.P.: — *W krajach wolnego rynku państwo też płaci pieniądze na kulturę...*

L.V.: — Płaci, oczywiście. Ale musi mieć z czego, musi na to zarobić. Musi mieć dostatecznie silny budżet, aby można było wymagać tego procenta na kulturę.

A.M.P.: — Czyli teraz, w tej trudnej, nieraz krytycznej sytuacji ekonomicznej, nie należy wymagać od państwa żadnych dodatkowych pieniędzy na kulturę?

L.V.: — Ależ proszę pana, przecież państwo nie będzie płacić autorom za ich brak sukcesów!

Tak więc autor napisze książkę, która dla wydawcy jest interesująca ekonomicznie, albo i nie. Kiedy ten wydawca widzi, że ta książka będzie mieć czytelników, to ją wyda. Kiedy wydawca widzi, że książka nie będzie mieć czytelników, że na niej straci — ale jest dobra, tylko czytelnicy są głupi, niedojrzali — to ten wydawca uczyni to, co czynił wcześniej, za Pierwszej Republiki. Na tę „stratną” książkę zarobi jakąś inną. To się już pojawia...

A.M.P.: — Jeśli chodzi o książki, to niewątpliwie ma Pan rację: z nimi można tak uczynić. Trudniej już w przypadku teatru, czy filharmonii, czy w ogóle muzyki poważnej. To nie jest już takie proste...

L.V.: — To nie jest już takie proste, ale da się uprościć właśnie państwową pomocą. Bo państwo powinno uwzględnić w swym budżecie filharmonie, wielkie, reprezentacyjne teatry — to, co tworzy oblicze społeczności i państwa. Tego kulturalne państwo nie odważy się pominąć, zaniedbać.

A.M.P.: — Czyli nie domaga się Pan jednak całkowitego odgrodzenia państwa od kultury?

L.V.: — Oczywiście, że nie. Minister kultury Milan Uhde powiedział, że pieniędzy na kulturę nie będzie mniej, niż było w ubiegłym roku. Ale za te pieniądze nie będzie można już tyle zdziałać.

A.M.P.: — Te pieniądze znaczą dziś mniej?

L.V.: — O to właśnie chodzi.

A.M.P.: — Przez długie lata był Pan wydawcą. Ile wydał Pan książek w Wydawnictwie Rygiel (Edice Petlice)?

L.V.: — To nie było wydawnictwo, lecz raczej przedsięwzięcie mające na celu informację i fizyczne utrzymanie podstaw literatury. To znaczy, żeby rękopisy się zachowały, powieliły i przetrwały nieprzychylny czas w większej liczbie egzemplarzy. Takich edycji było więcej. Ta, którą ja organizowałem, nazywała się „Rygiel”, a było w niej ponad czterysta tomów.

Wydawnictwo to nie było, bo tego nikt nie redagował. Tego nie miał kto redagować. Za jakość rękopisu odpowiadał sam autor. Jakość była więc bardzo różna, a i liczba egzemplarzy też była bardzo różna. Pewne rzeczy się przepisywało tylko raz, tak że istniało tego 11 egzemplarzy, inne zaś, na przykład Seyferta, tylekroć, że łączna liczba tych kopii równałaby się przyzwoitemu nakładowi w jakimś wydawnictwie. To były tysiące egzemplarzy.

A.M.P.: — W październiku 1989 roku dzwoniłem z Kolonii do pana Vaclava Havla, który dostał wtedy Pokojową Nagrodę Księgarzy Niemieckich, ale na targi książki do Frankfurtu nie mógł przyjechać, bo go ówczesni władcy SCRS nie wypuścili. Pan Havel przeznaczył pieniądze z tej nagrody na wydawnictwo Atlantis, które miało być legalne i miało wydawać zakazane książki. Gdy więc zapytałem, czy jest to realne — w tamtej sytuacji, to było przed listopadem — pan Havel odpowiedział, że to taka mała utopia, ale trzeba być przygotowanym. Dziś Atlantis istnieje, wydaje książki, dziś już nie zakazane. Czy to wydawnictwo jest kontynuacją owych niezależnych, podziemnych przedsięwzięć, jak właśnie Rygiel?

L.V.: — To była próba wykorzystania nieco zliberalizowanej wówczas ustawy o spółdzielniach, próba — myślę — bezna dziejna, utopijna. Sądzę, że by się nie powiodła, ale byliśmy zdecydowani zrobić to legalnie. Po prostu wydawać książki w taki sposób, jak to robiło sławne wydawnictwo spółdzielcze Družstevní prace w czasach Pierwszej Republiki. Tamto wydawnictwo było własnością swych członków, w większości pisarzy.

No i tak się stało. Atlantis to spółdzielcze wydawnictwo, którego pierwotnym celem było wydawanie tych autorów, których wydawać nie było wolno — aby się szybko wypełniła ta luka. To działa. Jestem jego członkiem. Czy wydawnictwo funkcjonuje właściwie w sensie ekonomicznym, tego jeszcze nie wiem, o tym dowiemy się na dorocznym walnym zgromadzeniu. Ale to będzie podlegać prawom ekonomii, jak wszystko inne. Czyli książkami, które będą się dobrze sprzedawać, trzeba będzie finansować te mniej dochodowe. Bo to nie ma przynosić zysku, lecz być sposobem, jak wnieść coś nowego do kultury.

A.M.P.: — Czy była to jedyna próba tego typu?

L.V.: — O ile mi wiadomo, tak. Jako próba przeforsowania powstania takiego wydawnictwa na drodze prawnej. Były oczywiście też wydawnictwa, które działały w podziemiu i nie próbowały nawet przechodzić do legalności. Pod tym względem wyglądało to inaczej, niż w Polsce.

A.M.P.: — W Polsce przejście do legalności też zaczęło się dość późno...

L.V.: — Tak, ale w Polsce było to robione w rozmiarach i techniką, która dla nas była niewyobrażalna.

A.M.P.: — A jak wyglądała sytuacja na innych obszarach niezależnej kultury w dniach listopadowego przełomu, w niezależnej plastyce, muzyce — istniały przecież i takie zjawiska?

L.V.: — W tej kwestii nie należę do najlepiej poinformowanych źródeł. Wiem tylko, że artyści dawno już mieli dość znaczną swobodę. W ostatnich latach powstały grupy twórców, którzy wspólnie wystawiali, czy też wydawali swe dzieła, a gdzie już praktycznie nie było widać po prostu żadnych ingerencji cenzury, żadnego przymusu. Cenzurze przeszkadzały raczej konkretne osoby, niż głoszone idee.

Jeśli chodzi o muzykę, to tego w ogóle nie rozumiem. Tam też istniały zakazane osoby. O muzyce popularnej nie wiem zupełnie nic...

Film? Na palcach można policzyć te dzieła, których autorom udało się obejść lub przebić przez cenzurę. Najgorsza była telewizja, to było najgorsze, na najgorszym poziomie...

Małe teatry istniały już od kilku lat, zawsze niezwykle interesujące. Tolerowane, zakazywane, tolerowane, zakazywane... Rozpadały się i znów powstawały, pod inną nazwą...

Ten listopad był między innymi przygotowany właśnie tymi wielorakimi działaniami we wszystkich sferach...

A.M.P.: — A środki masowego przekazu? Tu też nastąpiły wielkie zmiany od 17 listopada. Czy dziś ich pejzaż przypomina to, co można oglądać na Zachodzie?

L.V.: — Nie wiem, nie mam w tej kwestii żadnego zdania. Czasopism jest dość, są najrozmaitsze. Ich poziom? Ja bym powiedział, że dobrych dziennikarzy jest znacznie mniej. Mnie się wydaje, że czasopism jest za dużo.

A.M.P.: — Ale czy jest co czytać?

L.V.: — No właśnie! Ludzie czytają dziś raczej gazety i czasopisma, niż książki. Bo wciąż jest to bardziej zajmujące, niż jakieś wymyślone historie.

Dla mnie też.

A.M.P.: — Czy mógłby Pan nazwać kilka najważniejszych tytułów?

L.V.: — Nie będę wymieniał gazet poszczególnych partii politycznych — każda ma jakąś. Ja sam, choć nie jestem członkiem redakcji, jestem autorem *Literárnich novin*, które są częścią *Lidových novin*. Poza tym za najważniejszy uważam *Respekt*. To są pisma polityczne. Dalej mamy czasopisma kulturalne czy też kulturalno-polityczne. Tych — to zadziwiająco — nie ma zbyt wiele. Właściwie nie powstało żadne takie oficjalne pismo, które gromadziłoby to, co najlepsze z literatury. Inaczej na Słowacji. Tam jest ich kilka. Są *Slovenské pohľady*, jest *Romboid*. Między nimi jest też czasopismo młodych, które dwa lata działało w podziemiu. Nazywa się *Fragment K*. Wydają to młodzi Słowacy, a wyróżnia się tym, że zajmuje się również literaturą czeską. To jest właściwie jedyne czeskosłowackie czasopismo kulturalne, ten *Fragment K*...

A.M.P.: — „Czechosłowackie” w tym sensie, że czeskie i słowackie?

L.V.: — Tak, tak, że po prostu łączy te poglądy.

W Czechach to wszystko się bardzo rozproszyło, podczas gdy na Słowacji istnieją dwa główne prądy: kierunek *Kulturneho života* oraz *Literárneho týždenníku*.

Tego u nas nie mamy. U nas ma pan te *Lidove* i *Literární noviny*, ma pan *Tvorbu* i ma pan *Tvar*. Ale to nie są żadne poglądy polityczne. To jest zgromadzenie ludzi... *Tvorba* to pozostałość po komunistach, ale nie wiem nawet, kto tam jest. A *Tvar* jest dziedzicem byłego pisma oficjalnego związku pisarzy. Ale to nie jest ideowe stanowisko, tylko stanowisko grupy ludzi.

A.M.P.: — Czyli krajobraz jeszcze nie dokończony...

L.V.: — ...jeśli chodzi o czasopisma kulturalne. Bo takich do poczytania w pociągu, czy autobusie jest dość. A w końcu przybyło nam wiele czasopism do czytania pod stołem.

A.M.P.: — ?

L.V.: — No, obrazki...

A.M.P.: — *Ach, tak... Ale nie wspomniał Pan o takich czasopismach, jak Svědectví, Listy...*

L.V.: — Bo myślałem o tym, co powstaje, co się tutaj tworzy. Te pisma, które mają swoją tradycję, a które jedynie się prześcięły, to oczywiście istnieją. Ale powiedziałbym, że nie mają już tylu czytelników, bo nie są tak emocjonowane, nie są takie poruszone. Są poważne, bardziej zamyślane i nie reagują tak w oka mgnieniu na emocje ludzi.

A.M.P.: — *A media elektroniczne? O telewizji sprzed listopada mówił Pan, że była najstraszniejsza...*

L.V.: — Myślę sobie, że nadal nie jest zbyt dobra. Najlepsza jest, dopóki zajmuje się wydarzeniami.

A.M.P.: — *Czas kończyć tę rozmowę. Wiem, że nikt nie jest prorokiem we własnym domu, a do tego jeszcze doświadczyłem rozmawiając już kilkakrotnie z Panem, że jest Pan wyjątkowo kiepskim prorokiem. Chciałbym jednak zapytać, jak widzi Pan przyszłość swego kraju?*

L.V.: — Na to przecież nie ma odpowiedzi! Ja się o to nie martwię. Co mi z tego?

A.M.P.: — *Ale jest Pan optymistą?*

L.V.: — Tak.

A.M.P.: — *A czy ludzie, których Pan spotyka, też są optymistami?*

L.V.: — Tego nie wiem.

A.M.P.: — *Pan z nimi przecież rozmawia!*

L.V.: — Każdy mówi co innego.

A.M.P.: — *Czy rozmowy dotyczą przede wszystkim polityki?*

L.V.: — Tak, bo wszystkie inne sprawy są tak banalne, że można je załatwić w dwóch zdaniach.

A.M.P.: — *Dobrze będzie, gdy będziemy się kiedyś mniej zajmować polityką — a może jest już dobrze?*

L.V.: — Kiedy wszystko jest w porządku, człowiek nie powinien zderzać się z polityką na każdym kroku i wszędzie się o nią potykać.

A.M.P.: — *Dziękuję Panu bardzo za tę rozmowę, życzę sukcesów i wszystkiego dobrego.*

Wiedeń, 5.3.1991

Rozmawiał AURELIUSZ M. PĘDZIWIOL

Ludvik Vaculik (ur. 1926) jest niewątpliwie jednym z najważniejszych przedstawicieli literatury czeskiej. Debiutował pod koniec lat pięćdziesiątych, znany stał się dzięki powieściom *Ruchliwy dzień* (*Rušný den*, 1963) i *Siekiera* (*Sekyra*, 1966). Na słynnym kongresie pisarzy w czerwcu 1967 jego głos należał do najgłośniejszych protestów przeciw cenzurze. Od roku 1965 należał do redakcji *Literarních Novin*, później *Literarních Listův*. Tam właśnie opublikował w czasie „praskiej wiosny” pamiętny *Manifest 2000 słów*, który spotkał się z wyjątkowo wścieklą reakcją Kremla i posłużył jako jeden z pretekstów inwazji w sierpniu '68 roku. Przed kilku laty zapytałem pisarza, czy nie postąpiłby inaczej, gdyby mógł przewidzieć bieg wypadków. Odpowiedział mi wówczas, że właściwie wstydzi się trochę „tego kawałka idealizmu” ale nie ująłby z niego ani słowa. Wtedy pisał to przecież nie tylko we własnym imieniu, ale i wielu innych.

W 1969 roku prasy władcy zastosowali wobec Vaculika, jak i wielu innych, *Berufsverbot*. Od tego czasu mógł więc publikować tylko nielegalnie, czego się podjął już w roku następnym inicjując swymi *Swinkami morskimi* (*Mročata*) Wydawnictwo Rygiel (*Edice Petlice*), w którym pod jego patronatem ukazało się przez następne dwa dziesięciolecia ponad czterysta pozycji. Ostatnią jego książką jest *Sennik czeski*, (*Ceski snar*), który ukazał się — już legalnie — przed kilku miesiącami w wydawnictwie Atlantis.

Ludvik Vaculik nie pełni dziś żadnych politycznych funkcji, co nie znaczy, że go nie widać na czeskiej scenie. Przeważnie w roli wtykającego kij w mrowisko.

A.M.P.

Wspólnota mniejszości

(Rozmowa z przedstawicielami ruchu politycznego mniejszości narodowych w Czechosłowacji „Wspólnota” — Stanisławem Gawlikiem i Edwinem Macurą)

BOGUSŁAW BAKUŁA: — *Przed rokiem 1989 jedynym sposobem wyrażania dążeń mniejszości narodowych w Czechosłowacji było działanie w związkach kulturalnych i oświatowych. Po listopadowym przełomie sytuacja uległa zmianie o tyle, że formalnie nie krępuje się aktywności ludzi. Mogą zakładać różne partie i stowarzyszenia. Jednocześnie szybko narastają konflikty różnych mniejszości etnicznych z dominującymi większościami — czeską i słowacką. Czy to właśnie było powodem utworzenia „Wspólnoty”, ruchu politycznego mniejszości narodowych?*

STANISŁAW GAWLIK: — W poprzednim okresie jedyną możliwością zorganizowania polskiej społeczności na Zaolziu i poza nim, w celu zachowania jej tożsamości, był Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Po siedemnastym listopada społeczeństwo, dotychczas pozornie monolityczne, natychmiast podzieliło się, opartą na rozmaitych partiach. Rozpoczął się nowy okres w życiu politycznym i dotyczyło to również Polaków. Powstała polska sekcja Forum Obywatelskiego, z którą wielu z nas, działaczy PZKO, ściśle współpracowało. Lecz gdy przekonaliśmy się, że Forum kieruje sprawy narodowościowe w tę stronę, w którą zmierzali rządzący poprzednio komuniści, a więc — protekcyjność, sterowanie z góry, wywoływanie antagonizmów, kontynuowanie polityki asymilacyjnej — zaczęliśmy zastanawiać się nad utworzeniem ruchu reprezentującego nasze aspiracje i nie sterowanego z zewnątrz. Podobnie zareagowali Węgrzy, Ukraińcy, Niemcy. Zresztą, w globalnej, państwowej polityce Forum sprawy mniejszości przeszkadzały. Słusznie więc, że ludzie zainteresowani własnym losem wzięli swoje sprawy we własne ręce.

B.B.: — *Kto był inicjatorem powołania „Wspólnoty”?*

S.G.: — Na terenie Zaolzia grupę inicjatywną utworzyło kilka osób wywodzących się z PZKO — Edwin Macura, Władysław Smugała, Władysław Niedoba i ja. Pojechaliśmy do Węgry na

Słowację omówić z nimi te sprawy. Wysunęliśmy ideę powołania wspólnego ruchu politycznego. Byliśmy przeciwni tworzeniu partii narodowych. Chodziło o ruch polityczny w stylu zachodnio-europejskim, odwołujący się zwłaszcza do międzynarodowych konwencji o prawach człowieka, umiejscowiający ludzi o różnych przekonaniach pod hasłem większych praw dla mniejszości narodowych. Żadnych separatyzmów i szowinizmów, działanie w obrębie prawa, które mieliśmy także ambicje kształtować. Doszło do kongresu założycielskiego w styczniu 1990 roku. Większość delegatów stanowili Węgrzy. Polaków przybyło dwudziestu. Niemców tylko dwóch. Przewodniczącym „Wspólnoty” został Węgier, mnie wybrano wiceprzewodniczącym.

B.B.: — *Jak wygląda struktura organizacyjna „Wspólnoty”?*

S.G.: — Jest ona regionalna. Na Słowacji mamy regiony węgierski i ukraiński, a w Czechach — polski i niemiecki. Po kongresie zarejestrowaliśmy „Wspólnotę” w obu republikach. Taki był wymóg władz, które chciały nasz ruch kontrolować, a więc nie pozwoliły na zarejestrowanie go tylko w jednej republice. Byliśmy wówczas jedyną partią zarejestrowaną w ten sposób. Ta manipulacja władz wyszła nam na dobre. „Wspólnota” stała się, mimo przygniatającej przewagi Węgrów w jej strukturach, ruchem ogólnofederalnym. Tu opowiem Panu ciekawostkę. Wymóg rejestracji dotyczy wszystkich ugrupowań — tak stanowi prawo. Ale partia rządząca — Forum Obywatelskie — w ogóle nie jest zarejestrowana. Tworzy rząd, ma przewagę w parlamentach, ale w zasadzie działa poza wymogami obowiązującego prawa. Działa na zasadzie konsensusu. Na razie nikt z tego nie robi sprawy, niewielu ludzi zresztą o tym wie. Ale co się stanie, jeśli pewnego dnia Forum utraci władzę?

B.B.: — *Ilu ludzi w Czechosłowacji popiera „Wspólnotę”?*

S.G.: — Żeby zarejestrować nasz ruch, musieliśmy uzyskać minimalnie tysiąc podpisów. By uczestniczyć w wyborach parlamentarnych, trzeba było zebrać co najmniej dziesięć tysięcy. Nie mieliśmy z tym kłopotu. Wejście do parlamentu federalnego, czyli uzyskanie ponad 5 % głosów elektoratu, było naszym ogromnym sukcesem. W obu republikach zdobyliśmy 8,6 %, a to oznacza, że nasz ruch poparło ponad 300 tysięcy ludzi. Polacy stanowili wśród nich zaledwie kilka procent.

B.B.: — *Czy poparcie waszego ruchu przez tak liczny elektorat oznacza, że dotychczas nie respektowano praw mniejszości?*

S.G.: — Naszym zdaniem nie w pełni je respektowano i konsekwentnie naruszano. Na przykład polityka pełzającej asymilacji, realizowana przez likwidowanie jednostek administracyjnych z przewagą mniejszości. Automatycznie łączyło się to z likwidowaniem małych szkół, podstawy pracy oświatowej. Z byłego powiatu Czeski Cieszyn — gdzie Polacy stanowili 45 % ludności — zrobiono dwa, celowo zmniejszając naszą liczebność, rozbijając nas administracyjnie. A potem przyszły dalsze kroki. Drastycznie zmniejszyła się liczba dzieci w polskich szkołach podstawowych. Tworzenie tak zwanych szkół zbiorczych, likwidowanie polskich przedszkoli, zakaz budowania domów w małych miejscowościach zmuszający ludzi do migracji — to były elementy polityki państwa zmierzającego do odpolonizowania Zaolzia. Do dzisiaj nic się w tej kwestii nie zmieniło. To był jeden z impulsów skłaniających nas do utworzenia „Wspólnoty”.

B.B.: — *Czy w ramach „Wspólnoty” istniała umowa dotycząca ilości posłów-Polaków?*

S.G.: — Oczywiście tak. Zdecydowaliśmy, że będziemy wysuwać polskich kandydatów na Słowacji, tam, gdzie jest wyraźna przewaga Węgrów. Oni w zasadzie tworzyli nasz elektorat. Nasze działania na Zaolziu ograniczał wymóg uzyskania przez jednego posła 70 tysięcy głosów. Polska mniejszość w całości nie jest tak liczna. Umówiliśmy się z Węgrami, że jeśli „Wspólnotę” poprze ponad 5 % wyborców, wówczas Polacy otrzymają jeden mandat, jeśli 8 % — to dwa mandaty. Otrzymaliśmy jako ruch ponad 8 %, ale posłem został tylko Władysław Niedoba, mieszkający w Cieszynie. Ja zrezygnowałem na rzecz przedstawiciela mniejszości ukraińskiej. Osobiste ambicje należało odłożyć na później. Chęć podkreślić, że prowadziliśmy pozytywną kampanię wyborczą. Bez personalnych ataków, wyciągania brudnych spraw. Sądzę, że dzięki temu „Wspólnota” uzyskała uznanie i otrzymała poparcie. Przyznam szczerze, iż jeden poseł polski to dla nas trochę mało, ale taka sytuacja odzwierciedla aktualny układ sił w ruchu. Węgrzy są jego lokomotywą. „Wspólnotę” po wyborach parlamentarnych, w czerwcu 1990 roku, reprezentuje więc dwunastu posłów, w tym jeden Polak.

(Do rozmowy przyłącza się Edwin Macura, na Zaolziu znany również jako aktywny działacz w Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym).

EDWIN MACURA: — Chcę nawiązać do tego, o czym mówił Stanisław Gawlik. Na Śląsku Cieszyńskim wycofaliśmy naszych

kandydatów, nie chcąc psuć szyków Polakom kandydującym z mandatu innych partii. Ostatecznie zakładana przez nas jedność polskiej mniejszości okazała się iluzją i my na tym złudzeniu przegraliśmy. Ci Polacy, którzy znaleźli się w parlamencie federalnym i czeskim, a są to jeszcze trzy osoby, bardziej dbają o interes swoich partii. Nie widzę współpracy polskich posłów. Upadła też moja propozycja utworzenia polskiego klubu parlamentarnego. Nie ma i długo nie będzie polskiej grupy nacisku na politykę władz. Jako mniejszość ponosimy z tego powodu wielkie straty.

B.B.: — *Czy wzrost nacjonalizmu słowackiego i czeskiego jest zagrożeniem dla „Wspólnoty”?*

E.M.: — W czeskiej republice „Wspólnota” jest ruchem niewielkim, a więc otwarta kontrakcja większości nie wydaje się prawdopodobna. Czesi wolą zresztą takie sprawy rozstrzygać bez zbędnego hałasu. Natomiast na Słowacji atakuje się „Wspólnotę” otwarcie i bezwzględnie, na każdym kroku. Oczywiście powodem jest konflikt między mniejszością węgierską a Słowakami. I w ogóle nie bierze się pod uwagę, że istnieją tam również Polacy, Ukraińcy, Romowie. Wszyscy „obcy” są jednoznacznie Węgrami. Węgrów jest najwięcej, ponad 600 tysięcy, i dlatego mają największe problemy. Ale zagrożeniem dla ruchu politycznego takiego jak nasz nie jest wyłącznie nacjonalizm Słowaków i Czechów. Przede wszystkim jest nim obojętność małych narodowości, ich polityczna bierność. Dotyczy to Polaków, Ukraińców i innych. Bierność nie tylko w polityce, ale w życiu społecznym i kulturalnym, co znacznie ułatwia większości asymilowanie grup mniejszościowych.

S.G.: — Konflikt słowacko-węgierski podsycali przede wszystkim rządy w Budapeszcie, Bratysławie i Pradze. One to skrętnie wypominały cudze błędy i organizowały opinię dla poparcia swojej polityki, a teraz mają problem z nacjonalizmem. Chcę podkreślić, iż fakt nieodpowiadania przemocą na ucisk Słowaków jest efektem pokojowego działania „Wspólnoty”. Taka postawa Węgrów umacnia nasz ruch. Mamy świadomość, że czynne wystąpienia mogą doprowadzić do bałkanizacji całego problemu mniejszości w naszym kraju. Niebezpieczną grę prowadzi na tym polu premier Słowacji, Mecziar. Będąc w Polsce bardzo pięknie tłumaczył on sprawy narodowościowe, ale nie uczynił niczego by chociaż uciszyć szalejącą w tym samym czasie antypolską propagandę. Mecziar wysunął projekt ustawy o języku słowackim, on ją wymyślił. A następnie kwestię jej przestrzegania oddał w ręce

organizacji pozarządowej, nacjonalistycznej Macierzy Słowackiej. Ponieważ jest to ustawa o charakterze zdecydowanie antywęgierskim — można sobie wyobrazić ciąg dalszy. Jeśli Słowacja osiągnie na tym polu sukces, skorzystają z tego Czesi. Niedługo wprowadzą podobną ustawę u siebie, ale po cichu. Jej skutki dla naszej mniejszości mogą być opłakane.

B.B.: — *Konflikt słowacko-węgierski jest w tej chwili poważnym ostrzeżeniem pod adresem zarówno władz jak i partii politycznych. Chciałbym zapytać o pogląd Panów na sytuację innych mniejszości, na przykład cygańskiej. Słyszysz się o wzroście napięcia między tą grupą etniczną a resztą społeczeństwa.*

E.M.: — Jest to problem niezwykle zawiśnięty z uwagi na specyfikę życia i kultury tego narodu. Obserwowałem reakcje ludzi, gdy zacząłem publicznie dyskutować o prawach Romów do własnego rozwoju kulturalnego i politycznego. Wielu z tych ludzi w ogóle nie chciało mieć niczego wspólnego z Cyganami. Mówili tak: my nie jesteśmy szowinistami, ale jeśli idzie o Cyganów to... A więc jest problem nieakceptacji i wzrastającej niechęci do nich. To wzbudziło z kolei agresywne reakcje ze strony Romów. Wybuchają konflikty między nimi a grupami skinów czy punków. Romowie utworzyli więc bojówki i w odwecie napadają na spokojnych obywateli. To potęguje antycygański szowinizm. Romowie mają aż cztery organizacje polityczne. Mają też dzięki Forum swoich przedstawicieli w parlamencie federalnym i Czeskiej Radzie Narodowej. Przy Forum istnieje Niezależna Inicjatywa Obywatelska Romów. Dwa ugrupowania współpracują z komunistami. Wydaje mi się, że organizacje polityczne nie panują nad emocjami obu stron. Romowie nie chcieli wejść do „Wspólnoty”, choć ich zapraszaliśmy i nadal zapraszamy. Być może ścisła współpraca z nimi obniżałaby szanse „Wspólnoty” w wyborach. Patrzymy jednak dalej. Nasz ruch chce działać na rzecz wygaszenia tego konfliktu, nie ukrywamy, że będzie to trudne.

B.B.: — *Przejdźmy do spraw samorządu. „Wspólnota” bierze czynny udział w wyborach komunalnych. Czy macie własną koncepcję partycypacji w samorządzie lokalnym, tu na Zaolziu?*

S.G.: — Właściwe określenie — partycypacja. „Wspólnota” nigdy nie będzie sprawowała władzy. Stąd wynika koncepcja partycypacji. W tej koncepcji najważniejszy jest obywatel. Dąży on do tego, aby o tym, kto będzie w samorządzie nie decydowały partie, lecz ludzie. Mieszkańcy gminy, którzy nie są obywatelami

państwa, ale mają stałe zameldowanie w gminie, tam żyją i pracują, płacą podatki, również powinni mieć prawo decydowania o tym, co się w jej życiu będzie działo. Na przykład Polacy z paszportami konsularnymi, Grecy, Rumuni — mieszkając tu od lat — o niczym nie mogą decydować. W zasadzie nie mają praw wyborczych. Niestety, nasz projekt nie znalazł akceptacji.

E.M.: — Każdy kij ma dwa końce. W stosunku do mniejszości silny samorząd może prowadzić politykę dla niej niekorzystną. Myślimy się już na decentralizacji zdążyli sparzyć. Jeśli idzie o polskie szkolnictwo, sprzeciwiamy się całkowitemu oddaniu go władzom gminy, chcemy żeby nadal było dotowane z funduszy resortu. Nie ma bowiem gwarancji, że w środowisku mieszanym narodowościowo uzyskamy gwarancje samorządu zapewniające dalsze istnienie naszych szkół. Z tego powodu jesteśmy jakby na rozdrożu. Popieramy ideę samorządności, ale ona może nas w praktyce zniszczyć.

B.B.: — *Jaką rolę dotąd odgrywali Polacy w tutejszym samorządzie lokalnym?*

E.M.: — Zależy jak daleko spoglądać wstecz. W czasach przedwojennych były tu gminy, które miały 90 % ludności pochodzenia polskiego. Dzisiaj w gminie Czeski Cieszyń nie posiadamy żadnej pozycji i nie sądzę, żeby tę sytuację zmieniły odbywające się dzisiaj wybory.

S.G.: — W czasach komunistycznych o wszystkim decydowała drobiazgowo opracowana zasada procentowa. Jeśli Polaków w gminie było 30 %, to tyle otrzymywali miejsc w radzie gminy. Dochodziły jeszcze dodatkowe kryteria — wiek, płeć, zawód, przynależność partyjna. Zasada typowo nomenklaturowa. Obawiam się, że ten skompromitowany mechanizm działał w większym stopniu na naszą korzyść, niż mechanizm obecnej demokracji — na aktualnym etapie jej rozwoju paraliżuje on aktywność mniejszości, która zdaje sobie sprawę, że nie ma większej szansy na współzrządzenie.

E.M.: — W naszym środowisku dominuje przekonanie, że nie należy drażnić Czechów, którzy mogą polskich kandydatów po prostu „wygłosować”. A to oznacza, że trzeba iść do wyborów razem z Forum. Z tym się nie zgadza „Wspólnota”. Wysuwamy osoby niepokorne, z dużą siłą przebicia, gotowe walczyć o sprawę naszej mniejszości. Na sukces musimy jeszcze trochę poczekać.

B.B.: — *A jak zasady partycypacji określa prawo?*

S.G.: — Nadal obowiązuje ustawa numer 144 o narodowościach, która w artykule drugim stwierdza, że w samorządach lokalnych musi być respektowana zasada proporcjonalności. Lecz w ustawie o wyborach uchylono ten artykuł. To znaczy, że dla celów politycznych, choćby utrzymania przewagi Forum, chwilowo postawiono wyżej ustawę o wyborach. Proporcjonalność została zachowana na szczeblu federalnym, ale na poziomie gmin zlikwidowano ją, co uderzyło przede wszystkim w małe partie i ruchy polityczne, pozornie zlikwidowało problem mniejszości. Natomiast wzmocniło Forum, które w Czechach staje się partią monopolistyczną.

B.B.: — *Z programu „Wspólnoty” dowiedziałem się, że proponujecie powołanie ministerstwa do spraw mniejszości narodowych. Czy jest to konkretny projekt?*

S.G.: — Projekt jest jednoznaczny, ale nie został przyjęty. Natomiast przy premierze federalnym istnieje sekretariat do spraw mniejszości. Stanowi on główną przeszkodę w naszych staraniach. Działają tam jeszcze ludzie z głębokich czasów komunistycznych, wyłączenie Czesi i Słowacy, i to wymownie świadczy o roli tej instytucji. Dominuje zasada — jak najmniej robić dla mniejszości. Dopóki nie zwalczymy tej przeszkody, wszystkie nasze projekty pozostaną na papierze.

B.B.: — *Jaki jest, w kontekście tych problemów, stosunek „Wspólnoty” do polityki Havla?*

S.G.: — Wolalbym mówić o polityce wewnętrznej. Kiedy Havel jeszcze nie był prezydentem, staraliśmy się — grupa polskich przedstawicieli — rozmawiać z nim o sprawach polskich. Nie przyjął nas, ale podpisał nam deklarację, że zawsze będzie bronił praw mniejszości. My z kolei przekazaliśmy dokument, w którym oświadczyliśmy, że będziemy popierać jego kandydaturę na prezydenta. I poparliśmy go całym sercem. Ale jak dotychczas prezydent Havel omijał sprawy mniejszości w swoich wystąpieniach publicznych. Potwierdziły się moje przypuszczenia, że w tej chwili nie jest mu to na rękę. Jego politykę wobec mniejszości rozumiem w ten sposób, że obecnie, kiedy federacja z uwagi na separatyzm słowacki jest słaba, będzie on unikał wszelkich deklaracji popierających aspiracje Węgrów, Polaków czy Ukraińców.

E.M.: — Ja nie powiedziałbym, że zawiedliśmy się na Havlu. Na razie niczego właściwie dla nas nie zrobił, ale też niczego

nam nie obiecywał. Powiem tak — Havel ma doradców, którzy nie sprzyjają naszym sprawom. Inną sprawą jest fakt, że „Wspólnota” nie doszła jeszcze do punktu, w którym mogłaby zacząć konsekwentnie działać jako liczący się ruch polityczny. Nie mamy na przykład szerokiego poparcia wśród Niemców. Nieduża mniejszość żydowska też ma swoje odrębne interesy, grzecznie odmówiono nam współpracy. Mam przekonanie, że gdyby udało się nam zmobilizować wszystkie mniejszości, to wówczas moglibyśmy występować bardziej otwarcie i stanowczo. Mam nadzieję, że do tego kiedyś dojdzie.

B.B.: — *Co Panowie sądzą o czeskich inicjatywach w rodzaju praskiego pisma Średni Evropa czy brneńskiego Proglasu? Skupieni wokół nich ludzie głoszą hasło jedności Europy Środkowej. Naczelny redaktor Średni Evropa w jednym z wywiadów powiedział: „Mniejszości i małe narody widzę jako nośniki idei środkowoeuropejskiej, która w swojej istocie jest ponadnarodowa”.*

S.G.: — Jako politycy reprezentujący mniejszość jesteśmy w stosunku do tych haseł ostrożni. One brzmią inaczej w ustach Czecha, niż w ustach Polaka z Zaolzia. Mogą być odmiennie rozumiane. Jako ruch polityczny zakładamy nadrzędność zasady suwerenności państwa czechosłowackiego. W programie tych pism odczytuję podtekst paneuropejski, zapewne wywiedziony z koncepcji Zbigniewa Brzezińskiego. Jeśli ich idee są ukierunkowane na obronę praw człowieka i mniejszości etnicznych, to w pełni się z nimi utożsamiamy.

B.B.: — *Czy „Wspólnota” działa na forum międzynarodowym?*

S.G.: — Nasz ruch stara się o pełne członkostwo Federacji Mniejszości Narodowych przy Radzie Europy, a więc musimy nawiązywać wiele kontaktów. W tej federacji prym wiodą Niemcy jako mniejszość narodowa żyjąca w różnych krajach. Na razie jesteśmy członkami-obserwatorami. Liczymy na to, że w przyszłym roku, na kongresie federacji w Budapeszcie, otrzymamy pełny status. Ale jeśli zabraknie w naszym ruchu większej reprezentacji Niemców, Ukraińców, ewentualnie Romów, wówczas powstaną przeszkody. Wciąż namawiamy ich do aktywności w ramach „Wspólnoty”. Ostatnio do federacji przyjęto Serbów lużyckich, Lapończyków z Norwegii, Macedończyków z Jugosławii. Z Polski jako członka rzeczywistego przyjęto tylko organizację mniejszości niemieckiej. Jeśli nasze starania powiodą się, będziemy wcześniej w Radzie Europy niż Czechosłowacja. To da nam dobrą pozycję wobec naszego rządu. I być może pozwo-

li rozszerzyć pole działania, a przede wszystkim działać skuteczniej na rzecz mniejszości niż dotychczas.

B.B.: — *Co planujecie na przyszłość?*

S.G.: — W 1991 roku zaczniemy przygotowywać się do nowych wyborów parlamentarnych. Obecna kadencja trwa tylko dwa lata. To jest perspektywa mobilizująca.

E.M.: — Zauważmy, że nasz ruch nie ma większego poparcia wśród polskiej młodzieży. Podpisuje się ona pod hasłami Forum, wychodząc zapewne z przekonania, że zagwarantuje ono prawa mniejszościom. Sytuacja jednak się zmienia i demokratycznie rządząca się większość czeska zaczyna okazywać niechęć wobec naszych aspiracji. Liczymy, że młodzież będzie coraz lepiej to rozumiała i zacznie szukać możliwości działania we „Wspólnocie”. Przyciągnięcie młodych generacji do naszego ruchu uważam za pilne zadanie. I druga sprawa: poprzez Polaków żyjących w Czechosłowacji chcemy oddziaływać na rząd polski, aby ten pozytywnie ustosunkował się do mniejszości słowackiej i czeskiej żyjącej w Polsce. Tak samo Węgrzy stowarzyszeni we „Wspólnocie” powinni wpływać na politykę rządu w Budapeszcie wobec tamtejszych Słowaków. To jest bardzo ważne z punktu widzenia przyszłości wszystkich grup narodowych. Celem „Wspólnoty” jest budowanie wzajemnego zaufania i tworzenie atmosfery współpracy w całym regionie.

B.B.: — *Dziękuję za rozmowę.*

Czeski Cieszyń, 24.11.1990

Rozmawiał Bogusław BAKUŁA
(Rozmowa autoryzowana)

O religii bez namaszczenia

Encyklika „Centesimus Annus”

Encyklika *Centesimus annus* jest trzecią encykliką na tematy społeczne obecnego papieża i ostatnią z długiej serii podobnych dokumentów, zapoczątkowanej dokładnie sto lat temu encykliką Leona XIII *Rerum Novarum*¹. Stąd tytuł tej rocznicowej encykliki. Stanowi ona zatem podsumowanie nauki społecznej Kościoła i przystosowanie jej do wymagań chwili bieżącej. Wynika z tego, że wiele jest w niej rzeczy znanych od dawna i tymi rzeczami nie będę się tu zajmował; streszczenie stuletniego dorobku Kościoła w tej dziedzinie wykraczałoby poza ramy najdłuższego artykułu. Skupię się natomiast na tym, co w niej jest nowe i co wypływa z historycznego charakteru tego dokumentu.

Uderzającą nowością jest ostatni paragraf wstępnego rozdziału encykliki. Papież stwierdza tam, że celem encykliki jest uwydatnienie żywotności zasad sformułowanych przez Leona XIII, które ze względu na powagę Urzędu Nauczycielskiego, jak powiada, mają moc wiążącą. Następnie dodaje: „Troska pasterska każe mi jednak rozważyć również niektóre zjawiska najnowszej historii... Tego rodzaju analiza nie ma jednak na celu formułowania sądów definitywnych, bowiem ze swej natury wykracza poza ścisły zakres kompetencji Magisterium”.

Tego rodzaju zastrzeżenie — o ile się orientuję — jest bez precedensu w historii uroczystych dokumentów papieskich, jakimi są encykliki. Wprawdzie encykliki nie podpadają formalnie pod kryterium papieskiej nieomyślności, ale zwłaszcza obecny papież stale utrzymuje, że także tak zwane zwyczajne nauczanie

1. Poprzednie encykliki społeczne Jana Pawła II to *Laborem exercens* (1981) i *Sollicitudo Rei Socialis* (1987). Najważniejsze encykliki społeczne poprzednich papieżów: *Rerum Novarum* Leona XIII (1891), *Quadragesimo Anno* Piusa XI (1931), *Mater et Magistra* (1961) i *Pacem in Terris* (1963) Jana XXIII oraz *Populorum Progressio* (1967) Pawła VI.

Kościół ma, jak to w powyższym cytacie określił, moc wiążącą. Natomiast tutaj swoją analizę zjawisk najnowszej historii sam określa jako nie-definitywną, czyli dyskusyjną. I chyba słusznie, bo wydarzenia tej historii są jeszcze zbyt bliskie w czasie, byśmy sobie na ostateczny ich osąd mogli pozwolić. Jeden z rozdziałów encykliki nosi tytuł „Rok 1989”. Sprawia to, że ta encyklika ma miejscami charakter nie tyle dokumentu nauczycielskiego, co zwykłego eseju inteligentnego obserwatora naszej współczesności czy najwyżej jakiegoś *exposé* rządowego w rodzaju raportu amerykańskiego prezydenta o stanie Unii.

Osią tych rozważań jest upadek komunizmu w Europie, przyczyny tego upadku i stojąca przed światem jedyna już teraz alternatywa czyli kapitalizm, choć papież wolałby określić ten system innym mianem, jak np. ekonomia przedsiębiorczości czy ekonomia rynku czy po prostu wolna ekonomia. Chodzi oczywiście o odcięcie się od złych praktyk „bezlitosnego” kapitalizmu. Ale encyklika nie proponuje żadnej „trzeciej drogi”; chodzi tylko o to, by był to kapitalizm bardziej ludzki, który za naczelną wartość uznaje człowieka i jego transcendentne przeznaczenie, a nie dobra materialne i zysk. Przyczyny upadku komunizmu widzi papież właśnie w jego pogardzie dla człowieka i w ateizmie, w podporządkowaniu osoby ludzkiej bezdusznemu systemowi i materializmowi; dopiero z tego wypływały wtórne wady komunizmu, niesprawność gospodarcza i materialna nędza. Wszystko to, sądzę, jest dla większości ludzi jak najbardziej do przyjęcia.

Wątpliwości się nasuwają, gdy papież twierdzi, że wszystko to zostało genialnie przewidziane przez Leona XIII i że *Rerum Novarum* zapoczątkowało przed stu laty proces, który za naszych dni doprowadził do tego rezultatu. Myślę, że jest w tym element złudzenia optycznego ludzi patrzących na świat z okien Watykanu. Nikt nie zaprzeczy oczywiście, że *Rerum Novarum* i nowoczesna nauka społeczna Kościoła odegrały w tym swoją rolę. Nowoczesna nauka społeczna, bo poprzedni papież aż do bezpośredniego poprzednika Leona, Piusa IX, głosił naukę radykalnie różną od tej, którą ten papież zapoczątkował. Ale ruch protestu przeciw dehumanizacji pracy ludzkiej w następstwie rewolucji przemysłowej zaczął się na długo przed *Rerum Novarum* i jednym (ale tylko jednym) jego przejawem był, czy nam się to podoba czy nie, *Manifest Komunistyczny*. Ten ruch i towarzyszący mu ferment myślowy od samego początku przybierał różne formy, jednak wszystkie określały się generycznym mianem socjalizmu. Tymczasem *Rerum Novarum*, a także o czterdzieści lat późniejsza encyklika Piusa XI *Quadragesimo Anno*, jednoznacznie potępiały wszelki socjalizm, choćby poza nazwą nie miał on nic wspólnego z „socjalizmem realnym”

czyli komunizmem. Z kolei w bieżącej encyklice znalazły się sformułowania, które zdają się utrzymywać w mocy to generalne potępienie, choć jej krytyka jest wymierzona tylko przeciw specyficznemu zwyrodnieniu socjalizmu, którym był komunizm. Ciekaw jestem, co o tym myślą autentyczni socjaliści polscy z PPS albo socjaliści niemieccy, francuscy czy brytyjscy. A przecież demokratyczny socjalizm był w dużej mierze odpowiedzialny za stopniowe ucywilizowanie pierwotnego „dzikiego” kapitalizmu, które papież Jan Paweł pochwała. Lecz byłoby bardzo trudno udowodnić że, dajmy na to, socjaliści brytyjscy dokonali tego pod wpływem encykliki *Rerum Novarum* czy *Quadragesimo Anno*. Owszem, socjalizm brytyjski *Labour Party* wyrósł z natchnień chrześcijańskich, ale były to natchnienia płynące z pulpitu protestanckich tzw. wolnych kościołów jak metodyści lub Armia Zbawienia. Na kontynencie europejskim wpływ encyklik papieskich był na pewno bardziej realny, ale i tu działały inne czynniki modyfikujące kapitalizm, przeważnie całkiem świeckiej natury. W Ameryce działały czynniki zarówno religijne (ale prawie wyłącznie protestanckie) jak i świeckie, wywodzące się z oświeceniowych ideałów ojca rewolucji amerykańskiej.

Inną uderzającą nowością encykliki *Centesimus Annus* jest uznanie *expressis verbis* wartości moralnej systemu demokratycznego. I jest to uznanie definitywne w imieniu Kościoła. Odpowiedni ustęp brzmi (CA 46): „Kościół docenia demokrację jako system, który zapewnia udział obywateli w decyzjach politycznych i gwarantuje rządzonej możliwość wyboru oraz kontrolowania własnych rządów, a także — kiedy należy to uczynić — zastępowania ich w sposób pokojowy innymi”. Papież przeciwstawia demokrację totalitaryzmowi, który jest zaprzeczeniem godności i wolności osoby ludzkiej. Wartość demokracji zatem zasadza się nie tylko na praktycznych zaletach systemu, ale ma uzasadnienie zgoła teologiczne w „transcendentnej godności osoby ludzkiej, będącej niewidzialnym obrazem Boga niewidzialnego i właśnie dlatego z samej swej natury podmiotem praw, których nikt nie może naruszać...” (44). To uzasadnienie teologiczne zawsze było w doktrynie chrześcijańskiej *implicite* zawarte i dlatego dziwić może, że formalne uznanie demokracji następuje dopiero teraz. Wprawdzie już Leon XIII zaadoptował w *Rerum Novarum* monteskiuszowski podział władzy na prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, ale o demokracji jako takiej tam też nie było mowy. W późniejszych dokumentach kościelnych powtarza się stwierdzenie, że Kościół nie opowiada się za żadną szczególną formą rządów czy systemem politycznym, czego ślad pozostał i w ostatniej encyklice w twierdzeniu, że Kościół, respektując autonomię porządku demokratycznego,

„nie ma tytułu do opowiadania się za takim czy innym rozwiązaniem instytucjonalnym czy konstytucyjnym” (47).

Z uznaniem moralnej wartości demokracji wiąże się sprawa wolności osoby ludzkiej i praw człowieka. Katolicka myśl teologiczno-społeczna poczyniła olbrzymie postępy od czasu, gdy św. Augustyn akceptował konieczność tortur sądowych w niedoskonałym ziemskim państwie, czy od *Syllabus Errorum* Piusa IX, który piętnował żądania indywidualnej wolności jako niedopuszczalną herezję. Zdawałoby się, że soborowa deklaracja o wolności religijnej, *Dignitatis Humanae Personae*, postawiła bez żadnych niejasności zasadę absolutnej wolności indywidualnego sumienia w Kościele i społeczeństwie, do tego stopnia, że nie tylko ludzie, którzy są w błędzie, ale nawet ludzie nie spełniający obowiązku poszukiwania prawdy nie mogą być tej wolności pozbawieni. Uznaje to również Jan Paweł II w omawianej encyklice, gdy pisze o „niebezpieczeństwie fanatyzmu czy fundamentalizmu ludzi, którzy w imię ideologii uważającej się za naukową albo religijną czują się uprawnieni do narzucania innym własnej koncepcji prawdy i dobra” (46). Lecz natychmiast dodaje: „prawda chrześcijańska do tej kategorii nie należy”. Sugeruje to, że chrześcijanie nie mogą być winni fanatyzmu czy fundamentalizmu, gdyż głoszą oni obiektywną prawdę, a „wolność jest w pełni dowartościowana jedynie przez przyjęcie prawdy: w świecie bez prawdy wolność traci swoją treść” (tamże). Stąd tylko krok do stwierdzenia, że ludzie którzy nie przyjmują chrześcijańskiej prawdy, nie mają prawa do wolności sumienia. Istotnie, takie stwierdzenia pojawiają się wielokrotnie w papieskim Orędziu na Światowy Dzień Pokoju z 1 stycznia 1991 r., które w tym roku właśnie tej prawdzie było poświęcone. Obok cytatów ze wspomnianej soborowej Deklaracji o Wolności Religijnej znajdujemy tam np. zdanie, że „gwarancją istnienia obiektywnej prawdy jest Bóg” i że wobec tego „systematyczne zaprzeczanie istnieniu Boga... (jest) krańcowo sprzeczne z wolnością sumienia jak również wolnością religijną”. Nie sądzę, by tego rodzaju ekwilibrystyka służyła prawdziwej religii².

Demokracja, wolność sumienia, prawa człowieka — we wszystkim tym Kościół zdaje się pozostawać w tyle za tym, co

2. Ta przewrotna ekwilibrystyka święciła triumfy w Polsce w czasie niedawnej kampanii antyaborcyjnej, prowadząc czasem do zupełnych absurdów. Np. ks. Tadeusz Styczeń potrafił napisać w *Tygodniku Powszechnym* z 11 listopada 1990: „Próba poddania prawdy sumieniu to samobójstwo człowieka, jego najbardziej radykalna deprawacja”. Najbardziej przerażające jest, że powszechnie szanowany TP potrafił to wydrukować bez zająknięcia.

najlepsze w świeckim świecie. Dla wiernego-chrześcijanina jest to bolesny paradoks, bo przecież to wszystko w Ewangelii zdaje się mieć swoje źródło, ba, w pierwszych słowach Biblii, która mówi, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Może to jeden z wielu paradoksów chrześcijaństwa. Ale może paradoks nie jest wcale tak skandaliczny, jak to na pierwszy rzut oka wygląda? Mówi się nam, że Kościół nie jest demokracją — i chyba słusznie, tak jak sztuka i nauka nie są demokracją. Nie zostaje się artystą czy uczonym przez demokrację. I nie wolność sumienia tworzy proroków i świętych. A przynajmniej chrześcijaninowi nie wypada za bardzo upominać się o swoje prawa człowieka, skoro już samo bycie człowiekiem jest niezaspokojoną łaską. To wszystko prawda. To wszystko tylko elementy ustroju prawnego wypracowanego przez ludzi w ciągu wieków dla ułatwienia życia ludzkich zbiorowości przez kontrolowanie ich władz. Cała encyklika *Centesimus Annus*, jak wszystkie encykliki społeczne, jest tylko refleksją nad najlepszymi sposobami sprawowania tej kontroli. Ale Kościół — jako instytucja ziemską — też jest ludzką zbiorowością jak wszystkie inne i też potrzebuje swej wewnętrznej kontroli. Doświadczenie wykazało, że będąc źródłem ewangelicznych natchnień, Kościół może uczyć się od świeckich instytucji praktycznych rozwiązań tych problemów kontroli. I wszystko wskazuje na to, że tak jak ewolucja rozwiązań świeckich instytucji daleka jest od zakończenia (to jest tematem encykliki), to samo stosuje się do ewolucji rozwiązań wewnątrz zbiorowości kościelnej.

Ważnym i bardzo pozytywnym elementem encykliki są uwagi papieża na temat tak zwanej zasady pomocniczości, *subsidiaritas*. Nie jest to zasada nowa. Sformułowana, po raz pierwszy o ile mi wiadomo, przez papieża Piusa XI sześćdziesiąt lat temu, głosi ona (według słów obecnej encykliki), że społeczność wyższego rzędu nie powinna ingerować w wewnętrzne sprawy społeczności niższego rzędu, pozbawiając ją kompetencji, lecz raczej winna wspierać ją w razie konieczności i pomóc w koordynacji jej działań z działaniami innych grup społecznych dla dobra wspólnego” (48). Ta zasada stanowi niejako szczególną własność Kościoła katolickiego, a jednak stosowanie jej w praktyce w życiu światowej zbiorowości katolickiej natrafia na takie same opory i trudności, jak w życiu świeckich państw. Świadczą o tym tak liczne w Kościele posoborowym skargi Kościołom lokalnych na nieuzasadnione (przynajmniej ich zdaniem) ingerencje Rzymu w ich wewnętrzne sprawy w zakresie jurysdykcji i dyscypliny kościelnej (np. mianowania biskupów i wolności myśli

teologicznej). Ale i władze świeckie są notorycznie oporne w stosowaniu zasady pomocniczości, o czym świadczą z kolei ciągłe pokusy centralizacyjne centralnych organów władzy od Kremla po Brukselę. Papież w sposób charakterystyczny pomija milczeniem tendencje centralizacyjne w Kościele, któremu sam patronuje, natomiast mówi rzeczy bardzo istotne na temat tych samych tendencji w łonie świeckich państw. Przedmiotem krytyki w tym przypadku jest tak zwane państwo dobrobytu albo państwo opiekuńcze, a raczej jego przerosty i wynikające z tego niesprawności i niedostatki tej zasadniczo socjalistycznej koncepcji. Bo papież oczywiście uznaje podstawowy cel państwa opiekuńczego, którym jest zapewnienie każdemu obywatelowi minimum środków do życia. To jest podstawowe prawo człowieka. „Niesprawności i niedostatki w państwie opiekuńczym — pisze papież — wynikają z nieodpowiedniego rozumienia właściwych państwu zadań”, ponieważ „interweniując bezpośrednio i pozbawiając społeczeństwo odpowiedzialności, państwo opiekuńcze powoduje utratę ludzkich energii i przesadny wzrost publicznych struktur, w których — przy ogromnych kosztach — raczej dominuje logika biurokratyczna aniżeli troska o to, by służyć korzystającym z nich ludziom” (j.w. 48). Jest to niewątpliwie wymierzone w pierwszy rządzie przeciw „mentalności socjalistycznej”, która cechuje państwo komunistyczne i której przejawy jeszcze dziś tak boleśnie odczuwa społeczeństwo polskie, ale dające się we znaki również w zamożnych krajach zachodniej Europy, jak choćby w Wielkiej Brytanii. Tutaj narasta świadomość, że wszystkie „niesprawności i niedostatki” w służbie zdrowia, w szkolnictwie, w opiece nad dzieckiem, to nie kwestia zbyt małych budżetów czy złej organizacji, a brak właściwej motywacji u zbyt wielu pracowników tych resortów państwa opiekuńczego. Najlepsza polityka, najlepsza organizacja i multum funduszy nie zastąpią ludzkiej troski o człowieka, któremu te instytucje mają służyć. Czyli chodzi o staromodną miłość bliźniego, która musi leżeć u podstaw wszelkiej pracy społecznej, zarobkowej nie mniej niż bezpłatnej, charytatywnej. I papież ma rację, że o tę miłość łatwiej w strukturach małych, lokalnych, niż w wielkiej machinie państwowej. W tym sensie gra tutaj zasada pomocniczości. Papież wprowadza tu dodatkowo pojęcie „wolontariatu” (okropne słowo), oddolnej inicjatywy społecznej na rzecz bliźniego czyli pracy charytatywnej. W krajach demokratycznych, zwłaszcza może w Wielkiej Brytanii, ta forma „pomocniczości” zawsze była praktykowana na wielką skalę i tak jest nadal mimo istnienia państwa opiekuńczego, niejako obok niego jako jego uzupełnienie³.

3. Nie mówiąc już o rozlicznych organizacjach charytatywnych jako *Oxfam* czy *Christian Aid*, Anglia jest ojczyzną światowej dziś organizacji *Amnesty International*, która w tym roku obchodzi trzydziestolecie.

W krajach rządzonych przez komunistów także ta forma inicjatywy prywatnej była skutecznie stłamszona i kontynuował ją tylko Kościół, głównie poprzez swoje zakony — owe zakonnice opiekujące się nędzą tak obrzydliwą, że żadna instytucja państwowa nie chciała nią sobie rąk brudzić. Na dobrą sprawę ta chrześcijańska inicjatywa charytatywna istniała zawsze, na długo zanim powstało państwo opiekuńcze czy dobroczynność świecka. Obie się zresztą z dobroczynności kościelnej wywodzą. I tu Kościół zawsze ma, i będzie miał, coś nowego do powiedzenia. Nazywa się to coś *eu angelion* czyli dobra nowina.

Antoni POSPIESZALSKI

O moralności, etyce i mądrości

Czytając pisma moralistów, znajduję u nich często pomieszanie całkiem różnych rzeczy, które chcę nazwać „moralnością”, „etyką” i „mądrością”. Rozróżnienie dwóch pierwszych — moralności i etyki — jest wprowadzić ostatnio dość rozpowszechnione, ale tylko wśród filozofów. A nawet u nich mamy dwie szkoły, które z uporem godnym lepszej sprawy obstają przy ich utożsamianiu. Są nimi mianowicie szkoła neotomistyczna i neohegelijska. Członkowie pierwszej dlatego, że wszystko, co powstało po XIII wieku wydaje im się nieraz podejrzane. Hegeliści, bo u nich wszystko co jest różne jest identyczne. Nazywają to „dialektyką”: podnieśli pomieszanie pojęć do godności zasady filozoficznej. Natomiast różnicę między moralnością a mądrością zauważyło, jak się zdaje, tylko niewielu.

Przeciw temu pomieszaniu pojęć stawiam pierwsze twierdzenie:

1. To, co ludzie zwykle nazywają „etyką”, składa się z trzech różnych dyscyplin: moralności, etyki i mądrości.

Czym one się różnią, będę się starał wyjaśnić. W tym celu sformułuję pewne propozycje dotyczące znaczenia odnośnych nazw.

I. MORALNOŚĆ

Nazwy „moralność” będę używał dla oznaczenia zespołu pewnych nakazów, a nie, jak to się nieraz czyni, pewnych postaw

ludzkich. Celem przekonania się, czym jest moralność w tym słowa znaczeniu, przyjrzymy się następującym dwóm nakazom (także zakazy nazywam dla uproszczenia „nakazami”) które, jeśli się nie mylę, wszyscy uznaliby za przykazania moralności:

- a. Ratuj tonące dziecko.
- b. Nie będziesz podrzynał gardła twojej śpiącej matce.

Co te dwa przykazania mają wspólnego? Kilka cech, z których wymienimy trzy. 1. Te nakazy są najpierw właśnie nakazami, przykazaniami. Nie mówią co *jest*, ale co *ma być*. W języku logiki nie są zdaniem, ale dyrektywami. 2. Następnie mają charakter kategoryczny. Chcę przez to powiedzieć, że nie nakazują pod jakimś warunkiem, warunkowo, ale kategorycznie, bezwarunkowo. Nie obiecują nagrody i nie grożą karą, nie są związane z żadnym celem. Pytanie „w jakim celu mam ratować tonące dziecko?” nie ma przecież sensu. 3. Mają wreszcie charakter, że się tak wyrażę, bezwzględny: wobec moralnego nakazu przeżywamy jakby wrażenie przymusu, czujemy, że nie wolno nam postąpić inaczej niż ten nakaz chce. Ta ostatnia cecha jest bodaj najbardziej charakterystyczna — nie spotykamy jej nigdzie indziej poza moralnością.

Użyjmy tych trzech cech dla określenia sensu nazwy „moralność”. Powiemy, że:

2. *Moralność jest zespołem nakazów kategorycznych, bezwzględnie wiążących.*

Niektórzy przeczą temu co prawda; nakazy moralności są dla nich warunkowe, w szczególności związane z celem. O tych filozofach powiedziano złośliwie, że domagają się napiwku za to, że nie podrzynają gardła swoim matkom. Pewne jest, że moralność żadnej nagrody za wykonanie obowiązku nie obiecuje. Mówi kategorycznie „Czyń to a to” i nic więcej. Te nakazy mają taką naturę, że nawet gdyby ich zachowanie miało pociągnąć za sobą karę, nie przestałyby obowiązywać.

Nasze dwa nakazy mają jeszcze inną cechę wspólną: są *oczywiste*. Normalnemu człowiekowi nie potrzeba ich dowodzić, on widzi, że taki obowiązek istnieje. To jednak nie jest cecha wszystkich przykazania moralności. Istnieją położenia, w których nie jest od razu jasnym, czego wymaga obowiązek. W takich wypadkach bywa, że możemy się przekonać o tym co powinniśmy czynić przez wnioskowanie z jakichś innych nakazów. Tak np. gdy chodzi o spędzanie płodu. Ludzie spierają się co do jego dopuszczalności. W rzeczy samej, zakaz spędzania płodu nie jest oczywisty. Ci, którzy je potępiają, uzyskują zakaz „nie

będziesz spędzał ludzkiego płodu” z ogólniejszej oczywistej zasady moralnej „nie będzie zabijał niewinnego człowieka”. Zauważmy jeszcze, że nakazy z których wyciągamy wnioski muszą być w naszej dziedzinie kategoryczne i bezwzględnie wiążące, to jest być nakazami moralnymi.

Możemy więc postawić dalsze twierdzenie:

3. *Nakazy moralności są oczywiste albo wynikają z oczywistych nakazów moralnych.*

Na marginesie parę słów o stosunku moralności do nauki. Nauka zajmuje się wyłącznie faktami, tym, co jest i formułuje wyłącznie *zdania*. Otóż moralność zawiera nie zdania, ale *nakazy*. Stąd twierdzenie:

4. *Moralność nie jest nauką.*

Przeciw temu twierdzeniu mówi się czasem, że nakazy moralne można przetłumaczyć na zdania, którymi nauka może się zajmować. Ściśle mówiąc jednak nakazów nie można przetłumaczyć na zdania; można je im tylko przyporządkować. Np. naszemu nakazowi „ratuj tonące dziecko” można przyporządkować zdanie „ratowanie tonącego dziecka jest obowiązkiem”. Są to jednak zdania bardzo szczególne, wyglądające na kryptonakazy, jako że zawierają orzecznik „jest obowiązkiem” albo podobne. Poza tym te zdania nie są naukowo sprawdzalne.

Skądinąd powinno być jasnym, że:

5. *Nie ma moralności naukowej.*

Taka moralność zawierałaby bowiem nakazy wywnioskowane ze zdań naukowo stwierdzonych. Otóż kto chce wywnioskować nakaz ze zdania, popełnia tak zwany sofizm naturalistyczny (*naturalistic fallacy*), jako że z tego, że coś jest nie wynika nigdy że coś ma być.

II. ETYKA

„Etyka”, tak jak to wyrażenie tutaj rozumiemy, oznacza dziedzinę całkiem różną od moralności, aczkolwiek ściśle z nią związaną. Należą do niej pytania w rodzaju:

- a. Dlaczego ratowanie tonącego dziecka jest obowiązkiem?
- b. Dlaczego nie wolno podrzynać własnej matce gardła?
- c. Co znaczy „jest obowiązkiem”?

oraz odpowiedzi na nie, np. na pierwsze pytanie:

a. Ratowanie tonącego dziecka jest obowiązkiem, bo to jest potrzebne dla zachowania gatunku.

Zwróćmy najpierw uwagę, że tego rodzaju pytania i odpowiedzi nie grają żadnej roli w świadomości czy sumieniu człowieka, który czuje się do czegoś moralnie zobowiązany. Przecież gdyby człowiekowi, który ratuje dziecko, ktoś powiedział, że on to czyni dla zachowania gatunku, ratownik krzyknąłby zapewne z oburzeniem, by mu głowy głupstwami nie zawracano. On nie ratuje dziecka dla zachowania żadnego gatunku ani dla niczego innego, tylko dlatego, że widzi jasno, iż ma obowiązek tak postąpić. Na poziomie sumienia ludzkiego pytania i odpowiedzi etyczne nie pojawiają się więc wcale.

Pojawiają się natomiast, gdy zaczynamy się zastanawiać nad nakazami moralności. Stąd to, co tu nazywamy „etyką”, nosi czasem nazwę „metaetyki” — „etyką” nazywa się wówczas naszą moralność. Nazwa jest jednak źle wybrana, bo w logice współczesnej „metanauką nauki N” nazywa się naukę o języku N. Na przykład, „metamatematyką” nazywa się naukę o języku matematyki. Otóż ani same nakazy, ani tym bardziej sumienie itp. którym owa etyka (to jest nasza moralność) się zajmuje nie są wyrażeniami języka.

Wracając jednak do naszych zdań etycznych, zadajmy sobie pytanie, co one mają wspólnego. Odpowiedź brzmi, że posiadają dwie takie cechy 1. są zdaniami, 2. dotyczą nakazów moralnych i zagadnień, związanych z ich istnieniem.

Nie są to nakazy, ale zdania: nie mówią co ma być, ale co jest. A mówią to odnośnie nakazów moralnych.

6. *Etyka jest zbiorem zdań — a więc nie nakazów — dotyczących moralności.*

Powinno być więc jasnym, że etyka nie jest moralnością ani moralność etyką. Pomieszanie tych dwóch dziedzin musimy dzisiaj uznać za niechlujstwo pojęciowe. Jak dalece one się różnią jedna od drugiej wynika także z faktu, że:

7. *Etyka jest nauką i częścią naukowej filozofii,*

podczas gdy moralność nauką nie jest. Nie bez znaczenia jest także fakt, że etyka nie jest nikomu potrzebna do życia. Można bardzo dobrze i moralnie żyć nie mając najmniejszego o niej pojęcia.

8. *Etyka jest ważna tylko dla filozofii, do życia nie jest potrzebna,*

podczas gdy bez moralności żyć niepodobna.

III. MĄDROŚĆ

Gdy chodzi o mądrość, znajdujemy w niej dwa rodzaje zasad: z jednej strony poszczególne nakazy, z drugiej podstawową zasadę, bez uznania której inne nakazy nie mogą być przyjęte. Położenie jest tu odmienne niż w moralności. Nakaz moralny jest bardzo często bezpośrednio oczywisty, nie potrzeba żadnego dowodu, a więc jakiegoś ogólnego nakazu, z którego można by go wywieść. Natomiast nakazy mądrości nie są nigdy bezpośrednio oczywiste i uznajemy je tylko z mocy owego nakazu podstawowego. Tym nakazem podstawowym jest „działaj tak, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło”.

Otóż ten podstawowy nakaz ma inny charakter niż wszystkie inne: jest mianowicie 1. autentycznym nakazem, a nie zdaniem, 2. jest kategoryczny, nie warunkowy. Pod tymi dwoma względami jest on podobny do nakazów moralności. A jednak nakazem moralnym nie jest, bo brak mu owego bezwzględного obowiązku. Nikt nie ma obowiązku postępować tak, aby żył długo i dobrze.

9. *Podstawowa zasada mądrości jest nakazem kategorycznym, ale mimo to nie jest nakazem moralnym.*

Powiedzmy nawiasem, że prawdopodobnie właśnie to podobieństwo do nakazów moralnych wprowadziło w błąd wielu moralistów, którzy, widząc, że podstawowa zasada mądrości jest nakazem kategorycznym doszli do przekonania, że mądrość jest częścią moralności.

Tyle o podstawowej zasadzie mądrości. Jeśli chodzi o inne jej nakazy, zacznijmy jak w obu poprzednich wypadkach od przykładów. W mądrości znajdujemy m.in. następujące nakazy:

- Bądź szczególnie uprzejmy dla bogatych.
- Nie spieraj się z policjantem.

Co jest tym nakazom wspólne? 1. Najpierw to, że podobnie jak nakazy moralne, są nakazami; mówią, tak się przynajmniej najpierw wydaje, nie co jest, ale co mamy czynić. 2. Następnie — i pod tym względem różnią się od moralnych — nakazy mądrości nie są kategoryczne, ale hipotetyczne, obowiązują tylko pod pewnymi warunkami. Na przykład, należy być szczególnie uprzejmym dla bogatych tylko o ile się chce zapewnić sobie ich zycżliwość. Jeśli mnie zycżliwość jakiegoś bogacza nie interesuje, nie mam żadnego obowiązku być dla niego szczególnie uprzejmy. Mówiąc językiem logiki, nakazy mądrości mają

postać okresów warunkowych, „czyń q jeśli chcesz p ”. Mówią więc co jest celowe.

Możemy już sformułować następujące prowizoryczne twierdzenie, w którym zakłada się milcząco, że chodzi o wszystkie nakazy mądrości prócz podstawowego:

10. *Mądrość zdaje się być zespołem nakazów warunkowych.*

Tu pojawia się trudność. Jeśli te nakazy mówią, co jest celowe, są *zdaniami*, stwierdzającym coś, co *jest*, a za tym tylko pozornie nakazami. Świat jest tak urządzony, że sprzeczenie się z policjantem prowadzi do nieprzyjemności. Nakaz mądrości to tylko stwierdza i nic więcej.

11. *Zasady mądrości są zdaniami ukrytymi pod postacią nakazów.*

Wynika z tego, że mądrość jest rodzajem technologii. Jest to stwierdzenie tak ważne i mimo to tak często niezrozumiane, że zasługuje na jasne sformułowanie:

12. *Mądrość jest technologią dobrego życia.*

Różnica między nią a innymi technologiami zdaje się polegać tylko na tym, że mądrość zakłada charakter, czego inne technologie nie czynią.

A jeśli jest technologią, mądrość, jak każda technologia (w przeciwieństwie do moralności), jest albo mogłaby być przedmiotem badań naukowych, jako że chodzi w niej o pewne zależności faktyczne. Stąd twierdzenie:

14. *Mądrość jest albo mogłaby być nauką.*

W rzeczywistości nauką nie jest o tyle, że pozostawiono ją jak dotąd — niestety — prorokom i literatom. Stąd niniejsze rozważania nie mają charakteru naukowego, ale że tak powiem proto-naukowy — przygotowują nową naukę. Filozofia tradycji nie zajmowała się tego rodzaju rozważaniami.

Jako nauka, mądrość byłaby częścią psychologii, ale być może korzystałaby także z wyników socjologii. Pewnym jest w każdym razie, że:

15. *Metoda mądrości powinna być doświadczalna.*

Oto przykład, jak można by uzasadniać nakazy mądrości metodą naukową. Niech będzie nakaz „Powiedz sobie codziennie

rano 'byczo jest'”. Aby go uzasadnić, kazalibyśmy grupie ludzi A tak postępować, a drugiej, B, zaniechać takiego postępowania. Następnie spisalibyśmy wyznania członków obu grup dotyczące przyjemnego względnie nieprzyjemnego dnia itd.

IV. MORALNOŚĆ A MĄDROŚĆ

Wyniki powyższych rozważań można ująć w następującą tabelkę porównawczą:

Dziedzina	Kategoria	Budowa	Charakter
Moralność	Nakazy	Kategoryczne	Bezwzględnie obowiązujące
Etyka	Zdania	Kategoryczne	X
Mądrość zas. podst.	Nakaz	Kategoryczny	Nie obowiązujący bezwzględnie
Inne nakazy	Zdania	Postać nakazów warunkowych	„

Moralność i mądrość nie zawsze żyją w zgodzie. Wyobraźmy sobie na przykład, że byłem świadkiem przestępstwa popełnionego przez człowieka, którego przyjaźń jest dla mnie ważna. Gdy sędzia pyta mnie, moralność nakazuje mi powiedzieć, że on to przestępstwo popełnił, mądrość każe temu przeczyć. Musimy niestety stwierdzić, że:

16. *Między nakazami moralności a nakazami mądrości zachodzi nieraz sprzeczność.*

Jako skrajny wypadek takiej sprzeczności między mądrością a moralnością wymieniam się nieraz męczeństwo. Męczennik woli raczej umrzeć niż sprzeniewierzyć się sprawie, którą uważa za słuszną — przekłada więc pozornie zasadę moralności ponad nakaz mądrości.

Być może jednak, że jest to tylko pozór: męczennik wybiera śmierć raczej niż zdradę tylko dlatego, że życie po zdradzie wydaje mu się nieznośne. Postępuje więc zgodnie z podstawowym nakazem mądrości, która każe szukać dobrego życia, a mianowicie o tyle, że życie po zdradzie ocenia jako nie-dobre.

Nie mniej są wypadki, w których sprzeczność jest oczywista.

Są one nawet tak oczywiste, że można postawić następujące twierdzenie:

17. Życie ludzkie jest najczęściej kompromisem między moralnością a mądrością.

Wydaje się, że wskutek tego większość ludzi żyje według podwójnej „moralności” — jednej autentycznej, drugiej „mądrościowej”.

9.4.1991

J.M. BOCHENSKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Sąsiedzi

Zrozumieć Ukraińców

Z PROFESOREM ANDRZEJEM VINCENZEM
ROZMAWIA ANDRZEJ SZULCZYŃSKI*

ANDRZEJ SZULCZYŃSKI: — *Polak-slawista na niemieckim uniwersytecie w Getyndze, a przedtem w Heidelbergu ma szczególne, jak się wydaje, punkty obserwacyjne i stosunków polsko-niemieckich, i całej problematyki narodowościowej współczesnej Europy. Co, zdaniem pana, widać szczególnie ostro z takiego miejsca?*

ANDRZEJ VINCENZ: — Czy akurat na uniwersytecie widzi się ostrzej? Nie wiem, bo uniwersytet jest jednak miejscem szczególnym, jest trochę wieżą z kości słoniowej. Raczej problemy przedstawiają się tam mniej ostro, są łagodzone przez obyczaje i maniery uniwersyteckie. Na uniwersytecie, będąc cudzoziemcem, jest się traktowanym tak, jak by się nie było cudzoziemcem. Natomiast inaczej jest właśnie poza uniwersyte-tem. Niemiecki uniwersytet jest pod tym względem bardzo liberalny. Natomiast ja widzę coś takiego, co szczególnie ostro uświadomić sobie można w Niemczech, że w jakimś sensie stosunek Niemców do Polaków, zwłaszcza Niemców pochodzących z dawnych Niemiec wschodnich, a już szczególnie z dawnego Śląska niemieckiego, przypomina stosunek Polaków do Ukraińców. Mianowicie Polacy nie są w stanie zrozumieć, na przykład, że wojna polsko-ukraińska o Lwów w 1918 roku, to był zryw Ukraińców, powstanie ukraińskie, które można porównać z polskim powstaniem górnośląskim. Niemcy też nie są w stanie zrozumieć tego, skąd tam się wzięli naraz jacyś Polacy, kiedy ci Ślązacy byli zawsze Ślązakami. Tak samo Polacy w 1918 roku

* Są to fragmenty wywiadu A. Szulczyńskiego z A. Vincenzem, który ukazał się w nrze 13-ym kwartalnika *Słowo*, ukazującego się w Berlinie.

nie bardzo mogli zrozumieć, co się stało; tam przecież zawsze byli Polacy, a tu nagle jacyś Ukraińcy wyskoczyli i jeszcze mówią, że Lwów jest ich, kiedy Lwów zawsze był polski. A tam z kolei na Śląsku zjawili się nie wiadomo skąd jacyś Polacy, a przecież Śląsk był zawsze niemiecki w pojęciu Niemców, naprzód austriacki, a potem pruski — i nagle jacyś Polacy.

To właśnie rozumiałem dopiero w Niemczech. I w Polsce również bardzo trudno to wytłumaczyć, że jest to jakaś paralela. Hindenburg urodził się w Poznaniu, Ludendorff urodził się pod Poznaniem, ten kraj był w pojęciu Niemców od dawna, od końca osiemnastego wieku niemiecki, a w jakimś sensie i wcześniej też. To właściwie zobaczyłem dopiero w Niemczech.

A.S.: — *Polacy są przecież także bardzo przywiązani do tych dawnych ziem na wschodnich kresach Rzeczypospolitej, nawet Polacy z młodszych pokoleń czują się z tymi ziemiami niejednokrotnie dość mocno emocjonalnie związani. Wciąż powstają nowe towarzystwa, a to opieki nad zabytkami Lwowa, a to ziemi wileńskiej i jakieś inne. Przecież to są w pewnym sensie na naszym polskim, rodzimym gruncie odbitki niemieckich ziomekstw. Nazwijmy rzecz po imieniu.*

A.V.: — No tak, teraz już jest to możliwe.

A.S.: — *Natomiast ci sami Polacy, którzy działają w tych różnych, nazwijmy to, patriotycznych stowarzyszeniach na rzecz dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, są w wielu wypadkach zdecydowanie antyniemieccy. Nie rozumiejąc przeważnie tego tragicznego splotu okoliczności historycznych, nie pamiętając, jak my się na tych naszych obecnych ziemiach zachodnich i północnych znaleźliśmy, jak je nabyliśmy, nie są też w stanie absolutnie zrozumieć tych wypędzonych jednak Niemców. Z czego bierze się to zacietrzewienie i te jednostronne oceny?*

A.V.: — To kwestia czasu. Właśnie mieszkając od 1960 roku w Niemczech, zobaczyłem, jak wiele przez te lata się tutaj zmieniło. Po prostu nastawienie Niemców do Polaków się zmieniło. Dawniejsze zdecydowanie wrogie nastawienie Niemców jest już właściwie przeszłością.

Przed kilku laty na takiej konferencji w Łodzi, którą urządzili ojcowie jezuici o Polakach, Ukraińcach i Białorusinach, właśnie to powiedziałem i jakiś uczestnik zareagował mówiąc, że on był w AK i dopiero niedawno zrozumiał, że my wobec Niemców stosowaliśmy zasadę „gwałt niech się gwałtem odciśka” i nie przyszło mu do głowy wcześniej, że można inaczej.

To znaczy, że dopiero dzisiaj zaczyna się to inne myślenie Polaków i o Niemcach i o Ukraińcach. Dopiero teraz stopniał ten lodowiec uprzedzeń, wrogości, nienawiści i nareszcie można swobodnie myśleć. A po stopnieniu tego lodowca pojawiają się nie tylko kwiaty, lecz i chwasty.

Chyba w 1989, gdy byłem we Wrocławiu i w tamtejszym KIK-u mówiłem o sprawach polsko-ukraińskich, ktoś wyskoczył z tym, że jak był zjazd ukraińskiego ruchu niepodległościowego (który nosi nazwę „Ruch”, tak samo brzmiąca po polsku, jak po ukraińsku), to tam były także herby Chełma i Przemyśla, wśród herbów miast ukraińskich. A więc — mówił — Ukraińcy chcą nam odebrać Chełm i Przemyśl.

A przecież i Chełm, i Przemyśl, to były stare księstwa ruskie, czyli ukraińskie, bo kijowskie. I w Chełmie, i w Przemyślu były i są bardzo stare biskupstwa ukraińskie. A z drugiej strony we Wrocławiu też jest przecież Towarzystwo Przyjaciół Lwowa. Jest? — pytam. A naturalnie, że jest, odpowiedzieli zebrani. No więc jak to, pytam, w Polsce wolno mówić o tym, że Lwów był polski, a Ukraińcom nie wolno mówić, że Chełm i Przemyśl były stolicami księstw ukraińskich?

To samo jest zresztą z Wrocławiem i ze Szczecinem. Przecież Szczecin na dobrą sprawę nigdy do Polski nie należał. A Wrocław i Śląsk z woli tego stanu, który był tam rządzącym, przeniósł już w końcu trzynastego wieku swoją lojalność na króla czeskiego. Kazimierz Wielki tylko się pogodził z tym, że Śląsk opuścił, jak można powiedzieć, *polnischen Staatsverband* i przeniósł swoją lojalność na Czechy, a Czechy były już w tym czasie krajem właściwie dwujęzycznym. W Czechach były dwa języki krajowe: czeski i niemiecki i Czechy od początku niemal swej historii należały do cesarstwa rzymskiego, potem do cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego, potem do cesarstwa austriackiego. Śląsk dzielił losy Czech. Językami urzędowymi były tam czeski i niemiecki, a nie polski i niemiecki. Ślązacy zmienili język, ale pozostali Ślązakami. Podobnie jak Irlandczycy zmienili język, ale pozostali Irlandczykami. Była, owszem, agresja Fryderyka II, ale była to agresja Prus przeciwko Austrii. Wtedy niemiecki Śląsk zmienił władcę z Wiednia na Berlin, ale Ślązacy nadal czuli się Ślązakami. Bo też do końca dziewiętnastego wieku nikogo nie interesowało po jakimu ludzie w domu mówią.

A.S.: — *A podczas swoich ostatnich pobytów w Polsce, czyli w ciągu ostatniego roku, zauważyłem wyraźne obawy o trwałość polskich granic zachodnich. Chyba jest to jakoś też podsycane, nie wiem czy przypadkowo, czy też celowo. Natomiast żyjąc tutaj w Niemczech wydaje mi się, że ten problem nie jest tak ostry. Nie*

wiem, jak się potoczy historia Niemiec po tym galopującym zjednoczeniu, bo tego nikt nie wie, ale jak się wydaje, to dzisiaj społeczeństwo niemieckie i naród niemiecki chyba nie zażądają powrotu tych ziem.

A.V.: — Co będzie — tego nie wiemy. Ale tam gdzie ja mieszkam, w zachodnich Niemczech, jest zupełnie jasne, że ani ludzie starszego pokolenia, ani średniego, ani tym bardziej młodzież o jakiegokolwiek zmianie granic nie myślą. Uderzający był ton w całej prasie zachodnioniemieckiej, wciąż mianowicie podkreślano nadzieję, że to zjednoczenie nie zawróci Niemcom w głowie, chociaż będą najpotężniejszym państwem w Europie. Wzywali samych siebie do ostrożności, do skromności. To mi nawet zaimponowało. Bo zamiast się sobą zachwycać, że będą tacy potężni, oni się tego boją. To jest bardzo zdrowe i niezwykle w Europie. Zresztą oni będą mieli na najbliższe dwadzieścia lat dość kłopotów z Niemcami wschodnimi. Natomiast jeśli będzie normalna Europa, jeśli Polska też dojdzie jakoś do tego poziomu europejskiego, to dlaczego ten czy inny Niemiec nie miałby przyjechać i zamieszkać sobie we Wrocławiu, tam gdzie mieszkał jego dziadek, czy jego ojciec? Takich osób będzie niewiele, bo jeżeli ktoś pamięta Wrocław z czasów, kiedy miał lat dwadzieścia, to przecież teraz jest to całkiem inny Wrocław, choćby tylko językowo, nie mówiąc o innych rzeczach. Może już łatwiej będzie jakiemuś Niemcowi łódzkiemu wrócić do Łodzi, czy krakowskiemu do Krakowa. Ale to jednak mogą być jednostki. Aby te ziemie zachodnie i północne odbierać, trzeba by naruszyć pokój europejski. Nikomu w Europie zachodniej na dobrą sprawę nie zależy, aby jakiekolwiek granice były zmieniane. Módlmy się o to tylko, aby tak samo było na Wschodzie. Polskie Porozumienie Niepodległościowe już w 1979 roku proponowało zamrożenie wszystkich granic na następne dwadzieścia pięć lat po upadku imperium sowieckiego. Ale to nie znaczy, że nie ma być wolno we Lwowie mówić po polsku, czy w Przemyślu mówić po ukraińsku. Niechże też jak najprędzej zostanie przywrócone biskupstwo greckokatolickie w Przemyślu, niech zostanie tam oddana katedra greckokatolicka, którą oczywiście Kościół rzymskokatolicki w Polsce uratował, ale jeżeli się coś uratowało, to ma się obowiązek zwrócenia prawowitemu właścicielowi. Niech te wszystkie cerkwie greckokatolickie, które zostały przejęte na kościoły zostaną oddane prawowitym właścicielom, tam gdzie oni są. Także i po wschodniej stronie, są na Ukrainie kościoły rzymskokatolickie, tam gdzie rzymskich katolików nie ma. Obowiązkiem Ukraińców jest je utrzymać jako część historii tej ziemi. Ale po naszej stronie ten sam obowiązek istnieje. [...]

A.S.: — *Jaki wpływ wywarł Ojciec na pańskie zainteresowania i na Pana w ogóle?*

A.V.: — W jakimś sensie całe natchnienie do tego, co tu mówię zawdzięczam swemu Ojcu. Ojciec nauczył mnie czytać po ukraińsku, jak miałem jedenaście lat.

A.S.: — *A rosyjskiego kiedy się Pan nauczył?*

A.V.: — W wieku czterdziestu lat. W dawnej Galicji Rosja jawiła się niemal na księżycu, podobnie jak dzisiaj Szwajcarom. Mój Ojciec pojechał do Wiednia na studia i to był akurat 1906 rok, tam znalazła się także masa studentów z Rosji, którzy pouciekali po rewolucji. To były wszystkie odcienie socjaldemokracji, także polskiej. I przez tych Polaków socjalistów Ojciec zapoznał się też z Rosjanami. Nauczył się po rosyjsku, ożenił się z Rosjanką, bo pierwsza żona mojego Ojca była Rosjanką. Pojechał też raz i drugi do Rosji, co w Galicji było ewenementem. Dla Galicji, na wschód nie było nic. Na wschód była biała plama i tym się nie interesowali. To był zupełny wyjątek, że mój Ojciec nauczył się rosyjskiego. Ojciec namawiał mnie, jak miałem szesnaście lat, abym uczył się po rosyjsku. Ja z lenistwa tego nie zrobiłem i bardzo tego żałuję. Bo mając lat szesnaście lub siedemnaście byłoby mi łatwiej z rosyjskim, niż mając lat czterdzieści. A żyjąc w kraju gdzie wszyscy rozumieli, a większość ludzi mówiła po ukraińsku, trzeba było ten język znać. Jedynym wyjątkiem był Lwów, gdzie było dwieście tysięcy Polaków, olbrzymia wyspa polska. Ale często Polacy nie zdawali sobie sprawy z tego, że jak przejdą przez rogatekę, lub jak przeskoczą rów — to ludzie mówią już po ukraińsku. Mieszkając w każdym innym mieście, w Kołomyi, Stanisławowie, czy Tarnopolu, nie można było nie znać ukraińskiego. Jak byłem mały, znałem pasywnie ukraiński, raczej w dialekcie huculskim. Jak miałem więc jedenaście lat, Ojciec podarował mi „Podróże Guliwera” po ukraińsku i powiedział: czytaj, to musiałem nauczyć się alfabetu. Proszę sobie wyobrazić: Guliwer, takie interesujące rysunki: liliput wśród olbrzymów, olbrzym wśród liliputów! Musiałem się nauczyć.

A.S.: — *A jaki był w ogólności stosunek pańskiego Ojca do Ukraińców?*

A.V.: — Ojciec związany był z taką grupą, do której należeli, między innymi, bracia Adolf i Aleksander Bocheńscy, Piotr Dunin-Borkowski, Włodzimierz Bobkowski, Stanisław hrabia Łoś

i pismo „Polityka”, którego tytuł ukradli potem komuniści. Sekretarzem redakcji był Jerzy Giedroyc. I Giedroyc jest wierny tej tradycji. I ja właśnie w tej tradycji wyrosłem, żeby jakiś *modus vivendi* z Ukraińcami znaleźć. [...]

A.S.: — *Powróćmy do problematyki ukraińskiej. W czasie moich rozmów na temat historii polsko-ukraińskiej z profesorem Bohdanem Osadcukiem, padła ze strony mego interlokutora celna, jak sądzę, konstatacja. Powiedział mianowicie coś takiego; panie Andrzeju, jak dojdziemy do Chmielnickiego, to już trudno nam będzie się porozumieć. I ja bym się z tym ogólnie zgodził. Gdzieś właśnie w tym czasie, może jeszcze wcześniej, polityka polska utraciła jakby wyobraźnię w tej materii.*

A.V.: — Byli oczywiście i wtedy ludzie, którzy tę wyobraźnię mieli. Ale generalnie rzecz biorąc, to ma Pan rację. To było wynikiem powolnej, stopniowej degeneracji systemu parlamentarnego w Rzeczypospolitej. Zresztą jest taka doskonała książka profesora Sysyna, jest to Amerykanin pochodzenia ukraińskiego i napisał świetną książkę o Kisielu, znanym Polakom z „Ogniem i Mieczem”. Napisał właśnie monografię Kisielia po angielsku. Podobno mają wydać to też po polsku. Otóż on dość przekonująco pokazuje, że właściwie sprawa była przegrana już jakieś dwadzieścia lat przed powstaniem Chmielnickiego.

Ale pragnę zwrócić uwagę, że zasada Rzeczypospolitej była stanowa: ten kto walczył, był szlachcicem. To się zdegenerowało, ale jeszcze konfederacja barska stała na drobnej szlachcie. Otóż był tu jeden wyjątek; Kozacy byli wojownikami, a szlachta ze swego egoizmu stanowego i religijnego nie chciała im dać tych samych praw. Batory to rozumiał i próbował jakoś to rozwiązywać.

Warto przypomnieć jednak, że potem, po powstaniu Chmielnickiego powstało państwo kozackie, na lewym, wschodnim brzegu Dniepru, o czym prawie nikt w Polsce dzisiaj nie wie, pod protektoratem carskim. Choć w gruncie rzeczy Rosja nie miała możliwości ani wyobraźni, aby to opanować. To był czysto nominalny protektorat. Rosja miała tylko prawo zmieniania hetmana ukraińskiego. Niektórzy hetmani, Mazepa na przykład, prowadzili własną politykę zagraniczną. Otóż to państwo kozackie było państwem stanowym i kozacy byli tam szlachtą.

Tu trzeba przypomnieć Unię Brzeską z 1596 roku. Ta unia prawosławia Rzeczypospolitej z łacińskim Rzymem odbyła się na żądanie biskupów tak zwanych „ruskich”, czyli białoruskich i ukraińskich. Oni zdawali sobie sprawę, że jak jeszcze przez trzydzieści lat nic nie zrobią, to nie będzie Kościoła prawosławnego w Rzeczypospolitej, bo z jednej strony zagrożali im łacin-

nicy, a z drugiej strony kalwini. Niektórzy polscy historycy twierdzą zresztą, właśnie dlatego, że Unia Brzeska była wielkim błędem, bo gdybyśmy poczekali jeszcze jakieś trzydzieści lat, to Ukraina i Białoruś zostałyby albo kalwińskie, albo łacińskie i nie byłoby problemu. Ale ponieważ historii nie pisze się przy pomocy słówka „jeżeli”, to nie wiadomo oczywiście, co by było naprawdę. Ale wtedy Unię Brzeską przyjęła Rzeczpospolita, przyjął sejm i obiecano biskupom prawosławnym — z chwilą gdy staną się katolikami obrządku greckiego — miejsce w senacie, podobnie jak biskupom katolickim. Ta obietnica Rzeczypospolitej nigdy nie została dotrzymana. Prymas-metropolita grecki otrzymał miejsce w senacie dopiero za Stanisława Augusta, to znaczy z dwustuletnim opóźnieniem, w ostatnich chwilach życia dawnej Rzeczypospolitej. I to też tylko Prymas, a wszyscy inni biskupi grekokatolicy — nie. Bo w pojęciu szlachty to była chłopska wiara. I to znowu był egoizm stanowy.

A.S.: — *Postać Bohdana Chmielnickiego może być jakimś problemem i symbolem stosunków polsko-ukraińskich. W Kijowie wszak stoi pomnik Chmielnickiego?*

A.V.: — Tak, stoi.

A.S.: — *Zatem nieco fantazując i przeskakując całe wieki, wyobraźmy sobie, że próbujemy dzisiaj układać jakąś koncepcję federacji państwowej polsko-ukraińskiej. To że w takim państwie federalnym, w Kijowie stoi pomnik Chmielnickiego jako bohatera narodowego, nie byłoby do przelknięcia dla Polaków. Podczas gdy Ukraińcy sobie tego nie wyobrażają, żeby oni funkcjonowali w obrębie swojej tradycji historycznej bez Chmielnickiego.*

A.V.: — Jeżeli to nie jest do przelknięcia dla Polaków — to na jakąkolwiek federację nie ma szansy. Ja nie wiem, czy to jest dla Polaków do przelknięcia, ale Sowiet, którym nie można odmówić chytrkości politycznej, ten właśnie pomnik Bohdana Chmielnickiego postavili. Aczkolwiek to spowodowało bardzo wielkie protesty i niechęć Żydów na całym świecie, którzy — jak wiadomo — łączą osobę Chmielnickiego z masowymi mordami Żydów przez chłopów ukraińskich w czasie wojen kozackich w siedemnastym wieku.

Otóż byłem niedawno na konferencji naukowej w Nancy i tam ktoś przypomniał Chmielnickiego jako antysemitę i na to jeden z obecnych tam Ukraińców starał się jakoś to wytłumaczyć i podkreślił, że mordowano wówczas, wieszano obok siebie jezuitów i Żydów.

A.S.: — *Było takie zawołanie: rznąć Lachów, Żydów i jezuitów.*

A.V.: — Tak. Wieszano Polaków, Żydów i jezuitów. No, ale to nie była wielka pociecha dla Żydów. Natomiast ten Ukrainiec nie wspomniał, bo się wstydził, że wieszano też obok psy, żeby tych ludzi pohańbić. Ale to tylko wtór na marginesie.

Otóż Sowieci jednak postawili pomnik Chmielnickiemu. Chmielnicki w ich zamyśle — jako symbol powstania ludowego, a nie jako symbol nacjonalizmu ukraińskiego. Więc może jest szansa, że i Polacy to kiedyś zrozumieją. Chmielnicki zresztą nie był wrogiem Rzeczypospolitej, tylko „królewiat” polskich na Ukrainie, o czym powinni wiedzieć nawet ci, którzy swą wiedzę czerpią tylko z Sienkiewicza.

A.S.: — *Ale może być Chmielnicki traktowany też jako symbol oderwania jednak tych ziem od Rzeczypospolitej i jakiejś formy protektoratu — jak sam Pan już to podkreślił — moskiewskorosyjskiego. Bo politycznie była to zasadnicza zmiana orientacji za Chmielnickiego?*

A.V.: — To było więcej. Istnieje świetny instytut ukrainoznawczy w Harvardzie, wydają znakomite pismo na światowym poziomie, *Harvard Ukrainian Studies*, wiele na te tematy tam piszą i z tego wynika, że Chmielnicki i inni współcześni mu przywódcy kozacy nie zdawali sobie wprawdzie sprawy z konsekwencji tego, co robią, ale Polska nie zostawiła im żadnego wyboru. Oni przecież poddali się pod protektorat sułtana na pewien czas i dopiero potem zdali sobie sprawę, że to jest ogromnie niepopularne, ponieważ cała tradycja Kozaków była temu przeciwna. To wszystko było nieporozumieniem. Im się zdawało, że skoro oni są prawosławni i car jest prawosławny, to jakoś to się ułoży. Znana jest taka scena historyczna, kiedy wysłannik cara przybył na Sicz, aby podpisać umowę perejaśławską w 1654 roku, gdy oni poddali się pod protektorat moskiewski. Protektorat wtedy, warto dodać, oznaczał znaczną samodzielność. Przecież, na przykład, oba księstwa rumuńskie, Mołdawia i Wołoszczyzna, były pod protektoratem sułtana i miały absolutną samodzielność wewnętrzną, nie mogły tylko prowadzić polityki antytureckiej. Dopiero w siedemnastym wieku zaczął sułtan narzucać gospodarów.

Kiedy więc ten wysłannik cara przyjechał i ktoś tam w imieniu Kozaków zaprzysiął tę umowę perejaśławską, to wtedy Kozacy powiedzieli: a teraz niech przysięga wysłannik cara. Ten zaś popatrzył na nich z pogardą i powiedział, że car nie jest królem polskim, żeby przysięgał coś swoim poddanym.

Tak więc ta różnica wyobrażeń zaczęła się już wówczas, kiedy Katarzyna II chciała zniszczyć Sicz zaporską, czyli państwo kozackie...

A.S.: — *I zniszczyła...*

A.V.: — I zniszczyła... To nawet wtedy Kozacy ciągle jeszcze próbowali pertraktować z Katarzyną, tak jak Zachód pertraktował z Sowietami, czy nawet Mikołajczyk rozmawiał właśnie z Sowietami, myśląc że można pertraktować jak równy z równym.

A.S.: — *Jednak ta zasadnicza zmiana orientacji, jak za Chmielnickiego, to była decyzja polityczna i jeśli okazała się błędna, lub wręcz fałszywa, to odpowiedzialność spada na polityków ją podejmujących. To należy wyraźnie stwierdzić.*

A.V.: — No tak, zresztą o tym pisał już Taras Szewczenko. Ale to nie zmienia faktu, że ta różnica pojęć zachowała się do końca istnienia państwa kozackiego. Oni po prostu ciągle żyli w tradycjach parlamentarnych i demokratycznych Rzeczypospolitej, myśleli innymi kategoriami i nie mogli zrozumieć Rosji. Tak samo jak dzisiaj Francuzi, Niemcy i Amerykanie nie mogą zrozumieć Sowietów.

A.S.: — *Wróćmy do bliższej historii, do czasów gdy powstawała po pierwszej wojnie światowej II Rzeczpospolita. Wtedy przecież wytworzyła się zupełnie nowa sytuacja.*

A.V.: — Dobrze. Moja teza tutaj byłaby właśnie taka, że te dawne dzieje z wieku XVII nie miały żadnego większego znaczenia. Podobnie jak, na przykład, nikt z nas Polaków nie uważa współcześnie Austriaków za naszych wrogów. W ciągu zaś całego nieomal dziewiętnastego wieku, jak się mówiło o „przeklętych Niemcach”, miało się właśnie na myśli Austriaków. Austria bynajmniej nie była cały czas tym „miłym, łagodnym zaborcą”. Przeciwnie. Były, gdzieś do 1830 roku — złudzenia co do Rosji, do 1848 roku — złudzenia co do Prus. Co do Austrii, dopiero po 1872 roku, kiedy monarchia Habsburgów zmuszona była się przekształcić, wtedy dopiero zaczął się pewien rodzaj symbiozy z Austrią. Ale nawet i w 1918 roku cieszone się właściwie, że Austria upadła, bo to jednak był zaborca. A dzisiaj uważamy Austriaków niemal za naszych przyjaciół i nie mamy do nich jakichkolwiek narodowych pretensji. Do Niemców mamy, ale to nie dlatego, że Fryderyk Hohenzollern wziął

udział w rozbiorach, tylko dlatego, że Hitler i hitlerowcy przez sześć lat tak traktowali Polaków, jak traktowali.

Tak samo i z Ukraińcami w 1918 roku, te wszystkie zamierchłe dzieje byłyby do przecięcia, gdyby nie nowe. Po pierwsze — wojna polsko-ukraińska w 1918 roku. Tu na uwagę zasługuje niedawno opublikowana przez Wydawnictwo Znak książka Macieja Kozłowskiego „Między Sanem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią 1918-1919”, bardzo przystojnie napisana. W końcowym rozdziale autor właśnie zastanawia się nad wszystkimi katastrofalnymi skutkami tej wojny. Gdyby nie ta wojna, to bardzo możliwe, że Ukraina by nie upadła, lecz by się utrzymała jako państwo niepodległe. W 1920 roku Petlura miał na Ukrainie małe echo. Gdyby po jego stronie była wtedy armia zachodnioukraińska, a nie po stronie bolszewickiej (— tu odżył znów stary dylemat polityczny będący pewną powtórką sytuacji z siedemnastego wieku i początków osiemnastego wieku), to tym bardziej Ukraina miałaby szansę na niepodległość. Polska polityka wobec Ukraińców była — niestety — zła. Mój ojciec zawsze powoływał się na przykład wojny Anglików z Burami w Południowej Afryce. Jak Anglicy wygrali wojnę z Burami, to natychmiast zawarli z nimi kompromis, nadali im autonomię, przekształcili ten kraj w dominium. Polacy zaś zobowiązali się dać autonomię Galicji Wschodniej w Traktacie Wersalskim, czy też w traktacie o mniejszościach na dwadzieścia pięć lat, a po tych dwudziestu pięciu latach miał się odbyć plebiscyt. Ale nic z tego nie dotrzymano. Obiecano też we Lwowie uniwersytet ukraiński. Nie dotrzymano. Potem proponowano Ukraińcom uniwersytet w Stanisławowie, a nie we Lwowie. W rezultacie nic z tego nie wyszło. Można było przecież uczyć się z historii, bo Austriacy na przykład, żeby nie robić włoskiego uniwersytetu w Trieście, założyli włoskojęzyczny uniwersytet w Innsbrucku. Co i tak im nie pomogło, bo Triest też utracili.

Ale w międzywojennej Polsce nie było ludzi z wyobraźnią potrafiących, czy choćby próbujących rozwiązać problem ukraiński. Jedyńm z pewną wyobraźnią był wojewoda Józewski, który prowadził własną politykę na Wołyniu.

A.S.: — *Józewski miał wszelako może trochę łatwiejszą sytuację, bo to był jednak raczej prawosławny Wołyn i tam nie było owych Ukraińców grekokatolików często wrogich Polsce i Polakom.*

A.V.: — Nie wydaje mi się tak. To nie było tak, że były dwie wrogie społeczności w Galicji wschodniej do 1939 roku. Była natomiast ogromna ilość najfatalniejszych błędów i niesprawiedli-

wości ze strony władz polskich. Mój Ojciec sympatyzował z Piłsudskim, może nawet więcej, do końca życia zachował pewien kult dla Piłsudskiego. I po przewrocie majowym, już nie pamiętam dokładnie w którym roku, został mianowany zdaje się dyrektorem jakiegoś departamentu od spraw ukraińskich w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Szef zawołał Ojca pierwszego dnia i powiedział mu, że trzeba masowo przenosić nauczycieli-Ukraińców na zachód kraju, aby rozładować nastroje.

A.S.: — *To wtedy właśnie, w ramach tej akcji przeniesiono ojca profesora Bohdana Osadczyka, który był nauczycielem, do Pińczowa.*

A.V.: — No właśnie. Ojciec próbował rozmawiać w ministerstwie i tłumaczyć niewłaściwość takich metod, ale zobaczył, że nie ma z kim rozmawiać, wziął kapelusz, wyszedł i po dwóch tygodniach dostał list z podpisem ministra zwalniający go z urzędu. Przede wszystkim ci ludzie w Warszawie w większości byli wychowani w szkole rosyjskiej i nie zdając sobie nawet z tego sprawy przenosili rosyjskie wzory na Galicję wschodnią, gdzie była całkowicie inna sytuacja. Wiele było jeszcze do uratowania. Główna partia ukraińska UNDO była za kompromisem. Istniał też rząd emigracyjny tej zachodnioukraińskiej republiki. Polska ten kraj podbiła, czego Polacy nie chcą przyznać. Po raz pierwszy stwierdził to wyraźnie właśnie Maciej Kozłowski w swej wspomnianej już tutaj książce „Między Sanem a Zbruczem”. Nie musimy tego pochwalać, że Ukraińcy próbowali przejąć władzę w listopadzie 1918 roku przed Polakami, ale trzeba to zrozumieć. Podobnie jak nasze powstania śląskie. U nas jest kult powstań śląskich. A dlaczego były powstania śląskie? — żeby uprzedzić Niemców. My z kolei mamy pretensje do Niemców, pisze się o tym, że Niemcy zrobili takie świństwo, że tam też ochotnicy niemieccy spoza Śląska walczyli. A Polska zagwarantowała, że armia Hallera nie zostanie użyta we Lwowie, lecz została użyta. Na początku opór polski we Lwowie przeciwko Ukraińcom był rzeczywiście spontaniczny, ale potem szła zorganizowana pomoc z Polski, i z Krakowa, i z Warszawy, a potem właśnie armia Hallera dobiła tę armię zachodnioukraińską.

A.S.: — *Tak więc źródłem tych wszystkich współczesnych resentymentów i urazów polsko-ukraińskich są — zdaniem Pana — głównie wydarzenia z 1918 roku i późniejsza polityka władz Rzeczypospolitej wobec Ukraińców.*

A.V.: — Gdyby nie było tego, co się stało w roku 1918, w 1920 i potem tej całej nieszczęsnej i głupiej polityki lat 1920-1939, to sytuacja wyglądałaby całkiem inaczej.

A.S.: — *Polacy mają pretensje do Ukraińców, że w 1939 roku strzelali do naszych żołnierzy.*

A.V.: — Być może niektórzy Ukraińcy strzelali. Były przecież terrorystyczne ugrupowania ukraińskich nacjonalistów. Podobnie zresztą jak Polacy strzelali do Rosjan w 1905, w 1917 itd.

A.S.: — *Zresztą Ukraińcy wzorowali się w tym na Polakach.*

A.V.: — Naturalnie. Tych ludzi zamykano do Berezy i żeby ich wychować na dobrych Polaków, to dawali im do czytania pisma Piłsudskiego.

A.S.: — *No tak. Oni dostawali do ręki gotową instrukcję zamachów terrorystycznych.*

A.V.: — Oczywiście. No bo czym był zamach pod Bezdanami? To był klasyczny zamach terrorystyczny. Wprawdzie ze szlachetną motywacją, że są to nasze, polskie pieniądze, które wywożą do Rosji.

A.S.: — *Ale ja pragnę tu wtrącić uwagę, która może nieco zamiesza ten klarowny obraz. Wydaje się, że można postrzec pewną istotną różnicę między tak zwanymi akcjami terrorystycznymi polskich ugrupowań niepodległościowych w wieku dziewiętnastym i na początku dwudziestego, a zamachami terrorystycznymi organizacji rosyjskich w tym samym czasie, jak też ukraińskich w okresie dwudziestolecia międzywojennego w Polsce. Polacy na przykład nie kierowali swych zamachów przeciwko osobom przypadkowym.*

A.V.: — Ukraińcy do 1939 roku też tego nie robili.

A.S.: — *A Pieracki?*

A.V.: — Pieracki nie był ofiarą przypadku. Był ministrem spraw wewnętrznych.

A.S.: — *Ale czy Pieracki był akurat takim wrogiem Ukraińców zasługujących na śmierć w zamachu terrorystycznym?*

A.V.: — Przypuszczam, że nie chodziło o osobistą wrogość, tylko o to, że on był odpowiedzialny za „pacyfikację”. Zresztą takich pytań żadni terroryści sobie nie stawiają.

A.S.: — *Czyli zamachowcy wybrali jego jako człowieka odpowiedzialnego?*

A.V.: — Tak przypuszczam.

A.S.: — *To jest też niejednoznaczne, bo Pieracki jest w wielu polskich opracowaniach, w tym także „Kultury” paryskiej i „Zeszytów Historycznych”, przedstawiany jako polityk, który reprezentował koncepcję pewnej ugody z Ukraińcami.*

A.V.: — Jeżeli się naprzód przeprowadza „pacyfikację”, a potem się chce ugody? Gdyby Polacy w 1930 roku zamiast „pacyfikować” Galicję doprowadzili do jakiejś ugody — to by nikt do Pierackiego nie strzelał. Ale jeśli się najpierw robi „pacyfikację” w pokojowym kraju... W 1930 roku, to trzeba podkreślić, legalny i suwerenny rząd Rzeczypospolitej posłał wojsko do pokojowych wsi ukraińskich. Ten ukraiński ruch terrorystyczny został sprowokowany przez naszą polską politykę. Zresztą wbrew woli większości społeczeństwa ukraińskiego, bo ono w przygniatającej większości było przeciw terroryzmowi, a szczególnie ostro potępiał go najwyższy autorytet moralny kraju, metropolita Szeptycki. Po 1919 roku nie zrobiono żadnego poważnego gestu wobec Ukraińców. To był przecież jeszcze za panowania Austrii kraj dwujęzyczny, dwunarodowościowy, z liczną przewagą Ukraińców. Kraj, w który Ukraińcy mieli swoje szkoły itp. To wszystko starano się z jakąś okropną małostkowością utrudniać, utracać, szykanować. Przez całe dwadzieścia lat. Zresztą bywają mądre reakcje na terroryzm i głupie.

Wracając do „pacyfikacji” Galicji w 1930 roku. To nie była — oczywiście — masakra i nie było też takiego zamiaru. Ale jeżeli w czasie pokojowym do wsi przybywa oddział ułanów z zamiarem pacyfikacji, to dojść musi do wielu krzywd i niesprawiedliwości. Taki przykład. Po skończeniu studiów, to było bodaj w 1956 roku, zostałem zaproszony przez pewnego przyjaciela mego Ojca, który był archimandrytą, czyli przeorem greckokatolickiego klasztoru ukraińskiego w Walii. Tam przez kilka miesięcy pełniłem funkcję sekretarza-bibliotekarza. Miałem dość dużo wolnego czasu, pisałem pracę doktorską. Był tam też taki nowicjusz, mówiący po polsku, młody człowiek, Ukrainiec, syn wójta gdzieś spod Tarnopola. Wieczorami często rozmawialiśmy

po ukraińsku. Był to człowiek prawdziwie chrześcijański. Miał bardzo ciężkie przeżycia, od kiedy go Niemcy wywieźli na roboty, zwłaszcza pod koniec wojny. Opowiadał właśnie też o owej pacyfikacji. W tym czasie ojciec jego był wójtem. Żołnierze wmieszali do zboża tłuczone szkło, jako karę. Wójtą pobili i wrzucili do gnojówki. Ten młody człowiek powiedział, że gdyby ojca przedtem nie pobili, to by z tej gnojówki wyskoczył i uratował się, a tak to się w niej utopił. I on to opowiadał, muszę podkreślić, ze smutkiem, ale bez nienawiści.

A.S.: — *Czy wolno zatem sformułować taki ogólny pogląd, że władze i politycy II Rzeczypospolitej nie mieli żadnego sensownego programu ani żadnej rozsądnej koncepcji rozwiązania problemu ukraińskiego?*

A.V.: — Nie mieli w ogóle.

A.S.: — *Poza postawą siły.*

A.V.: — Były co najwyżej pewne próby. Na przykład, ta wspomniana już grupa skupiona wokół „Polityki”. Potem jednak doszło w wyniku spirali terroru do tragedii w czasie II wojny. Polacy liczą około pięćdziesiąt tysięcy Polaków zabitych przez Ukraińców. Ukraińcy twierdzą, że ich było około dwadzieścia tysięcy. A Ukraińcy liczą około trzysta tysięcy zabitych w latach 1941-1946 przez Polaków.

A.S.: — *Czy te liczby są jakoś wiarygodne?*

A.V.: — Nie wiem, tego nikt nie wie. Ale też i nie o to chodzi. Czy może dojść do pojednania Polaków z Niemcami, jeżeli wciąż będziemy liczyli, że oni zamordowali tylu Polaków, a my „tylko” tylu Niemców?

Wedle tezy ukraińskiej, która nie wiem czy jest prawdziwa, ta spirala gwałtu zaczęła się 17 września 1943 roku. Niemcy nie chcieli wojny domowej na Ukrainie. To zrozumiałe. Bali się, że jak się zacznie wojna domowa, to wtedy będą oddziały partyzanckie, które wcześniej czy później obrócą się przeciwko nim. Także Niemcy starali się tam utrzymywać spokój. Ta wojna polsko-ukraińska zaczęła się od szeregu zamachów na Ukraińców, które rzekomo miała przeprowadzić Armia Krajowa właśnie 17 września 1943 roku. To była chyba jednak prowokacja, bo nie bardzo wierzę, aby AK uderzyła na Ukraińców właśnie 17 września, w kolejną rocznicę wkroczenia wojsk bolszewickich. To przecież nie miało nic wspólnego z zatargiem polsko-ukraiń-

skim. Natomiast jeżeli przyjąć, że tego dokonali komuniści lwowscy, to bardziej wyjaśnia sprawę. W odpowiedzi na to nacjonalistyczne organizacje ukraińskie zabiły szereg Polaków. I tak to się zaczęło. Walka wszystkich przeciwko wszystkim.

Bardzo ładnie i mądrze powiedział pewien młody człowiek w czasie swojego wystąpienia na owym, już wspomnianym przeze mnie sympozjum w Łodzi w 1988 roku, poświęconym problematyce polsko-białorusko-ukraińskiej. Ten młody człowiek, Ukraińiec studiujący w Gdańsku, ma, jak wyznał, wielu przyjaciół Polaków, ale z nimi nigdy o tych sprawach nie rozmawiał. Dla nich, dla jego pokolenia, to jest już prehistoria, to były czasy Apokalipsy. Czy teraz, zapytał, należy się zastanawiać i rozsądzać kto jak się w latach Apokalipsy zachowywał, czy nie należy raczej zostawić tego Panu Bogu, a teraz mówić o przyszłości?

I to jest głęboko słuszne.

Konieczne jest wprowadzić, abyśmy znali tę smutną i tragiczną historię, szczególnie tę najnowszą, od 1918 roku. Bo urazy po obu stronach pozostały.

A.S.: — *Urazy pozostały. Ale wróćmy do teraźniejszości. Rozmawiałem niedawno z polskimi urzędnikami z naszego MSZ-tu, którzy przebywali również wśród Polonii na Ukrainie...*

A.V.: — Ale to nie byli komunistyczni urzędnicy?

A.S.: — Nie, ta rozmowa odbyła się w końcu 1990 roku, więc chyba nie byli to urzędnicy komunistyczni. Otóż oni opowiadali, że spotykali się z różnymi działaczami ukraińskimi i nieustannie wysłuchiwali pretensji pod adresem Polski i Polaków, dość jednostronnych i niesprawiedliwych, że obecnie w Polsce wciąż prześladowuje się Ukraińców. Oni zaś na to opowiadali: jakże to; jest przecież szkoła ukraińska, są prawa dla mniejszości, jest Ukraińiec, doktor Włodzimierz Mokry, w parlamencie. Nie może być zatem, twierdzili, mowy o żadnych prześladowaniach mniejszości w Polsce.

Nie oceniam tego, tylko przekazuję. Skądinąd jednak, to już moje zdanie, wydaje się, że Polska dzisiaj nie prowadzi żadnej aktywniejszej polityki, w tych ramach, w jakich może, wobec Ukrainy i Ukraińców.

A.V.: — Sprawy ukraińskie w Polsce śledzę od 1956 roku. Nie chcę nikogo sądzić. Ci urzędnicy też pewnie niewiele wiedzą. Pan wie, że Michnik i delegacja Solidarności byli we wrześniu 1989 roku na zjeździe założycielskim „Ruchu”, owej wspomniani-

nej już organizacji ukraińskiej. Oto dowód braku rozeznania w tych sprawach w Polsce: wzięli do tej delegacji także Bogdana Borusewicza i on o tym pisał gdzieś w polskiej prasie, w „Tygodniku Powszechnym”, czy też w „Tygodniku Solidarność”. Z jego artykułu wynikało, że on nie ma zielonego pojęcia o Ukrainie. Uważali, na przykład, że z Ukraińcami należy mówić po rosyjsku, co jest w najlepszym wypadku — nietaktem. Tak nie można i nie należy. Można z nimi mówić po polsku, po niemiecku, ale nie po rosyjsku, bo im się imputuje, że są Rosjanami. Tak samo z Litwinami nie należy zaczynać mówić po polsku, trzeba inaczej, chyba, że oni sami zaczną. Bo to są stulecia kompleksów. Dlaczego Litwini boją się Polaków? Zabraliśmy im całą warstwę kulturalną, całą arystokrację. My, Polacy, o tym nie pamiętamy. Ten kto zabrał — nie pamięta, ale ten komu zabrali — pamięta bardzo długo.

A.S.: — *Wedle naszej polskiej interpretacji, to było pokojowe przyciąganie wyższych warstw litewskich (ale i ukraińskich) do polskiej kultury i języka. Dla Litwinów te spolonizowane rody i rodziny są reneгатami narodowymi.*

A.V.: — I to było przyciąganie, i mądry Litwin przyzna, że zostali przyciągnięci, ale faktem pozostaje, że Litwini stali się chłopami, bez warstwy przewodniej. Podobnie jak Niemcy zabrali Czechom całą warstwę przewodnią.

A.S.: — *Ale wróćmy do współczesnych problemów polsko-ukraińskich.*

A.V.: — Większość Polaków nie ma pojęcia, jak traktowano mniejszość ukraińską w Polsce od zakończenia wojny. Jeden gest nie może naprawić wszystkiego. Może być początkiem, ale nie widać dalszego ciągu. Nie można tak łatwo naprawić czterdziestu lat prześladowania. Ludzie się bali mówić po ukraińsku. Do dzisiaj jeszcze, jak ktoś zacznie mówić po ukraińsku, zdemaskuje się jako Ukraińiec — to reakcja jest wroga. Mówią: banderowcy z czarnym podniebieniem. A banderowiec w Polsce jest obelgą. Dla Ukraińców natomiast to nie jest obelgą, bo banderowcy to była grupa polityczna, której twórca i przywódca siedział w obozie hitlerowskim całą wojnę od 1941 roku i uważał (jak swego czasu Piłsudski), że można organizować po stronie niemieckiej oddziały w celu wyzwolenia Ukrainy. W czasie swoich ostatnich wizyt w kraju doznałem jeszcze wielu objawów niechęci, a nawet nienawiści wobec Ukraińców.

A.S.: — *Do tego doszła, o czym nie wspominaliśmy, akcja „Wisła”.*

A.V.: — Akcję „Wisła” potępił senat Rzeczypospolitej, ale sejm nie potępił. Była to typowa zbrodnia stalinowska. Wypędzeni ludzie nie mogą do dzisiaj wrócić na swoje ziemie. Używa się kłamliwego argumentu, że tam już mieszkają inni. To nieprawda. Był Pan tam?

A.S.: — *Tak, byłem tam przed laty i to było przerażające. Widok tych opuszczonych, zniszczonych wsi. Zdziczałe sady i resztki po dawnych zagrodach, zarośnięte, przysypane. Można się domyślać, że to były niegdyś gospodarstwa.*

A.V.: — Tych ludzi tam nie puszczają od 1956 roku. Niektórzy tylko tam chyłkiem, kogoś przekupując, wrócili. Ale większość nie. To już ostatnia chwila, bo za parę lat nikt nie będzie chciał tam wrócić, jak wymrze to pokolenie. Czy zrobiono coś w tym kierunku? A trzeba uchwalić przepisy oddające im ich własność i przyznać im odszkodowania. Niemcy, których wyrzucano w czasie wojny skądkolwiek — dostali odszkodowania. To była, muszę powiedzieć, bardzo piękna solidarność narodu niemieckiego. Ale ogólne nastawienie Polaków do Ukraińców jest złe albo przynajmniej doskonale obojętne.

A.S.: — *Ja myślę, że Polacy i władze wcale nie chcą, aby Ukraińcy znów zamieszkali na terenach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej jako mniejszość narodowa na zwartym terytorium. Przeciwnie, Polacy teraz właśnie chętnie się tym, że Polska jest niemal jednolita narodowościowo i wyznaniowo, i nikt nie chce tego w najmniejszym stopniu zmieniać.*

A.V.: — No to nie można mówić, że nie ma już dzisiaj w Polsce prześladowania Ukraińców, a jeśli nie dosłownie prześladowania, to jednak znowu szykan, niechęci i wprost nienawiści. Jest to przecież głęboko niechrześcijańskie i może się odbić jak najfatalniej na stosunkach z całym narodem ukraińskim. A przecież Polacy i Ukraińcy zawsze będą sąsiadami i dobre stosunki są, z czego znowu niewielu Polaków zdaje sobie sprawę, kwestią życia i śmierci dla obu narodów. Aby jednak nie zakończyć zbyt pesymistycznie: coraz więcej osób poważnych, jak mi się zdaje, widzi te problemy.

czerwiec 1990 — kwiecień 1991

rozmawiał Andrzej SZULCZYŃSKI
(wywiad autoryzowany)

W sowieckiej prasie

Rosja przystąpiła dziś do wyborów. Wybiera — po pierwsze — pierwszego rosyjskiego prezydenta. Gazety zachodnie piszą: po raz pierwszy w tysiącletniej historii wybiera się cara Rosji. To, rzecz jasna, nie jest ściśle: cara po raz ostatni wybrano w roku 1613, choć nie w głosowaniu powszechnym, które wtedy jeszcze nie istniało. Ponadto współcześni Rosjanie wybierają burmistrzów Moskwy i Leningradu. Wreszcie mieszkańcy kolebki rewolucji decydują, czy ma ona nadal nosić imię Lenina, czy wrócić do swej pierwotnej (od 1703 r.) nazwy Sankt Petersburg.

O wyborach łatwo pisać, kiedy znane są ich wyniki: wtedy wnioski wyciąga się z rezultatów, dzięki czemu nie sposób się pomylić. Z powodu terminów druku numeru *Kultury* muszę niniejszy przegląd napisać, zanim zostaną podliczone głosy. Rezultaty jednak nietrudno przewidzieć. Prezydentem zostanie Borys Jelcyn. Nie wiadomo tylko, czy już w pierwszej turze, czy w drugiej, za dwa tygodnie. Nie wiadomo też, ile dostanie głosów. Burmistrzami dwóch największych miast Rosji zostaną obecni przewodniczący rad miejskich: w Moskwie Gawriił Popow, w Leningradzie Anatolij Sobczak. Kiedy w swoim czasie objęli te stanowiska, świat był zaskoczony: pobili oficjalnych kandydatów, co uznano za zwycięstwo *pieriestrojki* i Gorbaczowa. Dzisiaj obaj popierają Jelcyna i uważają, że powszechne głosowanie zwiększy ich autorytet i da im rzeczywistą władzę, której do tej pory nie mieli. Nie mają poważnych konkurentów i nie należy oczekiwać niespodzianek. Natomiast trudno przewidzieć, co zdecydują leningradczycy w sprawie nazwy miasta; głosy, wydaje się, zależą od wieku. Starsi są za Leningradem, młodzi — za Sankt Petersburgiem.

Niezależnie od faktu, że wynik wyborów prezydenckich nie ulega wątpliwości, kandydaci (nawet przegrani) zasługują na uwagę, podobnie jak kampania wyborcza i jej odbicie w prasie.

Do stanowiska prezydenta Rosji kandydowało sześć osób. Każda z nich dobrała sobie kandydata na wiceprezydenta. Przyjrzyjmy się im. Pierwszy w porządku alfabetycznym jest Wadim Bakatin (lat 53), niedawny minister spraw wewnętrznych, członek rady bezpieczeństwa ZSSR, uchodzący za demokratę i zwolennika Gorbaczowa, członek KPZS, Rosjanin. Jelcyn proponował mu godność wiceprezydenta, Gorbaczow skłonił go do kandydowania na najwyższe stanowisko. Bakatin wybrał sobie na zastępcę Ramazana Abdulatipowa, Awarca urodzonego w Dagestanie, przewodniczącego rady narodowości w Radzie Najwyższej RSFSR. Następnym kandydatem jest Borys Jelcyn (lat 60). O nim wszystko wiadomo. Na wiceprezydenta proponuje Aleksandra Ruckiego, pułkownika lotnictwa, boha-

tera wojny w Afganistanie, członka KPZS, Rosjanina, który niespodziewanie przyszedł Jelcynowi w sukurs podczas dyskusji na zjeździe deputowanych Rosji: rozbił mianowicie komunistyczną frakcję organizując grupę „Komunistów demokratów” i w ten sposób zapobiegł zmieceniu Jelcyna ze stanowiska przewodniczącego Rady Najwyższej RSFSR. Następny w szeregu jest kandydat Liberalno-Demokratycznej Partii ZSSR, Władimir Żyrynowski (lat 45), znawca języków wschodnich i prawnik, Rosjanin. Jego wiceprezydentem ma być Ukrainiec, Andrzej Zawidija, prezes rozgałęzionego koncernu „Haland”, czyli przedstawiciel tzw. kręgów przemysłowych. Zaskakującym kandydatem jest Albert Makaszow (lat 53), generał-pułkownik, dowódca Nadwołżańsko-Urałskiego Okręgu Wojskowego, Rosjanin, członek KPZS. Na wiceprezydenta generał zaprosił ekonomistę Andrieja Siergiejewa, kierownika katedry w Akademii Pracy i Stosunków Społecznych, do niedawna zwanej Szkołą Nauk Społecznych przy KC KPZS. Za najważniejszego konkurenta Jelcyna uchodzi były premier Nikołaj Ryżkow (lat 61), Rosjanin, członek KPZS. Jego kandydatem na wiceprezydenta jest generał-pułkownik Borys Gromow, obecnie wiceminister spraw wewnętrznych, były dowódca 40-tej armii sowieckiej, która walczyła w Afganistanie. Wreszcie szósty kandydat — przewodniczący kemerowskiego obwodowego sovietu Aman-Geldy Tulejew (lat 46), Kazach, członek KPZS. Kemerowo jest jednym z ośrodków strajków górniczych w Zachodniej Syberii. Tulejewa zaproponowali górnicy i kolejjarze. Jego kandydatem na wiceprezydenta jest inżynier, naczelnik kombinatu w Kuzbasie Wiktor Bogarow.

Co się rzuca w oczy, gdy tak przeglądamy listę kandydatów? Z sześciu pretendentów do prezydentury Rosji czterej należą do KPZS, jeden jest bezpartyjny (Jelcyn, który rok temu złożył legitymację partyjną), a jeden — liberalny demokrat. Potencjalni wiceprezydenci należą wszyscy do partii. Pięciu pretendentów to Rosjanie. Jest to ważne: 80% mieszkańców RSFSR (ogółem 145 mln) stanowią Rosjanie. Na uwagę zasługuje też liczba wojskowych: jeden kandydat na prezydenta i dwóch na wiceprezydenta. W programach kandydatów udział armii jeszcze bardziej rzuca się w oczy.

Widziałem niedawno w *Literaturnoj gazecie* zabawną fotografię. Na fasadzie GUM-u, centralnego moskiewskiego domu towarowego przy Placu Czerwonym, wisi gigantyczny transparent „Zgoda społeczna warunkiem *pieriestrojki*”. W tle napisu widać kolumnę czołgów defilujących przed mauzoleum, na którym stoją uśmiechnięci przywódcy. Nie wiem, czy fotograf zrobił to świadomie czy nie, ale udało mu się wyrazić stan ducha większości ludu sowieckiego — marzenie o zmianach i strach przed chaosem, wobec którego czołgi wydają się zaporą.

Programy kandydatów na prezydenta są, jak przystoi na kampanię wyborczą, mgliste i pełne obietnic. Borys Jelcyn obiecuje rynek i powszechny dobrobyt, generał Makaszow porządek, stabilność i powszechną zgodę. Rynek, jego zdaniem, nadaje się dla Zachodu.

du — „rosyjski kapitalizm będzie miał straszne, nieludzkie oblicze”. Ryżkow przypomina, że był jednym z inicjatorów *pieriestrojki* i tylko ustawiczne wahania Gorbaczowa nie pozwoliły mu uzdrowić gospodarki. Bakatin zapewnia, że trzeba „regulować przejście do rynku”, a tymczasem „przerwać niekończące się spory ideologiczne, co jest socjalistyczne, a co kapitalistyczne”. Tulejew twierdzi, że zacząć należy od walki z przestępczością, skończyć ze światem przestępczym „z całą determinacją i okrucieństwem”. Zgadza się z tym Makaszow, gotowy do wprowadzenia kary chłosty (knutem) na Placu Czerwonym dla bumelantów. Żyrynowski obiecuje wszystko wszystkim, w tym powszechną sprzedaż wódki i zamknięcie niepokornych gazet. Niektóre z tych obietnic mogą się wydać dziwne, ale francuska dziennikarka Sylvie Kauffmann przypomina w korespondencji z Moskwy, że w ubiegłym roku w Polsce też wszyscy śmiali się z kandydatury Stanisława Tymińskiego.

Za różnicami między kandydatami i ich programami łatwo dostrzec kilka idei, którym wszyscy pozostają wierni. Nie myślę nawet o wszechobecności partii komunistycznej, niekiedy tylko lekko zawołowanej. Wszyscy pretendenci do funkcji prezydenta największej republiki sowieckiej — 17 mln km², czyli 75% terytorium ZSSR, i 148 mln mieszkańców, czyli 52% ogółu ludności — zgadzają się co do dwóch punktów. Po pierwsze, trzeba zachować Związek Sowiecki. Formułują to w sposób zniuansowany. Jelcyn chce rozszerzyć prawa republik i przekształcić Związek Sowieckich Republik Socjalistycznych w Związek Sowieckich Suwerennych Republik. Żyrynowski, jak przystoi demokraci i liberałowi, proponuje aby zlikwidować republiki i wrócić do przedrewolucyjnego systemu administracyjnego z gubernatorami na czele prowincji. Między tymi dwiema koncepcjami Związku mieszczą się wszyscy kandydaci.

Drugi wspólny im wszystkim punkt to zażarta miłość do wojska. Podczas kampanii wyborczej wszystkie sowieckie środki informacji poświęcały dużo miejsca wizerunkom i programom kandydatów, z reguły chwalcąc swojego i oblewając pomyjami konkurentów. Najwierniej, moim zdaniem, odzwierciedlał atmosferę przedwyborczą organ ministerstwa obrony ZSSR *Krasnaja Zwiezda*. Wojskowa gazeta nie ukrywała swoich sympatii, wzywała żołnierzy do głosowania na Ryżkowa, mieszała z błotem Jelcyna, w każdym numerze zamieszczała materiały o trudnościach gospodarczych, społecznych i in. w republikach nadbałtyckich. Zarazem — publikując wywiady z kandydatami — ironicznie podkreślała ich nagle zainteresowanie armią i troskę, aby jej nieba przychylić. Jelcyn wyraził swoje zainteresowanie siłami zbrojnymi, wybierając na swego zastępcę pułkownika i uroczyście obiecując, że podniesie zarobki żołnierzy i oficerów. Za nim poszli inni, prześcigając się w obietnicach. Także tu najlepiej wypadł Żyrynowski, który przysięgał, że każdy oficer dostanie żołd wysokości 4.000 rubli (średnia pensja wynosi ok. 200).

Komentator *Krasnoj Zwiezdy* Wiczesław Łukaszewicz zatytuło-

wał tygodniowy przegląd wydarzeń „Rosyjscy pretendenci — rewans przed armią” (1.6.) Łukaszewicz tłumaczy ich nagłą miłość do wojska zwykłą kalkulacją — razem z rodzinami oficerów i szeregowych, armia może dać 4-5 milionów głosów. Ogółem jest 105 milionów wyborców, ale solidny blok wojskowych stanowi łakomy kąsek dla kandydatów. Nawiasem mówiąc nikt nie wie, jak będą głosowali wojskowi. Najprawdopodobniej różnie, ale widać wyraźnie, że planuje się stworzenie jakiejś wojskowo-politycznej organizacji o funkcjach zdecydowanie ochronnych. Pod koniec maja zebrała się w Moskwie pierwsza Wszechrosyjska Konfederacja Wojskowych Internacjonalistów. Pod tą nazwą kryją się ci, którzy „udzielili pomocy narodom Korei i Laosu, Algerii i Egiptu, Wietnamu i Syrii, Chin i Angoli, Mozambiku i Etiopii, Kuby i Nikaragui”, a zwłaszcza Afganistanu. Przemawiający na konferencji bohaterowie licznych komunistycznych wojen podkreślali, że dziś pomocy trzeba udzielić własnej ojczyźnie. „W skomplikowanych warunkach sytuacji wewnętrzpaństwowej armia pozostaje niezawodnym gwarantem nienaruszalności Związku Sowieckich Republik Socjalistycznych, rękojmnią stabilności społecznej i pokoju, ostoją bezpiecznego rozwoju społeczeństwa” — czytamy w apelu zebranych do żołnierzy i oficerów armii sowieckiej. Uczestnicy konferencji postanowili zorganizować w przyszłym roku wszechzwiązkowy zjazd zjednoczeniowy wojskowych internacjonalistów. Być może powstanie wtedy organizacja, a może nawet partia. Chociaż wojskowi internacjonałści zaprotestowali przeciwko twierdzeniom, jakoby należało usunąć KPZS z szeregów armii.

Kandydatów jest sześciu, ale pretendentów dwóch. Wygra na pewno Jelcyn. Jego głównym konkurentem jest Nikołaj Ryżkow. Jeden uchodzi za kandydata narodu, drugi — partii komunistycznej. O ile drugi przypadek (Ryżkow) nie budzi wątpliwości, to pierwszy (Jelcyn) — wydaje się sporny. Nie ulega wątpliwości, że kampania wyborcza przebiegała za albo przeciw Jelcynowi. Główne gazety partyjne — *Prawda*, *Sowietskaja Rossija* i inne — bezustannie oskarżały Jelcyna o wszystkie grzechy główne. Pozwolę sobie zwrócić nawiasem uwagę, że głównym oskarżycielem był historyk Roj Miedwiediew, kiedyś przyjaciel Sacharowa i „dysydent”, znany na Zachodzie przez długie lata nie tylko jako autor antystalinowskiej a proleninowskiej książki pt. „Pod sąd historii”, ale też jako propagandysta Andropowa. Dziś wiadomo, że był to jego główny protektor. Na początku *pieriestrojki* Miedwiediew stanął w szeregach gorących zwolenników Gorbaczowa, został deputowanym ludowym i wypowiedział wojnę Jelcynowi. W wywiadzie dla *Krasnoj Zwiezdy* (4.6.) zapowiada, że Jelcyn nie zdobędzie większości w pierwszej turze, co najwyżej „czterdzieści procent z kawałkiem”. Tak, zdaniem Miedwiediewa, powinno być, bo Jelcyn to „demagogia polityczna, ambicje, trajkotanie, gadanina, populistyczne hasła — nic poza tym”. Kilka dni później Miedwiediew posunął się dalej i w *Sowieckiej Rossiji* oznajmił, że Jelcyn jest związany z mafią sycylijską.

Borysa Jelcyna tak mieszają z błotem, że człowiek ma ochotę stanąć w jego obronie. Byłoby to jednak przedwczesne, nie tylko dlatego, że i tak zwycięży, ale też dlatego, że nikt właściwie nie wie, jaki ma program. Niedawne przymierze z Gorbaczowem wskazuje na związek obu przywódców, który trwa już sześć lat mimo wybuchających od czasu do czasu różnic zdań, spowodowanych osobistym współzawodnictwem. W swoim czasie Jelcyn był młodszym partnerem Gorbaczowa. Dziś pozycja przyszłego prezydenta Rosji się zmieniła. Ale Gorbaczow jeszcze wciąż ma w ręku materialne instrumenty władzy. Najważniejsze jednak jest co innego, mianowicie fakt, że są sobie nawzajem potrzebni dla znormalizowania sytuacji w kraju. Tylko Gorbaczowowi Zachód przyzna niezbędne kredyty. Tylko Jelcyn zdoła utrzymać ludzi w ryzach.

Zachwyt jest uzasadniony: jeszcze wczoraj system był totalitarny czy, jak lubi wyrażać się Gorbaczow, nakazowo-rozdzielczy, a dziś — wolne wybory. Jednak i wątpliwości są — moim zdaniem — uzasadnione. Niezauważalnie, ukryta w tumanie chaosu gospodarczego, postępuje normalizacja. Widać już zarys przyszłego porządku, „odnowionej, żywej, demokratycznej federacji suwerennych republik”. Znowu zacytowałem Gorbaczowa. Kiedy mówi się o Związku Sowieckim, zwraca się przede wszystkim uwagę na zbuntowane republiki. Ale trzon Związku Sowieckiego stanowi dziewięć republik, które optowały za Związkiem: trzy słowiańskie i sześć mułumańskich. Razem zajmują one ponad 90% terytorium i ludności. W tych republikach wysuwają się na czoło przywódcy, przewidziani w pierwotnym planie *perestrojki*: narodowi bolszewicy. Kiedy dojdzie do wyborów na Ukrainie, wybrany zostanie — nie mający dziś konkurenta — przewodniczący Rady Najwyższej republiki, Leonid Krawczuk, wczorajszy drugi sekretarz KC KP Ukrainy, odpowiedzialny za ideologię. Sam o sobie mówi, że jest komunistą i nacjonalistą — umiarkowanym. W Kazachstanie w wolnych wyborach na pewno zwycięży pierwszy sekretarz KC Nursułtan Nazarbajew, tak jak w innych azjatyckich republikach zwyciężą tamtejsi pierwsi sekretarze.

W epoce Breżniewa sekretarze republikańscy zdobyli absolutną władzę na swoich terenach, pozostawiając Moskwie tylko decyzje strategiczne. Dziś (albo jutro) zostanie to przypieczętowane prawem. Niewykluczone, że pierwsza linijka sowieckiego hymnu — „Nietykalny związek swobodnych republik na wieki splełta wielka Ruś” — nabierze „demokratycznego” sensu...

12.6.1991

Adam KRUCZEK

Kompleks Budrysa

Polacy mają trudności z wejściem do Europy. Na przeszkodzie stoi słabość gospodarcza. Zachodnia część naszego kontynentu oddaliła się od gospodarki wschodu, poddanej przez wiele lat komunistycznej władzy. Niektórzy widzą w tych różnicach ekonomicznych dowód cywilizacyjnej odrębności i utożsamiają Europę z wysokim poziomem życia, kulturą pracy, demokracją, tolerancją. Ich brak w Polsce uniemożliwia naszą integrację i stawia pod znakiem zapytania polskie dążenia do włączenia kraju w europejski system polityczny i społeczny.

Problemy gospodarcze nakładają się w krajach dawnego bloku sowieckiego na choroby moralne: ksenofobię, szowinizm, partykularyzm, rewindykację terytorialną. Społeczeństwa tego obszaru traktują historię instrumentalnie. Wybierają to, co jest im wygodne, a pozostałą resztę spychają w niepamięć. W Polsce z uwagi na siłę tradycji obciążenia przeszłością są silniejsze niż gdziekolwiek indziej. Polska mania wyższości wyrasta z poczucia dawnej chwały historycznej. Większości rodaków łopoczą nad plecami husarskie skrzydła. Cecora, Kirchholm, odsiecz wiedeńska służą za argumenty do uzasadnienia współczesnej przewagi nad sąsiadami. Trudno traktować z góry Niemców, ale Czesi, Litwini, Ukraińcy, Białorusini na każdym kroku odczuwają polską megalomanię. Jej bezpośrednim skutkiem były kłopoty w ułożeniu sobie dobrego sąsiedztwa Polski z państwami otaczającymi, czego nie naprawił nawet mit „Solidarności” i niewątpliwý wpływ tego ruchu na zmiany w całej Europie Środkowo-Wschodniej.

Polacy są mało lubiani. Nawet papież nie przysporzył Polsce sympatii, może dlatego, że w ustach rodaków nabierał cech narodowego przywódcy, a jego uniwersalne posłanie sprowadzano do obrony ojczystych interesów. Nic dziwnego, że po okresie wspólnych walk o wyzwolenie spod komunizmu, kiedy polską opozycję wiele łączyło z czeskimi, rosyjskimi czy węgierskimi dysydentami, obecnie więcej jest nieporozumień i kontrowersji niż zrozumienia. Bez wątpienia zaciążyło nad dzisiejszą sytuacją objęcie władzy, które poróżniło niedawnych przyjaciół. Teraz muszą się liczyć z racją stanu swoich państw. Łatwiej było o przyjaźń w podziemiu niż w salach prezydenckich pałaców i gabinetach ministerstw. Nie zmienia to jednak potrzeby szukania pomostów. Zarówno między nami, jak i w stronę Wspólnoty Europejskiej. W przeciwnym wypadku dojdzie do bałkanizacji również tej części Europy. Słaba gospodarczo i skłócona politycznie będzie łakomym kąskiem dla mocarstw. Pierwsze sygnały już widać. Budzą niepokój, ale nadal nie w tych kręgach, które podejmują decyzje bądź wpływają na opinię publiczną.

Polska elita cieszy się dobrym samopoczuciem. Bardziej zajmują ją własne sprawy niż zewnętrzny wymiar zjawisk. Nie chce podjąć dialogu z sąsiadami. Tym to dziwniejsze, że reprezentanci elity czerpią swoje poczucie odrębności z poczucia misji. Szkoda, że kończy się ona na rogatkach Warszawy czy Krakowa. Ich wzrok nie sięga dalej. Zaledwie kilku maniaków — a może marzycieli? — dostrzega Wilno czy Lwów. Prawie nikogo nie obchodzi Kijów i Mińsk. Na polskiej mapie tamte społeczeństwa są niewidoczne. Cywilizacja jest na zachodzie. Wschód nie budzi zainteresowania.

Z tego wynika doraźność polskiego myślenia o wschodnich sąsiadach. Okazywane niekiedy współczucie — np. w czasie styczniowej agresji wojsk sowieckich na Wilno — przeplata się z milczeniem. Stosunek władz Rzeczypospolitej do wybijającej się na niepodległość Republiki Litwy jest dobrym przykładem podwójnej miary, jaką Polska przykłada do problemów sąsiadów. Litwini odczuwają to tym dotkliwiej, że przez kilkadziesiąt lat wchodzili wspólnie z nami w skład jednego państwa. Tak jak przed 1939 rokiem trudno im było zrozumieć brutalność polskiej aneksji Wilna i Wileńszczyzny, tak dzisiaj mają trudności z odczytaniem prawdziwych intencji Polski. Czy prawdą są emfaticzne deklaracje senatorów i posłów, którzy chcieli w styczniu umierać za Wilno, czy też ostrożny charakter oficjalnej polityki, tak odległej od etyki „Solidarności”?

Nikt nie wytłumaczył jasno, dlaczego Polska zwleka z uznaniem Litwy. Można przyjąć, że naciski sowieckie utrudniają wyrażenie jasnej opcji, ale na szczęście Moskwa jest podzielona, także co do kwestii niepodległości państw bałtyckich. Warto z tego wyciągnąć wnioski.

Kto wie jednak, czy przyczyną pozornego tylko popierania suwerenności litewskiej przez nasze elity nie jest kompleks Budrysa. Mała Litwa nie przybliży Polski do Europy, co najwyżej przysporzy jej kłopotów z potężnym sąsiadem sowieckim. Po raz kolejny uwikłała Rzeczpospolitą w konflikt z Rosją (pierwszy raz było to w związku z polityką jagiellońską). Takie wyjaśnienie miałoby sens, gdyby Polska rzeczywiście mogła wejść do świata zachodniego za cenę zgody na pacyfikację wschodu. Mam jednak wrażenie, że jest inaczej. Znaczenie Polski skłóconej ze wschodnimi sąsiadami — Litwą, Białorusią, Ukrainą i *nolens volens* niezależną Rosją — jest nikłe. Pozostajemy wtedy na marginesie, mało chciani przez Zachód. Nasza rola wzrasta wraz z dobrym ułożeniem sobie sąsiedzkich stosunków z krajami położonymi na wschód od Polski. Litwa odgrywa w tym przypadku rolę pierwszorzewną, nie tyle z uwagi na swoją siłę czy wielkość, ile z powodu wyraźnego zadeklarowania przez naród litewski dążenia do niepodległości. W konsekwencji stosunek Polaków do litewskiej deklaracji odzwierciedla prawdziwe intencje naszej polityki wschodniej, a generalnie naszej polityki europejskiej. Stanowi rodzaj papierka lakmusowego. Ostatnio nie wskazuje on na pozytywny kierunek.

Można się było o tym przekonać podczas kilkudniowej sesji pol-

sko-litewskiej, zorganizowanej staraniem miesięcznika *Wież* i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Zainteresowanie publiczności było nikłe, na co wpłynęły równoległe obchody dwusetulecia Konstytucji 3 Maja. Warto zauważyć, że do Warszawy nie zaproszono żadnej oficjalnej reprezentacji litewskiej. Dużo gorszy jednak był fakt, że polscy gospodarze sesji, która toczyła się w podwarszawskim domu pracy twórczej w Oborach, bezustannie wracali do historycznych obciążeń i żadną miarą nie potrafili wyjść poza okres dwudziestolecia międzywojennego i niezupełnie szczęśliwie (delikatnie mówiąc) polityczne rozwiązania kwestii litewskiej przez władze II Rzeczypospolitej. Do tego dochodziło uporczywe przypominanie okresu okupacji, kiedy postępowanie niektórych ugrupowań litewskich było rzeczywiście naganne. Przyznali to sami Litwini, dobrze przygotowani do dyskusji z Polakami. Wpływała na to obecność historyków z Uniwersytetu Wileńskiego: prof. prof. Jęgeleviciusa i Bacysa; dziennikarzy takich jak Meilunas i Stoma (naczelny redaktor głównego dziennika *Lietuvos Aidas*); pisarzy Platelisa i Gailiusa oraz licznych młodych publicystów i aktywistów Sajudisu.

Staranny dobór i dobre przygotowanie delegacji litewskiej nie na wiele mogły się przydać wobec polskich stereotypów. Niektóre miały uzasadnienie w faktach — sprawa kolaboracji z Niemcami części Litwinów podczas wojny — inne były oparte na wzmówieniach, nie najlepszym poinformowaniu czy wręcz tendencyjnej selekcji. Smutne, że również dla ostatnich zdarzeń na Litwie i borykania się Litwinów z ciężkimi problemami społecznymi i gospodarczymi polska strona miała mało zrozumienia. Niektórzy prelegenci zajęli stanowisko nacjonalistyczne. Skaza ta dotknęła ostatnio nawet tak wybitnego znawcę tematu litewskiego, jakim był przez lata profesor Piotr Łossowski.

Organizatorzy mieli nadzieję, że dyskusja pomoże rozwikłać kontrowersje i sprowadzi spory Polaków z Litwinami na bardziej racjonalny grunt. Niestety, na sali przeważały emocje i argumenty padały w próżnię. Ostatecznie może i nic w tym złego. Lepiej, że demony ujawniają się podczas takiej sesji, niżby miały pozostawać w ukryciu i psuć krew społeczną. Szkoda jednak, że Polacy nie wykorzystali dyskusji dla oparcia sporu na faktach. Mało kto chciał wyjść poza partykularne opłotki, chociaż zdarzały się i przytomne głosy, m.in. córki Cata-Mackiewicz, dr Aleksandry Niemczykowej. To za mało, gdyż Litwini, którzy jako goście odpłacali kurtuazją, niewiele wynieśli ze spotkania, poza tym, że z Polakami trudno dojść do porozumienia. Trudno dlatego, że niewielu myśli o przeszłości i potrafi na gruncie politycznym analizować kontrowersje i spory. Bardziej absorbuje ich przeszłość, nie zawsze dobrze rozumiana i dostatecznie rozpoznana.

Dobrze, że poza dyskusjami i przelewaniem słów, które niewiele wyjaśniały, doszło do utworzenia funduszu stypendialnego dla tłumaczy z litewskiego i polskiego. Jego podstawą był dar Jerzego Giedroycia. Może przyszli stypendyści nauczą się nie tylko języków,

ale i umiejętności dyskusji o konkretnych sprawach? To jedyna nadzieja, jaka pozostała po spotkaniu polsko-litewskim, które odbyło się 1-4 maja w Oborach i w Warszawie. Jego temat (Polska-Litwa, sześć wieków wspólnoty i co dalej?) okazał się na wyrost. Za duży wiatr na polską welnę.

Nie potrafili tego zmienić wyróżniający się szerokością spojrzenia polscy referenci Tadeusz Konwicki, który mówił o przyszłości Wilna, i Bohdan Skaradziński ze swoją gawędą o przyczynach nieporozumień polsko-litewskich. Litwini w swoich wystąpieniach starannie szukali możliwości zbliżenia. Na próżno. Wskazywanie na tradycję wspólnej kultury, na rolę Polski jako okna do Europy, na autonomistów wileńskich początku XX wieku pozostało bez odpowiedzi. Nie winię za to organizatorów ani sponsora, wiceministra Michała Jagiełłę, dzięki któremu spotkanie doszło do skutku. Trudno zresztą winić kogokolwiek, bo nawet wyciągający swoje resentymenty Polacy są mało odpowiedzialni za nieprzygotowanie do dyskusji.

Przyczyna leży w czym innym. Wynika z polskiego lęku przed Litwą, która zagraża zachodniej opcji dzisiejszej Polski. Polska małoduszność wobec litewskiej niepodległości ma wyraźny podtekst polityczny. Jest próbą zapomnienia o wschodzie i przymocowania Polski za wszelką cenę do zachodnich rygli. Szkopuł w tym, że tchórzostwo prawie nigdy nie prowadzi do celu. Polska, która zdradzi swoich sąsiadów, zdradzi też swoją historię, a w konsekwencji i własną przyszłość. Kompleks Budrysa nie broni Polaków przed porwaniem przez Wschód. Jest inaczej. Dzięki współpracy z litewskim Budrysem mamy możliwość wejścia do upragnionej Europy. W każdym razie większe szanse uzyskamy w wyniku dobrego sąsiedztwa i poparcia suwerenności Litwy niż wskutek odwrócenia się plecami do walki narodu litewskiego.

Roch KOWALSKI

Kronika kulturalna

Tożsamość polska w zwierciadle prozy

W dniach 10-12 kwietnia 1991, w Centre d'Etudes de la Culture Polonaise na Uniwersytecie Lille III prof. Daniel Beauvois i dr Marek Tomaszewski zorganizowali konferencję pt. *Polska proza współczesna: indywidualizm czy duch wspólnoty? Tożsamość jednolita czy wieloraka?* Zabrakło na niej, niestety, zapowiadanych wcześniej Jana Błońskiego i Stanisława Barańczaka, ale i tak poziom referatów i dyskusji był wysoki, a sama sesja toczyła się wyjątkowo sprawnie. W jakimś sensie konferencja tegoroczna była dalszym ciągiem tej sprzed czterech lat, poświęconej polskim kresom. Tym razem temat zarysowany został szerzej, a najbliżej jego problemowego centrum znalazł się referat Aleksandra Fiuta: *Problem tożsamości w literaturze polskiej po 1945 r.* Autor wyszedł od gombrowiczowskiej konstatacji społecznego bezformia, rozproszkowania charakteryzującego Polaków po ostatniej wojnie. Jest ono skutkiem wojny właśnie, doświadczenia totalitaryzmu, wielkich migracji, destrukcji elit itd. Stąd bierze się powojenny kryzys tożsamości: Polak musi na nowo określić swój stosunek do Europy i świata, do historii, do własnej, osobistej genealogii. Próba odpowiedzi na pytanie o tożsamość jest zatem najważniejszym bodaj zadaniem, które podejmuje literatura polska ostatnich dziesięcioleci. Autor referatu na przykładzie twórczości Borowskiego, Konwickiego i Andermana pokazuje trzy warianty relacji pomiędzy dyskursem o tożsamości a prezentacją tej problematyki w strukturze utworu, dochodząc na koniec do wniosku, że pogłębiający się kryzys społeczeństwa, który odbija literatura, demoralizacja, porażenie świadomości, pamięci historycznej i języka, całkowita, akceptowana przez jednostki reifikacja — otóż, że to wszystko jest potwierdzeniem, a zarazem ilustracją tezy Kołakowskiego o

„śmierci człowieka historycznego”, człowieka w zjawiskach historii szukającego miary wszechrzeczy.

Referat Fiuta wyrażał dobrze przeświadczenie, które legło u podstaw całej sesji, stanowiło jej — by tak rzec — tezę wyjściową, a mianowicie, że tożsamość Polaków jest czymś w drugiej połowie XX wieku wysoce problematycznym, wymagającym nieustannej pracy, dyskusji, potwierdzenia w oczach innych nacji. Niżej podpisany, w referacie pt. *Samopoczucie polskie*, zajął się widoczną w całym okresie naszego stulecia obniżką narodowego samozadowolenia. Z wykreowanej jeszcze przez romantyków diady: masochizm — mesjanizm, ten pierwszy coraz wyraźniej bierze górę jako narzędzie samookreślenia Polaków. Zarazem towarzyszy mu w coraz większej mierze zainteresowanie i szacunek dla inności, co stwarza szanse na odrodzenie Polaka-Europejczyka, pozbawionego nareszcie dawnych kompleksów.

Rzecz jasna, dobrych stosunków z innymi, z sąsiadami, nie da się podjąć jak gdyby nigdy nic, bez oglądania się na balast przeszłości. Świadczyły o tym referaty poświęcone stosunkom z sąsiednimi nacjami i ich odbiciu w literaturze polskiej lub obcej. Najobszerniejszy i chyba najciekawszy blok utworzyły te, których przedmiotem były stosunki polsko-żydowskie, literatura żydowska w Polsce, sytuacja pisarzy polskich pochodzenia żydowskiego. Rachel Ertel zajęła się awangardową prozą literacką i krytyką w języku jidisz w Polsce (1910-1930). Jean-Marie Delmaire w referacie *Ślad okaleczenia* zajął się obrazem Polski w twórczości pisarzy żydowskich z Francji i Izraela, gdy tymczasem troje referentów z Polski wybrało sobie konkretne sylwetki autorów, dla których mieszany, polsko-żydowski rodowód był przez całe życie źródłem cierpień, odrzucenia, ale też twórczych impulsów. Stanisław Bereś opisał rozliczne „piekła” Leo Lipskiego, zdając sprawę z różnych aspektów poniżenia, przez które przechodził autor *Piotrusia*, Jan Prokop zajął się *Wielkim strachem* Juliana Strykowski i problemami stosunków polsko-żydowskich w obliczu komunistycznego kuszenia, wreszcie Jolanta Brach-Czaina w bardzo ciekawym referacie o Henryku Grynbergu przedstawiła aspekty dramatyczne losu pisarza żydowskiego w Polsce dwudziestowiecznej. Jej zdaniem, jedynym polskim terytorium, na którym Żydzi czuli się bezpiecznie, było terytorium języka. Na obszarze tego ażylu chętnie demonstrowali swe mistrzostwo, jak Tuwim czy Leśmian. Poza nim czuli się zagrożeni, a w szczególności po wojnie chętnie — jak Strykowski, Grynberg czy Lipski — podkreślali swoją odrębność od Polaków, odmienny charakter swego doświadczenia.

Nie mniej problemów narosło na polskich kresach wschodnich, o których głównie pisał Włodzimierz Paźniewski w nadeślanym referacie: *Regiony pograniczne: osmoza ludów i kultur*.

Daniel Beauvois zgromił nasze kresowe ziemianstwo za jego stosunek do białoruskiego i ukraińskiego ludu (*Oni i ci inni: pamiętnikarze z polskich kresów wschodnich w XX wieku*). Autor świadomie wystrzelił swe stanowisko, przyznając się do pewnego anachronizmu w ocenach. Jan Prokop w dyskusji poszedł o krok dalej, porównując owych ziemian do angielskich czy francuskich kolonizatorów. Jak widać, łatwo w tej materii o skrajności: ci „kolonizatorzy” to przecież byli w dużym procencie ziomkowie swych chłopów — tyle że spolonizowani. Polski „imperializm” na kresach bardziej był kulturowy czy socjalny niż nacjonalistyczny; stąd zresztą cała komplikacja w stosunkach pomiędzy mieszkającymi tam narodowościami. O tym między innymi mówił Włodzimierz Bolecki, który zajął się porównaniem Gombrowicza jako piewcy człowieka kształtowanego i określonego przez innych ludzi — z Mackiewiczem, dla którego w miejscu jednostki stał naród — tym bogatszy duchowo, im ściślej powiązany z innymi narodami zamieszkującymi to samo terytorium, kraj (stąd „krajowcy” jako przezwanie dla politycznych współwyznawców autora *Drogi donikąd*). Niejako rozwinięciem i uzupełnieniem budzących zawsze silne namietności rozważań wokół Mackiewicza był interesujący referat Marka Tomaszewskiego: *Czy można być jednocześnie Litwinem i Polakiem? Przypadek Józefa Mackiewicza*. Dowiódł on, że tzw. „sprawa Mackiewicza” miała korzenie jeszcze przed wojną, w latach trzydziestych, w polemikach wokół jego zbioru reportaży *Bunt rojstów*, ukazującego kresy oczyma „krajowców”.

Z problematyką pogranicza kultur i kresowego dziedzictwa wiązały się także, w mniejszym lub większym stopniu, referaty Michela Masłowskiego: *Tadeusz Konwicki i kryzys tożsamości*, Marii Delaperrière: *Andrzej Kuśniewicz — człowiek polifoniczny* oraz Niny Taylor: *Unicestwienie lub przetrwanie: trylogia Jarosława Marka Rymkiewicza*. Wszystkie podkreślały złożoność biografii, doświadczeń lub dziedzictwa swoich bohaterów, nastawienie na cudze słowo, na kulturową odmiennność.

Z trzech zapowiadanych referatów dotyczących stosunków polsko-niemieckich wygłoszono tylko jeden: Andreasa Lawaty'ego *Śląsk w literaturze polskiej i niemieckiej*. Słuchając go, zdałem sobie sprawę, że Śląsk oglądamy w Polsce raczej oczyma niemieckich pisarzy, głównie Horsta Bienka; utwory powstałe po naszej stronie zbyt silnie poddane były dyktatowi polityki, komunistycznej „racji stanu”. Lawaty dostrzegł zresztą, iż partykularna prawda Ślązaków — i tych polskich, i niemieckich — represjonowana była podobnie przez państwowy *establishment* po obydwu stronach granicy.

Na koniec wygłoszono na konferencji kilka referatów o pisarzach w jakiś sposób „osobnych” lub osobliwych (by tu

przywołać trudny do przetłumaczenia tytuł nadesłanego tekstu Barańczaka: *Miron Białoszewski: The separate poet's separate prose*. Poza Barańczakiem, analizującym subtelnie sens zwrotu „donosy rzeczywistości”, o Białoszewskim mówił też Krzysztof Rutkowski (*Mirona Białoszewskiego rzeczy w pościgu za zagubionymi słowami*). Nader interesujące były rozważania Jacka Łukasiewicza o Parnickim i jego praktyce mitologizacji własnego życia i wpisywania go w porządek dziejów (*Autobiografia jako historia świata: powieści Teodora Parnickiego*) oraz Maryli Laurent o Kazimierzu Truchanowskim jako pisarzu wymykającym się klasyfikacjom. W jednym tylko przypadku uczestnicy sesji mieli okazję zetknąć się osobiście z przedmiotem krytycznych rozważań. Alain Van Crugten przywiózł ze sobą z Brukseli Mariana Pankowskiego — pisarza nie mniej niż Truchanowski nieposłusznego wobec historyczno-literackich przyporządkowań, często skandalizującego, tworzącego sobie w literaturze własny świat — także językowy — o wyrazistych cechach. Nic też dziwnego, że pisarzowi zadano z sali więcej pytań niż krytykowi, który na jego temat wygłosił referat pt. *Marian Pankowski: humanistyczne szyderstwo*.

Na zakończenie zostawiam sobie tekst Małgorzaty Smorąg poświęcony Gombrowiczowi: *Rekonstrukcja rzeczywistości albo afirmacja siebie samego*. Autorka rozpatrywała w nim trzy ostatnie, napisane na emigracji powieści Gombrowicza, znajdując w nich elementy klasycznego *Entwicklungsroman*, a w *Trans-Atlantyku* dodatkowo — parodię motywu „przejścia przez pustynię”.

Nie bez kozery zamykam to omówienie tekstem poświęconym Gombrowiczowi. Inni pisarze borykali się na wiele sposobów z kryzysem tożsamości i narodowego samopoczucia — Gombrowicz pokazał, jak te słabości przekuć można w siłę (można by rzec nawet, iż przetwarzanie słabości w siłę było jego życiową specjalnością — szczególnie Polakom przydatną w ich przygodach ostatnich dwu wieków). Ton płaczliwy i pełen pretensji do świata — tak częsty tam, gdzie rozdrapuje się polskie rany i kompleksy — nie pojawił się na konferencji w Lille. Może to zasługa właśnie Gombrowicza, który „ustawiał nam głos”, nauczył mówić o sobie i innych ze swobodą, dystansem, poczuciem humoru.

Napisałem ostatnie zdanie, ale zaraz znów wkręciłem kartkę do maszyny. „Nauczył nas”? Kogo — „nas”? Na płotach i murach napisy: „Żydzki won!”, w sejmie posłowie narodowcy wygłaszają kuriozalne filipiki, a Bolesław Tejkowski montuje partię prawdziwych patriotów i ogłasza oświadczenia, od których włos się jeży. Więc może powiedzmy ostrożniej: Gombrowicz *mógłby* nauczyć nas niejednego i czas może, by jego myśli naprawdę dotarły pod strzechy.

Jerzy JARZĘBSKI

Wileńskie środy literackie

Wśród popularnych dzisiaj w Polsce badań nad historią Wilna i Wileńszczyzny stosunkowo rzadko spotyka się wspomnienia o „Środach Literackich”, które odbywały się w Wilnie w latach 1927-1939. Ich historia, która się wyłania z rozproszonych po gazetach wileńskich informacjach i z fragmentów wspomnień uczestniczących w nich osób, byłaby prawdopodobnie bardzo interesującym, chociaż specyficznym przewodnikiem po dziejach inteligencji wileńskiej tego okresu.

W 1927 r. na czele nowego zarządu Związku Zawodowego Literatów w Wilnie stanął wybitny uczony, filozof prof. Marian Zdziechowski. Funkcję wiceprezesa powierzono prof. Stanisławowi Pigionowi, funkcję sekretarza spełniał miał Witold Hulewicz. Jako skarbnika wybrano kompozytora i pianistę wileńskiego, Tadeusza Szeligowskiego. Do Zarządu weszła też Helena Romer-Ochenkowska. Czesławowi Jankowskiemu, dziennikarzowi związanemu ze *Słowem*, wiele lat stojącemu na czele Związku, nowy zarząd przyznał honorową prezesurę, po czym rozpoczął reorganizację Związku. Literatów zrzeszonych miało Wilno wówczas trzydziestu sześciu, co nie jest liczbą bagatelną. Uznano potrzebę kontaktu środowiska kulturalnego z szerokim ogółem oraz stworzenia klubu literatów. Klub taki miałby nie tylko scalać środowisko i przyciągać przedstawicieli innych dziedzin, ale również podnosić poziom wewnątrz elity kulturalnej. Dziesięć lat później, gdy uroczyste obchodzono okrągłą rocznicę rozpoczęcia tych klubowych spotkań, Witold Hulewicz mówił, że rozpoczęły się one w środę przypadkowo. Po prostu w tym tygodniu w każdy inny dzień była jakaś premiera albo imieniny czy zebranie. Wolna była tylko środa. Tak powstały „Środy Literackie”. „Literackie” dlatego, że u literatów, a nie dlatego żeby miało się na nich mówić wyłącznie o literaturze, ponieważ sprawy literackie zajęły w efekcie niewielką część spotkań. Po kilku latach zresztą okazało się, że w tym przypadkowym wyborze był tak zwany palec Boży. Otóż w „Życiu i dziełach Ignacego Chodźki” Syrokomla pisze, że u niego w mieszkaniu, na Popowszczyźnie, w 1875 roku rozpoczęły się spotkania literatów wileńskich, które odbywały się właśnie w środy. Czyli „Środy” wileńskie były tamtych „Śród” mimowolną kontynuacją.

Spotkania rozpoczęły się 23 lutego 1927 r. w Bibliotece Wydziału Sztuk Pięknych U.S.B., w murach pobernardyńskich, na ul. św. Anny 4, na parterze. Mury te bezpośrednio sąsiadują z

kościółem św. Anny, jedną z niewielu gotyckich świątyń, w tym mieście dojrzałego baroku.

Możliwość korzystania z biblioteki Wydziału Sztuk Pięknych Związek zawdzięczał przychylności dziekana tego wydziału, prof. Ferdynanda Ruszczyca, który okazał się potem wytrwałym bywalcem „Śród”. Prof. Ruszczyk był postacią w Wilnie bardzo znaną i cenioną, nie tylko za wykształcenie i kulturę osobistą, ale również za prace scenograficzne w Teatrze Nuni Młodziejowskiej. Zwłaszcza w pamięć widzów wbiła się imponująca dekoracja do *Lili Wenedy* w sezonie 1908/09. Wtedy to recenzenci z całej Polski (czyli ze wszystkich zaborów) zjeżdżali się do Wilna, by sfotografować scenografię Ruszczyca, a relację z przedstawienia umieścić każdy poważniejszy dziennik. Na marginesie warto wspomnieć, że Ferdynand Ruszczyk pozostawił po sobie notatki i bardzo dużo listów do żony, w których relacjonował nieomal każdy swój dzień. Ten to bezcenny materiał niesłuchanie kompetentnie i drobiazgowo opracowali państwo Ruszczykowie, czyli syn Ferdynanda Edward Ruszczyk z żoną. Ta nieomal Biblia wiedzy o Wilnie międzywojennym tkwi cały czas w maszynopisie, bowiem nie może znaleźć się wydawnictwo, które zdecydowałoby się wydrukować bardzo obszerną całość. Może Wilnianie na emigracji, którym na pewno leży na sercu pielęgnowanie pamięci o ich mieście, zastanowiliby się nad formą pomocy w wydaniu tego unikalnego dokumentu.

Biblioteka na ul. św. Anny używała literatom swych gościnnych progów do 1929 r.

W październiku 1929, czyli na otwarciu sezonu („Środy” trwały do wakacji, czyli ok. połowy lub końca maja i od jesieni, czyli właściwie od początku października) siedziba Związku mieściła się już na stałe w dawnym klasztorze bazylianów, na ul. Ostrobramskiej 9. Klasztor ten w świadomości Polaków jest na zawsze związany z Mickiewiczem i *Dziadami*. Ale jego historia jest interesująca nie tylko z tego względu. Ponoć w tym miejscu żona Wielkiego Księcia Olgierda, Julianna, matka Jagiełły, założyła Tracki monaster wschodniego obrządku. W XVI w. drewniany chram zastępuje wspaniała, w gotyckim stylu wybudowana świątynia, która w XVII w. odebrana została schizmatyckim mnichom i oddana unitom. Do XIX w. toczą się wieczne boje o klasztor między bazylianami a schizmatykami. Po pogromie Unii w klasztorze osiada renegat Siemaszko i wprowadza tam prawosławne seminarium duchowne, część zaś klasztoru zamieniona zostaje na więzienie. Już od 1797 r. więzieni są tu Polacy oskarżeni o kontakt z legionami Dąbrowskiego. W 1823 siedzą tam Filareci. W roku 1838 jest wyprowadzony stamtąd na egzekucję Szymon Konarski. Po wybuchu pierwszej wojny światowej mnisi opuszczają klasztor, by wraz z relikwiami udać się do Rosji.

Klasztor zajmują Białorusini, tworząc tam gimnazjum z internatem. W wyniku procesu między konsystorzem prawosławnym a państwem, toczącym się w 1927 r., zabudowania stają się własnością Rządu Rzeczypospolitej. Pozostawiono tam wszystkich dawnych użytkowników (seminarium prawosławne, gimnazjum białoruskie i Towarzystwo Naukowe Białoruskie oraz Muzeum Białoruskie im. Jana Łuckiewicza) z wyjątkiem tych, zajmujących część południową pierwszego piętra, gdzie onegdaj znajdowało się więzienie Filomatów. Pomieszczenie jednak do 1929 r. stało puste i brak było decyzji co do jego przeznaczenia.

Profesor Lorentz wspomina, że na jednej ze Śród Literackich (zapewne pod koniec 1928 lub na początku 1929 r.) prof. Pigoń zaapelował do niego, jako generalnego konserwatora, by rozpoczął starania o przekazanie Związkowi Literatów lokalu z „celą Konrada”. Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić bardziej odpowiednie miejsce. Starania osiągnęły natychmiastowy skutek. Wojewoda, a był nim wówczas Zygmunt Beczkowicz, ze środowiskiem twórczym zaprzyjaźniony i przychylny rozwojowi kultury (czyli całkowite przeciwieństwo wojewody Bociańskiego, który przeszedł do historii sposobem Herostratesa) wydał decyzję i przyznał kredyt na remont pomieszczenia. Remont miał być gruntowny, bo w 1867 Rosjanie przebudowali całość gmachu zlikwidowanego klasztoru. Profesor Juliusz Kłos przeprowadził w latach 1921-1923 badanie, mające na celu dokładne zlokalizowanie „celi Konrada” i na ich podstawie teraz wyznaczono odpowiednie pomieszczenie. Ustalono, że jest to skrzydło w głębi cerkiewnego dziedzińca na pierwszym piętrze. Wchodzi się (do dzisiaj) na ten teren przez piękną rokokową bramę. Pośrodku dziedzińca stoi cerkiew św. Trójcy ufundowana przez ks. Konstantego Ostrogskiego w roku 1514.

Otwarcie i poświęcenie „celi Konrada” odbyło się 10 października 1929 r. Związek urządził w „celi Konrada” Wystawę Pamiątek Mickiewiczowskich i Filomackich. Wystawa była otwarta cały miesiąc i Kuratorium Okręgu Szkolnego Wileńskiego rozsłało do wszystkich szkół afisz wystawy oraz okólnik polecający zbiorowe zwiedzanie wystawy młodzieży szkolnej i nauczycielstwem. Ekspozyty zjechały z całej Polski, a nawet zza granicy. Dr Ludwik Gorecki z Paryża ofiarował krzesło i bilet wizytowy Mickiewicza. Konserwator generalny Jerzy Romer z Warszawy (dokąd przeniósł się po sprawowaniu tej samej funkcji w Wilnie) ufundował marmurową tablicę wmurowaną w ścianę „Celi” z inskrypcją z *Dziadów* („Obiit Gustavus, hic natus est Conradus”). Janina Umiastowska ofiarowała dwa garnitury mebli, a Polskie Radio w Wilnie ścienny kilim artystyczny wytwórni „Ład” 2 x 4 m. Wśród licznych darów pojawił się stolik inkrostowany, książka do nabożeństwa z XIX w., fotografia listu Za-

na do Ignacego Domeyki, list Władysława Mickiewicza, dziesięć starych sztychów i rycin, piętnaście litografii z „Albumu Wileńskiego”. Prof. Juliusz Kłos ofiarował plany gmachu pobazyliańskiego. Pojawiło się również wiele fotografii powstańców i działaczy niepodległościowych oraz rycin i starych wydań Mickiewicza. Zaś Bank Towarzystw Spółdzielczych, oddział w Wilnie, ofiarował Związkowi 200 zł.

W związku z otwarciem siedziby nadeszły do Zarządu Zw. Literatów liczne depesze. Między innymi od Związków Literatów z całej Polski, od dyrekcji Muzeum Narodowego w Krakowie, od Towarzystwa Miłośników dawnej Muzyki w Warszawie, od szefa Biura Personalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, od Wacława Sieroszewskiego. Teofil Trzcński przysłał telegram: „Żałując serdecznie, że nie mogę uczestniczyć w tak pięknej uroczystości, życząc Związkowi Literatów na nowej siedzibie, owianej tyloma dostojnymi wspomnieniami, jak najświetniejszego rozwoju, na chwałę cudnego Wilna”. Zenon Przesmycki: „Mocno żałuję, na uroczystość świętych pamiątek przyjechać nie mogę. Związkowi ślę życzenia najpiękniejszego w nowej siedzibie rozkwitu”. I jeszcze jeden ciekawy telegram: „Kurs IV Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach rozpoczynają w Szkole 9 października lekturę *Dziadów* cz. III łączą się z zebranymi dziś w Celi Konrada w hołdzie pełnym czci i miłości dla świetlanej postaci Adama Mickiewicza”.

Związek Literatów zajmował dwa pomieszczenia. W tzw. celi Konrada była wystawa i biblioteczka, zaś w drugiej, większej, odbywały się środowe zebrania. Sala ta była bardzo duża. Miała około 5-6 metrów szerokości i ok. 12 metrów długości. Na szczycie sali umieszczono podest ok. 6 m. na ok. 3,5. Na ścianie powieszono ręcznie tkany kilim, cztery kwadraty przecięte, a w nich *Cztery Żywioły* Jastrzębowskiego. Były na nich herby Polski i Litwy. Na podeście stał antyczny, piękny stół. Na stole po lewej stronie stała lampa kryta abażurem. Koło tej lampy siedział prelegent i miał cały stół do dyspozycji, bo prowadzący obywatel się prawym rogiem. Na sali stały stoły, jak wspomina Irena Byrska, „jakby w jakiejś oberży. Stylowe, ciężkie ławy, dębowe krzeselka. Tam siedziała publiczność. Nie było żadnych rzędów. Siedziało się jak na jakimś przyjęciu. Jak na zamku u Horeszków”. Zaś na korytarzu wymalowana była ilustracja do sceny więziennej.

Zasadą Hulewicz było, żeby nie rezygnować ze „Śród” pod pozorem, że na jakiejś może być mało ludzi. Było to bardzo słuszne i skuteczne, jeśli chodzi o wytworzenie tym spotkaniom odpowiedniej marki. Zresztą w niejednej recenzji ze „Śro-

dy” (zamieszczanych w *Kurierze Wileńskim* i *Słowie*) można się spotkać ze stwierdzeniem, że przyszło niewiele osób, czego należy żałować, bo było bardzo ciekawie, ale można też się cieszyć, bo dzięki temu wytworzyła się miła, intymna atmosfera. Bywało jednak również tak, że goście nie mogli się pomieścić i tłumy stały na korytarzu, jak wtedy gdy przyjechał Chesterton, Iłakowiczówna czy Jaracz.

Idea „Śród” było zapraszanie ludzi wybitnych, którzy nie tylko zaznaczyli swą obecność w kulturze polskiej, ale również swoją osobowością, kulturą i autorytetem mogą dać wzór współczesnego intelektualisty. Stąd też dbałość organizatorów o obecność młodzieży studenckiej na środowych spotkaniach. I rzeczywiście, w kolejnych sprawozdaniach z działalności Koła Polonistów zamieszczanych w *Alma Mater Vilnensis* pojawiają się adnotacje o uczestnictwie członków Koła w „Środach”. Charakter tego uczestnictwa podlegał też pewnej ewolucji, ponieważ niektórzy członkowie Koła, jak Miłosz, Hałaburda czy Zagórski, po pewnym czasie bywali tu już jako zaproszeni goście-prelegenci. Również Henryk Dembiński po swoim pobycie w Wiedniu został zaproszony z odczytem o rewolucji wiedeńskiej. Wacław Korabiewicz tutaj zdawał relacje ze swoich podróży.

Organizatorzy „Śród” dbali równocześnie o zachowanie pewnej elitarności tych spotkań. Zachowywano cały czas zwyczaj „wprowadzania” gości przez członków Związku. Najlepiej może oddał charakter i cel tych spotkań Tadeusz Łopalewski, podejmując polemikę z Wojciechem Bąkiem: „Jeśli o zebrania ‘środowe’ chodzi — pisał — to nikt nie zagradza na nie drogi młodym artystom, nauczycielom czy działaczom społecznym. Wręcz odwrotnie. Drzwi są dla wszystkich szeroko otwarte. Straszliwy haracz wejściowy ‘umożliwiający’ bywanie na środowych zebraniach jedynie garstce miejscowej plutokracji’ jest rzeczywiście poważną przeszkodą. Wynosi aż całego złotego, a 75 gr. dla młodzieży uniwersyteckiej. Oczywiście, dałby się znieść, gdyby publiczność ‘środowa’ zgodziła się siedzieć w ciemnościach i w nieopalonej sali, nie mówiąc już o wyrzeczeniu się tradycyjnej herbatki. Wszakże i redakcja *Poprostu* (atak Bąka ukazał się na łamach *Poprostu*, przyp. JH) nie rozda darmo swego pisma, tylko ściągą nielitościwie aż po 25 groszy za numer, co z pewnością przeszkadza umasowieniu odbioru. Wreszcie żądanie umasowienia ‘Śród’ jest po prostu absurdem. Kto chce urządzać wiece, znajdzie łatwo odpowiedni czas, miejsce i odpowiednią publiczność. Środy Literackie zawsze miały i mieć będą inne zadania. Możliwe, że redakcja *Poprostu* zadanie to uważa za całkowicie zbyteczne, wątpić jednak należy, by ta surowa opinia miała jakiekolwiek praktyczne znaczenie”.

Jedną z ambicji literatów wileńskich przy organizowaniu „Śród” było reagowanie na wszelkie wydarzenia bulwersujące ogół mieszkańców Wilna. Temu służyły takie spotkania, jak Środa poświęcona odnalezieniu grobów królewskich w krypcie katedralnej, dyskusja w sprawie gobelinów, które władze kościelne chciały sprzedać za granicę aby wyremontować bazylikę. Środa poświęcona walce kanclerza Dollfussa z robotnikami w Wiedniu. Taką funkcję spełniały też niektóre dyskusje na temat przedstawień teatralnych elektryzujących publiczność, jak na przykład namiętny spór po *Przestępcach* Brücknera, wystawionych w kwietniu 1930 r. w Teatrze na Pohulance, które to przedstawienie zostało zdjęte z afisza. Dyskusję wzbudziła też *Róża* Stefana Żeromskiego, czy *Dziady* w słynnej inscenizacji Leona Schillera. Dyskutowano również obszernie na temat *Snu* Felicji Kruszkowskiej w inscenizacji Reduty. W sumie dyskusji na tematy teatralne, według moich obliczeń, odbyło się czterdzieści cztery.

Reagowano również na nowe, ciekawe pozycje wydawnicze, jak na przykład na *Noce i Dnie* Dąbrowskiej (1932).

Od czasu gdy Związek zaopatrzył się w fortepian, częste były produkcje muzyczne. Specjalistą w tej dziedzinie był Tadeusz Szeligowski, muzyk i kompozytor.

Literaci wykorzystywali także spotkania środowe dla zamianowania swojej postawy politycznej, poglądów, pełnej otwartości i braku przesądów. Była to postawa programowa zespołu „Śród”. Stąd też „Środy” litewskie, żydowskie, białoruskie. Po „Środzie” żydowskiej, na której gościli członkowie Żydowskiego Pen-Klubu, Związek Literatów rewizytował swoich gości w najlepszym swoim składzie z ówczesną wiceprezeską Heleną Romer na czele. Znamienny i godzien odnotowania jest fakt, że „Środa”, na której goszczono pisarzy żydowskich, została tak oto skomentowana w recenzji zamieszczonej w *Kurierze Wileńskim*: „Znajomość wewnętrznego życia społeczeństwa żydowskiego w społeczeństwie polskim jest minimalna. O ile społeczeństwo żydowskie z natury rzeczy ciągle dosyć obszernie informuje się o sprawach polskich, o tyle my dowiadujemy się o życiu żydowskim bardzo częściowo i sporadycznie. Jest to poważny defekt naszej ogólnej wiedzy. Tak wiele miejsca w naszym życiu społecznym i państwowym zajmują Żydzi, że powinniśmy o wiele więcej wiedzieć o nich niż wiemy. Inicjatywa kierownictwa śród jest bardzo pożytecznym wyłomem w dawnym murze niewiedzy i witamy ją z całym uznaniem i życzeniami, by powtarzano ją częściej niż dotychczas”.

Organizowano też „Środy” regionalno-krajoznawcze, księgarskie, konserwatorskie. Na tych ostatnich gościli niejednokrotnie Stanisław Lorentz, Jerzy Remer, Jerzy Orda, Ksawery Piwocki, ks. Piotr Śledziewski.

O konsekwentnie otwartej postawie literatów świadczy też fakt, że ich zaproszenie przyjął Witold Biczunas, artysta malarz i literat z Kowna. Opowiadał on o przekładach litewskich z polskiego, ale stwierdził na koniec, że jednak największym powodzeniem wśród Litwinów cieszy się ta sama książka, która osiągnęła szczyty popularności w Polsce, czyli *Tędrówka*. Wszyscy też wyrazili pragnienie przełamania „chińskiego muru” dzielącego Litwinów i Polaków”. Odbyło się też spotkanie z prof. Antonim Wałajtsem, lektorem języka litewskiego w Instytucie Europy Wschodniej i kierownikiem administracyjnym Litewskiego Towarzystwa Naukowego. Antoni Wałajtis był gościem w „celi Konrada” raz jeszcze, gdy wraz z H. Cycenasem mówili na temat języka litewskiego i życia literackiego Litwy. Przy okazji skomentowano użycie przez jedną z gazet wileńskich sformułowania „skarłowaciały szczep” w odniesieniu do narodu litewskiego. Wszyscy się zgodzili, że tego rodzaju enuncjacje nie przyczyniają się do poprawiania i tak niesłychanie napiętych stosunków polsko-litewskich. Na koniec artyści z Teatru na Pohulance odczytali utwory poetów litewskich (m.in. w przekładzie Cz. Miłosza). Po powrocie Aleksandra Janty-Polczyńskiego z Kowna poświęcono również jedną „Środę” na wysłuchanie jego wrażeń. Z lituaników „środowych” można też wymienić spotkanie z Józefem Albinem Herbaczewskim, którego rola w próbie zbliżenia z Litwą po 1919 r. była doceniana w równym stopniu przez Litwinów jak i Polaków. W ogóle właśnie ta tradycja, którą reprezentował Herbaczewski, czyli szukania porozumienia na wspólnej, intelektualnej, humanistycznej można powiedzieć, płaszczyźnie, wydaje się najlepiej charakteryzować działania wileńskich literatów. Podobne wieczory odbyły się na temat literatury białoruskiej. Nawiasem mówiąc, bardzo dobrze przygotowana „Środa białoruska” z ciekawymi prelekcjami i recytacjami w języku polskim i białoruskim, zgromadziła wielu Białorusinów i bardzo mało Polaków.

Spotkania środowe charakteryzowała przede wszystkim postawa poznawcza. Wszyscy, którzy włożyli wkład w kulturę czy naukę, mieli drzwi otwarte bez względu na swoje pochodzenie czy postawę polityczną. Programowo unikano dyskusji politycznych, a jeśli takie się wdarty, to na zasadzie dawania forum wszystkim poglądom, a nie forowania jednego, wykluczającego inne. Ogólna orientacja była zbliżona do orientacji *Kuriera Wileńskiego*, czyli demokratyczno-rządowa, co jednak nie wykluczało obecności na „Środach” Stanisława Cata-Mackiewicza, głównego adwersarza *Kuriera*. Najbardziej ulubioną formą spotkań były wieczory autorskie. Tu literaci mogli się pochwalić nie zwykłym wachlarzem zaproszonych gości.

Z ważniejszych gości zagranicznych, przyjmowanych na „Śro-

dach", wymienić można: G.K. Chestertona, Igora Siewierianina, Konstantego Balmonta, Elgę Kern czy wspomnianego już Witolda Biczunasa z Kowna.

Spośród pisarzy polskich spotkania wypełnili m.in.: Julian Tuwim, Juliusz Kaden-Bandrowski, Kazimiera Iłakowiczówna, Julian Ejsmond, Zofia Nałkowska, Andrzej Strug, Józef Ujejski, L.H. Morstin, Maria Dąbrowska, Gustaw Morcinek, Benedykt Hertz, Ferdynand Goetel, Edwin Jędrkiewicz, Karol Irzykowski, Magdalena Samozwaniec, Aniela Zagórska, Jan Paradowski, Ewa Szelburg, Melchior Wańkowicz, Karol Wiktor Zawodziński, K.I. Gałczyński, Teodor Bujnicki, Michał Choromański, Czesław Miłosz, Grupa „Żagary”.

Szerokie kontakty posiadali literaci również ze środowiskiem akademickim. Profesorowie U.S.B. bywali na „Środach” jako gospodarze, goście i widzowie. Prelekcje wygłaszali niejednokrotnie Marian Zdziechowski, Stanisław Pigoń, Manfred Kridl, Stanisław Baczyński (z Instytutu Badań Europy Wschodniej), Ferdynand Ruszczyc, Henryk Elzenberg, Wincenty Lutosławski, Tadeusz Zieliński, Mieczysław Limanowski. Środowisko artystyczne reprezentowali Karol Szymanowski, Stanisława Korwin-Szymanowska, Irena Dubiska, Teofil Trzciniński, Stefan Jaracz, Wanda Siemaszkowa, Irena Solska, Aleksander Zelwerowicz, Juliusz Osterwa, Stanisława Wysocka, Mieczysław Szpakiewicz, Leon Schiller. Nie zabrakło też na „Środach” słynnego fotografa Wilna, Jana Bułhaka. Osobą o podstawowym znaczeniu zarówno dla powstania jak i ustalenia i utrzymania kształtu „Śród” był Witold Hulewicz. Warto zatrzymać się przy nim na chwilę wspominając „Środy”.

Rodzina Hulewicza pochodziła z Wołynia, jednak bezpośredni protoplaści zamieszkiwali Kościanki pod Wrześnią. Jako gospodarz w Kościankach osiadł Jerzy Hulewicz, brat Witolda, mistyk i literat, z żoną buddystką. Razem z Jerzym zakładał Witold *Zdrój*, pismo o charakterze młodopolskim, przeciwstawiające się „Picadorowi”. Z tego okresu datuje się znajomość Hulewiczów z Przybyszewskim. Wspólnie też prowadzili spółkę wydawniczą „Ostoja”.

Po rozwiązaniu „Ostoi” w 1922 r. Witold Hulewicz przeniósł się do Warszawy, gdzie z Kazimierzem Paszkowskim założył instytut wydawniczy „Aurion”. Próbował tam drukować własne prace przekładowe. Przed odzyskaniem niepodległości Hulewicz był poddanym pruskim. Służył w wojsku w randze oficera. To doświadczenie przydało mu się podczas Powstania Wielkopolskiego. Stąd też biegła znajomość języka niemieckiego. W przekładach specjalizował się w poezji Rilkego, z którym utrzymywał listowny kontakt, a nawet odwiedzał go w Szwajcarii. Przez trzy lata pobytu w Warszawie Hulewicz zaprzyjaźnił

się z Juliuszem Osterwą. Gdy Reduta przenosi się do Wilna, Hulewicz zostaje jej kierownikiem literackim.

Zarówno pochodzenie „kongresowe”, jak i biegła znajomość niemieckiego były zawsze w Wilnie przedmiotem szyderstw i kpin, źródłem wielu konfliktów, jakich Wilnianie nie szczędzili najaktywniejszemu ze swych literatów.

Jako prawdziwy Europejczyk (to określenie pojawia się bardzo często, gdy mowa o Hulewicu, mówi tak o nim Stanisław Lorentz, Jan Paradowski, Byrscy, Arkady Fiedler), o których nie było tak łatwo na kresach wschodnich, a zwłaszcza w Wilnie, czule piastującym typ dobrodusznego kresowiaka, Hulewicz wniósł do Wilna powiew wielkiego świata. Reorganizacja Związku Literatów zapoczątkowała ostatni, najbardziej chlubny jego okres. Oddział Wileński stał się najaktywniejszym ośrodkiem w Polsce. W 1930 r. Hulewicza wybrano prezesem Związku. Nowym jego pomysłem było utworzenie w 1932 r. Rady Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, koordynującej działalność najróżniejszych stowarzyszeń kulturalnych, od których roilo się na terenie Wilna i czterech północno-wschodnich województw. Zachowawcza część Wilna odebrała ten ruch jako działania w stylu Kraju Rad. Idea była jednak taka, żeby wzmocnić wszelkie działania kulturotwórcze, zwłaszcza te w miejscowościach oddalonych od większych ośrodków, dać im zaplecze. W pierwszym roku swojej działalności RWZA zrzeszyła dziewięć organizacji kulturalno-artystycznych i wśród innych form działalności utworzyła klub „Smorgonia”, którego nazwa nawiązuje do Akademii smorgońskiej w Smorgonii należącej do Radziwiłłów, gdzie tresowano niedźwiedzie. Działalność tego klubu to ciekawa, osobna karta. Zjazd Działaczy Kulturalnych, który odbył się 1-2 listopada 1934 r., miał pomóc w samotnej i trudnej pracy działaczy kulturalnych na prowincji.

Witold Hulewicz do 1934 r. pracował w Wileńskim Radio. Wszystkie te zajęcia, w Związku Literatów, w Radio, w klubie „Smorgonia”, w RWZA przebiegały równocześnie, nie tylko sobie nie przeszkadzając, ale wspomagając się wzajem.

Lecz im większy wpływ miał Hulewicz na kształt środowiska kulturalnego Wilna, tym bardziej zaostrzały się konflikty z konkurentami do „rządu dusz”, Mackiewiczem, Charkiewiczem, Wysomirskim. Ludzie ci, związani ze *Słowem* i konserwą wileńską, niechętnie patrzącą na jakichkolwiek „panów przyjezdnych”, choćby najbardziej zasłużonych, doprowadzili do konfliktu zakończony pojedynkiem Mackiewicza z Hulewiczem i odwołania Hulewicza do Warszawy w 1933 r. W Warszawie Hulewicz objął stanowisko kierownika działu literackiego Polskiego Radia. Kontynuował tu swoją pracę szerzyciela kultury. Pisał wstępy do audycji muzycznych, radiofonizował utwory pisa-

rzy, sam recytował „i to co czytał i jak czytał było zawsze w najlepszym smaku”, jak pisze w swoich wspomnieniach Maria Dąbrowska, tak bezwzględnie krytyczna, jeśli chodzi o wszelkie radiowe produkcje. O działalności Hulewicza w radio Dąbrowska pisze jeszcze: „Były to klasyczne wzory tego, jak można i należy popularyzować rzeczy piękne”.

Kontakty z Wilnem, choć ograniczone, trwały nadal, jednak najpiękniejszy okres w życiu, jak go nazywa matka Hulewicza w liście do Mariana Zdziechowskiego, był już za nim.

Gdy rozpoczęła się wojna, Hulewicz przemawiał namiętnie na falach radia do Niemców. Recytował także polskie utwory romantyczne. W czasie wojny działał w konspiracji, wydając prasę podziemną. Między innymi redagował najpoczytniejsze podówczas pismo *Polska Żyje* od 1939 do 1941 r. Zadenuncjowany i aresztowany w 1940 r., został uwięziony na Pawiaku, gdzie poddano go długotrwałemu śledztwu i torturom. Niemcom nie udało się ustalić prawdziwej roli, jaką Hulewicz odgrywał w konspiracji. Nie uchroniło go to jednak od śmierci. Został rozstrzelany 12 czerwca 1941 r. w Palmirach. Zostawił po sobie pięć tomów poezji i przekłady Rilkego. Rękopis jego powieści o Chopinie, dla której jeździł specjalnie na Majorkę, by zamieszkać kilka dni w klasztorze Valdemosa, gdzie 100 lat wcześniej przebywał Chopin z George Sand, zaginął w czasie wojny.

Ostatnia „Środa” odbyła się 6 czerwca 1939 pod hasłem „Literaci wileńscy na FON”. Wystąpił wtedy m.in. prof. Konrad Górski, czytając fragment nowego podręcznika dla szkół, poświęcony Piłsudskiemu jako pisarzowi.

W sumie w „Środach” wystąpiło 126 literatów, w tym oprócz polskich również białoruskich, litewskich, łotewskich, żydowskich, francuskich, niemieckich, angielskich, hinduskich, karaimskich, 51 naukowców z Wilna, Warszawy, Poznania, Łodzi, Krakowa, Paryża, Londynu, Kopenhagi, 40 artystów teatru, plastyki, muzyki.

„Środy” przerwała wojna, ale coś z ich ducha można odnaleźć w dramatycznych dniach po kampanii wrześniowej, gdy Litwa otworzyła swoje granice dla polskich żołnierzy. Fakt to znany (może za mało wśród Polaków) i zaskakujący na tle niesłuchanie napiętych stosunków między Polską a Litwą przez całe 20-lecie, nie zmienionych praktycznie mimo formalnego nawiązania stosunków dyplomatycznych w 1938 r. Oczywiście szukanie przyczyny pełnego godności i kultury gestu Litwinów w „Środach” jest przedsięwzięciem ryzykownym i ja się go nie podejmę. Jednak na marginesie tych rozważań warto jeszcze raz powtórzyć, że właśnie takie kontakty, jak te, które się nawiązały przy okazji spotkań „środowych”, bezpośrednie, bardzo osobiste, są prawdopodobnie jedyną możliwą płaszczyzną porozumienia.

Tego typu znajomości, abstrahujące od polityki zagranicznej czy mniejszościowej państw, szukające innych, własnych dróg, procentują w takich momentach jak owa jesień 1939 r. Być może właśnie tego typu indywidualne kontakty, które pokonały kondony niezręczności politycznych, stały się źródłem jednego z piękniejszych gestów w trudnych czasach, które wtedy nadchodziły.

Jagoda HERNIK

A może pomyśleć o ich wznowieniu? (Redakcja)

O Kociewiu bez umniejszeń

Interesujący szkic pióra R. Ciemińskiego pt. „Polska wielu ojczyzn” (*Kultura* 1-2/1991) przyniósł garść refleksji o znaczeniu poczucia etnicznego dla świadomości ogólnonarodowej z różnymi tego stanu implikacjami. W mozaice regionalnej różnorodności nadwiślańskiej ojczyzny autor wspominał również o Kociewiu i Kociewiakach w poczuciu, że odkrywa istnienie tu regionu i społeczności co najmniej mikroskopijnej i wymierającej, „jeśli kto w ogóle o nich w Polsce słyszał” (cyt. autora). Publicyście należą się zatem słowa uznania za próbę uświadomienia Polsce i światu, że region taki owszem istnieje. I tylko za to. O tym, jak mało region ten jest identyfikowany i znany pośród innych regionów Polski — niestety — świadczy i to, że sam autor ma na jego temat wiedzę tyleż ograniczoną, co niejasną. Stąd też jego błędna „podpowiedź” światu, która nie tylko nie wzbogaci jego wiedzy i orientacji, ale wręcz je wypaczy.

Otóż Kociewie to nie jakaś oaza wokół paru miasteczek nadmorskich, „na rzut kamienia”, lecz region obejmujący obszar nad dolną Wisłą, na południe od Świecia począwszy, bez mała po Gdańsk, szacowany na ok. 3 tys. km² z ponad 250 tys. mieszkańców. Za jego tradycyjną stolicę uważany jest Starogard Gdański (tu działa Muzeum Ziemi Kociewskiej z ekspozycją historii, kultury i tradycji ludowej Kociewia) — paskudnie mylony przez dyletantów ze Stargardem Szczecińskim.

Dygresja autora, że Kociewiaci „dopiero teraz nieco śmielej dobijają się o prawo do głosu” nadmiernie ubezłasnowolnia społeczność, która o wiele dawniej, niż autor sądzi, wystąpiła w obronie swej tożsamości regionalnej i prawa do stanowienia o sobie.

Elementem tej postawy było powołanie w 1956 roku Zrzeszenia Kociewskiego, zdławionego następnie za zbyt ni nacisk na niezależność i samorządność. Przepadło więc, chociaż mogło „uratować się”, jak niektóre inne, pójść na ustępstwa i współpracę z władzą. Po latach, wykorzystując sprzyjające okoliczności, niezależność i autonomię w działaniach na rzecz regionu wywalczyło Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej, podobnie jak Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, dźwigające cały ciężar działalności na tym polu, także w zakresie edytorstwa, by wspomnieć utrzymany na wysokim poziomie fachowym *Kociewski Magazyn Regionalny* (Starogard Gd.-Tczew) oraz serię wydawnictw niskonakładowych.

Jak mało który, region ten doczekał się 3-tomowego słownika swojej gwary (Bernard Sychta, *Słownictwo kociewskie na tle kultury ludowej*), kompletowany jest zaś słownik biograficzny (na dziś ok. 4 tys. haseł osobowych) i leksykon Kociewa. To znacznie więcej, niż „nieśmiały” próby zaznaczenia regionalnej odrębności.

Dało też Kociewie, jak nadmieniał autor, „reprezentantów swych polskiej społeczności (...) niezgorszych” i to znacznie więcej, niż wymienieni w szkicu T. Budzisz-Krzyżanowska, R. Karczykowski, K. Deyna oraz przypisany Kociewiu A. Szarmach (urodzony w Gdańsku). Skoro popularność sportowców ma być miarą wkładu regionu do ogólnonarodowej skarbnicy, warto obok olimpijczyków takich jak Brunon Bendig, Kazimierz Kropidłowski, Bronisław Malinowski, Kazimierz Zimny, bracia Kosedowscy, wymienić zwłaszcza Andrzeja Grubbę — niewątpliwie najbardziej znanego w świecie Kociewiaka z samego jego centrum, urodzonego w Zelgoszczy koło Starogardu. Jeśli Polska i świat ma rozpoznawać Kociewie wedle rangi jego synów, może je wiązać z reprezentantami aktualnego pokolenia Kociewiaków, choćby takich, jak: Małgorzata Hillar i Edward Pałasz, Grzegorz Ciechowski (obywatel GC) i ks. prał. Henryk Jankowski — proboszcz gdańskiej parafii św. Brygidy, duchowy ojciec „Solidarności”, czy prof. dr Paweł Wyczyński z Ottawy, tłumacz poezji Karola Wojtyły, intelektualista wielkiego formatu, wierny kociewskim korzeniom.

Jeśli świat zna swoją historię, zapewne nie będą mu obce z dawnych lat zasługi wywodzących się z Kociewia: podróżnika i badacza J.R. Forstera, etnografa J. Ossowskiego, tłumacza literatury antycznej T. Scheffera, architekta J. Jacobstahla, jezuitę o. Henryka Jackowskiego i biskupa misyjnego Leona Szarmacha, działacza polonijnego J. Brejskiego, by nie mnożyć tej listy.

Faktem z całą pewnością pozostaje stanowczo za mała obecność Kociewiaków w świadomości ogółu społeczeństwa i ich niewspółmiernie skromna rola czy też pozycja w kraju, zresztą nie bez winy ich samych, którym wrzask wokół siebie, dobijanie się do swego „po trupach” i za wszelką cenę są z natury obce. Płacą za ten szczególnie rodzaj godności.

Dziękując autorowi za wspomnienie w jego szkicu o Kociewiu, chciałoby się żywić nadzieję, że zaistnieje ten region w szerszej świa-

domości. Zasluguje na to choćby ze względu na swoją niebanalną historię, danych Polsce i światu działaczy i twórców, wreszcie skarby architektury i sztuki (Pelplin z gotycką katedrą i ołtarzem ponoć najokazalszym po tej stronie Pirenejów, unikalną Biblią Gutenberga itd.) a także urokliwy krajobraz.

To wciąż obopólna szansa.

Ryszard SZWOCH

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w lutym 1991 r. Dziękujemy:

Institutowi Literackiemu w Paryżu za 1.155 książek,
firmie AKTIS S.A.R.L z Paryża za 314 książek i pism,
spółce EDITIONS SPOTKANIA za 8.382 egz. pism,
Wydawnictwu POKOLENIE za 2.428 książek,
Wydawnictwu CDN za 82 książki.

Komitetowi Rodzicielskiemu przy Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza w Węgrowie za	— 80.000 zł.
Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej Liceum Ogólnokształcącego w Witnicy za	— 200.000 zł.
Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej V Liceum Ogólnokształcącego w Radomiu za	— 200.000 zł.
Pani Wiesławie Komorowskiej za	— 100.000 zł.
Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej Liceum Ogólnokształcącego w Chmielniku za	— 20.000 zł.
Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej Liceum Ogólnokształcącego w Sulechowie za	— 61.900 zł.
Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej II Liceum Ogólnokształcącego w Zduńskiej Woli za	— 100.000 zł.
Komitetowi Rodzicielskiemu przy Zespole Szkół Technicznych WSK „MIELEC” w Mielcu za	— 100.000 zł.
Dyrekcji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Lublinie za	— 41.000 zł.
Komitetowi Rodzicielskiemu przy Zespole Szkół w Koźminie za	— 200.000 zł.

Dyrekcji i Radzie Pedagogicznej III Liceum Ogólnokształcącego Stow.
PAX w Warszawie za — 300.000 zł.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo ideę FUNDACJI,
podajemy numer naszego konta:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM
PBK III/Oddział w Warszawie
nr konta: 370015-975148-132-3

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Polnische Buchhandlung
KSIEGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Ci, co odeszli

O Władysławie Bieńkowskim

(WSPOMNIENIA OSOBISTE)

Oto zmarł człowiek osobliwy, niezwykle, jedyny w swoim rodzaju. Odrębność i niepowtarzalność znanej nam na przestrzeni dziesięcioleci Osoby oceniamy częstokroć dopiero, gdy jej zabraknie, wtedy też możemy zmierzyć własne zubożenie — żeśmy z tej Osoby zbyt mało skorzystali. Tyczy się to również niżej podpisanego, który z Władysławem Bieńkowskim mieszkał w jednym starym (bo przedwojennym) warszawskim domu lat równe 30! Widywaliśmy się, owszem, sporo, lecz za dużo było może przekomarzań i sympatycznych zresztą dokuczań, czasem wręcz kłótni, niż próby wnikięcia w istotę rzeczy, w osobliwą strukturę umysłową jednej (a pochyliam sobie, że i drugiej) strony. Zwłaszcza, że Bieńkowski nigdy nie mówił o sobie, a widząc krytycyzm ze strony rozmówcy krył się za parawanem dowcipów i paradoksów, zazwyczaj zresztą znakomitych. Więcej zatem przekory niż zrozumienia i ciepła bywało na naszej Alei Szucha (oficjalnie I Armii W.P.), mimo że Władysławowi Bieńkowskiemu zawdzięczamy (my, np. Stomma, Zawieyski, ja) sporą część naszego politycznego żywota w Polsce Ludowej. Ciepło natomiast próbowała wnieść zmarła również niedawno żona Władysława, Flora — poetka i powieściopisarka — która, jak to częstokroć kobiety, niezbyt poważnie traktowała męskie poglądy, upory i fobie.

Ale uniknijmy pokusy pisania o sobie zamiast o Bieńkowskim. Więc: człek niepozorny, niski, szczupły, ze śladami ospy, nader ruchliwy, pokazywał kim jest dopiero gdy zaczynał mówić. Głos miał wspaniały (uczył się podobno kiedyś śpiewu, sam zaakompaniowałem mu raz fragmenty znanych na pamięć arii operowych), był mową znakomitym, przechodzącym z łatwością od „lwiego” ryku do szatańskiego szeptu, od nieodpartego patosu

do niszczącej ironii, przy czym z wypowiedzi jego było absolutne, autentyczne przekonanie, któremu trudno się było oprzeć. Trudno, nawet wtedy, gdy racja jego była niepewna, gdy używał swego głosu „instrumentalnie”, niszcząc na przykład w Radzie Narodowej (w sali „Romy” jeszcze) nieszczęsnego Mikołajczyka. Wypomniałem mu to po latach i nie zapierał się (nigdy tego nie robił) twierdząc jedynie, że Mikołajczyk autentycznie go drażnił, bo był „głupio naiwny” i nie wiedział do kogo mówi.

Ale kim był w istocie Władysław Bieńkowski? Jednym z twórców PPR-u w okupowanej Warszawie, bliskim współpracownikiem Gomułki, redaktorem podziemnych pism komunistycznych, uczestnikiem słynnego zebrania na ulicy Twardej w sylwestrowy wieczór 1944 roku, kiedy to stworzono komunistyczną Radę Narodową, czyli podwaliny przyszłej czerwonej władzy. Był więc Bieńkowski przez szereg lat czołowym działaczem komunistycznym, a jednak w zasadzie nikt z nas nigdy nie miał do niego pretensji. Dlaczego? Czy dlatego, że z czasem, po latach, przeszedł jak wielu innych do opozycji? Nie, jego wypadek był odmienny. On po prostu PRZEZ CAŁY CZAS zachowywał się jak człowiek. Jak szczery, namiętny, nierzadko gubiący się w sytuacyjnych paradoksach, gwałtowny, lecz zawsze odważny i świadomy cudzych racji żywy człowiek. To odróżnia go od innych „nawróconych”. Zresztą za nawróconego nigdy się nie uważał, do samej śmierci prezentując się jako „socjolog — socjalista”, lepszy nawet od niejakiego Karola Marksa, który „chciał dobrze”, ale pogubił się w błędnych przepowiedniach i przedwczesnych dogmatach.

Znajomość nasza zaczęła się w 1946 roku, gdy Bieńkowski, naonczas wiceminister oświaty, przybył do Krakowa, aby zorganizować słynną dyskusję między katolikami i marksistami w dosyć wtedy wynędzniałej restauracji Wierzyńska. Dyskusja, mimo dookólnych walk politycznych i wręcz leśnych (stracenięca grupa „Ognia” na Podhalu) odbyła się w duchu kurtuazyjnym, głównymi dyskutantami byli ksiądz Jan Piwowarczyk i prezes Bolesław Drobner, którzy popisywali się wirtuozowską, oklaskiwaną przez obecnych znajomością marksizmu (ksiądz czytał nawet „Kapitał” w oryginale). Zdziwiło nas wówczas, że Bieńkowski, namiętny pozeracz Mikołajczyka i w ogóle wszelkiej opozycji (choć Mikołajczyk był wówczas wicepremierem) okazał się człowiekiem normalnym, wesołym, dowcipnym i chętnym do wszelkiej dyskusji. Skąd się taki wziął w komunie? — pytano.

Wielkiego rozgłosu nabrała wówczas teza Bieńkowskiego na temat stosunku partii do religii. Twierdził, że religia jako jedno ze znamion „gasnącego świata” zanikać zacznie automatycznie w miarę uprzemysłowienia kraju, gdy tracić będą swe znaczenie masy chłopskie, pozostające główną bazą katolicyzmu. Natomiast

prześladowania religii i forsowanie propagandy ateistycznej — wywodził Bieńkowski — jest akcją prymitywną i drażniącą, która budząc opór społeczny, przedłuża życie „przesądom religijnym”. Stąd też pochodził jego dialektyczny liberalizm, zwłaszcza wobec inteligenckich grup katolickich, co miało objawić się na nowo w czasie „odwilży” 1956.

Tymczasem jednak sytuacja wiceministra zaczęła się wyjaśniać „prawidłowo”: że nie ma miejsca w kierownictwie partii dla człowieka normalnego. Przyszedł złowrogi rok 1948, „połączenie” PPR-u z PPS-em, nominacja Rokossowskiego, wreszcie walka z „odchyleniem nacjonalistycznym” w partii. I oto, na łamach prasy obok nazwisk zdrajców i podstępnych wrogów w rodzaju Gomułki, Spychalskiego, Kliszki jęło się ukazywać nazwisko perfidnego nosiciela miazmatów burżuazyjno-liberalnych — Władysława Bieńkowskiego. Zachował się on wówczas nie schematycznie: nie brał udziału w żadnych „plenach”, nie dał się namówić na jakąkolwiek samokrytykę, w rezultacie on — pierwszy intelektualista partii, a przy tym „niepoważny” inteligent, został zlekceważony czyli oszczędzony. Wyrzucono go na trzeciorzędne stanowisko dyrektora Biblioteki Narodowej, gdzie przebył w dobrym humorze noc stalinowską. Ten niezmiennie dobry humor uderzał mnie, gdy z rzadka widywałem go w Warszawie — łączyła nas wspólna przyjaźń ze znakomitą kompozytorką Grażyną Bacewicz. Ów dobry humor był wszakże formą heroizmu: siedział przecież Bieńkowski na gałęzi, która każdej chwili mogła się złamać, a niedobitki polskich komunistów dobrze pamiętały krwawą łaźnię, jaką wyprawili im Stalin w latach 1937–38.

Lecz oto nadchodzi rok 1956, powrót Gomułki i (zapomniani) Władysław Bieńkowski znów na arenie. Wraz z Zenonem Kliszką jedzie do Komańczy uwolnić — właściwie bez żadnych warunków — internowanego tam w żeńskim klasztorze Prymasa Wyszyńskiego (opowiadano wówczas, że ks. Prymas przebywał w zakonie Ojców Enkawudystów), pisze artykuły, oręduje za wprowadzeniem religii do szkół, z czasem zostaje ministrem oświaty. I oto, późną jesienią 1956, rozpoczyna swoją działalność mającą na celu stworzenie politycznego ruchu „znakowego”, co miała nas zbliżyć na długie lata i właściwie na zawsze.

Rozpoczął od warszawskich rozmów z Jerzym Zawieyskim, potem przybył do Krakowa na „pertraktacje” z Gołubiewem, Stommą, Turowiczem czy Woźniakowskim. Obiecował złote góry: oczywiście przywrócenie *Tygodnika Powszechnego*, pięć mandatów poselskich, fotel w Radzie Państwa dla Zawieyskiego oraz legalizację ogólnopolskiego ruchu klubów katolickich. Tych klubów, według zapowiedzi odrodzonego optymisty Bieńkowskiego, miało być kilkadziesiąt, na razie zalegalizowano ich parę

(Warszawa, Kraków, Wrocław, Lublin, Tarnów, potem zamiast Tarnowa Poznań, z czasem Toruń) i te parę miało pozostać na ćwierć wieku.

Pamiętam, w grudniu 1956 chyba, wielkie inauguracyjne zebranie klubu warszawskiego, którego prezesem został Jerzy Zawieyski. Zebranie odbyło się w sali Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. „Naczalstwo” naszego ruchu (Zawieyski, Stomma, Turowicz) nalegało, by referat programowy Klubu wygłosił Janusz Zabłocki, najczynniejszy obok Tadeusza Mazowieckiego działacz ówczesnej paxowskiej „frondy”. Zabłocki, jak to Zabłocki, mówił cały czas o „prawdziwym” socjalizmie i o zbliżeniu między katolikami i marksistami. Zauważyłem, że Bieńkowski kręci się niespokojnie, nagle podszedł do mnie i szepnął: — Kogo, na Boga, daliście tu na mówcę?? Takie rzeczy to się mówi u nas, u was — trzeba inaczej! He, he...

Po styczniowych wyborach 1957 weszliśmy ze wspólnej listy do Sejmu, konstituując się jak Koło Posłów Katolickich „Znak” (pierwsza piątka — Zawieyski, przewodniczący Stomma, Makarczyk, Kisielewski, Gładycz, doszłusowali: Kołakowski, Kwoczek, Piętna, Jackiewicz, Skowroński, Łubieński; w kadencji 1961–65 zbojkotowanego przez partię Makarczyka zastąpił Mazowiecki, Kisielewski, skład był teraz tylko 5-osobowy: Zawieyski, Stomma, Mazowiecki, Łubieński; w roku 1965 ustąpiłem na własne życzenie i przestałem się sprawą interesować).

Od razu w Sejmie oblał nas zimną wodą doktrynerski nerwowiec Kliszko. Pamiętam też ostrzeżenie Bieńkowskiego: „Nie zróbcie tylko błędu, uważając Gomułkę za odwilżowego liberała. Udaje teraz łagodnego, bo musi, ale to taki sam doktryner jak inni”. Zaiste — dalekowzroczna uwaga!

W kwietniu 1957 Bieńkowski załatwił mi pierwszy po wojnie wyjazd na Zachód do Francji, co miało później znaczenie w naszych obopólnych stosunkach. Sam wybrał się z jakąś delegacją do Londynu, gdzie usiłował idealizować naszą władzę twierdząc, że w Polsce nie ma już cenzury. Zaraz po powrocie przekonał się na własnej skórze, że jest akurat przeciwnie. Wytknąłem mu to — nie zaprzeczył, zaczął już tracić złudzenia, ciągle jeszcze będąc ministrem. W dodatku religia znów zaczęła zniknąć ze szkół.

Drogę jego odchodzenia od dawnych przyjaciół (Gomułka, Kliszko) obserwowałem w Sejmie z pewną przewrotną nieco uciechą. Narażał się niewyparzoną mową i dowcipami, czego tamci, ponurzy ideolodzy jednolitej partyjnej władzy, nie znosili. Raz Bieńkowski powiedział na połączonych sejmowych komisjach, że socjalizm w szkolnictwie masowo wychowuje idiotów. Niebywała też była sprawa ustawy o przejściu tzw. dóbr państwowych na Ziemiach Zachodnich na własność państwa.

„Znak” w całości głosował przeciw tej ustawie. Po głosowaniu ujrzałem na korytarzu Kliszkę z Bieńkowskim. Podszedłem do nich, przywołany gestem Bieńkowskiego i usłyszałem jego słowa, skierowane do wicemarszałka Sejmu i Numeru Drugiego w hierarchii władzy. Słowa te brzmiały: — Winszuję ci sukcesu w likwidowaniu polskości na Opolszczyźnie! Niemcom nie udało się to przez 500 lat, my robimy to jedną ustawą! Łatwo sobie wyobrazić, jaką wściekłość takie *dictum acerbum* wywołać musiało u fanatycznego historyka Kliszki. I to w dodatku przy niepowołanym świadku!

I wreszcie stało się. W 1961 roku Bieńkowski utracił tekę ministra — zastąpił go Henryk Jabłoński. Chciał Pan Władysław wrócić do ulubionej Biblioteki, ale nie pozwolono na to, przydzielając mu... departament lasów państwowych. Z okresu tego zapamiętałem dosyć ciekawą historię. Oto, będąc znów w roku 1962 w Paryżu (od tego roku zresztą rozpoczął się mój dziesięcioletni zakaz wyjazdów) spotkałem byłego ambasadora Francji w Warszawie, p. Burin de Rosier. Powiedział mi on, że rząd francuski zgodziłby się oddać Bibliotekę Polską w Paryżu rządowi PRL pod warunkiem, iż dyrektorem zostanie Władysław Bieńkowski, nie zaś proponowani przez Warszawę Jabłoński czy Żółkiewski. Po powrocie powiedziałem o tym Bieńkowskiemu, obśmiał się lekko, proponując, abym się zwrócił do „znanego mi zapewne człowieka nazwiskiem Kliszko”. Mimo to poruszyłem sprawę na komisji sejmowej, ale tam zarówno mnie jak i Burina okłął okropnie ówczesny przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych, „niejaki” p. Birecki.

W połowie lat 60-tych był już Bieńkowski zdecydowanym opozycjonistą, choć nie pamiętam kiedy utracił ostatnie stanowisko i przeszedł na niewysoką urzędniczą (nie ministerialną!) emeryturę. W roku 1967 ukazała się w Bibliotece „Kultury” moja (Stalińskiego) powieść „Widziane z góry”, gdzie przedstawiłem Bieńkowskiego w humorystycznej nieco postaci bezsilnego partyjnego opozycjonisty Grochowskiego. Podobno bardzo się o to uraził, choć mnie nadmienił tylko, że książka niezbyt mu się podobała. Nie przeszkodziło mu to jednak z czasem poprosić mnie o pomoc w wysłaniu niektórych manuskryptów za granicę, co chętnie załatwiłem, choć i mnie jego książki nie zawsze się podobały.

Nie pamiętam zresztą, kiedy zaczął wydawać te książki za granicą, wyzbyty wszelkich złudzeń, zwłaszcza po marcu 1968. Stał się wówczas dla świata „polskim Dżilasem”. Pamiętam jednak, gdy w *Kulturze* ukazały się „Motory i hamulce socjalizmu” umówiłem się z nim w Łazienkach — chodziliśmy na spacer, aby uniknąć podsłuchu. Jąłem zarzucać Bieńkowskiemu, że książka, mimo całego krytycyzmu, jest wciąż przepojona myśle-

niem socjalistycznym, a on na to: — Poczekać, wy chcecie od razu żebym był w *Wolnej Europie*. Na to zawsze będzie jeszcze czas! I rzeczywiście.

Potem przyszły dalsze ciekawe książki: o rolnictwie, o Gomulce („Socjologia klęski. Dramat gomulowskiego czternaściecia”, Instytut Literacki 1971). Pojawiły się też przekłady zagraniczne. I tu znów zabawna rozmówka, którą przytoczę, wierny mojej filozofii nie najpoważniejszego widzenia świata, obowiązującej mnie nawet we wspomnieniu pośmiertnym. Otrzymałem mianowicie od arcybiskupa Rubina z Rzymu, za pośrednictwem pewnego księdza, honorarium dewizowe dla Bieńkowskiego za jakiś włoski przekład. Otrzymywanie dewiz było wówczas srodze karane. Umówiłem się więc z Bieńkowskim, oczywiście w Łazienkach, wręczyłem mu pieniądze i powiedziałem: — Ostrzegam, że jeśli pan powie komukolwiek, że ja dałem panu jakieś pieniądze, to zaprę się absolutnie wszystkiego i rozgłoszę, że pan jest agentem prowokatorem z UB. A Minister (tak go wciąż tytułowałem, nie bez ironii) mówi na to: — I będziecie (wciąż używał partyjnego „wy”) w najzupełniejszym moralnym porządku, bo prawo kanoniczne mówi, że pod przymusem zagrażającym śmiercią można i należy zaprzeczyć się prawdy! *Si non e vero...*

Ostatnią naszą wspólną „akcją” polityczną był udział wraz z Andrzejem Kijowskim w swego rodzaju komisji rewizyjnej, powołanej przez KOR dla zalegalizowania jego finansów (1979 chyba). Na zebraniu tej komisji Bieńkowski postawił nagły wniosek, aby nie badać finansów, lecz meritum działań. W związku z tą sprawą zrobił uwagę „mój” pułkownik UB Edward Jankiewicz, gdy zatrzymano mnie przy innej okazji (patrz „Alfabet Kisiela”). Powiedział on: — Przecież żadnych pieniędzy wam nie pokazali, to był tylko pozór! A ja mu na to: — Oczywiście, panie pułkowniku, że nie pokazali. Gdyby pokazali, nie mógłbym z panem tu rozmawiać!

Mijały polskie lata, czasem dosyć nudnie, czasem ekscytująco. Bieńkowski odwiedzał mnie (daleko nie miał) przynosząc manuskrypty, dzieląc się poglądami, pożyczając *Le Monde*, który dostawałem. Ale rozumieliśmy się coraz gorzej. „Minister” wpadł bowiem w manię naukową, pracował od rana do nocy, próbując skodyfikować błędy marksizmu i sformułować „prawdziwą” teorię społeczną. Zauważył, owszem, kardynalną pomyłkę Marksa, który w swej maniackiej teorii walki klas nie przewidział przyszłego przymierza kapitału z pracą, jakie zainaugurował w Ameryce Ford Pierwszy. Zrozumiał on (Ford), że masa robotnicza to również rynek odbiorczy jego towarów i tak narodził się tani samochód dla „człowieka pracy” oraz słynne fordowskie konsumy fabryczne. Bieńkowski, owszem, entuzjasmował

się tą sprawą, ale uważał, że trzeba w tym względzie „uzupełnić” naukę Marksa, „uzachodnić” ją, odrzucając oczywiście leninowsko-stalinowskie pomysły dyktatury proletariatu. Celem nadrzędnym był więc dla Bieńkowskiego nadal unowocześniony „naukowy socjalizm” uwzględniający zresztą wszelkie obserwacje nowoczesnej socjologii. Denerwował mnie ten programowo-materialistyczny racjonalizm, wytykałem mu błędy rzekomych naukowych zbawców ludzkości, usiłowałem przekonać, że próba ujmowania spraw ludzkiej masy w jeden logiczny system, to groźna utopia, nie lepsza od „filozoficznych” gmachów, wznoszonych przez opętane umysły Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina (to profesor Tatarkiewicz określił kiedyś komunizm jako pierwsze w historii dyktatorskie rządy filozofów). Przypominałem wciąż Bieńkowskiemu o nieszczęściach, jakie ściągnęły na ludzką twórcę i „naukowcy”, od maszyny obłąkającej Leonarda da Vinci, po komorę gazową Hitlera oraz bombę atomową. Wskazywałem też na szkodliwość nadmiernej, maniackiej pracowitości, która uniemożliwia rzeczywiście empiryczne utożsamianie się z migotliwą, irracjonalną zmiennością dookolnego świata. Radziłem także, aby pojechał na dłużej za granicę do córki, którą bardzo cenił. Pobyt na Zachodzie (bywał tam mało i nie lubił) mógłby mu otworzyć oczy na irracjonalizm, przypadkowość, niepoinformowanie, rządzące światem, gdzie anioł i diabeł grają ze sobą w karty o losy ludzkości i żadna nauka tego nie ugryzie.

Uważał mnie raczej za obalamuconego „religianctwem” idiotę, choć ceniał moje pióro. (Obruszał się, gdy nazywałem go ateistą, uważał się tylko za myśliciela pozareligijnego). Pracował teraz coraz więcej nad „unowocześnioną” nauką społeczną, żył już wręcz ascetycznie, odwiedzając mnie unikał dyskusji „światopoglądowych”. Ale miało się to skończyć...

Pewnego dnia zjawiał się u nas ogromnie podniecony, niosąc wyjątkowo gruby maszynopis — była to najnowsza jego praca, która niedługo miała się ukazać w Londynie — tytułu nie pamiętam. — Kisielu — powiedział — tutaj napisałem chyba wszystko, o co mi chodzi. Sądzę, że się teraz zrozumiemy i że pan wreszcie podejdzie do sprawy poważnie!

Książkę (tytułu wciąż nie pamiętam) przeczytałem od deski do deski i wściekła mnie okropnie. Był to typowy „materializm dialektyczny”, uzupełniony krytyką błędów komunizmu, lecz nadal wierzący w jedną naukową doktrynę, która zbawi ludzki świat. Postanowiłem odpowiedzieć Autorowi na piśmie: siadłem i po parodniowej pracy wysmażyłem elaborat polemiczny w formie listu. Na końcu zarzuciłem Autorowi, że jest jedynym już w Polsce obok Adama Schaffa pisarzem, który nie wyciągnął wniosków z bankructwa i kompromitacji marksizmu. List ten podłożyłem pod drzwi mieszkania państwa Bieńkowskich na V piętrze.

I na tym skończyły się wizyty, spacer, dyskusje. Po paru tygodniach spotkałem go na ulicy, o liście nie wspomniał. Przy następnym spotkaniu zagadnąłem, czy w ogóle dostał ów list. Odpowiedział: — Wiecie, dostałem, zacząłem nawet pisać odpowiedź, ale dałem spokój, bo zrozumiałem, że wy żartujecie. Tak, tak, to były żarty!

A ja wcale nie żartowałem, mimo to stosunki intelektualne się skończyły. Spotykałem teraz Bienkowskiego co najwyżej w sklepie czy na ulicy, rozmawialiśmy o epatujących wydarzeniach politycznych („okrągły stół”, wybory, rząd Mazowieckiego), ale dyskusje „światopoglądowe” znikły bez śladu.

Lecz, o dziwo, rozmowy te, przypadkowe, stawały się coraz miłsze, serdeczniejsze, osobiste. Może w przeczuciu końca? Po śmierci jego żony Flory wybrałem się wreszcie na górę, posiedzieliśmy ze dwie godziny i wypiliśmy nalewką jego roboty (do czystej wódki nie miał przekonania) odkładanego przez czterdzieści lat bruderszafta. Na pożegnanie ucałowaliśmy się mocno. I tyle go widziałem!

Moja strata, ale jest też i strata ogólna. Niechętnie wraca się myślą do poważnych nawet marksistów i komunistów, tak jakby zwycięstwo polityczne było też absolutnym sukcesem intelektualnym. A przecież istniał jakiś Warski czy Lampe, Stawar czy profesor Lipiński (tłumacz „Kapitału”!), Żółkowski, Schaff, Bienkowski. Ten ostatni to dla wielu postać zagadkowa lub legendarna. Czy nie warto by skodyfikować i zanalizować jego dzieła, wyjaśnić dokonujący się latami przełom wewnętrzny? Zasłużył sobie na to, nie tylko „odwilżową” działalnością i odwagą polityczną, ale także żarliwą, benedyktyńską, a mało znaną pracą ostatnich lat życia.

Paryż, maj 1991 r.

Stefan KISIELEWSKI

Rashomon*

RZECZ O JERZYM KOSIŃSKIM

„Zamiast zabrać cię do siebie, podwiozłem cię do twojego mieszkania i pojechałem w okolice Broadwayu. Zaparkowałem przy krawężniku, gdzie prostytutki w oczekiwaniu na klientów stały oparte o ściany domów, wybrałem jedną z nich i wskazałem jej gestem, aby się zbliżyła. Powiedziałem czego chcę i ustaliliśmy cenę.

Potem, w moim mieszkaniu, kiedy ona brała prysznic, poczułem gwałtowny zawrót głowy. Wyczerpany i spocony zapadłem się w fotel.

Oddychałem z trudem i wydawało mi się, że serce zaczęło nagle bić nieregularnie. Słyszałem, jak dziewczyna nuciła w mojej łazience i zastanawiałem się, co by się stało, gdybym wtedy umarł. Niepokoiła mnie nie tyle myśl o śmierci, co fakt, że mógłbym umrzeć nie zostawiając śladu.

Widziałem tę scenę: dziewczyna wyszłaby z łazienki i znalazłaby mnie leżącego na podłodze. Upewniwszy się, że nie żyję, przeszukałaby moje kieszenie, wzięłaby gotówkę którą znalazła, zabrałaby wszystko co w jej oczach przedstawia jakąkolwiek wartość i szykowałaby się do wyjścia. Ale by otworzyć drzwi od wewnątrz, musiałaby znać trzycyfrowe kombinacje zamków. Wpadłaby w panikę, wzięłaby sobie drinka dla odwagi i raz jeszcze próbowałaby bezskutecznie poradzić sobie z zamkiem. Następnie dałaby za wygraną i odłożyła na miejsce pieniądze i skradzione przedmioty przed zatelefonowaniem na policję.

Zobaczyłbym detektywów, którzy sforsowaliby drzwi wejściowe, dostrzegliby zwłoki i zapytali z sarkazmem co takiego zrobiła, że pękło mi serce. Przeprowadziliby rewizję w poszukiwaniu dokumentów tożsamości i próbowaliby ustalić przyczynę zgonu. Zamknięte na klucz drzwi szuflady zawierałyby setki negatywów i zdjęć kobiet fotografowanych w tym mieszkaniu, nic poza tym. Policjanci żartowaliby na temat mężczyzny, którego zabiła pasja do kobiet i wyszliby z mieszkania nie odnalazszy żadnych papierów pozwalających na moją identyfikację”.

(Jerzy Kosiński, *Cockpit*, Houghton Mifflin Co., Boston, 1975.)

* Rashomon, co po japońsku oznacza dosłownie „brama, która nazywa się piekło”, jest tytułem filmu Akiry Kurosawy (1951), studium na temat prawdy i natury ludzkiej. W filmie tym cztery osoby wmieszane w gwałt i morderstwo opowiadają odmienne wersje wydarzeń. Na koniec w charakterze świadka powołany jest duch zamordowanego, ale i jego świadectwo nie wyjaśnia, co naprawdę się stało. Słowo „Rashomon”, jak podaje amerykańska encyklopedia filmowa, weszło do języka codziennego i oznacza prawdę nieobiektywną. Film uczy, że historia wygląda za każdym razem inaczej, zależnie od punktu widzenia.

W piątek 3 maja 1991 roku około 9.15 rano żona Jerzego Kosińskiego, Katherina von Frauenhofer-Kosiński, odkryła ciało swego męża w wannie napełnionej do połowy wodą. Na głowie miał nałożoną torbę plastikową okręconą wokół szyi. Lekarz pogotowia stwierdził zgon. Wezwano więc policję. Detektywi znaleźli w gabinecie pisarza notę, której treści nie ujawnili. Rzecznik policji nowojorskiej poinformował, że nota Kosińskiego potwierdzałaby hipotezę o jego samobójczej śmierci. W artykule zamieszczonym 4 maja w dzienniku *The New York Times* cytowano wypowiedź wdowy, która twierdzi, że Jerzy Kosiński cierpiał na poważną chorobę serca oraz na depresję wynikającą z niemożności pisania. Jak to ujęła, jej mąż lękał się, że „stanie się ciężarem dla mnie i dla przyjaciół”.

Wyników autopsji nie ogłoszono. Co do treści ostatniej noty Kosińskiego krążą pogłoski, że zawierała ona zdanie *no funeral arrangements* (żadnego pogrzebu). Wdowa potwierdziła, że spełni ostatnią wolę męża. Jerzy Kosiński zniknął bez śladu.

Do gazet przedostało się nieco informacji jak spędził ostatni dzień wśród żywych. Julita Karkowska w *Przeglądzie polskim*, dodatku do nowojorskiego *Nowego Dziennika*, napisała, że w przeddzień śmierci pisarz telefonował do księgarni *Nowego Dziennika* pytając o poezje Jana Lechonia. Zamówił tomik i zapowiedział, że przyjdzie go odebrać następnego dnia. Ale w piątek rano już nie żył. Inni znajomi pisarza twierdzą, że czytał „Dzienniki” Lechonia i z tego powodu popadł w jeszcze większą depresję. Kosiński miał pojechać do Warszawy przed dziesiątym maja, aby wziąć udział w ceremonii pogrzebania prochów Lechonia i przemawiać na akademii ku czci poety-uchodźcy. Planowany wyjazd do Polski łączył się też z otwarciem pierwszego polsko-amerykańskiego banku, Amerbank, którego Kosiński był jednym z udziałowców.

Ostatni wieczór, 2 maja, spędził na przyjęciu u swojego przyjaciela, także literata, Gay Talese. Gościem honorowym był senator stanu Maine, Willam Cohen, autor świeżo wydanej książki. *The New York Times* we wspomnieniu o Kosińskim podaje, że pisarz był jak zawsze w takich razach elokwentny i pełen humoru. Poprosił senatora Cohena o podpisanie mu książki i przed wyjściem dał mu swoją wizytówkę.

Wedle *Timesa* udział w przyjęciu literackim był ostatnią czynnością Kosińskiego przed powrotem do mieszkania na 57 Ulicy przy Siódmej Alei. Ale jego znajomi mówią, że zanim wrócił do domu, poszedł na późny seans filmu brytyjskiego reżysera Petera Greenawaya „Drowning by Numbers”. Jest to zawiły film grozy opowiadający o trzech kobietach tego samego imienia — babce, matce i córce — które pozbyły się swoich partnerów topiąc ich.

Biografia Kosińskiego tym się charakteryzuje, że niewiele faktów z jego życia można podać bez zastrzeżeń w rodzaju „jakoby”, „rzekomo”, „jak mówił sam zainteresowany”. Te słowa-klauzule źle brzmią po polsku, podczas gdy w dziennikarskiej angielszczyźnie są zupełnie na miejscu. Piszący nie uzurpuje sobie wiedzy absolutnej. Stara się jedynie w miarę możliwości oddzielić ustalone fakty od krążących opinii.

Więc najpierw kilka podstawowych faktów: Jerzy Nikodem Kosiński urodził się 14 czerwca 1933 roku w Łodzi, w asymilowanej rodzinie pochodzenia żydowskiego. Jego ojciec podobno był prawnikiem. Rodzice w czasie okupacji mieli wysłać syna-jedynaka na wieś, by go uchronić przed zagładą.

W środowisku literackim Stanów Zjednoczonych utrzymuje się wersja, że Kosiński w powieści „The Painted Bird” opisał swoje własne przeżycia okupacyjne. W rozmowach prywatnych i w wystąpieniach publicznych autor wielokrotnie twierdził, że każdy epizod w tej powieści jest prawdziwy i że on sam doświadczył wszystkich horrorów, jakie były udziałem bohatera książki.

W prozie niebeletrystycznej Kosiński wspominał, jak został uratowany. W trzystronicowym szkicu pt. „Speaking for My Self” (mówiąc we własnym imieniu) ogłoszonym w wydawanym w Polsce po angielsku kwartalniku filozoficznym *Dialectics and Humanism* (vol. XIV, nr 1/1987) pod redakcją Janusza Kuczyńskiego, Kosiński podjął temat zarzucanego Polakom antysemityzmu, odtwarzając wyobrażoną dysputę między różnymi osobami, w tym postaciami alegorycznymi i własnym głosem wewnętrznym. Powołał się tam m.in. na imaginacyjnego świadka Grigorija Zinowiewa, emisariusza Lenina opisanego w książce Johna Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”. Tę właśnie postać Jerzy Kosiński grał w filmie „Reeds” w reżyserii Warrena Beatty. Po niezbędnym wyjaśnieniu cytuję słowa, które w tym sporze Kosiński wkłada w usta Zinowiewowi, oraz jego komentarz własny:

„Już sam twój wygląd świadczy o odwadze Polaków. Odwadze Polaków, którzy mimo twego wyglądu ukrywali cię w czasie holocaustu! Odwadze Polaków, którzy ryzykowali własnym życiem mimo twojego wyglądu!”. Brzmi on jak sowiecki komisarz z II wojny światowej, który w 1945 roku wyzwolił mnie, jak i mój kraj, i dlatego był instrumentalny w stworzeniu mojego wewnętrznego kahału (w tradycji hebrajskiej rada starszych w gminie — tu w znaczeniu rady mędrców — przyp. RG).

Podobno rodzice przyszłego pisarza, utraciwszy z nim kontakt w ostatniej fazie wojny, sądzili że zginął. Zaadoptowali więc wkrótce po wojnie sierotę — chłopca żydowskiego. Wspomina o nim jako o bracie przyrodnym Jerzego Kosińskiego *Times*

z 4 maja br., wymieniając jego nazwisko i tytuł: dr Henryk Kosiński z Łodzi. Jednakże w tym samym artykule nieco wcześniej stwierdzono, że Jerzy Kosiński był jedynakiem. Tyle, jeśli idzie o sprzeczne informacje zawarte w jednym tylko tekście dziennikarskim poświęconym pisarzowi. Podobno telewizja izraelska realizując program z Kosińskim ściągnęła do Izraela dr. Henryka Kosińskiego i spowodowała ich nieoczekiwane spotkanie w studio.

Autor „Malowanego ptaka” ukończył studia socjologiczne na Uniwersytecie Łódzkim. Był, jak mówił, studentem profesora Chałasińskiego. Potem opowiadał niektórym, że dalej studiował w Moskwie. Inni jego dawni koledzy z Polski twierdzą, że przebywał tam krótko, na Festiwalu Młodzieży i Studentów.

W 1957 roku przyjechał do Stanów Zjednoczonych, pokonując duże trudności z uzyskaniem paszportu, jak to ujmuje jego oficjalna biografia amerykańska. W Polsce zajmował się zawodowo fotografią. W USA, jak podaje nota na skrzydełku jego powieści „Steps” (Kroki), znalazł się jako prywatna osoba, bez żadnej pomocy stypendialnej. Informację tę można by uściślić. Otóż Jerzy Kosiński będąc jeszcze w Polsce starał się o przyznanie mu stypendium (*grant*) Fundacji Forda. Ostatecznie je otrzymał w lipcu 1958 r., w ramach programu wymiany Stanów Zjednoczonych z krajami bloku wschodniego, *via* Institute of the International Education w Nowym Jorku. Stypendium wynosiło 8000 dolarów i zostało przydzielone na dwa lata. W ciągu tego czasu Kosiński miał przygotować wybór tekstów socjologów amerykańskich do ewentualnego wydania w formie książki w Polsce. Fundacja Forda poinformowała mnie, że jego opiekunem z ramienia tej instytucji był Shepperd Stone, już tam nie pracujący.

W Nowym Jorku Jerzy Kosiński studiował na Columbia University i w New School. Na studiach doktoranckich dotrwał do 1965 roku. Doktoratu jednak nie zrobił. Nie jest prawdą, że otrzymał doktorat honorowy Uniwersytetu Yale, co podano w jego nocy biograficznej we wspomnianym kwartalniku *Dialectics and Humanism*. W pierwszym okresie amerykańskim ogłosił pod pseudonimem Joseph Novak dwie książki szkiców socjologicznych: „Future Is Ours, Comrade” (Do nas, towarzyszu, należy przyszłość) — w 1960 r. i dwa lata później „No Third Path (Nie ma trzeciej drogi). Podejmowały one temat komunizmu w Europie Wschodniej i zawierały rozważania na temat zachowań zbiorowych, szczególnie w Rosji Sowieckiej.

Po faktycznym debiucie powieściowym, czyli „Malowanym ptaku”, wydanym gdy autor miał 32 lata, Kosiński opublikował wiele kolejnych książek, w tym „The Devil Tree” (Diabelskie drzewo), „Cockpit” (Kabina pilota), „Blind Date” (Randka w

ciemno), „Passion Play” (Moralitet), „Pinball” (Maszyna bilardowa), i ostatnią — „The Hermit of 69th Street” (Pustelnik z 69 Ulicy). Zdaniem krytyki był to najślabszy jego utwór, złożony w dużej mierze z obszernych cytatów z dzieł innych pisarzy. Kosiński otrzymał sporo nagród za twórczość literacką, w tym amerykańską National Book Award za „Steps” i nagrodę wydawców francuskich za „Malowanego ptaka”. W 1970 roku uzyskał nagrodę Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury.

W latach sześćdziesiątych Jerzy Kosiński poślubił Mary Weir, wdowę po amerykańskim magnacie stalowym. W 1966 roku nastąpił rozwód, a dwa lata później jego była żona umarła, o ile wiadomo, nie zostawiając mu spadku. Kosiński ożenił się następnie ze swoją osobistą sekretarką, Katherine von Frauenhofer. Osiągnął wówczas w Ameryce wiele: był nie tylko głośnym i doskonale zarabiającym pisarzem, cieszącym się sympatią nowojorskich kół literackich, ale ponadto przez dwie kadencje, w latach 1973-1975, pełnił funkcję prezesa Amerykańskiego PEN-Clubu. Był systematycznie odnotowywany w rubrykach kronik towarzyskich, zagrał wspomnianą rolę komisarza, a Peter Sellers, który zagrał rolę Chance’a w adaptacji filmowej „Being There”, otrzymał za nią Oscara.

Niepodważalna — zdawałoby się — kariera pisarza stała się przedmiotem gwałtownego ataku w czerwcu 1982 roku, za sprawą artykułu, który ukazał się w nowojorskim tygodniku *The Village Voice*. Jego autorzy, Geoffrey Stokes i Elliot Fremont-Smith, zarzucili Kosińskiemu korzystanie z anonimowych współpracowników, nazywanych w żargonie wydawniczym murzynami. Oskarżyli go o plagiat, twierdząc że powieść „Being There” ma swój prototyp w „Kariere Nikodema Dyzy” Dołęgi-Mostowicza. Usiłowali udowodnić, że Kosiński nie pisze swoich książek po angielsku, lecz że są one tłumaczone przez osoby trzecie. Wreszcie utrzymywali, że Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) finansowała wydanie jego dwu książek socjologicznych. Część informacji reporterzy musieli uzyskać od nieprzychylnych pisarzowi Polaków, bo oczywiście nie mogli nawet wiedzieć o istnieniu „Kariery Nikodema Dyzy”. Bohaterem „Being There” jest lakoniczny ogrodnik. Jego słowa podchwycane przez media nabierają pozornej głębi. Wskutek społecznego zapotrzebowania na chłopka-roztropka Chance (imię znaczące po angielsku „przypadek” lub „traf”) dociera na szczyt amerykańskiego *establishmentu*.

Artykuł okazał się kijem w mrowisku. Spowodował niekończące się spekulacje i plotki. W obronie pisarza wystąpił m.in. *The New York Times*, którego czołowi publicyści należeli do grona jego przyjaciół. Zwyczaj amerykański nakazywałby, aby frontalnie zaatakowany autor zaskarżył redakcję *The Village Voice*

o zniesławienie. Tym bardziej, że artykuł wywołał reperkusje w innych krajach, w tym w wielkonakładowych pismach we Francji i w Niemczech Zachodnich. Skwapliwie skorzystała z niego także prasa w Polsce. Powołał się na tekst *The Village Voice* Wiesław Górnicki, ogłaszając w *Polityce* paszkwil na autora „Malowanego ptaka”. Temat Kosińskiego podjęto nawet na łamach *Życia Partii*.

Jeśli się weźmie pod uwagę totalność ataku, zaskakujące jest, że pisarz bronił się dość słabo. Publicznie odpowiedział na artykuł w *The Village Voice* m.in. w następujących słowach: „Moja polityczna i moralna wiarygodność została zniszczona. Mój antykomunizm stał się teraz jedynie rodzajem zapłaty za rzekome związki z CIA. Zaatakowano istotę mojego życia, mojego życia duchowego”. W obszernej wypowiedzi zacytowanej w *Timesie* z 7 listopada 1982 roku Jerzy Kosiński oświadczył też, że nie będzie się procesował z autorami i redakcją *The Village Voice*, bo zbyt jest mu droga pierwsza poprawka do konstytucji gwarantująca swobodę wypowiedzi. Na dłuższy czas zniknął ze sceny nowojorskiej, zamilkł.

Wybrał natomiast inną taktykę. Po długim czasie, gdy wrzawa wokół jego osoby ucichła, stał się nagle sprzymierzeńcem polskiego *establishmentu*, choć była to jeszcze epoka rządów Jaruzelskiego. W USA stał się niespodziewanie apologetą Polaków w wiecznym sporze o antysemityzm. To jest właśnie główna teza jego wspomnianego wystąpienia w kwartalniku Janusza Kuczyńskiego. Pisarz, który podawał się za antykomunistę, pojechał do Polski w 1988 roku, gdzie udzielił m.in. wywiadu Danielowi Passentowi dla *Polityki*. Padały tam deklaracje przychylne dla rządów silnej ręki.

Jednocześnie Kosiński, który w czasach małżeństwa z Mary Weir, należącej do środowiska WASPów, nie podejmował publicznie tematu swojego pochodzenia, stał się aktywnym uczestnikiem życia amerykańsko-żydowskiego. W latach osiemdziesiątych autor „Malowanego ptaka” często występował jako mówca — zarówno w środowisku żydowskim jak i polskim w Stanach Zjednoczonych. Trzeba przyznać, że dążył do zbliżenia tych dwu grup. Zaangażował się w działalność Institute for Polish-Jewish Studies założonego w Oxfordzie, a następnie, w 1989 r., utworzył osobną fundację: Jewish Presence Foundation. Zabiegał też o wydanie swoich książek w Polsce. Umowę na ich publikację uczcił w 1989 r. z dyplomatycznym przepychem, podczas przyjęcia w Konsulacie Generalnym w Nowym Jorku, z udziałem jedenastu konsulów polskich akredytowanych w USA, ale pod nieobecność większości osób z emigracyjnego środowiska intelektualnego Polaków. Mniej więcej rok temu zaangażował się

też w projekt natury finansowej i czynnie uczestniczył w utworzeniu Amerbanku z siedzibą w Warszawie, ul. Marszałkowska 112. Jego więź z krajem urodzenia wydawała się umacniać z każdym dniem. Pisarz odzyskał sympatię do rodzinnej Łodzi, która nagle zdała mu się życiodajnym punktem odniesienia. Tak o niej mówił w jednym z niedawnych wywiadów radiowych w Nowym Jorku.

I wtedy Jerzy Kosiński zadał sobie śmierć.

Chciałoby się zapytać, jaki był naprawdę. Postaram się na to odpowiedzieć głosami innych, pełnymi sprzecznych opinii. Osoby przeze mnie zapytane znały go osobiście w różnych okresach jego życia i twórczości.

ANDRZEJ WAT, historyk sztuki, Paryż:

Dla mnie istnieje jedno wytłumaczenie śmierci Kosińskiego: jego kariera została złamana przez *The Village Voice*.

Poznaliśmy się w 1950 roku w domu literatów na Ziemiach Zachodnich, gdzie pojechałem z rodzicami. Przyjaźniłem się z Jurkiem przez te wszystkie lata. Po raz ostatni widziałem go w listopadzie 1990 roku, kiedy na jego zaproszenie pojechałem do Nowego Jorku. Mówił mi wtedy, że dzięki jednej kobiecie nauczył się z powrotem żyć. Utrzymywał też kontakt z pewną Tunezyjką mieszkającą w Waszyngtonie. Słyszałem, iż jego żona obawiała się tej znajomości.

Kosiński nigdy nie studiował w Moskwie, był tam natomiast na festiwalu młodzieży. Jak mi wiadomo, angielskiego nie znał, kiedy przyjechał do Ameryki. Oczywiście, że różni ludzie pomagali mu w pisaniu w tym języku.

Znałem jego pierwszą żonę, Mary Weir. Spędziłem z nimi wakacje na statku. Przed Kiki, drugą żoną, klęczał i przysięgał, że nie jest Żydem.

Opowiadał o sobie mnóstwo historii. Mówił, że w dzieciństwie ukrywał się i że uratowała go Armia Czerwona. Jego rodzice, sądząc że zginął, adoptowali po wojnie dziecko żydowskie. Pomędzy nimi istniał wielki konflikt. Jerzy był chyba bardzo zazdrosny o tego chłopca.

Miał różne transgresje seksualne. W ogóle miał dziwaczne fantazje. Zastanawiał się przy mnie kiedyś, czy nie powinien poślubić Farah Dibah, to znaczy byłej cesarzowej Iranu.

KARIN FALENCKA, wdowa po finansście, członek zarządu Fundacji Jurzykowskich, Nowy Jork:

Poznałam Kosińskiego zaraz po jego przyjeździe do Ameryki, w 1957 roku. Przyprawił go do nas Stanisław Strzetelski,

nadzwyczaj mu oddany. Strzetelski był przed wojną endekiem; tu, po wojnie, przeszedł przełom. Stał się innym człowiekiem, chciał naprawić dawne błędy. Przez Strzetelskiego Kosiński dostał posadę u Mary Weir, swojej późniejszej żony. Ale przedtem Strzetelski starał się mu pomóc w uzyskaniu patentu na jakiś wynalazek fotograficzny. Nic z tego nie wyszło, o ile wiem. Nam Kosiński opowiadał, że najpierw utrzymywał się w Stanach pracując jako kierowca ciężarówki, i że sprzątał biura w nocy.

W moim pojęciu był od razu nastawiony na karierę. Miał bezgraniczną potrzebę sławy i uznania. Utrzymywał z nami kontakt póty, póki byliśmy mu potrzebni. Wiem, że przez Marion Javits, żonę ówczesnego senatora stanu Nowy Jork, poznał Abe Rosenthala, wielką figurę w *New York Times*, który go nadzwyczaj popierał.

Był wykształcony, miał doskonałą pamięć. Wspominał, że w dzieciństwie stracił na długo mowę wskutek traumatycznego przeżycia. Twierdził, że uratował go oficer rosyjski, który zajął się nim, i że kilka lat spędził u niego w Moskwie. Uważałam go za ofiarę wojny, zdruzgotanego człowieka.

Dla mnie był wewnątrz człowiekiem głęboko przestraszonym. Jaki mam na to dowód? Opowiem historię, której byłam świadkiem. Kosiński panicznie bał się psów. Któregoś razu oboje z mężem zaprosiliśmy go do naszego letniego domu, gdzie były nasze psy, owczarki niemieckie. On dosłownie skamieniał na ich widok. Ale co się stało dalej: w ciągu 48 godzin, które razem spędziliśmy, Kosiński po prostu zmusił je do posłuszeństwa, sterroryzował wręcz. Nigdy nie widziałam tak odmienionych własnych psów, i to w tak krótkim czasie.

Lubił się popisywać znajomością męskich sportów. Pamiętam okładkę niedzielного dodatku do *New York Timesa* z jego portretem w czasie gry w polo, z nagim torsem oblanym potem. Jednocześnie pamiętam jak mówił, że cierpiał z powodu swojej twarzy. Nie znosił swoich rysów.

Miał wiele fobii. Na przykład mówił, że gdy po raz pierwszy wchodzi do cudzego mieszkania, zawsze rozgląda się, gdzie by mógł tam znaleźć kryjówkę. Lubił w przebraniu, w charakteryzacji chodzić ulicami, pojawiać się w lokalach.

Myślę, że w sensie artystycznym, nie tyle intelektualnym, na pewno zostanie po nim „The Painted Bird”. Także „Blind Date” — powieść-dokument o zbrodni popełnionej w domu Romana Polańskiego.

JAN TERESZCZENKO — architekt, Edmonton, Kanada:

Poznałem Jurka w 1954 roku w mieszkaniu Oli i Aleksandra Watów w Warszawie. Następnego roku przeżywaaliśmy

wspólnie Festiwal Młodzieży i Studentów. Jurek trafił do komitetu centralnego festiwalu i jako jego członek miał białą legitymację, która otwierała wszystkie drzwi. Pochłaniały nas wtedy dziewczyny. Jurek był fantastą; obmyślał całe schematy gier, sposobów postępowania. Był też dobrym fotografem; pamiętam jego wystawę w Kordegardzie. Ale najbardziej mnie zaskoczył albumem fotograficznym, który kiedyś przyniósł: miał tam obfotografowane żony reżyserów filmowych, nago, w śmiałych ujęciach. Muszę powiedzieć, że zastanawiałem się, jak ten skurwysyn zdołał je namówić do takich póz.

Spotkaliśmy się ponownie w Ameryce, kiedy tu przyjechałem w 1960 roku. Kosiński opowiadał mi wtedy, jak się uczył angielskiego. Czasu miał mało, bo na studiach musiał już mówić. Dzwonił więc do telefonistek i pytał, jak się wymawia takie czy inne słowo. I one mu to mówiły.

LUCJAN DOBROSZYCKI, historyk, YIVO, Nowy Jork:

Z Kosińskim to było tak: nigdy nie było wiadomo co on powie, a teraz dodałbym do tego, że nigdy nie można było zgadnąć, co on robi. Miał występować u nas, w Żydowskim Instytucie Naukowym, jako główny mówca 30 maja, na wernisażu wystawy poświęconej rysunkom Brunona Schulza.

Odszedł z Instytutu Studiów Polsko-Żydowskich i założył własną fundację, co do której miał fantastyczne projekty. Planował odbudowanie dzielnicy Kazimierz w Krakowie. Pozyskał do tego celu poparcie niedawno utworzonej i bogatej fundacji Lauder. Nazwałbym go bez przesady gorącym zwolennikiem zbliżenia polsko-żydowskiego. Niedawno zawiązał nagrodę swojej fundacji dla założyciela Instytutu Polsko-Żydowskiego w Krakowie, profesora Gierowskiego. Działalność w środowisku żydowskim w Stanach Zjednoczonych podjął na dobre w ostatnich latach. Można go było zobaczyć na głównych imprezach, konferencjach naukowych, jak te, które zorganizowano w Oxfordzie, a następnie na Uniwersytecie Columbia, na Uniwersytecie Brandeis oraz w Jerozolimie, gdzie był jednym z głównych mówców. Powiedziałbym natomiast, że nie brał udziału w komunalnym życiu żydowskim. Przemawiał publicznie ze swadą, bez kartki, bardzo dobrą angielszczyzną.

Nie sądzę, żeby w wypadku jego twórczości literackiej zarzut o plagiat miał podstawy. Kosiński twierdził, że nie czytał „Kariery Nikodema Dyzy” i nie widział popularnego filmu opartego na tej powieści, z Adolfem Dymszą w roli głównej. No ale o co w końcu chodzi: jest to historia opowiadająca o tym, jak się jest nikim i staje się kimś przez manipulowanie. Do tego nie jest potrzebna lektura Dołęgi-Mostowicza.

ELŻBIETA CZYŻEWSKA, aktorka, Nowy Jork:

Jak ciekawski erudyta, dwojga imion Jerzy Nikodem, mógł nigdy nie słyszeć o wielkim Nikodemie D.?

CLARA GYORGYEY, Międzynarodowy PEN-Club, prezes Oddziału Pisarzy na Wygnaniu, New Haven, Connecticut:

Miał nieomal schizofreniczne rozdarcie na to, co apolińskie i co dionizyjskie. Był zdumiewająco dychotomiczny. Tak Kosińskiego widzę jako postać: z jednej strony całkowicie nieodpowiedzialny, prymitywny, obrzucający ludzi inwektywami. Z drugiej — wysoce profesjonalny, świetnie zorganizowany. Któregoś razu zwrócił się do mojego męża, który jest profesorem historii medycyny w Yale University, aby dostarczył mu szczegółowych informacji na temat jakichś leków. Mąż polecił mu do tego celu jedną ze swoich doktorantek. Kosiński należał do twórców, których się tutaj nazywa *megawriters*. Pod tym względem bardzo fachowo zbierał materiały. Nie jestem przekonana, czy artystyczne ich przetworzenie było jego silną stroną.

Jego główne osiągnięcie za prezesury Amerykańskiego PEN-Clubu? W moim pojęciu — jego głos był głosem człowieka, który nienawidził komunizmu i pod tym względem wyłamywał się z chóru tutejszych ultralewicowych liberałów.

Znałam go osobiście i często spotykaliśmy się na kongresach PEN. Na jeden z nich, bodaj do Londynu, lecieliśmy razem z Nowego Jorku. Kosiński był wtedy prezesem Amerykańskiego PEN-u. W samolocie zachowywał się dziwnie: powiedział nagle, że oślepl. Cudownie odzyskał wzrok po wylądowaniu, ale ze względu na rzekome zagrożenie starannie unikał sesji plenarnych. Natomiast brylował na bankietach.

Był nieprawdopodobnym hipochondrykiem.

ALEXANDER JORDAN (Lutosławski) tłumacz literatury polskiej, Miami, Floryda:

Poznałem Kosińskiego niedługo po jego przyjeździe do Ameryki. On się wtedy zastanawiał, żeby coś napisać — jakąś książkę *spicy*, coś w rodzaju Jamesa Bonda. Ale w końcu napisał powieść autobiograficzną, to znaczy „Malowanego ptaka”. Przyniósł ją do mnie i poprosił, żebym ją przetłumaczył, ale w sekrecie, bo mówił, że chce wejść na rynek amerykański jako pisarz języka angielskiego. Ja to zrobiłem bodaj w kilka tygodni, bo tłumaczę bardzo szybko. Nigdy się nie spodziewałem, że „The Painted Bird” odniesie taki sukces światowy. No, ale słowo było słowem. Nie mówiłem publicznie, ale teraz chyba już mogę, czu-

ję się zwolniony. Żałuję, że nie zostawiłem sobie kopii oryginału.

Owszem, reporterzy z *The Village Voice* dotarli do mnie i pytali, jak to było z „Malowanym ptakiem”. Ale im wtedy powiedziałem, że Jerzy Kosiński to mój dobry znajomy i nic nie będę mówił.

Ta powieść została niedawno przełożona na polski. Gdybym miał ten maszynopis, byłoby bardzo ciekawe porównać obie wersje.

RYSZARD HOROWITZ, fotograf, Nowy Jork:

Znałem Kosińskiego ponad trzydzieści lat. Mieliśmy jeszcze wspólne kontakty z Polski, przez Romka Polańskiego, który był mi niemal bratem w dzieciństwie. Do Ameryki przyjechałem w 1959 roku i od pierwszych tygodni mego pobytu często widywałem się. Jednym z powodów było to, że Kosiński był zamiłowanym fotografem. Nie był jednak dobrym fotografem. Chyba o tym wiedział, dlatego nie usiłował zrobić tu kariery w swoim zawodzie.

Od samego początku naszej znajomości nie przywiązywałem wagi do autentyzmu jego opowieści. Po prostu nie dawałem im wiary. Wydaje mi się, że i jego samobójstwo jest nierealne, że jest kontynuacją masek i przebrań. Kosiński był naładowany impulsami erotycznymi, głównie sadomasochistycznymi.

Nasza znajomość czy przyjaźń urwała się na sporo lat. Gdy ponownie się spotkaliśmy, myślę, że Kosiński miał o wiele większe doświadczenie, także w manipulacji. Ale dziwne było to jego doświadczenie: *exercise in futility*.

Był człowiekiem wielowymiarowym: miał duży urok osobisty, ale zarazem uwielbiał być zaczepny i kontrowersyjny. Dążył do prowokacji w towarzystwie i dlatego wielu ludzi go nie znosiło. Przechodził okresy, w których identyfikował się z różnymi grupami religijno-socjalnymi w zależności od potrzeb.

Czy „Malowany ptak” był jego autentyczną biografią? Wydaje mi się, że jest to książka ważna jako świadectwo, ale nie ma żadnych dowodów aby przyjąć, że istotnie autor opisuje w niej własne doświadczenia. Pamiętam, że Elie Wiesel nie był najwyższego mniemania o „Malowanym ptaku”, gdy dostał jego egzemplarz. Zmienił jednak zdanie, gdy dowiedział się, że jest to autobiografia Kosińskiego. Wówczas nabrał do powieści szacunku, często ją publicznie wymieniał.

Tak, istnieje taka tendencja w Ameryce, aby uważać, że ofiary holocaustu są zarażone złem.

Uwielbiał efekty specjalne. Straciłem go z oczu na dłuższy czas, a wtedy ożenił się z Mary Weir. Spotkaliśmy się gdzieś

znowu i zostałem do niego zaproszony na Park Avenue. W hallu szwajcarzy w liberii. Wjeżdżam na górę, otwiera mi pokójówka w fartuszkach, prowadzi do biblioteki. Zostaję tam zostawiony sam chyba na pół godziny. Widocznie mam kontemplanować obrazy, małżonka była z zamiłowania historykiem sztuki. Wreszcie pokojówka pojawia się znowu i prowadzi korytarzem do innej części domu. A tam fontanna i klatka schodowa jak z „Przeminęło z wiatrem”. I widzę, jak Jurek schodzi wolno, w czerwonym smokingu! On to wszystko wyreżyserował, łącznie z trzymaniem mnie w bibliotece. W tych sferach zawiera się kontrakty przedślubne. Nie sądzę, aby nawet za życia Mary Weir Jurek miał swobodny dostęp do jej majątku. W ogromnym apartamencie miał swój pokój, tam pracował.

Przewinął się przez moje życie jako niezwykle okaz. Miał dowcip i finezję, ale był też dzikim zwierzęciem.



Kosiński w swoim pisarstwie zdradza nie tylko skłonność do śledzenia i do zadawania bólu. Także stale prowokuje. Przyjmijmy, że robi to dlatego, aby wstrząsnąć czytelnikiem, zaszkokać drastycznością. Typowe dla jego stylu są luźno powiązane ze sobą sceny, nazywane tu *vignettes*, są to jakby opisy fotografii, jak to zauważył jeden z przenikliwych czytelników jego prozy. Ten swisty album okropieństw i wynaturzeń ludzkich ma świadczyć o całkowitym i nieodwołalnym zdehumanizowaniu świata.

Renata GORCZYŃSKA

Książki

Pisarze dalej nieobecni

W ubiegłym roku ukazał się w kraju „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej” Jana Zielińskiego. Jest objawem pozytywnym, że przybywa prac na ten temat, choć zaczyna się budzić obawa, czy dziecko nie zostanie wylane z kąpielą.

Pół wieku odrębnego wyrazu literatury — w ramach jednej polskiej kultury. W pewnym sensie okres zamknięty przemianami politycznymi w Polsce. A przecież żyje jeszcze na Zachodzie sporo twórców, głównie tych, którzy debiutowali za granicą już po roku 1945. W latach osiemdziesiątych dołączył szereg pisarzy z kraju. Jest jasne, że na ogół tu zostaną. I prawdopodobnie, choć na mniejszą skalę, nie będzie to ostatni exodus. Będą tworzyć tu — drukować tam. Będą mieli silniejsze, częstsze kontakty osobiste z krajem poprzez wzajemne wizyty, wyjazdy, przyjazdy. Ale życie poza krajem odbija się niewątpliwie i na tematyce i na sposobie pisania. Jakie będzie ich miejsce w całokształcie literatury polskiej?

Już przed laty Danilewicz Zielińska słusznie zauważyła, że „Tuwim, Słonimski, Choromański i inni są tylko przejściowo pisarzami emigracyjnymi. Wat i Tyrmand *ditto*, ale w odwrotnej kolejności”. Dodajmy, że w pierwszej kategorii są dziesiątki pisarzy, których twórczość, rozpoczęta w Polsce, była kontynuowana poza nią, a zakończona w kraju.

Gdzie przynależy Pawlikowska? Siedemnaście lat twórczości w Polsce. Czternaście zbiorów wierszy, sztuki. I tylko sześć emigracyjnych lat, znaczonych dwoma tomikami. Poezje rozrzucone po pismach, zebrane w 1956 r. przez Terleckiego. I pośmiertna „Czterolistna koniczyna” (1980). Trzon twórczości w kraju. A przecież trudno nie zgodzić się z Giergielewiczem, że „w obrazie ogólnym poezji uchodźczej autorce przypada w udziale jedno ze stanowisk

1. Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*. Instytut Literacki, Paryż, 1978.

czołowych²". Wysoko też stawia ten okres jej twórczości Julian Krzyżanowski³.

Pawlikowskiej w „Leksykonie” nie ma. Jest Kazimierz Brandys — trzydzieści pięć lat tworzył w kraju, od dziesięciu — na Zachodzie. Nieuchronnie nasuwa się pytanie: czy Brandys (tak jak i Mrozek) poczuwa się do emigranckiej etykiety? Zwłaszcza wobec tak powszechnego dziś twierdzenia o prawie do wolności wyboru miejsca zamieszkania.

Słownik Zielińskiego obejmuje 109 osób, z których połowa nie żyje. Poeci niemal w przewadze — czasem jeden tomik, wydany przed laty, nawet przed ćwierćwieczem. Coraz bliżej oceny Gombrowicza, że na Zachodzie jest pięciu czy sześciu pisarzy polskich.

Cóż więc pozostało w „Leksykonie” z tego cośmy zwykli uważać za literacki dorobek na obczyźnie? Szekspirowskie „wiele hałasu o nic” i polska „burza w szklance wody”? Skąd dwa pokazne tomy „Literatury polskiej na obczyźnie”, obejmujące przecież tylko lata 1940–60? Czy twórczość sztucznie rozdmuchana, napęczniała po tej stronie, czy też pomniejszona w kraju, aż się stopi w jedność i pamięć o niej zaginie? A może zostanie nazwana „literaturą polonijną”? Już niestety i z tym spotkaliśmy się.

Próbowałam policzyć z podręcznych materiałów, kto jest dalej nieobecny, zauważyłam przy tym z tuzin twórców zaproszonych na marcowy zjazd pisarzy w kraju. Moja lista przekroczyła dwieście nazwisk, choć na pewno nie jest pełna. Nie twierdę bynajmniej, że wszyscy zapomniani powinni się znaleźć nawet w wielokrotnie obszerniejszej pracy. Ale stwierdzenie Zielińskiego, że „kryterium poziomu literackiego stosowano elastycznie”, nie dodaje wagi kompendium. Większość uwzględnionych nazwisk jest bezsporna. Ale z chwilą gdy znalazły się i pomniejsze, trzeba się upomnieć choć o kilka pominiętych. Nie ma Janiny Kowalskiej, której debiut był zdaniem Danilewiczowej „wydarzeniem roku”⁴. Późniejsze „Pogrnicze” jest klasykiem adaptacji w Anglii i wspinałym obrazem tamtejszego polskiego środowiska. Jak można było nie zauważyć Janiny Kościalkowskiej, której „Łódź bukowa” uzyskała nagrodę *Wiadomości* w 1988 r., a wcześniejsze dane były dostępne w III tomie *Pamiętnika Literackiego*, na który Zieliński się powołuje? Listom nagród, notowanym skrupulatnie przez *Kulturę* i *Pamiętnik Literacki*, należało się przyjrzeć i wyciągnąć wnioski, tym więcej, że na ogół Zieliński je notuje.

Józef Garliński niewątpliwie pozostanie w piśmiennictwie polskim jako historyk. Ale gdzie są Władysław Pobóg-Malinowski, Oskar Halecki, Marian Kuciel? Gdzie prace dokumentarne o Katyniu Swianiewicza i Zawodnego? Skoro jest kilku krytyków litera-

2. Mieczysław Giergielewicz, *Twórczość poetycka* — w pracy zbiorowej *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*. Red. Tymona Terleckiego. B. Swiderski, Londyn, 1964.

3. Juliusz Krzyżanowski, *Dzieje literatury polskiej*, PWN, Warszawa 1979.

4. Maria Danilewicz Zielińska, *op.cit.*

tury, dlaczego zabrakło Giergielewicza, Weintrauba? Rzucam tylko kilka nazwisk, a pytania można by długo stawiać.

Być może przy skromnych rozmiarach pracy, jednoosobowym autorstwie, niewątpliwych trudnościach ze źródłami, należało ograniczyć się do podstawowych gatunków czysto literackich — poezja, powieść i nowela, szkice, reportaże. Ale skoro znalazła się tu historia, filozofia, krytyka literacka i publicystyka, pominięcie szeregu wybitnych nazwisk z tych dziedzin jest bardzo rażące.

Przedmowa powinna być nieco szersza i choć w kilku zdaniach rzucić światło na specyficzne warunki, w jakich rozwijało się piśmiennictwo polskie na obczyźnie.

Życiorysy na ogół zbyt szczegółowe — kolejne placówki dyplomatyczne, przydziały wojskowe, udział w kampaniach. Niektóre komentarze wydają się zbędne — przede wszystkim podkreślanie postawy antykomunistycznej kilku pisarzy. Dla ludzi pióra pozostanie na Zachodzie było deklaracją ideologiczną. A że u niektórych miało to silniejszy wyraz, to sprawa rodzaju literackiego a nieraz i temperamentu. Na pierwszym biegunie — dwukrotne stwierdzenie, że Marian Pankowski od 1975 roku wydawał niektóre książki oficjalnie w kraju. Czy było to tajemnicą? Czy coś z tego wynika?

Zadziwiająca, niemal przerażająca, jest ilość gatunków literackich, na które Zieliński rozbił twórczość. Przykładowo — utwory teatralne występują jako „teatr, utwory dramatyczne, dramat, utwory sceniczne, sztuki teatralne”. Podobnie z innymi rodzajami. Brak metody i jednolitości.

Prace w językach obcych to cenny dorobek pisarzy i ich wkład w kulturę zachodnią. Ale czy należy je podawać *pêle-mêle* z polskimi, jak w wypadku Stefana Themersona, gdzie z twórczości polskiej pozostają prawie wyłącznie książki dla dzieci? Czy nie wystarczyłoby zaznaczyć „również prace w języku...”? Co najmniej tuzin pisarzy z „Leksykonu” był lub jest związany z jakąś wyższą uczelnią, ma dorobek nie tylko polski.

Z literaturą przedmiotu też nie najlepiej — czasem obszerna, niekiedy skromna lub niekompletna. W wypadku Wata sięga 1923 roku (gdy pisarz miał na koncie jeden tomik poezji) i jest szczegółowa; podobnie Mrożka. Ale Goetel tworzył do 1964 roku — a wymieniona jest jedna recenzja z 1930 r. O Tadeuszu Nowakowskim — trzy (ostatnia z 1975 r.); przy bardzo aktywnym Florianie Śmieji zanotowano dwie pozycje — z 1954 i 1966; przy Terleckim — jeden artykuł z *Dialogów* (1985 r.). Nie ma literatury przedmiotu przy Barańczaku, czasem jest niewspółmierna do rangi pisarzy.

Autor zaznaczył w przedmowie, że korzystał z „Literatury polskiej na obczyźnie”, „Szkiców” Danilewicz Zielińskiej i z londyńskiego *Pamiętnika Literackiego*. „Leksykon” wskazuje na bardzo powierzchowny wgląd.

Pracę kończy dział „Instytucje wydawnicze”. Zieliński zaznacza w przedmowie, że wymienia tylko najważniejsze. Dokładnie dziewięć,

a w tym cztery emigracji lat osiemdziesiątych. Nie ma aktywnego ongiś Gryfu, Orbisu, Odnowy, Veritasu, Libelli, Oficyny Stanisława Gliwy. Praktycznie ułamkowy stan z końca lat osiemdziesiątych. I co gorsza bałamutny. Nieświadomy czytelnik krajowy dowiaduje się, że „Szkice piórkem” wydała „Kontra”, a „Na nieludzkiej ziemi” — „Spotkania”; bez wzmianki, że były to przedruki książek dawno wydanych przez Instytut Literacki. Niestety dane te mogą być uznane za miarodajne i cytować je będą autorzy prac, które mają informować o dorobku emigracyjnym.

Pisząc o Polskiej Fundacji Kulturalnej Zieliński oparł się na jednym artykule. Zdaniem jego „wydawnictwa PFK są w zasadzie obliczone na gust przeciętny, na czytelnika masowego”. Powiedzmy sobie wyraźnie: na emigracji nie było ani czytelnika masowego, ani wydawnictw dla niego. Gusta mniej wybrednych zaspokajała „Trędownata”, tłumaczenia i senniki, sprowadzane z kraju. Natomiast każda prawie seria PFK zawierała pozycję eseistyczną czy publicystyczną. Przeważają nazwiska dużej rangi — przeważnie odnotowane przez Zielińskiego.

Praca Zielińskiego przy wszystkich wadach i brakach nie jest pozbawiona wartości — to krok do wypełnienia luki. Nie było to zadanie na możliwości jednego człowieka, bez oparcia o jakąś instytucję naukową. Niezmiernie solidny „Słownik współczesnych pisarzy polskich” (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa) ukazywał się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Uwzględnił bardzo szczegółowo pisarzy emigracyjnych, miał dostęp do recenzji nawet w mało znanych pismach. Niestety zagubił się w seriach, uzupełnieniach, jest w całości niedostępny i dziś już mocno przedawniony. Studium Badań Polonijnych przy Uniwersytecie Jagiellońskim od lat przygotowuje mały i duży słownik pisarzy emigracyjnych, niestety kontakty, korespondencja wskazują, że prace posuwają się w bardzo wolnym tempie.

A w międzyczasie to co się pisze w kraju o twórcach emigracyjnych obraca się wciąż wokół kilku tuzinów największych pisarzy, na ogół dłużej „obecnych”, bo zmarłych; w ich cieniu kołaczę się nieodmiennie grupa „Kontynentów”, ongiś mniej obciążona zahamowaniami trochę starszych kolegów po piórze, a więc lepiej w Polsce minionego okresu notowana.

Aksjomatem jest, że literatury kraju nie tworzą wyłącznie giganci. Składają się na nią również pisarze drugiego rzędu, „sierżanci literatury”, jak ich nazwał Bielatowicz. Czas, by ich twórczość została również zauważona.

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

Przeciw godności

Póki istniała PRL, trudno się było spodziewać niespaczonego ideologicznie przewodnika po poezji polskiej ostatniego półwiecza. Takie dzieło powinna była wydać emigracja, stale głosząca jedność literatury polskiej, ale zabrakło jej woli i wizji. Nawet na antologię poezji tego okresu nie mogła się zdobyć. Kiedy w r. 1977 wydałem książeczkę pod tytułem *Wiersz współczesny*, recenzentka w londyńskich *Wiadomościach* była mile zdziwiona, że w ogóle nie dostrzegam, iż istnieje jakiś podział na kraj i emigrację. Podział ten w drobnym stopniu przełamała antologia Andrzeja Lama, *Kolumbowie i współcześni* (1972), a na emigracji Stanisława Barańczaka *Poeta pamięta*, w której jednak Artur Międzyrzecki ma sześciokrotnie więcej wierszy niż Różewicz, a jeszcze więcej ma ich sam Barańczak.

Teraz Rzeczpospolita spieszy się (powoli), by wypełnić luki. *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej* Jana Zielińskiego doczekał się już drugiego, ładniejszego, masowego wydania i zdobi witryny księgarń w całej Polsce. Jadwiga Czachowska przygotowuje w IBLu nowe wydanie *Słownika pisarzy polskich*. Ale też cenzurę zastąpił kryzys gospodarczy, który niemal równie skutecznie opóźnia powrót do kraju literatury tworzonej za granicą. W Krakowie Wyd. Polonia zaniechało druku sylwetek pisarzy emigracyjnych, dwutomowy wybór eseistyki emigracyjnej pod redakcją Stanisława Gębali ugrzązł w szczecińskim Globie, wahają się losy antologii poezji powojennej Janusza Maciejewskiego. Czekamy na słownik poetów Piotra Kuncewicz. Dlatego czytelnik krajowy musi się pocieszać bałamutnym „Skorowidzem poezji polskiej na emigracji” Zygmunta Lichniaka. A ostatnio wszedł na rynek (przeznaczony do szkół średnich) podręcznik Krzysztofa Dybciaka *Panorama literatury na obczyźnie*. Z takim przewodnikiem w rękę łatwo się zgubić. Dybciak bowiem, zamiast zajmować się literaturą, uprawia socjologię zabarwioną geografą. Być może za model posłużyła mu antologia *Seven Polish Canadian Poets* (cóż za tytuł!), w której np. Bogdan Czaykowski znalazł się w potrzasku między Zofią Bohdanowiczową a Wacławem Iwaniukiem tylko na tej zasadzie, że wszyscy troje osiedli w Kanadzie. Ale Vancouver (gdzie mieszka Czaykowski) znajduje się o wiele dalej od Toronto (gdzie znaleźli się Bohdanowiczowa i Iwaniuk) niż Szczecin od Przemyśla. Co bardziej istotne, socjologia, czy to zabarwiona geografą, czy agronomią, gdy się ją stosuje w badaniach literatury, staje się pseudonauką. Obiecuje bowiem rygor naukowy (czy w badaniach humanistycznych możliwy jest taki rygor? Czy pogoń za nim nie jest stratą czasu?) ale w rezultacie tej obietnicy nie spełnia, tak jak nie spełniłaby jej socjologia, gdyby zechciała polegać na kryteriach literackich i estetycznych, badając

np. mobilność społeczną.

W świetle braków i niedociągnięć, książka Leszka Szarugi *Walka o godność* rokuje pewne nadzieje. Po raz pierwszy chyba otrzymujemy dzieło, w którym autor omawiając kolejne etapy rozwoju poezji polskiej na przestrzeni ostatnich 50-ciu lat przerzuca się z Warszawy do Paryża, z Paryża do Londynu, a potem do Wrocławia czy Lwowa bez żadnych zająknięć i niedopowiedzeń. Książka jego cierpi jednak na kilka istotnych usterek. *Primo*, choć Szaruga namiętnie walczy z marksistowsko-PRLowskim instrumentalnym traktowaniem literatury, jego własna panorama jest szkicowana w ścisłym związku z przeobrażeniami politycznymi, ideologicznymi i społecznymi Polski Ludowej. Szaruga nie wyobraża sobie w ogóle, by poezja, choć oczywiście ulegająca różnym naciskom i presjom epoki, mogła chodzić własnymi drogami i musiała nimi chodzić, jeśli nie ma być ograniczona do służalczej roli, wyznaczonej jej przez ideologów socrealizmu czy innych. Ojczyzna Ludowa wychowała Szarugę i on z matni determinizmu historycznego już się wydostać nie potrafi. Praktyczną konsekwencją tego jest, że zafascynowany manewrami PZPRu i in. autor często zapomina, że obiecał nam książkę o poezji.

Secundo, książka Szarugi roi się od nazwisk poetów i nawet nie tylko poetów, bo także powieściopisarzy, publicystów, polityków i eseistów. Każdy poeta jest u Szarugi sławny na pół minuty, bo na dłużej (poza kilkoma wyjątkami) nie ma już w tej niepotrzebnie przeładowanej książce miejsca. Ale nawet on pominął Jerzego Pietrzkiewicza i Michała Chmielowca z emigrantów, Wincentego Fabera i Halinę Poświatowską z krajowców. Są to wyliczanki, a jest ich dużo, w których autor albo zdawkowo, albo z drugiej ręki (szczególnie odnosi się to do poezji pisanej poza krajem) charakteryzuje twórczość wielu pisarzy — a niejeden jest po prostu zaledwie wymieniony — tak że w sumie obecność wielu nazwisk jest mało znaczącym gestem. Ubawił mnie sąd Szarugi o „systematycznej uwadze” poświęcanie przez Miłosza londyńskim poetom. Mnie się wydawało, że to my systematycznie zwracaliśmy uwagę na Miłosza.

Szaruga sensownie i sprawiedliwie podkreśla długotrwałą i wielostronną rolę poezji Różewicza. Nie kryje się z tym faktem też w swojej własnej poezji, czego nie można powiedzieć o jego rówieśnikach. W tym wypadku i wszędzie tam gdzie odchodzi od utarczek policyjno-partyjnych Szaruga dowodzi, że jest na poezję wrażliwy i potrafi o niej przejrzysto pisać, cytatai hojnie ją ilustrować.

Ponieważ jednak dominuje u Szarugi perspektywa policyjna, musiał poświęcić dużo miejsca socrealizmowi. Ale czy to musi być czytelnikowi polskiemu tak dokładnie i skrupulatnie tu opowiedziane? Czy należy poświęcać na to kilkadziesiąt stron w książce o tak szerokiej panoramie? Jeśli ma to jakąś wartość, to raczej przypadkowo, jak np. świetny cytat z wypowiedzi Wiktora Woroszyńskiego:

„Ostatnio napisali do mnie ZMP-owcy z Pawafagu, że mój wiersz 'Dziewczęta z Ostrowca' przyczynił się do podjęcia przez brygady młodzieżowe ich zakładów współzawodnictwa określonego typu (nie ma tu miejsca na bliższe szczegóły techniczne), w którym uzyskali bardzo dobre wyniki. Przeczytałem ten list z dumą i wdzięcznością, ale również z pewnym zawstyżeniem — bo wiersz, o który chodziło, na pewno nie był tak dobry, jak zasługiwałyby na to nasza robotnicza młodzież”.

Na zdrowy rozsądek wydawałoby się, że Woroszyński zasłużył na Order Lenina, albo przynajmniej nagrodę państwową I Klasy. A co się okazuje? Szaruga relacjonuje, że Grzegorz Lasota i ten potwór w ludzkim ciele, Adam Ważyk, potępił w czambuł szlachetny wysiłek młodego poety. Szaruga długo i poważnie tłumaczy, dlaczego z głębokich ideologicznych powodów Ważyk musiał ten młodzińczy wybuch twórczości potępić. Znow kilka straconych kartek, a wystarczyłoby powiedzieć, że Ważykiem powodowała zwykła zawiść. Tu przydałoby się poczucie humoru, którego brak ciąży na całej książce Szarugi — o czym ostrzega nas już jej śmiertelnie poważny tytuł.

Szaruga ciekawie omawia ideologiczne powikłania twórców okresu okupacji niemieckiej w Warszawie, zwłaszcza młodych poetów skupionych wokół *Sztuki i Narodu*. Autor słusznie ich broni przed ciągnącym się przez lata oskarżeniem, że byli faszystami. Jeszcze w r. 1963 Andrzej Lam musiał pisać:

„Gajcy i Stroński jako młodzi faszyci polscy, przed którymi chronić trzeba polskiego czytelnika — to brzmi doprawdy rozweselająco. Ich twórczość poetycka jest zupełnie wolna od akcentów, które można by w jakikolwiek sposób odnieść do faszyzmu (stoi raczej na jego antypodach: faszyci o tym typie wrażliwości moralnej? Faszyci, których żywoty okupacyjne są bohaterskie i piękne, budzą sympatię i szacunek?)”.

Szaruga przestrzega, że w sytuacji okupacyjnej przynależność ideologiczną, czy to po lewicy czy prawicy, należy traktować z dużym wyrozumieniem, zwłaszcza w odniesieniu do nieletnich niemalże pisarzy. Sprawa poruszona tu przez Szarugę jest ważna nie tylko dlatego, że oddaje sprawiedliwość poległym, ale że kryje się w niej przestroga dla tak typowo polskiego opiniowania o poetach: bacz się na to, gdzie piszą (bo to łatwo) a nie na to, co piszą (bo to trudne). Poeci są najczęściej naiwni politycznie, bywają też często oportunistami, dlatego te ich ideologiczne skłógacenia należy traktować jeśli nie z wyrozumiałością, to w każdym razie z dużą ostrożnością. Nikt, kto by przeczytał jakże skromniutką spuściznę poetycką Strońskiego, nie mógłby przypiąć mu ideologii faszystowskiej, czy zresztą jakiegokolwiek innej.

Żaś w sprawie bujnego życia literackiego pod okupacją sowiecką we Lwowie Szaruga jest powściągliwy, tłumacząc się brakiem materiałów. Miejmy nadzieję, że lukę tę wypełni mu już częściowo w *Kulturze* opublikowana praca Czaykowskiego.

Szaruga kończy swe studium analizą poezji najmłodszych, urodzonych już w Polsce Ludowej, poezji jego pokolenia, z którym oczywiście czuje się najbliższymi związany. Ale ta poezja stanu wojennego, anegdotyczna, rozgadana, formalnie paseistyczna, zbyt sztywno uwikłana w wypadki bieżące, już odchodzi w zapomnienie, a jeśli są tam wyjątki, jak np. poezja młodszego nieco Bronisława Maja, to o nich o dziwo Szaruga nie ma nic do powiedzenia. Ale może niewłaściwie piszę o tej poezji. Jest to przecież poezja, która w odpowiednim momencie historycznym stała się sławna na pół minuty: spełniła swą szlachetną rolę w walce o godność. Okazała się typowym produktem naszych czasów, artykułem do jednorazowego użytku.

Ci, którzy będą szukali u Szarugi przewodnika po mapie poezji polskiej ostatniego półwiecza, zostaną w dużej mierze rozczarowani. Raz dlatego, że, jak już zauważyłem, poezja jest tu traktowana instrumentalnie jako pochodna polityki i historii, a także dlatego, że jest to temat, który przerasta rozmiary jednej książki. Gdzieś głęboko we wnętrzu autora siedzi dobra książka o poezji. Mam nadzieję, że wydobydzie ją na światło dzienne. Tymczasem polecam rzeczową, bezpretensjonalną kronikę Marty Fik *Kultura polska po Jalcie 1944-1981*.

Adam CZERNIAWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- IWAŃSKA (Alicja). *Niektóre. Wiersze*. Str. 38. (Wyd. PFK, Londyn 1991).
- Śmieja (Florian). *Siedem rozmów o poezji*. Str. 117 i 3 nlb. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990).
- MALEWSKI (Jerzy). *Wyrok na Józefa Mackiewicza*. Str. 288. (Wyd. Puls, Londyn 1991).
- HUELLE (Paweł). *Opowiadania na czas przeprowadzki*. Str. 126 i 4 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1991).
- KUŚMIEREK (Józef). *Obecny*. Zbiór reportaży. Str. 322. (Wyd. Aneks, Londyn 1991, cena £ 7,50, \$ 15).
- GEBERT (Konstanty). *Magia słów. Polityka francuska wobec Polski po 13 grudnia 1981 roku*. Str. 90 i 4

- nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1991, cena £ 3,50, \$ 8,50).
- BERLIN (Harry). *Nie sposób zapomnieć. Wspomnienia*. Str. 175 i 3 nlb. (Wyd. Notza Vakeset, Tel-Aviv 1991).
- MICHNIEWICZ (Władysław). *Wielki bluff sowiecki*. (Sprawa tzw. Trust'u). Str. 338. (Wyd. Publishing Wici, Chicago 1991).
- NIEZABYTOWSKI (Krzysztof Jan Aleksander). *Pamiętniki moje. Warszawa (Period rewolucyjny)*. Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1991).
- NAŚIŁOWSKA (Anna). *Kazimierz Wierzyński*. Str. 112 i 16 nlb. (Wyd. Of. Wyd. Interim, Warszawa 1991).

- Notatnik Teatralny*. nr 1. Wiosna 1991. Str. 224.
- HERBERT (Zbigniew). *Barbarzyńca w ogrodzie*. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Wydawnictwo TEST, Lublin 1991).
- KĄDZIELA (Paweł). *Kościół a Państwo w Polsce 1945-1965*. Str. 80. (Wyd. Biblioteczka „Nowego Życia”, Wrocław 1990).
- ZIELIŃSKI (Jan). *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej*. Str. 157, 3 nlb. i 16 str. fotografii. (Wyd. FIS i Unipress, Lublin 1991).
- CZERNYSZEWICZ (Florian). *Nadberzeżyńcy*. Powieść. Str. 468. (Wyd. FIS, Lublin, bez daty).
- MIEROSZEWSKI (Hr., Stanisław). *O heraldyce polskiej*. Przedruk offsetowy wydania z 1887r. Str. 80 i 12 herbów. (Wyd. PSM Almagud, miejsce i data wydania nie podane).
- Rocznik Literacki* 1983. Str. 960. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- PODHORETZ (Norman). *Dlaczego byliśmy w Wietnamie?* Przekład zbiorowy. Str. 242 i 6 nlb. (Wyd. „Delikon”, Warszawa 1991).
- KORDYS (Jan). *Mózg i znaki*. Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- Pierwszy krok do Europy. O komitetach obywatelskich, partiach politycznych i wyborach*. Zbiór artykułów pod redakcją Sergiusza Kowalskiego. Str. 160. (Wyd. Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych przy KK NSZZ „Solidarność”, Warszawa 1990).
- STEMPOWSKI (Jerzy). *Ziemia berneńska*. Przel. Andrzej St. Kowalczyk. Str. 92. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1990).
- BOCZKOWSKI (Krzysztof). *Dzwony w lesie*. Wiersze. Str. 289 i 3 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- BARAN (Marcin). *Pomieszenie*. Wiersze. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1990).
- SIEDLECKA (Joanna). *Jaworowe dzieci*. Str. 167, 5 nlb. i 16 str. fotografii (Wyd. Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1991).
- KWIATKOWSKI (Jerzy). *Literatura Dwudziestolecia*. Str. 477 i 3 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1990).
- SIKORA (Jerzy). *Szukam błękitu*. Str. 44. (Wyd. nakładem Autora. Lublin 1991).
- UNGER (Leopold). *Z Brukseli*. Str. 259 i 3 nlb. (Wyd. PoMOST, Warszawa 1991).
- KOWALCZYKOWA (Alina). *Piłsudski i tradycja*. Str. 179 i 5 nlb. (Wyd. Verba, Chomotów 1991).
- Wspomnienia Sybiraków* 4. Str. 256. (Wyd. PoMOST, Warszawa 1991).
- CZAPSKI (Józef). *Swoboda tajemna*. Str. 192 i reprodukcje. (Wyd. PoMOST, Warszawa 1991).
- SZARUGA (Leszek). *Po wszystkich. Wiersze*. Str. 48. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).
- KOSZTOLANYI (Dezső). *Alouette*. Str. 249 i 7 nlb. (Wyd. Vivianne Hamy, Francja 1991).
- GOZDANOW (Gaito). *Chemins nocturnes*. Str. 264 i 8 nlb. (Wyd. Vivianne Hamy, Francja 1991).
- ANOLIK (Beniamin). *W posłannictwie pamięci*. Str. 160. (Wyd. Dom Bojowników Getta, Izrael 1990 — po hebrajsku).
- MAGALA (S., op.). *Business as Unusual. A Report on Polish and Hungarian Transition to Market Economies*. Str. 137 i XXXV. (Wyd. Eburon Publisher, Delft, Holandia 1991).
- Does "the West" Still Exist? A Conference of the Committee for the Free World*. Str. 123 i 3 nlb. (Wyd. Orwell Press, New York 1990).
- Slovak Studies XXVI-XXVII (1986-1987)*. Str. 265 i 7 nlb. (Wyd. Istitut Slovaco, Rzym 1990).
- TAYLOR (Nina). *The Folklore Origins of Mickiewicz's Dziady: Olimpia Swianiewiczowa's Interpretation*. (Nadbitka z Oxford Slavonic Papers, vol. XXIII, str. 39-60).
- MANDELSTAM (Osip). *The Moscow Notebook*. Tłum. Richard i

- Elizabethe McKane. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Bloodaxe Books, Newcastle upon Tyne, Anglia 1991).
- LENCZOWSKI (George). *American Presidents and the Middle East*. Str. 322. (Wyd. Duke University Press, Durham and London 1990).
- CZERNIAWSKI (Adam, red.). *The Mature Laurel. Essays on Modern Polish Poetry*. Str. 325 i 11 nlb. (Wyd. Seren Books, Dufour, W. Brytania 1991).
- SZYMBORSKA (Wisława). *People on a Bridge*. Przełożył Adam Czerniawski. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Forest Books, London-Boston 1990).
- Deutsches Polen-Institut 1980-1990. Ein Arbeitsbuch*. Opracował Albrecht Lempp. Str. 77 i 1 nlb. (Wyd. Deutsches Polen Institut, Darmstadt 1991).
- Deutsch-polnische Ansichten zur Literatur und Kultur*. Red. Albrecht Lempp i Jutta Wierczimok. Str. 311 i 1 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1991).
- Opus sacrum. Europäische Kunst des 13. bis 18. Jahrhunderts aus der Sammlung von Barbara Piasecka Johnson*. Str. 90 i 6 nlb. (Wyd. IRSA Verlag, Wiedeń 1991).
- Zbiornik prac jubilejnowo kongresu*. Red. Wołodymyr Janiw. Str. 1004. (Wyd. Naukowyj Kongres u 1000-littja chrystczennija Rusi-Ukrajiny u spawpraci z Ukrajinśkim Wilnym Uniwersytetom, Monachium 1988-98).
- HUMENNA (Dokia). *Dar Jewdokiej*. Tomy 1-2. Tom I str. 306, tom II str. 346. (Wyd. Smolskip, Baltimore-Toronto 1990).
- Zbiornik mowoznawczoj komisii*, tom I. Str. 248. (Wyd. Naukowyj Kongres u Tysiaczolitija Chrystczennija Rusi-Ukrajiny, Monachium 1988).
- ŻYŁA (WOŁODYMYR). *Prezydent Mykoła A. Lewickij i nasza sučasnist*. Str. 36. (Wyd. Ukrajinśko Mohyleńsko-Matepicka Akademia Nauk, Filadelfia 1988).
- SEMENKO (Jurij). *Ticzki*. Str. 416. (Wyd. i data wydania nie podane).
- KONAN (Władimir). *Boskaja i ludzka mudrasce (Franciszek Skaryna: życie, twórczość, światopogląd)*. Str. 64. (Wyd. gazeta Golas Radzimy, Mińsk 1990).
- CZERNENKO (Oleksandra). *Ekspresjonizm u twórczości Wasylja Stefanika*. Str. 279 i 1 nlb. (Wyd. Suczasnist, 1989).
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*. Vol. XXIII, 1989. Str. 579 i 9 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Turyn 1989).
- KOTT (Jan). *Mangiare Dio*. Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. SE, Mediolan 1990).
- PROKOP (Jan), JAWORSKA (Krysztyna). *Letteratura e nazione. Studi sull'immaginario collettivo nell'ottocento polacco*. Str. 203 i 3 nlb. (Wyd. Tirrenia Stampatori, Turyn 1990).
- LIPSKA (Ewa). *En misantrops ferie*. Na duński przełożyli Janina Katz i Uffe Harder. Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Husets Forlag/S.O.L., Århus 1990).
- KATZ (Janina). *Min moders datter*. Wiersze. Str. 114 i 6 nlb. (Wyd. Brondums Forlag, Dania 1991).
- Historiska och litteraturhistoriska studier* nr 66, str. 286. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, 1991).
- BORAK (Mecislav). *Na prikaz Gestapa. Nacisticke valecne zlociny na Tesinsku*. Str. 308 i 6 nlb. (Wyd. Profil, Ostava 1990).
- BORAK (Mecislav). *Vraždy v Katynskem lese*. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Petit, Ostrava 1991).
- LAUB (Gabriel). *Nejvetsi proces dejin*. Str. 144. (Wyd. Svpomoc, Praga 1990).
- Put ka Solidarnosti*. Str. 192. (Wyd. Nasze reci, Harrow, W. Brytania, data nie podana).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1.4.91

Pismo *Myśl Polska*, organ Stronnictwa Narodowego, ukazujący się w Londynie, donosi o powstaniu nowego periodyku — *Zeszytów Historycznych*, które będą wydawane przez Instytut Historyczny im. Romana Dmowskiego. Należy żałować, że Instytut ten nie wziął pod uwagę, że od 1962 r. ukazuje się regularnie kwartalnik *Zeszyty Historyczne* wydawany przez Instytut Literacki w Paryżu. Kwartalnik ten jest ponadto również regularnie przedrukowywany przez Wydawnictwo PoMOST w Warszawie.

1.5.91

W Warszawie-Obory odbyło się spotkanie polsko-litewskie. W ciągu czterodniowych obrad wygłoszono następujące referaty: prof. Piotr Łossowski „Źródła współczesnych kontrowersji polsko-litewskich i sposoby ich rozwiązania”, Rolandas Rastauskas „Polska jako okno do Europy: wpływ kultury polskiej na Litwie podczas okupacji sowieckiej”, Tadeusz Konwicki „Przyszłość Wilna”, Algis Kaleda „Stosunki literackie litewsko-polskie (mity oraz realność)”, Marek Nowakowski „Czy Polskę stać na pomoc Litwie?”, Sigdas Jegelavicius „Armia Krajowa na Wileńszczyźnie”, Alfonsas Bacys „Polskie szkoły w niepodległej Litwie w okresie międzywojennym”, Marek Zieliński „Ucieczka na Kresy”. Został ustanowiony fundusz stypendialny dla tłumaczy z języka litewskiego i polskiego. Fundusz ten ustanowiony został przez red. Jerzego Giedroycia z Instytutu Literackiego (Paryż), redakcję miesięcznika *Więź* i Niezależne Centrum Studiów Międzynarodowych.

19.5.91

Zmarł w Warszawie w wieku 92 lat generał Franciszek Skibiński. W czasie ostatniej wojny był dowódcą X pułku strzelców konnych i obydwu brygad I Dywizji pancerniej generała Maczka.

24.5.91

Sejm RP wybrał na prezesa Najwyższej Izby Kontroli Waleriana Pańko (OKP, nieprzyszczony). Kwalifikacje p. Pańko na to stanowisko są nieznane.

31.5.91

W Klubie PPP (Porozumienie Ponad Podziałami) w Warszawie odbyło się zebranie dyskusyjne Jacka Kuronia i Zbigniewa Romaszewskiego na temat „Zagrożenia i sojusze”, a 7 czerwca br. zebranie dyskusyjne „Państwo i Kościół z trzech punktów widzenia” z udziałem: Przemysława Hniedziwicz, Stefana Niesiołowskiego i Barbary Stanosz.

1.6.91

W listopadzie br. mija 125-ta rocznica urodzin Bronisława Piłsudskiego. Obchody tej rocznicy, m.in. międzynarodowa konferencja naukowa, odbędą się także na wyspie Sachalin, miejscu jego zesłania i katorgi. Rozpoczęto także wydawanie jego spuścizny naukowej, przechowywanej dotąd w sachalińskim muzeum regionalnym.

3.6.91

Zmarła w Warszawie w wieku 73 lat Krystyna Tarnowska-Konarek, wybitna tłumaczka literatury anglojęzycznej.

13.6.91

Prasa francuska podaje, że ilość bezrobotnych w Polsce w końcu maja br. wyniosła 1.435.000 osób, a więc 7,7% ludności aktywnej. Jest to wzrost o 4,7% w stosunku do kwietnia br. Rząd polski przypuszcza, że ilość bezrobotnych przekroczy do końca br. 2 mln.

16.6.91

W Lublinie odbyło się międzynarodowe kolokwium poświęcone historii Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy w ich wzajemnych relacjach. Na tym kolokwium zajmowano się m.in. problematyką tych czterech narodów w podręcznikach szkolnych.

17.6.91

Jury nagrody literackiej im. Stanisława Vincenza przyznało nagrodę za 1990 rok Jaanowi Krossowi, wybitnemu poecie i pisarzowi estońskiemu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5.4.91

Na uniwersytecie Aix-en-Provence odbyło się zebranie (*table ronde*), zorganizowane przez Henryka Dunajewskiego, na temat ewolucji ZSSR, Polski i Węgier w kierunku mechanizmów rynkowych. W *table ronde* wzięło udział prawie 200 uczestników (szczególnie z Aix i Marsylii) m.in. prof. E. Zaleski, Jerzy Mond, Józef Hurwic i Zygmunt Kowalczyk z Poznania.

23.4.91

Kosztowne rozjazdy bez sensu. Po trzydniowym pobycie w Brazylii delegacja Senatu RP w osobach marszałka Senatu Andrzeja Stelmachowskiego, senatorów Ryszarda Reiffa, Władysława Papurzyńskiego i Anny Szklennik wyładowała w Argentynie. Następnie delegacja ta udała się do Urugwaju. Na tym jednak nie koniec: w połowie lipca br. przyjedzie do Argentyny minister Skubiszewski, a w październiku br. — Prezydent Lech Wałęsa. W 1992 r. przewidziany jest tam Światowy Kongres Emigracji Polskiej, będzie to powiązane z wizytą Papieża zapowiedzianą na 500-lecie odkrycia Ameryki.

26.4.91

Przedstawiciel *Kultury* w Szwecji, Norbert Żaba, otrzymał odznakę „Zasłużony dla kultury polskiej”, przyznaną przez Ministra Kultury i Sztuki RP.

18.5.91

Doroczna nagroda *Wiadomości* imienia Mieczysława Grydzewskiego została przyznana Zbigniewowi Herbertowi za książkę „Elegia na odejście”, wydaną przez Instytut Literacki w Paryżu. Nagroda wynosi Łstg. 500. ■ W kościele St. Mary's w Londynie odbył się ślub Edwarda Raczynskiego z Anielą Mieczysławską.

1.6.91

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się szereg odczytów, a mianowicie: 7 czerwca prof. Jerzy Kłoczowski mówił na temat „Polska a kraje Europy Środkowo-Wschodniej”; 14 czerwca ambasador RP w Paryżu Jerzy Łukaszewski mówił na temat „Europa: gdzie jest? czym jest?”; 5 lipca bp Szczepan Wesoły wygłosił odczyt na temat „Aktualne problemy duszpasterstwa polskiego na emigracji”.

3.6.91

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odczyt prof. Piotra Wandycza pt. „Polska, Czechosłowacja, Węgry — cena wolności”; 8 czerwca prof. Stanisław Nicieja mówił o „Nekropoli Łyczakowskiej we Lwowie” jako o panteonie sztuki polskiej; 12 czerwca Kazimierz Dobrowolski, sekretarz senackiej komisji do spraw emigracji i Polaków za granicą, mówił o obecnej sytuacji Polaków w Związku Sowieckim i o polityce rządu RP wobec Polaków za granicą. Wreszcie 29 czerwca br., w 50-tą rocznicę śmierci Ignacego Paderewskiego, odbył się koncert poświęcony jego twórczości (przy fortepianie Aleksander Woronicki, założyciel *Association Paderewski de Paris*).

28.5.91

Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku powołał do życia Fundusz im. Jerzego Łojka, celem przyznawania nagród co dwa lata, począwszy od br., za prace z dziedziny historii i jej popularyzację. W br. przewidziana jest jedna nagroda w wysokości Dol. US 750,00.

8.6.91

Jury nagrody pisarskiej Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczynskiego przyznało doroczną nagrodę Stanisławowi Niciejowi za pracę pt. „Cmentarz obrońców Lwowa”, wydaną przez Ossolineum we Wrocławiu. Nagroda wynosi Łstg. 1.000.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Przeprowadzanemu zgodnie z Konstytucją USA co 10 lat spisowi powszechnemu (chodzi o proporcjonalne w stosunku do liczby ludności wyliczenia liczby przedstawicieli z poszczególnych stanów do Izby Reprezentantów), zarzucono wiele nieścisłości. Zarzuty dotyczyły również pomniejszenia liczby bezdomnych i w związku z tym w nocy 20 marca 1991 roku przeprowadzono specjalny spis, który wykazał 230 tysięcy bezdomnych w całym kraju. Uwzględniono nie tylko przytulki, ulice, mosty, rudery i ruiny domów, ale starano się dotrzeć nawet w najbardziej niebezpieczne rejony miast o szczególnie dużej stopie przestępczości (Nowy Jork, Atlanta, Chicago, Waszyngton, Los Angeles czy San Francisco). Jeśli do tego dodać około 5 milionów osób głodujących lub stale niedojadających (tutaj liczba może być jednak wyższa od rzeczywistej, bowiem niedawno

okazało się, że czasem opłaca się deklarować głód i pracować tylko za jedzenie, gdyż nie traci się wówczas zasiłku dla biednych), a w tym kilkaset tysięcy dzieci (w tych statystykach nie uwzględnia się z kolei prawowitych gospodarzy tej ziemi — Indian żyjących w rezerwatach, których los też często jest tragiczny, upadek szkolnictwa publicznego (bezpłatnego i pochłaniającego olbrzymie sumy z podatków pracujących Amerykanów), bankructwo wielu spółek oszczędnościowo-pożyczkowych oraz przewidywany krach wielu banków, to mimo proklamowanego przez prez. Busha końca kryzysu, sytuacja w USA nie wygląda dobrze. ■ Dużym zainteresowaniem zarówno na wschodnim jak zachodnim wybrzeżu USA cieszą się filmy stosunkowo młodego polskiego reżysera — Piotra Bikonta. Przy okazji jego pobytu w Kalifornii uniwersytet stanowy w San Diego zorganizował sesję poświęconą obecnej sytuacji w polskiej kulturze. ■ Otwarto w Krakowie drugi w Polsce (po warszawskim) Zakład Studiów Amerykańskich. ■ Z krótką wizytą przebywał w Kalifornii Witold Lutosławski, który dyrygował wykonaniem kilku swoich utworów. ■ W *Dzienniku Związkowym* z 2 kwietnia 91 r. ukazał się oficjalny komunikat dotyczący uporządkowania zbiorów Biblioteki Związku Narodowego Polskiego, założonej w 1892 r. a w 1912 przeniesionej do Alliance College w Cambridge Springs w Pensylwanii. Kolekcja została podzielona i rozesłana do kilku ośrodków: Muzeum Polskiego w Chicago, Orchard Lake Schools Archives and Library w Michigan, Muzeum Pułaskiego w Warce-Winiarach, Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, Biblioteki Narodowej w Warszawie, Research Library *Dziennika Związkowego*, organizacji „Samopomoc Nowej Emigracji” w Chicago, tygodnika członków ZNP *Zgoda* oraz University of Minnesota. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej jest udziałowcem w konsorcjum, które podpisało kontrakt z waszyngtońską Central European Enterprise Development Commission, dotyczący udzielenia pomocy Polsce w utworzeniu samowystarczalnego systemu, wspierającego małe przedsiębiorstwa w zarządzaniu i rozwiązywaniu problemów technicznych. Przy tym projekcie oraz przy innych podobnych John Kordek, krajowy dyrektor wykonawczy KPA, współpracuje z waszyngtońskim Centrum Prywatyzacji Korporacji Scientex, z Wydziałem Zarządzania katolickiego uniwersytetu chicagoskiego DePaul oraz przedsiębiorcami polonijnymi. ■ Prezes nowojorskiego Disabled Children's Foundation, Paweł Janaszek, podczas pobytu Wałęsy w tym mieście przekazał jego żonie czek na sumę 15.000 dolarów na rozbudowę Ośrodka Rehabilitacyjnego Dzieci i Młodzieży w Mielnicy. ■ Podczas amerykańskiej wizyty Wałęsa zapowiedział zniesienie od 15 kwietnia 1991 roku wymogu wiz polskich dla turystów amerykańskich. USA zrewanżowały się zniesieniem opłat za wizy amerykańskie wydawane Polakom. Nowojorski *Nowy Dziennik* podał, że Polska straci w związku z tym około 1,7 miliona dolarów. W 1990 roku wydano 90 tysięcy wiz polskich, inkasując za każdą od 18 do 20 dolarów. ■ Podczas swej amerykańskiej wizyty Wałęsa złożył oś-

wiadczenie, że przeniesienie prochów Paderewskiego nie powinno nastąpić w tym roku. Strona amerykańska wstrzymała więc przygotowania, oświadczając jednocześnie, że jest ewentualnie w stanie, mimo wszystkich przeszkód, dochować pierwotnego terminu. Reakcje obu stron są co najmniej niezrozumiałe — Amerykanie zbyt łatwo ulegają kolejnym polskim kaprysom, mimo iż Paderewski nigdy nie prosił o pochówek w Polsce. Jeśli zaś Polacy — nie chcąc ranić uczuć amerykańskich i zabierać z narodowego cmentarza w Arlington prochów jednego z nielicznych pochowanych tam cudzoziemców — podjęli taką decyzję, to dlaczego Wałęsa wspominał o jednym tylko roku zwłoki? ■ 3 kwietnia odbyło się pierwsze spotkanie zorganizowanego z inicjatywy Jerzego Surdykowskiego (konsula polskiego w Nowym Jorku) Forum Spraw Polsko-Amerykańskich. Głównym mówcą był znający polskie sprawy i życzliwie wobec Polski nastawiony redaktor działu zagranicznego *New York Times'a* — Michael Kaufman; wzięło też udział wielu przedstawicieli polonijnej elity intelektualnej. ■ W początkach kwietnia odbyła się konferencja w Białym Domu, na której przedstawiciele biznesu, rektorzy uniwersytetów, przewodniczący prywatnych fundacji oraz niektórych rządów wschodnioeuropejskich dyskutowali o formach amerykańskiej pomocy udzielanych tej części świata. Udział wziął prezydent Bush, który podkreślał silne zainteresowanie USA wschodnią Europą. Efekty konferencji są na razie czysto werbalne: należy szkolić wschodnich Europejczyków w Stanach Zjednoczonych i w ich własnych krajach, należy uczyć ich przedsiębiorczości i do niej zachęcać, należy zorganizować specjalne programy dla studentów wschodnioeuropejskich na amerykańskich uniwersytetach. ■ Podczas wizyty prez. Wałęsy podpisano porozumienie partnerskie między stanem Nowy Jork a Polską; dotyczy ono szkolenia menadżerów, pomocy technicznej w prywatyzacji i restrukturyzacji gospodarki polskiej, pomocy małym przedsiębiorstwom, handlu, inwestycji, edukacji i wymiany kulturalnej. ■ Koncern IBM ofiarował Polsce (dla województwa szczecińskiego) i Węgrom sprzęt komputerowy i związane z nim usługi techniczne wartości miliona dolarów. Sprzęt przeznaczony jest dla urzędów zatrudnienia i ma ułatwić rejestrację bezrobotnych i pobierających zasiłki oraz śledzenie zmian na rynku pracy. ■ Helena Wójcik, wiceprezesa Związku Narodowego Polskiego, otrzymała nagrodę od prowadzonego przez siostry felicianki-Montay College, jako wyraz wdzięczności za dar w wysokości 56 tysięcy dolarów, umożliwiający zorganizowanie pierwszego polsko-angielskiego kursu leczenia alkoholizmu i innych uzależnień chemicznych. ■ Rząd amerykański przeznaczył 20 milionów dolarów na likwidację tzw. niskiej emisji pyłów w Krakowie (energochłonnych i zanieczyszczających otoczenie urządzeń grzewczych). Zgodnie z protokołem podpisanym 6 marca, w tym roku przewiduje się wykonanie prac wartości 3-5 milionów dolarów. ■ W Stanach Zjednoczonych przebywali przedstawiciele polskich władz lokalnych. Autorem i kierownikiem wizyty

był dr Tomasz Mroczkowski z TAU (uniwersytet waszyngtoński). Cel tej wizyty został określony dość mgliście. Zaczyna niepokoić szastanie pieniędzmi podatników amerykańskich, przeznaczonymi rzekomo na pomoc Polsce w wydobywaniu się z ruiny gospodarczej. Bezustannie przyjeżdżają do USA delegacje i przedstawiciele pewnych tylko kręgów politycznych w niejasnych najczęściej, choć wzniosłe nazywanych celach. ■ W październiku 1991 roku wejdzie w życie nowy *Immigration Act of 1990*, który umożliwi wjazd do USA na podstawie kwalifikacji zawodowych czy sponsorstwa amerykańskiego pracodawcy. Po 40.000 przypada na 3 kategorie: 1. osoby posiadające nadzwyczajne umiejętności (zawodowe, naukowe, artystyczne), 2. osoby posiadające wyjątkowe uzdolnienia lub wyższe stopnie naukowe, 3. posiadaczy co najmniej stopnia *bachelor*, robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych (ta ostatnia grupa nie może przekroczyć 10.000 osób). Zarezerwowano też po 10.000 miejsc dla innych dwóch kategorii przybyszów: specjalnych imigrantów, w tym 5.000 dla funkcjonariuszy religijnych oraz przedsiębiorców, którzy zainwestują 1/4 miliona dolarów w nowe przedsiębiorstwo zatrudniające co najmniej 10 osób. Choć zwiększona liczba imigrantów „zawodowych” nie zmieni zasadniczych tendencji w polityce imigracyjnej, która w dalszym ciągu oparta będzie na sprzeczaniu do USA rodzin obecnych obywateli i legalnych rezydentów Stanów Zjednoczonych, to jednak jest to pierwszy wyłom w dość przypadkowej dotychczas polityce imigracyjnej USA.

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA NORWESKA

W czasie rozmów prezydenta Havla z premierem Norwegii p. Gro Harlem Brundtland doszło do podpisania umowy w sprawie gwarancji inwestycyjnych. Nadto dyskutowano o sprawach gospodarczych, bezpieczeństwa europejskiego, o procesie integracji nowej Europy i wzajemnych powiązaniach. Postanowiono utworzyć forum dla spraw współpracy czesko-norweskiej w dziedzinie ochrony środowiska i produkcji energii. Ciekawostką może być informacja, że Czechosłowacja jest drugim co do wysokości obrotów handlowych partnerem Norwegii, jeśli brać pod uwagę państwa Europy Środkowo-Wschodniej — wyprzedza ją Związek Sowiecki. ■ W dniach 5 i 6 czerwca br. miała miejsce spóźniona o blisko pół roku wizyta Gorbaczowa w Norwegii. Gość sowiecki przyjmowany był jako głowa państwa oraz jako laureat Nobla. Rozmowy z królem Norwegii i z premierem dotyczyły m.in. państw bałtyckich, niezgodnionej granicy morskiej na Morzu Barentsa, współpracy gospodarczej, pro-

dukcji energii, intensywnych zbrojeń sowieckich w rejonie Murmańska oraz ochrony środowiska. (Sowieckie fabryki na półwyspie Kola są przyczyną katastrofy ekologicznej w północnej Norwegii; same zakłady wokół miejscowości Nikiel wydzielają 8 razy więcej pyłów niż cała Norwegia). Zgodnie z przewidywaniami nie doszło do podpisania porozumienia w sprawie granicy morskiej. Norweski minister finansów, komentując rokowania w sprawie pomocy gospodarczej, stwierdził że dopóki Związek Sowiecki nie wykaże się konkretnymi rezultatami reform, należy wstrzymać się z kredytami.

Paweł GAJOWNICZEK

KRONIKA SZWEDZKA

13 maja br. odbyło się pierwsze w historii spotkanie polskich pisarzy zamieszkałych w Szwecji z pisarzami szwedzkimi, które było połączone z wieczorem autorskim Polaków: Michała Haykowskiego, Leonarda Neugera, Tadeusza Polanowskiego i Andrzeja N. Uggli. ■ Wobec zaostrożenia przepisów w sprawie azylu politycznego oraz prawa pracy i pobytu w Szwecji, w I kwartale br. imigracja do Szwecji zmalała o 39% w porównaniu z tym samym okresem ub. roku. ■ 31 maja br. odbył się pogrzeb Jarosława Pieniężnego, jednego z bardziej zasłużonych działaczy polskich w Warmii, Niemczech i Skandynawii. ■ 1 czerwca 1991 Szwecja, jako ostatnia z pięciu nordyckich krajów, zniosła wizy dla polskich obywateli. ■ „Immigrant Institut” w Sztokholmie przyznał tegoroczne stypendium Instytutu w wysokości 2.000 koron czterem twórcom emigracyjnej kultury. Wśród nagrodzonych jest Polka, Małgorzata ze Skoczylasów Romatowska, artystka plastyk, b. studentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. ■ SPROSTOWANIE: W „Kronice szwedzkiej” zamieszczonej w nr. 12-519/1990 *Kultury* zaszła pomyłka powstała z mojej nieuwagi. Wieczór poetycki Tomasza Tranströmera, czołowego żyjącego szwedzkiego poety, laureata Nagrody Akademii Szwedzkiej, tzw. „Małego Nobla”, odbył się 27 września ub. r. staraniem Stowarzyszenia Polek w Szwecji, w Bibliotece Akademii Szwedzkiej, a nie w Instytucie Polskim. Natomiast Tomasz Jastrun recytował poezję Tranströmera w Akademii w doskonałym tłumaczeniu Leonarda Neugera. Było to ważnym wydarzeniem, biorąc pod uwagę wiek i stan zdrowia Tranströmera, który unika publicznych wystąpień, zwłaszcza w nieszwedzkim otoczeniu. Za pomyłkę przepraszam Stowarzyszenie Polek.

8 czerwca 1991

Norbert ŻABA

Listy do Redakcji

Londyn, 21.5.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

Podpisując się całkowicie pod artykułem Leszka Szarugi „Pisanie o emigracji”, pragnę dodać kilka uzupełniających uwag.

Obydwaj autorzy, Krzysztof Dybciak i Jan Zieliński, piszący o polskiej literaturze poza krajem, pomijają osiągnięcia tych z nas, którzy wydobyli się na rynki światowe w obcych językach. Było to jedno z naszych zadań, znałeliśmy się w wielkich kulturalnych centrach zachodniego świata. Opuścić nie tych, niezbyt licznych niestety, osiągnięć jest błędem.

Obydwaj pomijają także istnienie *Pamiętnika Literackiego*, który redagują od kilkunastu lat dla naszego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (ukazało się już 15 tomów), i który jest jedynym wydawnictwem emigracyjnym prezentującym polskie osiągnięcia kulturalne i pisarskie poza krajem. Wspominano już o nim w kraju wielokrotnie i zawsze z uznaniem (dr Marek Pytasz — Uniwersytet Śląski, prof. Stefania Skwarczyńska — Łódź, Anna Baniewicz — *Kurier Polski*, Warszawa; dr Janusz Kryszak — Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń). Skoro Dybciak i Zieliński piszą o literaturze emigracyjnej, muszą znać *Pamiętnik Literacki*.

Z wyrazami szacunku

Józef GARLIŃSKI

Monachium, w kwietniu 1991 r.

W liście do redakcji (*Kultura* nr 1/520-2/521) p. Zdzisław Gremski udzielił mi pouczeń w zakresie historii i geografii oraz zalecił „zaglądnąć do atlasu historycznego, aby zorientować się, że Görlitz ma tyle wspólnego ze Śląskiem, co Małopolska z Małopolską wschodnią...”. Jestem bardzo wdzięczny i rewanżuję się radą, aby p. Gremski udał się do najbliższej biblioteki i otworzył 24-ty tom *Encyclopedia Americana* na str. 812 i obejrzał zamieszczoną tam mapkę Śląska. Może również przeczytać hasło „Silesia” i znajdzie tam informację, że Görlitz jest najważniejszym miastem tej części Śląska, która po II wojnie światowej pozostała na zachód od granicy na Nysie Łużyckiej, czyli późniejszej NRD. Podobne dane p. Gremski może również znaleźć w *Encyclopaedia Britannica* (choć bez mapki). Powołuję się zatem nie na wraże pangermańskie publikacje, lecz na dzieła, których autorzy — w przeciwieństwie do zmienionego niedawno oficjalnego stanowiska rządu RFN — konsekwentnie uznawali Nysę Łużycką za państwową granicę

Polski: „...when the Poles closed their new borders, including the Oder-Neisse line, which left the northwest corner of Silesia, including Görlitz, in East Germany” (*The Encyclopedia Americana*, vol. 24, Grolier Inc., 1986, s. 814).

Fotokopię mapki z *Encyclopedia Americana* załączam, zdając sobie jednak sprawę, że dział listów w *Kulturze* nie może pełnić roli pomocy szkolnych, proponuję zatem proste ćwiczenie umysłowe: już na pierwszych lekcjach geografii w szkole podstawowej (w Polsce) dzieci uczą się, że Zgorzelec leży na Dolnym Śląsku. Jak zatem główna część tego samego miasta może leżeć indziej?

Atlas, z którego korzysta mój mentor, także z innych powodów wydaje mi się wątpliwej wartości. Miasto „Żegań” — jak Bóg na niebie! — nie istnieje. Jest miasto Żagań, tyle, że nie leży ono nad Nysą Łużycką, lecz nad Bobrem.

Miśnia — to miasto nad Łabą; p. Gremskiemu chodzi być może o Marchię Miśnieńską (ale ta do Bobra nigdy nie sięgała), lub też myli on Miśnię z Mileńskiem, które zajął Bolesław Chrobry (ale to nie w XIII w.).

Serbowie łużyccy (wg danych statystycznych NRD ok. 50.000 osób) nie zamieszkują zwartego terytorium; ich skupiska występują w okolicach Chociebuza (Cottbus), Budziszyna (Bautzen) i Kamieńca (Kamenz), więc akurat nie na Śląsku i na pewno nie w Zgorzelcu. Z twierdzenia p. Gremskiego, że „nad Szprewą do dziś mieszkają Serbotużyczanie” dla rozważań o Zgorzelcu nic nie wynika. Zaś z twierdzenia, że granica między Śląskiem a Saksonią „ustaliła się ostatecznie na Bobrze i Kwisie” wynika, iż część Saksonii leży w granicach Polski. Zagłoba się kłania.

Tomasz MIANOWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Autorzy listu do redakcji zamieszczonego w formie artykułu w majowym numerze *Kultury* („Kościoły polski w republikach sowieckich”, Nr 5, 1991) mają niesłychanie ważne rzeczy do powiedzenia — świadczy o tym także ich daleko posunięta ostrożność w relacjonowaniu faktów i wyrażaniu swojej opinii. Uznali nawet za wskazane podać swoje nazwiska tylko do wiadomości redakcji. Widocznie obawiają się, że narażają się na krytykę, i to ostrą i bolesną, ze strony społeczności polskiej i polskich władz kościelnych. Odnoszę wrażenie (choć to nie jest istotne), że autorzy są polskimi księżmi.

Artykuł (czy list) dotyczy, jak piszą, „ewentualnych zjawisk 'polonizacyjnych' na terenie niektórych republik Związku Radzieckiego oraz roli, jaką miałyby odgrywać w tych zjawiskach Kościoły polski”. Autorzy słowo „polonizacja” zawsze ujmują w cudzysłowy, jakby negując stosowność tego określenia. Tymczasem z tekstu wynika (co skądinąd zawsze było wiadomo), że na tych terenach Kościół rzymskokatolicki jest bez mała synonimem Kościoła polskiego i że duchowieństwo polskie walczy o tę polskość Kościoła równie gorliwie jak o prawdy wiary. Oczywiście trudno taką działalność określić innym mianem jak polonizacja. Jest to postawa bardzo szkodliwa dla Kościoła, bo ogranicza zasięg jego apostołatu do Polaków, a równocześnie implikuje, jakoby katolicyzm Litwinów, Łotyszów, Białorusów oraz grekokatolicyzm Ukraińców był czymś gorszym od katolicyzmu wyrażanego po polsku. Jest to również działalność bardzo szkodliwa dla Polski, bo wytwa-

rza wśród miejscowych ludności nastroje wrogości do języka i kultury polskiej. W sytuacji, w której trudno sobie wyobrazić, by Wilno i Lwów kiedykolwiek mogły wrócić do Polski, cały nasz wysiłek powinniśmy skierować na zdobycie przyjaźni tych naszych najbliższych sąsiadów i uśmierzenie obaw przed groźną dla ich narodowego bytu polonizacją. Polscy księża mogą zjednać Polsce szacunek ucząc ich dzieci modlenia się po litewsku, białorusku lub ukraińsku.

Oczywiście są to myśli bardzo niepopularne wśród nader licznych nietolerancyjnych „Polaków-katolików”, im bardziej zamkniętych w swoim schemacie, tym bardziej krzykliwych. I bardzo dobrze rozumiem obawy autorów niepodpisanego listu w *Kulturze*. Ale, na Boga, czy po to zrzuciliśmy pęta komunistycznej nowomowy, by popaść w niewolę wciąż odradzających się Dulskich i znowu bać się wypowiedzania własnej opinii?

Z wyrazami szacunku

Antoni POSPIESZALSKI

10.6.1991

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Usprawiedliwianie rażącej powolności i nieskuteczności działań na rzecz naprawy naszego państwa stwierdzeniem, że nawet komuniści na wprowadzenie siłą swego systemu realnego socjalizmu potrzebowali kilku lat, jest — w obecnym, przedwyborczym okresie — typowym i coraz częściej przez lewicujących intelektualistów stosowanym argumentem. Ten kuszący swoją pomyślnością pogląd jest jednak z gruntu fałszywy — jego zwolennicy wydają się zupełnie nie dostrzegać tej prostej a jednocześnie podstawowej prawdy, że przecież to, co było tak niezwykle trwałe i odporne na stalinowski terror, powstało samorzutnie i całkowicie spontanicznie z oddolnej inicjatywy pojedynczych ludzi w bardzo krótkim okresie czasu na gruzach, pod każdym względem w latach 39–45 zniszczonego kraju. Trudności i opory we wprowadzaniu marksistowsko-leninowskiego porządku społeczno-ekonomicznego dowodzą tylko i wyłącznie siły i dynamiki nieskrępowanej doktrynalnymi hamulcami ludzkiej aktywności i przekonują o istnieniu realnej możliwości, w zasadzie nieograniczonego, przyspieszenia.

Na razie jednak kontentować się musimy jałowym uczestnictwem w telewizyjnych i prasowych popisach intelektualnych lwów salonowych, nawzajem się przekonujących o swojej nie tylko moralno-etycznej, ale i erudycyjnej przewadze. Pozorny udział w wewnętrznych, elitarno-kombatanckich sporach ma nam stworzyć ulotną, ale jakże społecznie groźną, złudę autentycznej wolności i niezależności myśli — tych kilku prostych uwag nie udało mi się w ciągu ostatnich paru miesięcy opublikować w żadnym z krajowych pism. Jak widać, daleko nam jeszcze do tej dojrzałości politycznej, która zarówno rodzi nowe, oryginalne postawy i poglądy jak i toleruje, a może nawet i pielęgnuje, ich odrębność. Jedyne postpezetpeerowska nomenklatura wykorzystując sprzyjającą jej zamierzeniom koniunkturę, w błyskawicznym tempie zbija szmal i zgodnie z marksistowsko-leninowską doktryną zmierza do opanowania bazy — nadbudowa ulegnie sama?

Z wyrazami najgłębszego szacunku i poważania

Jan A. TOMASZKIEWICZ

WOŁYNIACY!

Tragiczne dzieje Polaków zamieszkałych na Wołyniu w latach II wojny światowej nie są dotąd należycie udokumentowane. Aktualnie opracowuję temat: „Samoobrona ludności polskiej na Wołyniu w latach 1942–1944”. Gdyby ktoś z Państwa mógł i chciał się wypowiedzieć, dysponował wspomnieniami, notatkami lub innymi materiałami, proszę uprzejmie o nawiązanie listownego kontaktu.

Adam PERETIATKOWICZ
40 778 KATOWICE
ul. Bałtycka 51.B
POLAND

W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

prowadzi na terenie Polski sprzedaż książek INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

Sprzedaż obejmuje pozycje z katalogu „BIBLIOTEKI KULTURY”.
Ceny książek w złotych w przeliczeniu FFr. 1,00 = zł. 500,00.

Adres FUNDACJI:

00-840 WARSZAWA

ul. Wronia 23, p. 402

tel. 20 01 64, 20 12 71, wewn. 367

FUNDACJA zamierza w najbliższym czasie otworzyć salon książki z pierwszym w Polsce firmowym stoiskiem INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik pod redakcją Jerzego Giedroycia wydawany od 1962 r. przez INSTYTUT LITERACKI w PARYŻU, przedrukowywany w drugim obiegu, nareszcie ukazuje się oficjalnie w Polsce. Wydawcą edycji krajowej ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH jest WYDAWNICTWO PoMOST, spółka z o.o.

Cena prenumeraty czterech numerów kwartalnika:
93/1990, 94/1990, 95/1991, 96/1991 wynosi zł. 50.000.

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o.

PBK III O. w Warszawie, nr 370015-973548-136

z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^{me} trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France

N° d'imprimeur 4109-1991

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1991			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00 F. 50,00	F. 280,00 F. 280,00	F. 550,00 F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.



TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie spięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o dziwnej wojnie z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „Solidarność” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.

Str. 260.

Cena F. 80,00.



TOM 468 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

zawiera opracowania: Eugeniusz Kwiatkowski: *Dziennik czynności Ministra Skarbu, 16 lipca 1939 r. do 8 października 1939 r.*; Franciszek Król: *Oswobodzenie i powrót z Kołomy (1954-55)*; Michał Komar: *Cztery relacje; PPS a PPR na początku 1948 r.*; Grzegorz Mazur: *Refleksje nad historią Polski XX w.*; Tadeusz Wyrwa: *Raport o sytuacji w Polsce w 1942 r.*; Emanuel Halicz: „Rosjanie w Warszawie”; Dr Ant. Stefanowski: *Ostatnie chwile Marszałka Piłsudskiego*; Henryk Kozłowski ps. Kmita: *List w sprawie poakowskiej konspiracji antykomunistycznej oraz bogaty dział LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.